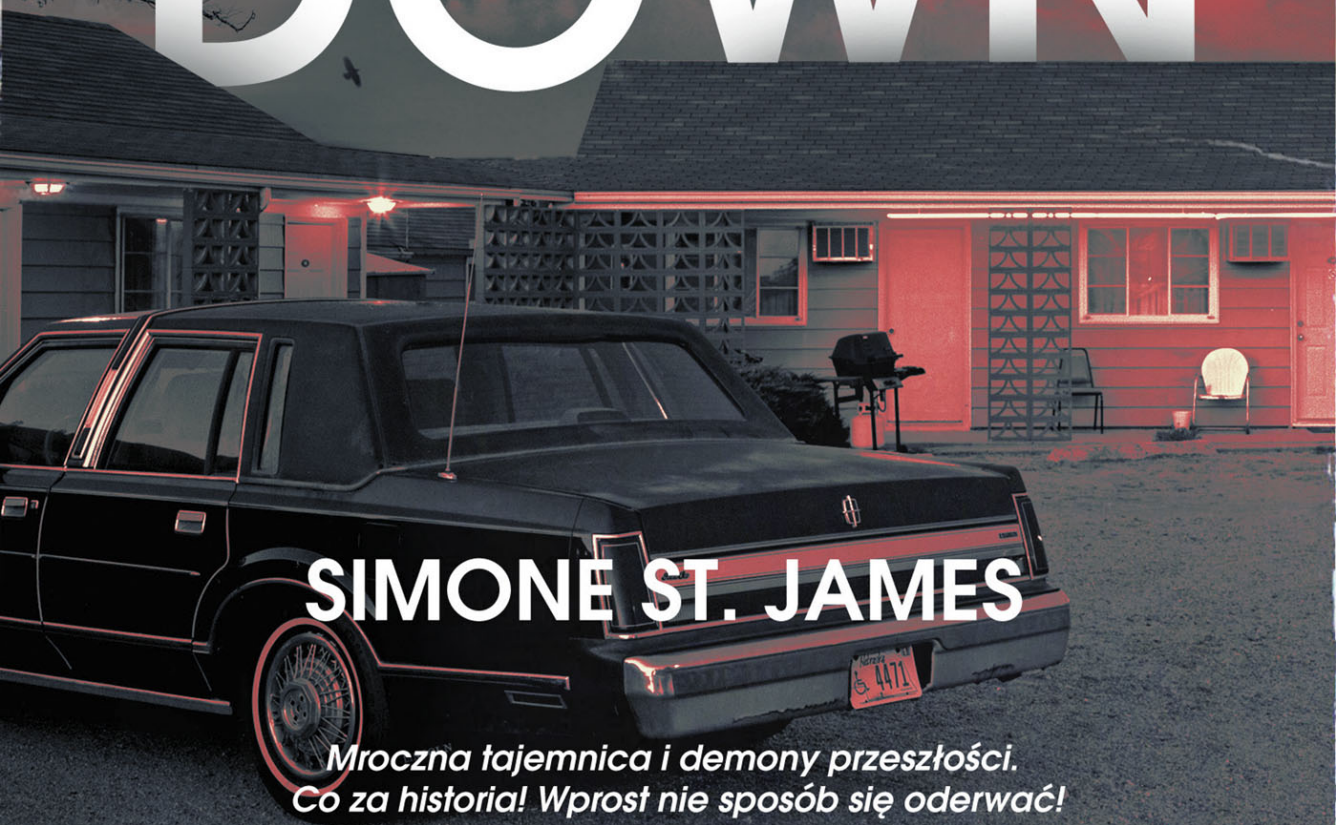


BESTSELLER NEW YORK TIMES A

MOTEL SUN DOWN



SIMONE ST. JAMES

*Mroczna tajemnica i demony przeszłości.
Co za historia! Wprost nie sposób się oderwać!*

BOOKLIST

MOTEL SUN DOWN

SIMONE ST. JAMES

Przełożył Jacek Żuławnik



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: ***The Sun Down Motel***

Projekt okładki: *Tomasz Majewski*

Redakcja: *Lena Marciniak-Czkała*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lingventa (Barbara Milanowska, Justyna Techmańska)*

Fotografia wykorzystana na okładce

© Tony Worobiec/Arcangel

© 2020 by Simone Seguin

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with Berkley, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2022

© for the Polish translation by Jacek Żuławnik

ISBN 978-83-287-2256-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

*Dedykuję wszystkim ekscentryczkom, nerdkom i fascynatkom
zbrodni*

Spis treści

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Sierpień 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Wrzesień 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Wrzesień 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Wrzesień 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku
Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

Fell w stanie Nowy Jork Luty 2018 roku Trzy miesiące później

Podziękowania

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Tamtej nocy, kiedy wszystko się skończyło, Vivian była sama.

Nie przeszkadzało jej to. Nawet tak wolała. Pracując na nocną zmianę w tym miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, odkrywała, że przebywanie z ludźmi jest łatwe; co innego brak jakiegokolwiek kompana, zwłaszcza po zmroku. Osoba, która potrafi być naprawdę sama i mieć za towarzystwo jedynie własne myśli... Ktoś taki jest silniejszy od innych. Lepiej przygotowany.

Kiedy jednak zajechała na parking przed motelem Sun Down, zawahała się, bo poczuła znajome ukłucie strachu. Siedziała w swoim zdezelowanym chevrolecie cavalierze, z kluczykiem w stacyjce, z włączonym radiem i ogrzewaniem, w zapiętej pod szyję kurtce, patrzyła na świecący na żółto i niebiesko znak, na przypominający układ literę L piętrowy budynek z pokojami i myślała: „Nie chcę tam wchodzić. Ale zrobię to”. Była gotowa, choć nadal się bała. Zegar wskazywał dwudziestą drugą pięćdziesiąt dziewięć.

Chciało jej się płakać. Miała ochotę krzyczeć. Mdlilo ją.

„Nie chcę tam wchodzić”.

„Ale zrobię to. Jak zawsze”.

W przednią szybę auta uderzyły dwie krople marznącego deszczu. Szosą z rykiem przemknęła ciężarówka. Klik. Dwudziesta trzecia. W radiu zaczęły się wiadomości. Za chwilę będzie spóźniona, ale miała to gdzieś. Nikt jej nie zwolni. Nikt nie dbał o to, czy przychodziła do pracy punktualnie. W Sun Down zatrzymywało się niewielu gości, żaden nawet nie zwróciłby uwagi, gdyby dziewczyna z nocnej zmiany zaliczyła obsuwę. Dostyc często zdarzały się noce tak spokojne, że ktoś z zewnątrz mógłby uznać motel za miejsce pozbawione jakiegokolwiek życia.

Viv Delaney wiedziała swoje.

Motel Sun Down tylko wyglądał na opustoszały. Ale wcale taki nie był.

Zmarzniętymi palcami opuściła osłonę przeciwsłoneczną po stronie kierowcy i zerknęła w lusterko. Dotknęła swoich krótko obciętych, kończących się tuż poniżej uszu włosów, które codziennie spryskiwała obficie sprayem, by dodać im objętości. Potem przyjrzała się swoim oczom, które w odróżnieniu od niektórych dziewcząt ze słabością do modnego perłowego błękitu upiększała subtelnymi, lawendowo-purpurowymi tonami, przez co wyglądały trochę, jakby były podsiniaczone; wystarczyło dopełnić makijaż umiejętnie nałożonymi żółtymi i pomarańczowymi pasemkami, by osiągnąć efekt kilkudniowego obtłuczenia. Dziś jednak nie zwracała sobie tym głowy, po prostu nałożyła cień na delikatną skórę powiek i skontrastowała go ciemną kredką do oczu oraz tuszem do rzęs. Po co w ogóle się malowała? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

W radiu mówili o zwłokach dziewczyny znalezionych w rowie przy Melborn Road, raptem piętnaście kilometrów stąd. Czyli skąd? Czym było „tutaj”? Motelem przy dwupasmowej wylotówce z Fell w kierunku północnej części stanu Nowy Jork i dalej, w stronę Kanady. Gdyby pokonać półtora kilometra tą dwupasmówką, a później skręcić w prawo przy samotnej, dyndającej na kawałku przewodu lampie sygnalizacji świetlnej, dojechać tą drogą do kolejnej i jeszcze jednej, dotarłoby się do miejsca, w którym odkryto ciało dziewczyny. Nazywała się Tracy Waters, po raz ostatni widziano ją, gdy wychodziła od przyjaciółki mieszkającej w sąsiedniej miejscowości. Miała osiemnaście lat. Leżała naga w rowie. Na jej trupa natrafiono dwa dni po tym, jak rodzice zgłosili zaginięcie.

Dwudziestoletnia Viv Delaney słuchała wiadomości, trzymając dłonie na kierownicy. Trzęsły jej się ręce. Myślała o tym, jakie to uczucie, kiedy marznący deszcz smaga twoją odsłoniętą skórę i nie możesz nic na to poradzić. O tym, jak potwornie musi być zimno. O tym, że nagimi i porzuconymi jak potrącone przez samochody zwierzęta ofiarami są praktycznie zawsze dziewczyny. O tym, że nieważne, jak bardzo się boisz albo jak bardzo jesteś ostrożna, pewnego dnia może cię spotkać to samo, co spotkało Tracy.

Zwłaszcza tutaj. Może cię spotkać to samo.

Przeniosła spojrzenie na motel, na świecący bez ustanku w ciemności jarmarczny żółto-niebieski znak. I na: **WOLNE POKOJE. KABLÓWKA!**
WOLNE POKOJE. KABLÓWKA!

Po trzech miesiącach pracy w tym miejscu wciąż przyjeżdżała tu z duszą na ramieniu. Jej pełne przerażenia myśli odstawiały paniczny taniec w głowie i przemykały po karku, stawiając włoski na baczność. „Przez najbliższe osiem godzin będę całkiem sama. Sama w ciemności. Sama z nią i z pozostałymi”.

Wbrew sobie przekręciła kluczyk w stacyjce. Zgasły radio i ogrzewanie. Spiker urwał w pół zdania o Tracy. Viv uniosła brodę, otworzyła drzwi i wysiadła na listopadowy ziąb.

Skuliła się w nylonowej kurtce i ruszyła przez parking. Miała na sobie dzinsy i granatowe sportowe buty z białymi sznurówkami, zdecydowanie zbyt cienkie jak na tę zimną, moką aurę. Deszcz rozmiękczał nalakierowaną skorupę, a wiatr burzył kształt jej fryzury. Szła w kierunku drzwi opatrzonych neonem, na którym widniało: RECEPCJA.

W środku zastała Johnny’ego. Stał za kontuarem i chował swój okazały, wystający brzuch pod połami kurtki. Pewnie widział przez okno, jak parkowała.

– Spóźniłaś się? – spytał, mimo że na ścianie za jego plecami wisiał zegar.

– Tylko pięć minut. – Ścisnęło ją w żołądku i zbierało jej się na mdłości. „Chcę do domu”.

Czyli dokąd? Fell nie było jej domem. Illinois, gdzie się urodziła, też nie. Kiedy wyprowadzała się po ostatniej kłótni z matką, pełnej wrzasków i wzajemnych pretensji, opuszczała rodzinne gniazdo z zamiarem udania się do Nowego Jorku, by zostać aktorką. Tyle że to, tak jak wszystko inne w jej życiu, było zaledwie rolą, którą odgrywała; opowieścią, w której występowała. Nie miała najmniejszego pojęcia, w jaki sposób zostaje się aktorką w Nowym Jorku. Jej plany doprowadzały matkę do pasji – i o to chodziło. Ponieważ Viv pragnęła nade wszystko po prostu być w ruchu, wyjechać.

Więc wyjechała. I wylądowała tutaj. Fell musiało na razie pozostać jej domem.

– W dwieście siedemnaście zameldowała się pani Bailey – powiedział Johnny, rozpoczynając przegląd nielicznych gości. – Zdążyła się już zaopatrzyć w monopolowym, dlatego w każdej chwili spodziewaj się telefonu.

– Cudownie – skomentowała Viv. Pani Bailey nocowała w Sun Down, żeby pić, ponieważ w domu miała szlaban. Po pijanemu wydzwaniała na recepcję i domagała się mnóstwa rzeczy, o których potem zapominała. – Ktoś jeszcze?

– Wymeldowała się para, która jechała na Florydę. Dwa razy dzwonił jakiś zartowniś, żeby podyszeć w słuchawkę. Cholerni gówniarze... Zostawiłem Janice notatkę w sprawie drzwi do sto trójki. Coś jest z nimi nie tak. Ciągłe otwiera je wiatr, nawet kiedy zamykam je na klucz.

– Tak już mają – stwierdziła Viv. – Mówiłeś jej o tym w zeszłym tygodniu.
– Janice była właścicielką motelu, ale nie spędzała w nim czasu, jeżeli nie było to absolutnie konieczne. Viv nie widziała jej od bardzo dawna, od wielu tygodni, może nawet miesięcy. Janice nie zjawiała się w Sun Down, a już na pewno nie zaszczycła go swoją obecnością na nocnej zmianie, chyba że sprawa bezwzględnie tego wymagała. Vivian dostawała czeki z wypłatą w kopercie, którą znajdowała na biurku. Cała komunikacja z Janice odbywała się za pośrednictwem liścików i notatek.

– Mogłaby naprawić te drzwi – bąknął Johnny. – Bo wiesz, to w sumie dziwne, nie? Przecież je zamykam.

– No tak – potwierdziła Viv. – Dziwne.

Była do tego przyzwyczajona. Żaden z pozostałych pracowników motelu nie widział ani nie doświadczał tego co ona. Bo wszystkie te rzeczy działy się w środku nocy. Poranne i popołudniowe zmiany nie miały o niczym pojęcia.

– Mam nadzieję, że nikt więcej się nie zamelduje – mruknął Johnny, naciągając kaptur na głowę. – Oby były cisza i spokój.

„Nigdy tak nie jest”, pomyślała Viv, ale powiedziała:

– Tak, oby.

Viv odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Potem usłyszała, jak włącza silnik i odjeżdża. Johnny miał trzydzieści sześć lat i mieszkał z matką. Viv wyobraziła sobie, jak wraca do domu, siada na trochę przed telewizorem i w końcu kładzie się spać. Facet, który szczególnie się nie przemęczał, nic nie osiągnął i wiódł względnie zwyczajne życie, wolne od strachu będącego udziałem Viv. Nie myślał o Tracy Waters, nawet jeśli kojarzył jej nazwisko z radia.

Może to szaleństwo dotyka tylko ją – Viv?

Zrobiło się cicho. Jedynie od czasu do czasu docierały do recepcji warkot silników aut jadących międzystanową szóstką i szum drzew, które rosły za budynkiem. Była dwudziesta trzecia dwanaście. Klik. Wskazówka zegara na ścianie przeskoczyła o kolejną minutę.

Viv powiesiła kurtkę na wieszaku w kącie. Z drugiego haczyka zdjęła granatową poliestrową kamizelkę z wyhaftowanym na lewej piersi napisem „Motel Sun Down” i narzuciła ją na swoją białą bluzkę. Wysunęła ciężkie, drewniane krzesło i usiadła za biurkiem. Szybko przebiegła wzrokiem stary, porysowany i poplamiony blat oraz znajdujące się na nim przedmioty: słoik z ołówkami i długopisami; czarny, kanciasty przyrząd ze specjalną rączką, która okropnie terkotała, kiedy przeciągało się nią tam i z powrotem, żeby wykonać kopię wypukłych elementów karty kredytowej; sraczkowaty telefon z okrągłą tarczą. Na środku blatu leżała duża, niezbyt gruba księga, w której goście umieszczali swoje dane oraz składali podpisy w chwili zameldowania. Księga była otwarta na listopadzie osiemdziesiątego drugiego.

Viv sięgnęła do torebki po notatnik, znalazła schowany między kartkami długopis i zapisała:

„29 listopada

Drzwi do sto trójki znowu zaczęły się otwierać. Wygłupy telefoniczne. Nikogo tu nie ma. Tracy Waters nie żyje”.

Z zewnątrz doleciał jakiś dźwięk. Viv zastygła z lekko opuszczoną głową. Łup! Raz, potem drugi. Łup! Głośno i rytmicznie. Wiatr otworzył drzwi do sto trójki i walił nimi o ścianę. Jak zwykle.

Viv na chwilę zamknęła oczy. Przetoczyła się przez nią fala strachu, ale sprawy zaszły już za daleko. Przyjechała, była tutaj, Sun Down wziął ją w nocne objęcia. Nie miała wyjścia, musiała być gotowa.

Wróciła do pisania.

„A jeśli wszystko, co widziałam, wszystko, co mi się wydaje, jest prawdą? Bo myślę, że jest”.

Zerknęła do księgi, przeczytała nazwiska gości. Zaczekała, aż zegar za jej plecami odmierzy następną minutę, i zaczęła kreślić kolejne słowa.

„Duchy dziś nie śpią. Są niespokojne. Myślę, że wkrótce się to skończy”. Drżała jej dłoń. Viv starała się nad nią zapanować. „Wybacz mi, Tracy. Zawiodłam”.

W krtani Viv zrodził się cichy jęk, ale nie pozwoliła mu opuścić ust. Odłożyła długopis i potarła oczy. Część lawendowo-purpurowego cienia do powiek została na palcach.

Był dwudziesty dziewiąty listopada osiemdziesiątego drugiego roku, godzina dwudziesta trzecia dwadzieścia cztery.

O trzeciej nad ranem po Viv Delaney nie było już żadnego śladu.
To był początek.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Nieznane miejsce.

Otworzyłam oczy i spanikowana wpatrywałam się w ciemność. Obce łóżko, obce światło za oknem, obcy pokój. Przez chwilę czułam się, jakbym spadała w przepaść, i było to osobliwe, zarazem przerażające i upajające doświadczenie.

Wtedy nagle sobie przypomniałam: jestem w Fell.

Nazywam się Carly Kirk, mam dwadzieścia lat i nie powinno mnie tu być.

Sprawdziłam godzinę na telefonie, który wieczorem zostawiłam na szafce nocnej. Czwarta rano. Wpadające przez cienkie zasłony w oknie hotelowym światło latarni i neonu na fasadzie całodobowego lokalu sieci Denny's rzucało rozmazany kwadrat na przeciwległą ścianę.

Wiedziałam, że już nie zasnę. Zsunęłam nogi z łóżka i sięgnęłam po leżące obok telefonu okulary. Dzień wcześniej przyjechałam aż z Illinois i po długiej, męczącej podróży padłam jak zabita w tym bezbarwnym pokoju w centrum Fell, które okazało się do bólu zwyczajne, ale akurat o tym wiedziałam z Google Earth. Kawiarnie, pralnie samoobsługowe, pełne gratów i tandety sklepy ze starociami, budynki z mieszkaniami na wynajem, księgarnie z taną książką – wszystko w bezpośredniej bliskości punktów pierwszej potrzeby, czyli sklepu spożywczego i apteki. Ulica, przy której stały hotel i fast food, biegła przez miasto prostym jak strzała pasem asfaltu, jakby oczywiste było, że mało komu przychodzi do głowy zjechać z niej, by spędzić tu więcej czasu. Na tablicy „FELL WITA” jakiś dowcipniś dopisał sprayem: „LEPIEJ ZAWRÓĆ”.

Nie zawróciłam.

Włożyłam okulary i ponownie wzięłam do ręki telefon. Przejrzałam maile i esemesy, które przyszły, kiedy spałam.

Pierwszy mail był od naszego rodzinnego prawnika: „Pozostałe środki zostały przekazane na Pani konto. Szczegóły w załączniku”.

Nie doczytałam wiadomości do końca i nie otworzyłam załącznika – bo nie potrzebowałam; przecież wiedziałam, co do spółki z moim bratem Grahamem odziedziczyłam po mamie. Żaden wielki majątek, ale wystarczająco dużo, żebym przez pewien czas nie musiała się przejmować tym, skąd wezmę na jedzenie i mieszkanie. Nie musiałam znać dokładnych liczb; nawet nie chciałam na nie patrzeć. Wobec śmierci matki z powodu raka – miała zaledwie pięćdziesiąt jeden lat – rzeczy takie jak pieniądze wydały mi się głupie i nieistotne.

Jej odejście dało mi impuls do przewartościowania życia. Zabrałam się do tego po roku i dwóch miesiącach błędzenia w gęstej mgłę rozpacz. Robiłam to oczywiście na swój wariacki sposób i jak zwykle nie znałam umiaru.

Graham zasypał mnie esemesami: „Co ty wyprawiasz, Carly? Zrezygnowałaś z zajęć w koledżu? Na jak długo? Myślisz, że dasz radę? Zresztą nieważne. Jeśli cała twoja nauka pójdzie na marne, zostaniesz z tym wszystkim sama. Jesteś tego świadoma, prawda? Cokolwiek zamierzasz, powodzenia. Nie daj się zabić”.

Odpisałam mu: „Już nie histeryzuj, dobra? To tylko kilka dni, taka nadprogramowa wycieczka, potem wracam i zaliczam wszystko śpiewająco. Jestem po prostu ciekawa – i co mi zrobisz? Nic mi nie będzie, nie planuję dać się zabić, ale dzięki za troskę”.

W rzeczywistości zamierzałam spędzić w Fell trochę więcej niż kilka dni. Po śmierci mamy dalsza nauka w szkole handlowej wydała mi się zupełnie bezcelowa. Kiedy zaczynałam studia, nie byłam świadoma własnej śmiertelności i roiłam sobie, że mam nieskończoną ilość czasu na to, by zdecydować, co właściwie chcę zrobić ze swoim życiem. Dopiero teraz docierało do mnie, że wcale nie potrwa ono tak długo, jak sądziłam. Dręczyły mnie pytania, na które odpowiedzi pragnęłam znaleźć.

Odezwała się do mnie również Hailey, narzeczona Grahama: „Hej, wszystko w porządku?? Martwię się o ciebie. Pamiętaj, że w razie czego zawsze możesz ze mną porozmawiać. A jeśli potrzebujesz pomocy psychologa, daj znać, znajdę ci kogoś. Okej? Trzymaj się!”.

Hailey to taka dobra dusza. Ale dziękuję, przerobiłam już psychologa. I terapię, i kręgi rozwoju duchowego, jogę, medytację, warsztaty *self-care*.

I we wszystkim tym odkryłam tylko tyle, że nie potrzebuję kolejnych kuracji, lecz odpowiedzi – w końcu.

Odłożyłam telefon i włączyłam laptopa. Otworzyłam znajdujący się na pulpicie plik i zaczęłam przeglądać jego zawartość. Zatrzymałam się na skanie gazety z osiemdziesiątego drugiego. Pod nagłówkiem, który brzmiał: „POLICJA POSZUKUJE ZAGINIONEJ MIESZKANKI FELL”, widniało powiększone i wykadrowane czarno-białe zdjęcie młodej kobiety. Uśmiechała się do aparatu. Była ładna i pełna życia, miała typowe dla lat osiemdziesiątych natapirowane włosy z równo obciętą, postawioną na lakier grzywką, gładką skórę i skrzące się oczy. Fotografia była podpisana: „Dwudziestoletnią Vivian Delaney po raz ostatni widziano wieczorem dwudziestego dziewiątego listopada. Ktokolwiek zna miejsce pobytu zaginionej, jest proszony o kontakt z miejscową policją”.

Oto ona – odpowiedź, której szukałam.

Całe życie spędzałam z nosem w książkach. Kiedy już wyrosłam z *Czarnego rumaka* i jemu podobnych, zagustowałam w mrocznych opowieściach o rzeczach budzących przerażenie, takich jak zaginięcia i morderstwa, zwłaszcza te oparte na faktach. Podczas gdy inne dzieci zaczytywały się *Harrym Potterem*, ja wybierałam Stephena Kinga. Podczas gdy inne dzieci pisały prace o wojnie secesyjnej, ja pochylałam się nad historią Lizzie Borden. Przez nią, to znaczy przez wypracowanie o niej – dosyć drobiazgowy, przyznaję, i makabryczny opis tego, w jaki sposób Lizzie potraktowała siekierą swojego ojca i macochę – zaniepokojona nauczycielka zdecydowała się zadzwonić do mojej mamy. „Czy z Carly na pewno wszystko w porządku?” – dopytywała. Mama zlekceważyła reakcję nauczycielki, bo wtedy już wiedziała, jak mroczną duszę ma jej córka. „W jak najlepszym. Po prostu lubi czytać książki o morderstwach i tyle”.

Nie wspomniała – w ogóle nie lubiła o tym mówić – że zainteresowanie tymi sprawami objawiło się u mnie w sposób naturalny, ponieważ mieliśmy w naszej rodzinie przypadek morderstwa w niewyjaśnionych okolicznościach, który fascynował mnie, jak daleko sięgałam pamięcią.

Spojrzałam na wycinek. Viv Delaney, dziewczyna ze zdjęcia, była siostrą mojej mamy. Pracowała w motelu Sun Down jako recepcjonistka. W osiemdziesiątym drugim roku zaginęła na nocnej zmianie i nigdy się nie odnalazła.

Wielka, ziejąca dziura w historii naszej rodziny. Coś, o czym wszyscy wiedzieli, ale nikt o tym nie rozmawiał. Zaginięcie Viv było jak szczerba po wypadnięciu zęba. „Nigdy, przenigdy nie pytaj o to mamy – ostrzegł mnie tata na rok przed swoim odejściem na dobre. – Bo to ją zasmuca i denerwuje”. Nawet mój brat, wieczny wrzód na tyłku, był wyczulony na ten temat. „Siostra mamy została zabita – mówił. – Ktoś ją porwał i zamordował, ktoś taki jak ten gość z hakiem, wiesz, z filmu. Weź, normalnie dostaję gęziej skórki. Nic dziwnego, że mama nie chce o tym gadać”.

Ciocia Viv zaginęła przed trzydziestoma pięcioma laty. Dziadkowie – rodzice Viv i mamy – nie żyli już od pewnego czasu. W domu nie było żadnych zdjęć Viv, żadnej pamiątki po niej. Rok przed śmiercią mamy, kiedy wróciłam do domu na wakacje, natknęłam się na artykuł w sieci i dopiero wtedy po raz pierwszy zobaczyłam twarz Viv w gazecie. Pomyślałam, że może minęło już wystarczająco dużo czasu i nie zaszkodzi, jeśli wydrukuję wycinek i pokażę go mamie. Poszłam na dół. „Spójrz, co znalazłam” – powiedziałam.

Mama siedziała na kanapie w salonie i oglądała telewizję. Wzięła ode mnie kartkę, przeczytała artykuł i utkwiała spojrzenie w fotografii. Wpatrywała się w nią naprawdę długo.

Potem podniosła wzrok i wbiła go we mnie z miną, której nigdy wcześniej i nigdy później u niej nie widziałam. Co wyrażała? Chyba ból. Zmęczenie. I bliżej nieokreślony dawny, przegniły, pusty w środku strach. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że ma raka i stracę ją w niespełna rok. Czy sama wiedziała, tylko postanowiła mi nie mówić? Możliwe, ale nie sądzę. Ten jej wyraz twarzy, ten strach – dotyczyły Vivian.

– Vivian nie żyje – powiedziała beznamiętnym tonem. Odłożyła kartkę, wstała i wyszła.

Nigdy więcej o to nie pytałam.

Wściekłość poczułam dopiero po śmierci mamy. Nie na nią, rzecz jasna – przecież kiedy Viv zaginęła, była nastolatką i niewiele mogła zrobić. Ale gdzie byli inni? Policja. Mieszkańcy Fell. Rodzice Viv, a moi dziadkowie. Dlaczego nie zarządzono poszukiwań w całym stanie? Dlaczego pozwolono, by Viv utonęła w przeszłości, nie pozostawiając nawet zmarszczki na powierzchni teraźniejszości?

Pierwszą osobą, której zadałam te pytania, był Graham, starszy trochę ode mnie, więc na pewno pamiętał więcej niż ja.

– Dziadkowie byli już wtedy po rozwodzie – powiedział. – Kiedy Viv zniknęła, babcia była matką samotnie wychowującą dzieci.

– I co z tego? To znaczy, że nie przejmowała się losem własnej córki? A dziadek?

Graham wzruszył ramionami.

– Babcia nie miała pieniędzy. Mama opowiadała, że wiecznie się kłóciły z Viv. W ogóle nie umiały się dogadać.

Patrzyłam na niego zdumiona. Siedzieliśmy w wynajmowanym mieszkaniu mamy pośród pudeł z jej rzeczami. Zamówiliśmy coś do jedzenia i postanowiliśmy chwilę odpocząć od pakowania.

– Mama ci to powiedziała? Mnie nigdy o tym nie mówiła.

Mój brat ponownie wzruszył ramionami. Oparł się o pudło i zaczął się bawić telefonem.

– W tamtych czasach nie mieli internetu ani, wiesz, profilowania DNA. Jak chciałaś odszukać kogoś, kto zaginął, wsiadałaś w samochód i jeździłaś dotąd, aż się znalazł. Babcia nie mogła tak po prostu wziąć wolnego w pracy i przyjechać do Fell. A dziadek zdążył drugi raz się ożenić i nie sądzę, żeby bardzo się przejmował losem byłej rodziny.

To prawda. Mama nie była w dobrych stosunkach ze swoim ojcem, który zostawił żonę i dzieci na lodzie. Nawet nie wybrała się na jego pogrzeb.

– No dobrze, a policja?

Graham na chwilę oderwał wzrok od ekranu i zamyślił się.

– Viv miała dwadzieścia lat i była samodzielna – stwierdził w końcu. – Pewnie uznali, że gdzie wyjechała. – Spojrzał na mnie. – Naprawdę cię to wciągnęło.

– No. Nawet nie odnaleziono ciała. Nie żyjemy już w tamtych czasach, dziś mamy internet i profilowanie DNA. Może dałoby się coś zrobić.

– Chcesz powiedzieć, że ty mogłabyś coś zrobić.

Tak, ja – bo kto inny? Teraz, gdy mama już nie żyła, mogłam zacząć zadawać pytania bez obaw, że zranię jej uczucia. Mama zabrała pamięć o Viv do grobu, odcinając mnie od wspomnień o swojej siostrze. Miałam jej to za złe, a mój gniew był przesycony bezsilnością. Terapeuci i terapeutki, do

których chodziłam, zgodnie twierdzili, że muszę go przepracować. Zdecydowałam, że najlepszym sposobem na zrobienie tego – na poradzenie sobie ze wściekłością na innych i z oburzeniem faktem, że wszyscy przeszli do porządku dziennego nad przypuszczalnym uprowadzeniem i zamordowaniem mojej cioci – będzie przyjazd do Fell. Postanowiłam, że rozejrzę się za odpowiedziami na nurtujące mnie pytania.

Przeszłam do kolejnego zeskanowanego artykułu. Ten był opatrzony nagłówkiem: „NADAL TRWAJĄ POSZUKIWANIA ZAGINIONEJ DZIEWCZYNY”. Autor podał pobieżne informacje: Viv miała dwadzieścia lat, mieszkała w Fell od trzech miesięcy, pracowała w motelu Sun Down na nocną zmianę. W dniu zaginięcia przyjechała normalnie do pracy i w środku nocy zniknęła bez śladu. Na miejscu znaleziono jej samochód, torebkę i rzeczy osobiste. Jenny Summers, współlokatorka, powiedziała, że Viv była „bardzo miła” i że „łatwo było się z nią dogadać”. Ktoś inny – niestety, nie podano nazwiska – określił ją jako „ładną i pełną życia”. Najprawdopodobniej nie miała chłopaka. Nie brała narkotyków, nie piła alkoholu, nie prostytuowała się. Jej matka – czyli moja babcia – „umierała z niepokoju”, jak to ujął dziennikarz.

Była piękną dziewczyną, która przepadła.

Bez auta. Bez pieniędzy.

„Vivian nie żyje”.

Sprawa Viv nie trafiła do mediów ogólnokrajowych ani nawet do stanowych. Miejscowe gazety nie doczekały się digitalizacji i były dostępne jedynie w postaci papierowej w archiwum biblioteki w Fell. Kiedy zaczęłam grzebać w internecie, natrafiłam jedynie na blogi amatorów prawdziwych zbrodni i wątki na Reddicie, zawierające snute przez kanapowych detektywów rozważania. Żadne nie dotyczyły bezpośrednio Vivian, ale wiele traktowało o Fell. Ponieważ w Fell, jak się okazało, popełniono więcej niż jedno niewyjaśnione morderstwo. Im więcej czytałam, tym bardziej miasto jawiło się jako raj dla maniaków prawdziwych zbrodni.

Drugi artykuł był w rzeczach należących do mamy – natrafiłam na niego, kiedy po jej śmierci zabrałam się do przeglądania zawartości mebli; leżał w kopercie schowanej na samym dnie szuflady w komodzie. Koperta była biała – jeszcze pachniała nowością – i opatrzona napisanym przez mamę odręcznie adresem: „27 Greville Street, lokal C”.

Czy mieszkała tam Viv? Wycinek ze starej gazety niemal rozpadał się w rękach, dlatego zeskanowałam go i dorzuciłam do pliku z pierwszym.

„Vivian nie żyje”.

Mama nie życzyła sobie, aby ktokolwiek przypominał jej o siostrze, nie chciała o niej rozmawiać, a mimo to przechowywała ten artykuł przez trzydzieści pięć lat. Niedawno przełożyła go do nowej koperty i przepisała adres, co oznaczało, że musiała go przynajmniej na chwilę wyjąć i kto wie, może nawet ponownie przeczytać.

Viv istniała naprawdę. Nie była fikcyjną bohaterką opowieści z dreszczykiem ani historii o duchach. Istniała naprawdę, była siostrą mojej mamy, i patrząc na tę białą, niedawno wymienioną kopertę, czułam, że Viv liczyła się dla mamy znacznie bardziej, niż kiedykolwiek będę miała szansę pojąć; ta wiedza była dla mnie stracona.

To było wszystko, czym na początku dysponowałam: dwa artykuły z gazet i pamiątka bólu po stracie. Od tamtej pory weszłam w posiadanie pewnej sumy pieniędzy i obrałam jasny kierunek podróży: z Illinois do Fell w stanie Nowy Jork. Znałam przypuszczalny adres zamieszkania Viv oraz lokalizację motelu Sun Down. Nie miałam chłopaka, a studia przestały mnie pociągać. Wzięłam samochód i trochę rzeczy, dosłownie tyle, ile zmieściło się na tylnym siedzeniu auta. Miałam dwadzieścia lat i nawet jeszcze nie zaczęłam żyć. Tak jak Viv.

Odpuściłam zajęcia – nic wielkiego; Graham naprawdę przesadzał – wsiadłam do auta, wyruszyłam w trasę i dotarłam do celu. Rozejrzę się, poszperam w bibliotece, zobaczę na własne oczy motel Sun Down, bo z informacji, które znalazłam w internecie, wynikało, że nadal działał. Rozpytam, może ktoś z tutejszych znał Viv, zapamiętał ją i będzie mógł mi coś powiedzieć. Może dzięki temu ciocia stanie się dla mnie czymś więcej niż płowiejącym wycinkiem z gazety ukrytym na dnie matczynej szuflady. Jej zniknięcie było wielką tajemnicą mojej rodziny – chciałam poznać miejsce, w którym to się stało, za cenę raptem kilku dni nieobecności na uczelni.

„Nie daj się zabić”. Starszy braciszek próbował mnie nastraszyć. Niedoczekanie. Nie byłam lękliwa.

Zamknęłam laptopa i spróbowałam wyrzucić z głowy obraz krzywdzonej dziewczyny ze zdjęcia. Ktoś ją uprowadził, wywiózł nie wiadomo dokąd, zrobił jej... coś, zabił ją. Pozostawił jej ciało w jakimś odludnym miejscu. Być

może nadal tam leżała. Może zostały z niej tylko kości. Może ten, kto ją tak urządził, też już nie żyje. Może siedzi w więzieniu. A może nie.

„Vivian nie żyje”.

To nie w porządku, Vivian nie powinna zostać zapomniana, sprowadzona do kilku akapitów w gazecie. To nie w porządku, że mama umarła i zabrała ze sobą wspomnienia i ból. To nie w porządku, że oprócz mnie nikt nie przejmował się losem Viv.

Byłam w Fell. Czułam się tu obco. Nie miałam pojęcia, co właściwie robię. Mimo to czuwałam, czekając na słońce – i nowy dzień.

Fell w stanie Nowy Jork Sierpień 1982 roku

VIV

Trafiła tu przypadkiem. Zmuszony pojechać okreśną drogą autobus zawiózł ją do Pensylwanii, a stamtąd postanowiła złapać okazję, żeby trochę zaoszczędzić. Z pierwszym kierowcą pokonała zaledwie krótki odcinek do Binghamton. Drugi powiedział, że celem jego podróży jest Nowy Jork, ale po godzinie Viv zorientowała się, że zmierzają w niewłaściwą stronę.

– Nie jedziemy do Nowego Jorku, tylko na północ – zauważyła.

– Mogłaś wyrazić się jasno – odparł. Był po czterdziestce. Gładko ogolony. Bładożółta koszula i spodnie od garnituru. Okulary bez oprawki. – Spytałaś o Nowy Jork, to pomyślałem, że chodzi ci o stan.

Była pewna, że wyraziła się jasno. Spojrzała za okno, na zachodzące słońce, zadała sobie w myślach pytanie, dokąd wiezie ją ten mężczyzna, i poczuła narastającą panikę. Uznała, że najlepiej załatwić to grzecznie i uprzejmie.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Może mnie pan tu wysadzić.

– Nie wygłupiaj się. Zabiorę cię do Rochester. Wstąpimy do jakiejś knajpki, przynajmniej coś zjesz. Potem złapiesz autobus.

Viv uśmiechnęła się tak, jakby mężczyzna wyświadczał jej przysługę przez to, że oddalał ją od miejsca, w którym pragnęła się znaleźć.

– Och, nie trzeba, naprawdę.

– Żaden kłopot.

Jechali dwupasmówką. W pewnej chwili Viv zobaczyła tablicę informującą o pobliskim motelu.

– I tak muszę się gdzieś zatrzymać na noc. Prześpię się tutaj.

– W tej dziurze? Wygląda podejrzanie.

– Wcale nie. – Nie odzywał się. – Nie chciałabym się narzucać – dodała.

Mężczyzna zatrzymał samochód. Viv zaschło w gardle i zrobiło jej się niedobrze. Nie potrafiła wyjaśnić, czego właściwie się bała i dlaczego tak bardzo jej ulżyło, kiedy nieznajomy spełnił prośbę. „A niby jak miał się zachować?” – zbeształa się w myślach. Był zapewne zwykłym, życzliwym człowiekiem. „Przesadzasz z ostrożnością. To dlatego, że podróżujesz sama”.

Otworzyła drzwi, postawiła jedną nogę na wysypanym żwirze poboczu i dopiero wtedy obróciła się, żeby zabrać plecak z tylnego siedzenia. Przez cały czas, kiedy była odwrócona plecami do mężczyzny, wstrzymywała oddech.

Gdy w końcu wyszarpnęła plecak, który zaklinował się za fotelem, nagle poczuła coś ciepłego na udzie. Spojrzała i zobaczyła dłoń mężczyzny.

– Nie musisz – powiedział.

Viv miała pustkę w głowie, nie wiedziała, jak zareagować. Wymamrotała coś, odsunęła nogę, wysiadła z auta i zatrzasnęła drzwi.

– Dziękuję – zdołała wybąkać, kiedy mężczyzna już odjechał i nie mógł jej usłyszeć. Oraz: – Przepraszam.

Nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała. Wiedziała tylko tyle, że znalazła się na pustej drodze przed pustym motelem, a serce w jej piersi waliło tak mocno, jakby usiłowało wyrwać się z klatki.

W Grisham w Illinois Viv była trudną córką. Od rozwodu rodziców, którzy rozeszli się pięć lat wcześniej, stale postępowała niewłaściwie. Podczas gdy jej posłuszna młodsza siostra stosowała się do poleceń, Viv robiła wszystko, czego nie powinna: opuszczała lekcje, późno chodziła spać, okłamywała matkę, ściągала na klasówkach. Nie miała pojęcia, dlaczego zachowywała się tak, a nie inaczej. Kierował nią jakiś dziwny impuls; czasami miała wrażenie, jakby tkwiła w obcym ciele, nękanym na zmianę gniewem i wyczerpaniem.

Ale robiła to, robiła wszystkie te rzeczy, które czyniły z niej złą córkę i doprowadzały matkę do szewskiej pasji albo budziły w niej wstyd za Viv. Którejś nocy, gdy wróciła do domu prawie o drugiej, spanikowana matka o mało jej nie spoliczkowała. „Myślisz, że jesteś taka cwana?! – nawrzeszczała na nią. – Co zrobisz, kiedy znajdziesz się w prawdziwej opresji?”

Teraz, gdzieś na pustej drodze daleko od domu, wpatrując się w znikające w oddali tylne światła samochodu, Viv przypomniała sobie słowa matki. „Co zrobisz, kiedy znajdziesz się w prawdziwej opresji?”

Po sierpniowym niebie rozlewała się czerwień zachodzącego słońca, jego jaskrawy blask szczytał w oczy. Viv miała na sobie turkusową koszulkę, dzinsy ze srebrno-białym paskiem i sportowe buty. Zrzuciła plecak na ramię i spojrzała na niebiesko-żółty znak motelu: słowa „SUN DOWN” złożone typowym dla lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych krojem pisma, a pod spodem zapalany pewnie tylko na noc neon: „WOLNE POKOJE. KABLÓWKA!”.

Motel kształtem przypominał literę L, usytuowano go na działce w taki sposób, że krótszy bok znajdował się równolegle do drogi. Budynek był piętrowy, z wejściami do pokoi bezpośrednio z zewnątrz, a na górną, zadaszoną galerię prowadziły schody umiejscowione po wewnętrznej stronie zgięcia elki. Ciemnobrązowe i brudnokremowe wykończenie nadawało mu całkowicie nijaki wygląd. Podróżny mijał takie przybytki, nie zwracając na nie uwagi, chyba że rozpaczliwie potrzebował noclegu. Na parkingu był tylko jeden samochód, ktoś postawił go prawie pod samymi drzwiami, nad którymi wisiał neon „RECEPCJA”.

Viv wytarła czoło. Roztrzęsienie powoli mijało i teraz czuła się już tylko zmęczona. Bolały ją plecy i ramiona. Koszulka pod pachami była mokra od potu.

Zostało jej w kieszeni raptem dwadzieścia dolarów. Miała konto w banku, na którym trzymała pieniądze zaoszczędzone dzięki pracy w knajpce dla zmotoryzowanych, gdzie obsługiwała stanowisko z popcornem, oraz jednorazowej przygodzie z pozowaniem do zdjęć w katalogu; przez całe popołudnie wdzięczyła się do aparatu ubrana w sprane dzinsy z podwyższoną talią i jaskrawofioletową bluzkę z kołnierzykiem – musiała tylko trzymać kciuki w kieszeniach i ładnie się uśmiechać.

Odłożyła łącznie czterysta osiemdziesiąt pięć dolarów, które zamierzała przeznaczyć na Nowy Jork. Ta suma miała umożliwić jej rozpoczęcie nowego życia. Viv planowała, że zacznie wydawać dopiero u celu, ale przeliczyła się... jak bodaj ze wszystkim, co dotyczyło tej wyprawy.

Motel nie wyglądał na drogi. Dwadzieścia dolarów powinno wystarczyć na pokój z łazienką. Jeśli nie, to może udałoby jej się wślizgnąć niepostrzeżenie do któregoś z pokoi. Kto miałby ją zobaczyć? W okolicy nie było żywego ducha.

Podeszła do drzwi i położyła dłoń na zimnej gałce. W koronach rosnących w oddali drzew zaśpiewał jakiś ptak. Szosą nie jechał żaden pojazd. „Jeżeli

facet w recepcji będzie choć trochę przypominał Normana Batesa – powiedziała sobie – odwróć się na pięcie i zwieję”. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

Recepcjonista ani trochę nie przypominał Normana Batesa. Przede wszystkim dlatego, że nie był facetem, tylko facetką: mniej więcej trzydziestoletnią, szczupłą i wysportowaną, z brązowymi włosami związanymi w koński ogon i surowym obliczem. Miała na sobie workowatą szarą bluzę, luźne džinsy i ciężkie brązowe buty, które eksponowała, trzymając nogi na kontuarze. Siedziała na krześle za starym biurkiem i czytała jakieś kolorowe pismo. Podniosła wzrok znad lektury.

– Czym mogę służyć? – spytała, nie opuszczając nóg.

Viv wyprostowała plecy i uraczyła recepcjonistkę promiennym uśmiechem jak z sesji do katalogu.

– Dzień dobry – powiedziała. – Chciałabym wynająć pokój, ale mam tylko dwadzieścia dolarów. Ile kosztuje doba?

– Normalnie trzydzieści – odparła kobieta. Nie odłożyła magazynu, nie zmieniła pozy nawet o milimetr. – Ale jestem właścicielką i przy tak marnym ruchu w interesie nie pogardzę nawet dwudziestką.

Viv wyciągnęła banknot i z poczuciem triumfu położyła go na kontuarze. Czekwała, co dalej.

Kobieta nadal się nie poruszyła. Nie kiwnęła palcem, nie zabrała pieniędzy. Zamiast tego zmierzyła Viv wzrokiem.

– Przejazdem, skarbie?

Bezpieczne pytanie.

– Tak.

– Aha. Nie słyszałam samochodu.

Viv wzruszyła ramionami. Próbowwała zgrywać nierozgarniętą i nieszkodliwą. Większość ludzi dawała się nabrać.

Kobieta w końcu zamknęła czasopismo i położyła je na kolanach.

– Łapałaś stopa na szóstce?

– Szóstce? – powtórzyła zdezorientowana Viv.

– Na drodze międzystanowej numer sześć – wyjaśniła kobieta, ściągając brwi. – Na miejscu twojej matki wygarbowałabym ci skórę. Autostop na tej

trasie to nie jest zabawa dla samotnych dziewcząt.

– Nie łapałam. Kierowca zabrał mnie pod Binghamton i wypuścił tutaj. Jechałam do Nowego Jorku.

– Ale nie dojechałaś, skarbie. Jesteś w Fell. Nowy Jork to nie w tę stronę.

– Wiem. – Czemu ta kobieta nie mogła po prostu dać jej kluczy do pokoju? Viv marzyła o tym, żeby zdjąć ciężki plecak, wziąć prysznic i zjeść coś. To ostatnie będzie trudne bez dwudziestki, którą właśnie wydała na nocleg. Wskazała leżącą na biurku otwartą dużą księgę. – Mam się wpisać? – Nagle przemówiło przez nią wpajane przez lata dobre wychowanie. – Dopłacę pani do trzydziestu, jak jutro dotrę do banku – powiedziała grzeczna dziewczynka z Illinois. – Dziś już wszystko pozamykane.

Kobieta prychnęła. Rzuciła magazyn – „People” z Tomem Selleckiem na okładce – na biurko i w końcu zdjęła nogi z kontuaru.

– Mam lepszy pomysł. Chłopak, który pracował u mnie na nocną zmianę, właśnie zrezygnował. Będziesz mogła zatrzymać dwudziestkę, jeśli zajmiesz się dziś recepcją.

– To znaczy?

– To znaczy, że będziesz tu siedziała i odbierała telefony. Jeśli ktoś zechce się zameldować, przyjmiesz od niego forszę i wydasz mu klucz. Klucze są tutaj. – Otworzyła szufladę po prawej stronie. – Pilnuj, żeby każdy się wpisał do księgi. To wszystko. Ogarniesz?

– Nie ma pani nikogo na zastępstwo?

– Przecież mówiłam, że chłopak zrezygnował, nie? Jestem właścicielką, więc chyba wiem. Albo ty tu przesiedzisz całą noc, albo ja. Wolałabym tego nie robić.

Viv nadęła policzki i wypuściła powietrze. Praca jej nie przerażała; w Illinois Viv często pracowała dorywczo w rozmaitych usługach. Ale perspektywa czuwania do rana niespecjalnie do niej przemawiała.

Z drugiej strony zależało jej na tej dwudziestce – gdyby zatrzymała pieniądze, przynajmniej miałyby za co zjeść.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając czegoś, co mogło się wydać podejrzane, jakiegoś pretekstu do odmowy, ale zobaczyła tylko ściany w mdłym kolorze, biurko, parę półek i częściowo przeszkłone drzwi. Usłyszała stłumiony warkot silnika jakiegoś jadącego szóstką samochodu. Na

dworze powoli zapadał zmrok. Viv wychwyciła woń dymu papierosowego i nie był to zapach czegoś nim przesiąkniętego, choćby ubrań kobiety. Ktoś palił w pobliżu.

Z jakiegoś powodu sprawiło to, że poczuła się trochę lepiej. Bo przynajmniej nie była tu sama, nawet jeśli nie widziała tej palącej osoby.

– Czemu nie – powiedziała. – Mogę wziąć nocną zmianę.

– Świetnie – odrzekła kobieta. Wysunęła szufladę i rzuciła klucz na biurko.
– Jesteś w sto czwórcie. Umyj się, zdrzemnij i widzimy się o dwudziestej trzeciej. Jak się nazywasz?

Znów ten zapach. Jakby ktoś się właśnie zaciągnął i wypuścił dym.

– Vivian Delaney. Viv.

– Jestem Janice. A ten przybytek nazywa się Sun Down. No cóż, Viv. Wygląda na to, że znalazłaś sobie miejscówkę.

– Dziękuję – powiedziała Viv, ale Janice zdążyła już wrócić do przerwanej lektury. Znowu położyła nogi na kontuarze.

Viv zabrała klucz i swoje dwadzieścia dolarów i wyszła na zewnątrz. Spodziewała się, że zobaczy palacza, którego papieros wyczuła na recepcji – może któryś z gości wybrał się na wieczornego dymka? – ale nikogo tam nie było. Pokonała kilkanaście metrów, zatrzymała się na wysypanym żwirze parkingu i obróciła dokoła, powoli rozglądając się po terenie. Wszystkie okna były ciemne, w przygasającym świetle zmierzchu motel wyglądał na opuszczony. Rosnące za budynkiem drzewa cicho szeleściły na wietrze. Z nieoświetlonego skraju parkingu dolatywał odgłos przypominający chrzęst żwiru pod czyimiś butami.

– Halo – zawołała Viv. Oby to nie był mężczyzna, który położył dłoń na jej udzie.

Cisza.

Stała w zapadającym zmroku, słuchając wiatru i własnego oddechu.

Potem poszła do pokoju sto cztery, wzięła gorący prysznic i położyła się na łóżku owinięta ręcznikiem. Wpatrywała się w pusty sufit, czując na ramionach szorstki materiał kołdry. Próbowwała wyłowić dźwięki, którymi zwykle rozbrzmiewają motele: echa kroków, głosy obcych ludzi przechodzących pod drzwiami. Cokolwiek, co by świadczyło o tym, że nie jest tutaj sama. Nic z tego. Sun Down rozbrzmiewał ciszą.

Co to za miejsce? Skoro nikt tu nie nocował, jakim cudem motel jeszcze działał? I po co w ogóle nocna recepcjonistka? Kiedy pracowała w kinie, o dwudziestej drugiej kierownik wysyłał wszystkich do domu, żeby nie płacić im za dodatkowe godziny.

No tak, tutaj też miała nie dostać zapłaty, przynajmniej nie oficjalnie. Co nie zmieniało faktu, że byłoby prościej, gdyby Janice wyłączyła światło, zamknęła interes na klucz i pojechała do domu, zamiast szukać kogoś, kto przez całą noc będzie tylko siedział za biurkiem.

Powoli uchodziło z niej napięcie. Strasznie bolały ją nogi. Nieważne, że była tu sama, przynajmniej nie musiała łapać okazji na tonącej w mroku szosie, zastanawiając się, na kogo trafi tym razem. Przyszło jej do głowy, że może mają tutaj jakiś automat z przekąskami, najlepiej ze snickersami.

Mężczyzna w żółtej koszuli położył dłoń na nodze Viv, jakby miał do niej prawo; jakby poprzez to, że wsiadła do jego samochodu, podjęła się jakiegoś zobowiązania. Zanim uwolniła się od jego dotyku, delikatnie zgiął palce, tak że zsunęły się nieco bardziej po wewnętrznej stronie uda. Znów poczuła szarpnięcie gdzieś w środku. Strach. Nigdy wcześniej nie odbierała strachu w taki sposób. Wściekłość – owszem. Od rozwodu rodziców dużo spała, czasem nawet do pierwszej albo drugiej po południu – kolejna rzecz, która doprowadzała matkę do szału.

Strach, który poczuła tego dnia, uderzył nagle i dotarł głęboko, był jak paraliżujący cios. Po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, jak bardzo jest zniszczalna. Wszystko mogło się skończyć w mgnieniu oka. Vivian Delaney mogła zniknąć. Po prostu przestałyby istnieć i już.

„Boję się” – pomyślała.

A potem: „To chyba odpowiednie miejsce”.

Zasnęła, zanim cokolwiek więcej zdążyło przyjść jej do głowy.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Greville Street była niedługą – przecinały ją zaledwie trzy przecznice – ślepą ulicą o niskiej zabudowie mieszkaniowej, kończącą się pogiętym ogrodzeniem z siatki. Budynki wyglądały, jakby ktoś wziął komplet klocków i poustawiał je krzywo jeden na drugim; pudełkowy styl spod znaku betonu i winylowego sidingu, który wyszedł z mody gdzieś na początku lat siedemdziesiątych. Toczyłam się, mijając szerokie, ale krótkie podjazdy przed domami. Szukałam numeru dwadzieścia siedem.

Zaparkowałam obok ciemnoszarego volvo z zaokrąglonym tyłem i łysymi oponami. Poczułam się trochę jak podróżnik w czasie. Przyjechałam tutaj, żeby na własne oczy zobaczyć, gdzie mieszkała ciocia, i być może odrobinę lepiej zrozumieć jej życie, ale nie spodziewałam się, że trafię na ulicę, która będzie wyglądała jak żywcem przeniesiona z osiemdziesiątego drugiego. Jeżeli adres był poprawny, oznaczało to, że Viv stała dokładnie tu, gdzie ja teraz, i miała przed oczami niemal identyczny widok.

W pobliżu nie było żywego ducha, jeśli nie liczyć dwójki roześmianych dzieciaków jeżdżących na rowerach i brzęczących dzwonekami zamontowanymi na kierownicach. Zbliżyłam się do drzwi wejściowych do domu pod numerem dwadzieścia siedem, zobaczyłam, że są otwarte, i weszłam do środka.

Znalazłam się w krótkim, zakończonym schodami korytarzu, w którym wisały skrzynki pocztowe lokatorów. Na skrzynce lokalu C widniało nazwisko „ATKINS H.”. Zajrzałam ostrożnie na klatkę i zerknęłam do góry, mając nadzieję, że nikt nie odczyta błędnie moich intencji. W tej samej chwili na górnych stopniach pojawiła się dziewczyna.

Była mniej więcej w moim wieku. Miała drobną, ale mocną budowę ciała i proste, sięgające do brody, ciemne blond włosy; grzywkę odgarnęła z czoła i przypięła ją pojedynczą wsuwką prawie na czubku głowy. Patrzyła na mnie jasnymi, inteligentnymi oczami osadzonymi w pełnej wyrazu twarzy. Była

ubrana w obszerne dzianinowe poncho, narzucony na ramiona wielki kwadrat z otworem na głowę.

– W sprawie ogłoszenia? – spytała.

– E...

– Przyjdzie tylko jedna osoba – zaznaczyła. – Współlokatorka z lokalu C.

O, proszę!

– Z lokalu C?

– Tak. Zapraszam na górę.

Nawet nie pomyślałam, żeby zawrócić.

Weszłam za dziewczyną w poncho na piętro i podążyłam za nią do mieszkania, które okazało się zaskakująco duże: miało kuchnię z wyłożoną linoleum podłogą, wspólny salon i dwie osobne sypialnie.

– Mam na imię Heather – powiedziała dziewczyna w poncho, zamykając za mną drzwi. Wyciągnęła rękę spod wełnianych fałd. Jej dłoń była smukła i porcelanowo biała; kiedy ją uścisnęłam, przeszedł mnie lekki dreszcz.

– Carly.

– Oprowadzę cię.

Zanim się obejrzałam, minęło dziesięć minut i byłam bogatsza o wiedzę na temat każdego z pomieszczeń. Wiedziałam, że z gorącą wodą bywa różnie, nie zawsze można liczyć na stabilny internet, a miesięczny czynsz wynosi dwieście dolarów. Wiedziałam również, że zachowuję się nie w porządku, podszuwając się pod kogoś, kim nie jestem.

– Dwieście to niewiele – zauważyłam.

Heather zaczęła pocierać dłonią po karku. Miała lekko sino podkrążone oczy, jakby była bardzo zmęczona, ale mimo to emanowała niezwykłą, fascynującą witalnością.

– No dobrze, nie będę ściemniała – wyrzuciła z siebie. – Tak naprawdę nie potrzebuję tych pieniędzy. Mój tata i tak płaci za mieszkanie, dopóki studiuje w KEK-u.

– Gdzie, przepraszam?

– Tutejszym koledżu – wyjaśniła. – Tak, wiem, że to nietypowe. Miejscowa dziewczyna uczy się w miejscowej szkole i w dodatku mieszka na miejscu, w wynajętym lokum, za które płacą jej rodzice. Nieźle, co? – Przekrzywiła

brodę, jakby oczekiwała ode mnie, że odpowiem, ale nie dała mi szansy. – Moi dawcy życia stwierdzili, że powinnam się przekonać, jak to jest, kiedy człowiek sam musi się nakarmić, opruć, ogarnąć i w ogóle. Nawet mi się podoba takie życie. Poważnie. Ale wiesz, przez większość czasu jestem sama, nie mam z kim rozmawiać, a to mieszkanie wydaje odgłosy. Jestem nocnym markiem i nie śpiam w tych samych godzinach co większość ludzi. Tak sobie myślę, że zamieściłam ogłoszenie chyba tylko po to, żeby znaleźć kogoś do towarzystwa. Naprawdę nie chodzi o pieniądze, serio.

– W porządku – odparłam, bo wydawała się miła. – Nigdy nie słyszałam o koledżu w Fell.

– Nikt nie słyszał – stwierdziła, wzruszając chudymi ramionami pod grubym poncho. – Bo to mało znana uczelnia, do której chodzą właściwie tylko miejscowi. Taka namiastka, rozumiesz. Dzięki temu czujemy się, jakbyśmy studiowali w prawdziwym koledżu, ale nie musimy stąd wyjeżdżać.

– Myślałam, że w koledżu chodzi właśnie o to, żeby wyjechać...

– W koledżu chodzi o to, żeby do niego chodzić – oznajmiła z rozbijającą logiką. – Nie powiem, żebym nie była zaskoczona, że nie jesteś jedną z nas. Wzięłam cię za studentkę.

Spojrzałam po sobie: znoszone dzinsy, stare sznurowane buty za kostki, czarna koszulka z napisem „KSIAŻKI TO MOJE ŻYCIE” pod rozciągniętą bluzą z kapturem, torba na ramię. Do tego okulary w ciemnych oprawkach i koński ogon. Stereotypowy wygląd.

– Jestem nią, ale nie uczę się w KEK-u, tylko... – Rozejrzałam się i odchrząknęłam. – Okej, też będę z tobą szczerą. Nie przyszłam na oglądanie mieszkania. Pomyliłaś mnie z kimś.

Heather otworzyła szerzej oczy.

– W takim razie co cię tu sprowadza?

– E... słabość do ponurej sowieckiej architektury?

Klasnęła w dłonie. Jej poncho zafalowało, a oczy zaślniły.

– Podobasz mi się! Ale serio. Chcę wszystko wiedzieć. Ze szczegółami. – Zacisnęła powieki i otworzyła je po chwili. – Przywiało cię tu, bo nie możesz przestać myśleć o byłym chłopaku. W B mieszkał całkiem niezły facet, ale wyprowadził się w zeszłym tygodniu.

– Nie, zupełnie nie o to chodzi.

– Do licha! No dobrze. Jesteś studentką archeologii, w trakcie wykopalisk odnalazłaś mapę, która przywiodła cię w to miejsce, i jesteś ciekawa dlaczego.

Spojrzałam na nią zaintrygowana.

– Ciepło, prawie gorąco. Tyle że moje motywy są... dziwniejsze.

– Ja żyję tym, co dziwne – oznajmiła Heather. Wpatrywałam się w nią i wiedziałam, że mówi absolutnie poważnie. W Illinois nie znałam nikogo, kto interesowałby się takimi sprawami.

– Wydaje mi się, że w tym lokalu mieszkała moja ciocia – powiedziałam. – Zaginęła w osiemdziesiątym drugim. Moja mama nigdy mi o niej nie opowiadała, a potem zmarła. Postanowiłam chwilowo odpuścić uczelnię i przyjechać tutaj, żeby się dowiedzieć, co się właściwie wydarzyło. – Nie zabrzmiało to głupio. Tu, w tym mieszkaniu, w rozmowie z tą dziewczyną, nie zabrzmiało to ani trochę głupio.

Heather nawet nie mrugnęła.

– Hm... osiemdziesiąty drugi. – Zamyśliła się. – Jak się nazywała?

– Viv Delaney.

Pokręciła głową.

– Nic mi to nie mówi. Bo wiesz, było ich naprawdę wiele.

– Kogo było wiele?

– Martwych kobiet. Całe mnóstwo. Ale mówisz, że nie umarła, tylko zaginęła?

– Chyba tak.

– I mieszkała tutaj, w C? – Heather rozejrzała się po pokoju, jakby próbowała ją sobie wyobrazić; zrobiłam to samo.

– Tak mi się wydaje.

– Znalazłaś wykaz lokatorów?

– A miałabym do niego dostęp?

– Właściciel jest znajomym mojego taty. Mogłabym go zapytać, czy zachowały się jakieś książki, umowy, kwity, cokolwiek z osiemdziesiątego drugiego. W archiwum Biblioteki Głównej też mogą coś mieć. Tutaj jeszcze nic nie zostało zdigitalizowane. Jakbyśmy utknęli w jakimś zakrzywieniu czasoprzestrzeni.

– Szukam osób, które mogły znać moją ciocię – powiedziałam. – Wiem, jak się nazywała jej współlokatorka. Wyguglowałam ją i wychodzi na to, że nadal mieszka w Fell. Chciałabym ją odnaleźć i porozmawiać z nią. Ciocia pracowała w motelu Sun Down. Pomyślałam, że może ktoś ją tam zapamiętał.

Heather pokiwała głową, jakby nic z tego, o czym mówiłam, nie wydawało jej się ani trochę osobliwe.

– Mogę ci pomóc. Mieszkam w Fell od urodzenia i tak się składa, że prawdziwe zbrodnie to tak jakby moje hobby.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Moje też.

Uśmiechnęła się, wprawdzie lekko krzywo, ale i tak się ucieszyłam.

– No, to jedno mamy załatwione, nie sądzisz?

– Ale... co?

– Powinnaś się wprowadzić – oznajmiła. – Los tak zdecydował. Zamieszkać ze mną, na jak długo zechcesz, a ja pomogę ci odszukać ciocię.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Heather, jak się okazało, nie przesadzała, mówiąc, że wie dużo na temat Fell.

– Mój tata to taki gamoń – stwierdziła bez lukrowania. – Ideałem urlopu jest dla niego łożenie po skansenach. Ma fioła na punkcie historii, więc trudno się dziwić, że dorastałam w oparach wiedzy o dziejach tego miejsca. Zdaje się, że gamoniotwo mamy w genach.

Wróciłam do hotelu, zabrałam swoje rzeczy i umieściłam je w drugiej sypialni. Zamówiliśmy pizzę i zaczęliśmy rozmawiać. Na dworze już powoli ciemniało, mimo że było dopiero popołudnie. Siedziałam na kanapie, a Heather leżała na plecach na podłodze, wciąż owinięta tym swoim poncho. Powiedziała, że dwa lata temu miała wypadek na rowerze i od tamtej pory nie ma dnia, żeby nie bolały jej plecy.

– Jeden z kręgów naciska na sąsiada piętro niżej – brzmiało jej wyjaśnienie. – Podobno powinnam przejść operację, ale nie dam rady, jestem totalnie przewrażliwiona. – Widziałam baterię leków na receptę w szafce w łazience, kiedy zostawiałam swoje rzeczy, dlatego nie drążyłam tematu.

– Nie, no wiesz, mowa o osiemdziesiątym drugim – przypomniałam. Wrzuciłam skórkę do pudełka po pizzy. – Niepotrzebna mi wiedza o starych fortach i działach.

– Cha, cha – odezwała się Heather z podłogi. Leżała z nogami zgiętymi w kolanach, stopy płasko na dywanie, dłonie na brzuchu, wzrok utkwiony w suficie. – W Fell nie ma żadnych fortów ani dział. To dziwne miejsce. Lekko makabryczne, jak ja.

– Czytałam trochę w sieci i wiem, że doszło tu do kilku niewyjaśnionych morderstw...

– Wielu niewyjaśnionych morderstw. I do mnóstwa wyjaśnionych. Nie znam dokładnych statystyk, ale przy naszej skromnej populacji i w

przeliczeniu na jednego mieszkańca nie zdziwiłabym się, gdybyśmy byli amerykańską stolicą zbrodni. Albo przynajmniej stanu Nowy Jork. – Uniosła dłoń, a ja umieściłam w niej kawałek pizzy. – Trudno to wyjaśnić. Fell jest dziwne i tyle. Opowiedz mi o swojej cioci.

Podzieliłam się z nią tym, co wiedziałam o Viv i jej zniknięciu w środku nocy w Sun Down. Pokazałam jej oba wycinki, którymi dysponowałam.

– Hm – zamruczała. – Nie miała chłopaka, nie brała narkotyków. „Ładna i pełna życia”. Pff. Jeżeli jej współlokatorka nadal mieszka w Fell, znajdziemy ją w książce telefonicznej. – Oddała mi artykuły i znów wbiła spojrzenie w sufit. – Zniknęła podczas nocnej zmiany. Niesamowite, jak wielu ludzi przepada właśnie w taki sposób: jakby wyparowało. Zostawiają za sobą otwarte drzwi, jedzenie na talerzu, buty pod szafką. Trudno w to uwierzyć, ale tak się dzieje.

– Wiem – powiedziałam. – Sądzisz, że policja pozwoli mi zajrzeć do archiwum z aktami?

– Nie mam pojęcia, ale myślę, że w przypadku sprawy sprzed tylu lat wszystko jest możliwe. Co prawda, kilku internetowych detektywów daremnie próbowało uzyskać wgląd w akta przechowywane przez policję w Fell, ale twój przypadek to co innego. Jesteś spokrewniona z jedną z ofiar.

– Zamierzasz zostać policjantką? – spytałam, zamykając plik z wycinkami.

– No co ty. – Roześmiała się. – Mam za słabe nerwy. Nie, studiuję literaturę średniowieczną. To coś bardziej w moim stylu.

– Uczą takich rzeczy w koledżu w Fell? – zdziwiłam się.

– Takich rzeczy i właściwie nic innego. Pełna nazwa uczelni brzmi Koledż Edukacji Klasycznej w Fell. Rozumiesz, stąd KEK. Literatura grecka, łacina, klasyczne malarstwo i rzeźba, literatura rosyjska, te klimaty. To mała, prywatna szkoła, którą sto lat temu założył najbogatszy człowiek w mieście, bo chciał połechtać własną próżność. Mamy zaledwie trzystu studentów. W życiu nie byłam na zajęciach, w których uczestniczyłoby więcej niż dziesięć osób naraz.

– Będziesz się starała o dyplom?

– Zechciej mi powiedzieć, moja droga – odparła rozbawiona Heather – co można zrobić z dyplomem z literatury średniowiecznej? Przydatność wykładanych tu przedmiotów z pewnością nie jest mocną stroną KEK-u. Powinnaś się zapisać. Mnie się tam podoba.

– Uczylałam się w szkole handlowej.

– Carly – zareagowała pełnym zgorznięcia tonem, jakbym oznajmiła, że chodzę na kurs dla przyszłych gwiazd porno. – Szkoła handlowa? Kto to słyszał? Przecież widzę, że czułabyś się w KEK-u jak ryba w wodzie. Jesteś dziewczyną z Fell.

Wręczyłam jej kolejną porcję pizzy. W tym ukrytym pod ponchem drobnym cielem mogło się zmieścić naprawdę sporo jedzenia.

– Wróćmy lepiej do historii miasta – zaproponowałam.

– Okej. – Odgryzła kawałek. – Motel Sun Down. Niech się zastanowię. Jakoś w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych miejscowym ubzdurało się, że Fell może się stać atrakcją turystyczną, mimo że nie mamy żadnych jezior, gór ani w ogóle nic, co warto by zobaczyć. Planowano budowę wielkiego parku rozrywki, który miał ściągać tysiące ludzi każdego roku. Dlatego szybko powstała usługówka: Sun Down i kilka innych moteli, oprócz tego restauracje i lodziarnie. Po tym, jak pomysł parku ostatecznie nie wypalił, zamknięto większość tamtych starych lokali, ale Sun Down działa do dziś.

– Nie wypadł z interesu?

– To szemrane miejsce – przyznała. – Nie wiem, może utrzymuje się z tego, że daje schronienie dilerom narkotyków i innym takim. Dzieciaki z liceum lubiły jeździć tam na weekendowe popijawy, ale moi rodzice są pruderyjni i nigdy mi nie pozwalali.

Przysunęłam laptopa, którego wcześniej odłożyłam na kanapę, i podniosłam pokrywę.

– Podobno jest nawiedzony – dodała Heather.

– Serio? – zdziwiłam się.

– No. Od kiedy Kubrick nakręcił Lśnienie, każdy hotel jest mniej lub bardziej nawiedzony. Założę się, że Sun Down widział niejednego trupa.

Otworzyłam mapę Google, na której zaznaczyłam sobie pinezką motel Sun Down. Wybudowano go w latach siedemdziesiątych, a więc w osiemdziesiątym drugim był jeszcze stosunkowo nowy. Czy już wtedy uchodził za podejrzany przybytek? Czy był nawiedzony?

Pomijając durne historyjki Grahama i horrory, które od czasu do czasu zdarzało mi się oglądać, nigdy tak naprawdę nie poświęcałam uwagi duchom, nie zastanawiałam się, czy istnieją. Ale teraz, będąc tutaj, mieszkając w tym

samym miejscu, w którym mieszkała Viv, zanim zniknęła... uznałam, że może powinnam. Pomyślałam o duchach i o tym, co by było, gdyby się okazało, że Viv żyje gdzieś w tych ścianach albo zagląda przez okno, obserwuje nas. Gdyby ktoś ją zabił, to czy by tutaj wróciła? Do Fell – a może gdzie indziej? Gdyby każda osoba, która ginęła, w końcu wracała, to czy świat nie byłby pełen duchów?

Podrapałam się po nosie pod okularami i spytałam:

– Heather, bardzo jesteś zmęczona?

Westchnęła.

– W ogóle nie jestem. Przecież mówiłam ci, że cierpię na bezsenność.

– Nie musisz się czegoś pouczyć?

– Już dwa razy przeczytałam podręcznik. Coś trzeba czytać.

Uśmiechnęłam się.

– Skoro nie jesteś zmęczona i nie musisz się uczyć, to może pojechałabyś ze mną do Sun Down?

Wystawiła głowę zza krawędzi starej ławy.

– Serio?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, czy cokolwiek tam znajdę, ale skoro już tu jestem, nie zaszkodzi zajrzeć. Równie dobrze może być teraz.

Oczy jej rozbliły; wiedziałam.

– Z największą przyjemnością.

Zamknęłam laptopa.

– To w drogę.

Fell w stanie Nowy Jork Wrzesień 1982 roku

VIV

Nie to, że chciała zostać w Fell; po prostu tak wyszło. Zgodziła się na kolejną zmianę w Sun Down, a potem na następną. Dzięki pieniądzom zarobionym u Janice znalazła mieszkanie przy Greville Street – z niskim czynszem i współlokatorką o imieniu Jenny, nocną pielęgniarką w miejscowym domu spokojnej starości. Jenny była wiecznie zmęczoną singielką po nieprzyjemnym rozstaniu z ostatnim chłopakiem i nie wykazała najmniejszych oznak wścibskości. Obie przesypiały całe dni i pracowały nocami.

– Nie łapię – powiedziała Jenny któregoś wieczoru. Majstrowała przy pokrętłach żelazka, czekając, aż się rozgrzeje. – Byłaś w drodze do Nowego Jorku, tak? Czemu tam nie pojechałaś?

Viv przeglądała „People”, opierając się o blat kuchenny. Przewróciła stronę.

– To była wersja dla matki. Tak naprawdę wcale nie wybierałam się do Nowego Jorku. Po prostu chciałam się wyrwać z domu.

– Rozumiem. – Jenny miała popielate blond włosy, cieniowane na wzór fryzury Heather Locklear. Polizała opuszkę palca i lekko przytknęła go do stopy żelazka, żeby sprawdzić, czy jest już wystarczająco gorąca. – Ale wiesz, jesteśmy w Fell. Nikt nie chce tu zostawać. Ludzie stąd wyjeżdżają.

– Ty nie wyjechałaś – zauważyła Viv.

– Tylko dlatego, że mam dobrą pracę. Ale wierz mi, prędzej czy później to zrobię. – Powtórzyła test żelazka. Tym razem zasyczało i Jenny prędko zabrała palec. – Poznam bogatego, przystojnego faceta i wyjdę za niego, jak tylko nadarzy się okazja. Kobiety, które działają na rzecz naszego równouprawnienia, mówią, że tak nie można, ale i tak uważam, że to najlepsze wyjście, na jakie dziewczyna może się zdecydować.

– I już? Po prostu wyjdiesz za mąż?

– A czemu nie? – Jenny wzruszyła ramionami, rozłożyła bluzkę na desce i zaczęła prasować.

Viv nie brała pod uwagę małżeństwa. Owszem, spotykała się z chłopakami, całowała się z nimi, a raz nawet zgodziła się, żeby Matthew Reardon wsunął jej dłoń w majtki, ale zdecydowała się na to wyłącznie dlatego, że byli na trzeciej randce i nie chciała zawieść jego oczekiwań. Palce Matthew śmierdziały papierosami i ogólnie nie bardzo jej się podobało. Całe życie Viv w Illinois upływało pod znakiem zaspokajania cudzych wymagań; nigdy nie postępowała tak, jak naprawdę pragnęła.

– Nie chcesz czegoś zrobić ze swoim życiem? Dokonać czegoś szczególnego? – spytała.

– Skoro chciałaś dokonać czegoś szczególnego, mogłaś jednak pojechać do tego Nowego Jorku – odparła Jenny obojętnym tonem.

Być może. Głupotą było sądzić, że w życiu jest nam cokolwiek przeznaczone. Jeszcze większą głupotą – wierzyć, że Fell jest właśnie tym miejscem, w którym pragniemy żyć. Grisham w Illinois należało do rodziny Viv, a Nowy Jork należał do pozostałych ludzi. Fell, na swój tajemniczy, zagadkowy sposób, było po prostu jej.

Kupiła swój pierwszy samochód, używanego chevroleta cavaliera. Podjęła z konta dwieście dolarów, by za niego zapłacić, i wbrew obawom nie poczuła nawet najłżejszego ukłucia paniki.

W centrum Fell znajdowało się kino, dziura w ścianie zwana Royal, gdzie za dolara można było obejrzeć filmy, które wycofywano z dystrybucji w kinach głównego obiegu. Viv chadzała przed pracą na popołudniowe seanse, kiedy sala zwykle niemal świeciła pustkami. Zobaczyła w ten sposób E.T., Oficera i dżentelmena oraz – pewnego pamiętnego wieczoru – Ducha. Kupowała kanapkę w Famous Fell Deli – dwa kroki od kina – czasem wstępowała do Milkshake Palace – dosłownie tuż za rogiem – po shake'a za pięćdziesiąt centów, a potem jadła i piła, siedząc przed ekranem. Matka zawsze ją uczyła, że „porządny dziewczętom nie przystoją krótkie fryzury”, dlatego Viv nie eksperymentowała, podobnie zresztą jak wszystkie jej rówieśniczki w Grisham. Teraz postanowiła to zmienić: jasnobrązowe włosy przycięła do ramion; górę i boki tapirowała i utrwałała lakierem.

Zadzwoiła do matki, wścieklej jak osa, mimo że wbrew zapowiedziom Viv nie trafiła przecież do gniazda grzechu i rozpusty, jakim był Nowy Jork.

– Nie wyślę ci pieniędzy, nie ma mowy – oznajmiła matka. – Bo jeszcze wydasz je na narkotyki. Przekonasz się teraz, co to znaczy być dorosłą. Czemu nie możesz być jak Debby?

Debby, młodsza siostra Viv, „dobra” córka. Osiemnastoletnia Debby pragnęła zostać nauczycielką; chciała mieszkać w Grisham, pracować w Grisham, wyjść za mąż w Grisham i zapewne również umrzeć w Grisham. Niespokojnego ducha Viv postrzegała jako coś z gruntu obcego.

– Biorę nadgodziny w lodziarni, żeby odłożyć na koledż – powiedziała Debby, kiedy matka przekazała jej słuchawkę. – A ty się zachowujesz jak wariatka.

– Możesz sobie być tak doskonała, jak tylko masz ochotę – odparowała Viv. – Tata i tak nie wróci. I nadal ma nas gdzieś.

– Jesteś podła. Zobaczysz, że zadzwoni.

– Zapomnij. Ma nową żonę, która urodzi mu nowe dzieci. Nie zamierzam czekać, aż wszystko znów będzie takie jak dawniej, i ty też nie powinnaś.

Debby coś odpowiedziała, ale Viv już tego nie usłyszała. Odsunęła słuchawkę od ucha i zmusiła się, by odłożyć ją na widełki.

W nocy świat wyglądał inaczej. Nie było po prostu ciemno i cicho, tylko właśnie inaczej. Dźwięki i zapachy różniły się od dziennych. Ciągająca się pod pustym przestworem nieba nic międzystanowej szóstki nabierała upiornej, zielonkawej barwy. Skóra Viv najpierw robiła się chłodna, a potem wilgotna od nieprzyjemnego potu; najpierw ssało ją z głodu, a później mdliło. Po pierwszych kilku nocach nie czuła większego zmęczenia, ale chwilami miała wrażenie, jakby ktoś nasypał jej piasku za powieki; obraz przed oczami tracił ostrość, a skronie pulsowały bólem. Najgorszą porą była trzecia nad ranem, niemal deliryczna część nocy – wtedy Viv była skłonna uwierzyć, że wszystko jest możliwe: duchy, elfy, podróże w czasie, najdziwniejsze zjawiska, które oglądała w Strefie mroku.

Nawet lubiła ten stan.

Nocny lud różnił się od dziennego. O trzeciej w nocy porządni mieszkańcy Fell, kimkolwiek byli, dawno spali. Nie widzieli tego, co oglądała Viv: niewiernych mężów i żon, kierowców ciężarówek nabuzowanych substancjami, które nie pozwalały im zasnąć, kobiet z podbitymi oczami, które o piątej nad ranem wymeldowywały się, by znowu wrócić do brutalnych domowych realiów. Takich ludzi Viv Delaney z przedmieść Illinois nigdy

dotąd nie spotykała. Nigdy wcześniej nie przysłoby jej też do głowy rozmawiać z nimi. Mieli w sobie nerwowość, byli ofiarami twardego zderzenia z rzeczywistością, przedstawiali sobą coś, z czego żyjąca w swoim własnym, wygodnym świecie Viv nie zdawała sobie sprawy. Nie było w tym krzty romantyzmu, a jednak pociągało ją to. Była zafascynowana. Nie chciała odwracać wzroku.

Dopiero wtedy, w środku nocy, Sun Down zdawał się ożywać. Automat ze słodyczami basowo buczał, a stojąca obok niego maszyna do lodu regularnie postukiwała, jakby ktoś nią potrząsał. W pozbawionym wody ogrodzonym basenie – zamkniętym, mimo że trwał jeszcze ostatni miesiąc lata – liście wirowały na wietrze. Rury w ścianach jęczały, a kiedy na telefonie, który Viv miała przed sobą, zapalała się lampka – co oznaczało, że ktoś z gości dzwonił na miasto – robiła to z cichutkim, cichuteńkim kliknięciem, słyszalnym jedynie w doskonałym milczeniu nocy.

Kiedy siedziała za biurkiem, raz na jakiś czas dolatywała do niej woń dymu papierosowego i nigdy nie była to stara nikotynowa stęchlizna, tylko świeży, gryzący zapach. Z początku myślała, że jego źródłem są przewody wentylacyjne. Wzięła składane krzesło i kursowała od kratki do kratki: stawiała na siedzisku, przytykała nos do otworu, zamykała oczy i wachała. Nic.

Którejś nocy spędziła godzinę przy drzwiach: zastygła bez ruchu i, wydymając nozdrza, czekała, aż pojawi się dym. Gdy go w końcu poczuła, zaczęła kręcić się to w prawo, to w lewo, usiłując ustalić, skąd się dobywa. Być może w końcu zdołałaby to zrobić, gdyby nie przerwał jej ostry dźwięk dzwonka.

Podniosła słuchawkę.

– Motel Sun Down. W czym mogę pomóc? – odezwała się zachrypłym od długiego nieużywania głosem.

Cisza. Jedynie czyjś niewyraźny oddech.

Rozłączyła się i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w aparat. To już drugi taki telefon. Nie bardzo wiedziała, co z tym zrobić. Kto dzwoni do motelu w środku nocy, żeby lubieżnie dyszeć w słuchawkę?

Nazajutrz znów stała pod drzwiami i czekała na dym. Gdyby ktoś ją wtedy zapytał, nie umiałaby odpowiedzieć, czego właściwie szuka. Człowieka? Awarii w przewodach? Jakichś zwidów? Sama nie była pewna. Ale dym nie dawał jej spokoju. Z jednej strony był upiorny, z drugiej – przynajmniej czuła

się mniej samotna. Gdyby miała to ubrać w słowa, być może powiedziałaaby, że chce się dowiedzieć, kto dotrzymuje jej towarzystwa.

Tamtej nocy czuwanie zakłócił nie telefon, lecz prawdziwy człowiek, z krwi i kości, niepalący. Kierowca ciężarówki potrzebował pokoju na kilka godzin snu przed dalszą podróżą na południe. Viv przyjęła od niego trzydzieści dolarów i poprosiła, żeby się wpisał do księgi. Po nim zjawił się kolejny mężczyzna, również sam, ubrany w garnitur i trencz, z bagażem w postaci walizki i teczki. Zapłacił trzydzieści dolarów i umieścił swoje nazwisko w rejestrze. Nazywał się Michael Ennis. Zaznaczył, że być może spędzi w motelu jeszcze jedną noc, ponieważ czekał na telefon, z którego miał się dowiedzieć, dokąd powinien się udać, i niewykluczone, że dostanie tę informację dopiero pojutrze.

– Pasjonujące – rzuciła z roztargnieniem Viv. Wysunęła szufladę i wyjęła klucze do dwieście jedenastki. Umieściła mężczyznę kilka pokoi od kierowcy; zawsze dawała gościom nieco przestrzeni. Nocny lud nie lubił mieć sąsiadów.

Nie odpowiedział, więc podniosła na niego wzrok. Zobaczyła, że mężczyzna się w nią wpatruje. Miał spokojne, uprzejme spojrzenie, które przewiercało ją na wylot.

– Nie bardzo – odpowiedział na jej komentarz. – Jestem komiwojazerem. Jeżdżę tam, gdzie każe mi szefostwo.

Pokiwała głową i wręczyła mu klucz. Nie zapytała, czym handlował, bo to nie była jej sprawa. Po jego wyjściu nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wyglądał.

Następnej nocy postanowiła zmienić taktykę: wyszła z recepcji i przyłgnąwszy do ściany budynku, czekała na woń dymu. Nabrała podejrzeń, że zapach dolatuje z zewnątrz, a nie z przewodów wentylacyjnych, dlatego chciała się znaleźć bliżej domniemanego źródła. Noc była ładna, cicha i ciepła. Wiał lekki wiatr, jego delikatne podmuchy rozwiewały włosy na karku i chłodziły spocone policzki Viv.

Tym razem potrzebowała niespełna dwudziestu minut, by jej nozdrza wychwyciły ostry zapach świeżego dymu papierosowego. Bingo. Ruszyła chodnikiem, powoli oddalając się od pokoi. Zmierzała na drugą stronę budynku, ku nieczynnemu basenowi. Dwa razy zgubiła tytoniowy trop i dwa razy go odnalazła. W milczeniu podchodziła palacza.

Zbliżyła się do osuszonego, pustego basenu i zatrzymała przy ogrodzeniu, które z niewiadomego powodu stało tu przez całe lato. Rozejrzała się, ale w ciemności nikogo nie zobaczyła. Jak na złość, zapach pojawiał się i znikał, jakby ten, kto palił, znajdował się w nieustającym ruchu.

– Halo – odezwała się do otaczającego ją mroku, betonowej skorupy basenu i rosnących za nią drzew; do parkingu i opustoszałej autostrady. – Halo.

Nikt nie odpowiedział, ale Viv włosy zjeżyły się na karku. Coś ścisnęło ją za gardło, jakaś bezlitosna, przyprawiająca o mdłości panika. Viv chwyciła się metalowej siatki i zamknęła oczy; czekała, aż minie, cokolwiek to było.

Poczuła dym i nagle ktoś przeszedł za jej plecami. Postawił pięć równych kroków – ciężkich, męskich – i znów zaległa cisza.

Z jej ust leciała para, dłonie miała zimne jak lód. Ktoś tu był – coś tu było. Coś rzeczywistego, ale nie prawdziwy człowiek. Odgłos kroków rozległ się i urwał nieoczekiwanie, jakby przechodzień minął otwarte drzwi.

Viv oczywiście słyszała opowieści o duchach, tak jak każdy. Nigdy jednak nie przypuszczała, że pewnej nocy będzie stała kurczowo, aż do zbielenia kostek uczipiona siatki, powstrzymując się od torsji ze strachu przed czymś, co właśnie przemknęło za jej plecami. Wariactwo. Historia, przy której – gdy opowiadasz ją po latach – słuchacze przewracają oczami, bo nie mogą wiedzieć, jak smakowało tamto przerażenie.

Zgasł jaskrawy znak motelu.

Viv usłyszała żalosne „zzzyt” i żarówki przestały działać. Odwróciła się i zobaczyła niepodświetlone „SUN DOWN”, a pod nimi migoczące coraz wolniej i słabiej „WOLNE POKOJE. KABLÓWKA!”. Niewiele myśląc i z panicznie walącym sercem, ruszyła w stronę znaku. Nie miała pojęcia, gdzie znaleźć włącznik. Przez te wszystkie tygodnie, które tu przepracowała, ani razu nie musiała się tym zajmować: zawsze ten, kto był na zmianie przed nią, włączał znak, a osoba, która przychodziła do pracy po niej – wyłączała go. Wraz ze zniknięciem tego okropnie krzykliwego blasku Viv straciła punkt zaczepienia i poczuła pełną po kręgosłupie strach.

Okrzyżowała budynek od krótszej strony, wyszła na wewnętrzny parking, zatrzymała się – i cicho krzyknęła. Tutaj też gasło światło.

Żarówki na samym końcu galerii, przed pokojem sto trzydzieści i znajdującą się piętro wyżej dwieście trzydziestką, zamigotały i przestały

działać. Po chwili to samo spotkało te przed sto i dwieście dwudziestką dziewiątką. Jakby ktoś pstrykał przełączniki jeden za drugim, pogrążając cały motel w ciemności.

Viv zmieniła się w słup soli, nie była w stanie ruszyć palcem, po prostu stała i patrzyła, jak Sun Down zanurza się w mroku. Jako ostatnie odmówiły posłuszeństwa żarówki w recepcji – do której Viv miała najbliżej – oraz wiszący nad drzwiami neon. Viv zastygła w samym środku czarnej dziury na skraju szosy. W promieniu wielu kilometrów nie było żywego ducha. Żaden dźwięk, chrzęst ani odgłos stóp nie zakłócały absolutnej ciszy.

Słyszała jedynie własny chrapliwy oddech. „Co tu się, do cholery, dzieje?” Jej umysł z miejsca odrzucił najbardziej prozaiczne wyjaśnienie: że gdzieś na terenie motelu doszło do awarii albo może nawet nastąpiła jakaś poważniejsza przerwa w dostawie energii elektrycznej. Nie... Była trzecia w nocy, oświetlające autostradę lampy sodowe nadal działały bez zarzutu, a Viv dosłownie kilka chwil temu słyszała za plecami kroki mężczyzny z papierosem. Nie... To żadna awaria. W dodatku coś jej podpowiadało, że to dopiero początek.

Wychwyciła dobiegające z budynku stłumione kliknięcia. Klik, klik. Wyteżając wzrok w ciemności, Viv zobaczyła, jak otwierają się jedne z drzwi do pokoju, potem kolejne i następne. Otwierały się same z siebie, ukazując wnętrza pełne jeszcze gęstszego mroku, jakby zapraszały do środka. Wejść tutaj. Albo tutaj... albo tutaj...

Przeniosła spanikowane spojrzenie na samochód. Mogła wsiąść i odjechać, dotrzeć do najbliższego automatu telefonicznego i zadzwonić... do kogo? Może na policję. Albo uciec do jakiejś nocnej knajpki i przesiedzieć, przeczekać, aż to – czymkolwiek jest – pójdzie sobie gdzie indziej. Sęk w tym, że torebkę wraz z kluczami zostawiła w recepcji.

Owiewał ją delikatny wiatr, przyprawiając o gęsią skórkę. Klikanie ustało, podobnie jak wszystkie dźwięki. Międzystanowa szóstka za plecami Viv tonęła w niezmaconej ciszy.

Zrób to. Podejź do drzwi, pchnij je. Torebka leży obok krzesła stojącego za biurkiem. To tylko cztery kroki. Schylisz się, zabierzesz ją, odwrócisz się i wyjdiesz.

Zmusiła stopy do ruchu. Podeszwy sportowych butów zachrzęściły na żwirze. Mimowolnie zaczęła podnosić nogi wyżej, żeby nie robić hałasu – tak

jakby to coś, co na nią czyhało, dało się tak łatwo zwieść; tak jakby jej nie widziało.

Rzuciła się do biegu, starając się stąpać najciszej, jak to możliwe. Wejść i wyjść, szybka akcja, kilka zwinnych...

Wpadła na betonowy chodnik i nagle coś łupnęło nad jej głową. Z hukiem otworzyły się drzwi do jednego z pokojów. Viv aż podskoczyła i jęknęła, kiedy na galerii rozległ się odgłos czyichś krótkich, szybkich kroków; ktoś za czymś gonił, głośno tupiąc. Stukot dotarł do schodów i skręcił. Nocną ciszę przeszył dziecięcy krzyk: „Ja chcę na basen!”.

Viv nacisnęła klamkę i zanurkowała do tonącego w mroku wnętrza. Zanosząc się rzęzącym oddechem, zaczęła po omacku szukać torebki, w której spoczywały kluczyki do samochodu. Piekły ją oczy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to przez dym; zapach był tak silny, jakby ktoś od wielu godzin siedział w recepcji i odpalał jednego papierosa od drugiego.

Zdążyła wymacać torebkę w ciemności i zacisnąć palce na ciemnofioletowej skajowej wypukłości, gdy wyraźnie usłyszała dobiegający zza biurka męski głos.

„Na litość boską, wezwijcie karetkę! – zadudnił, jakby jego właściciel stał tuż obok. – Niech ktoś zadzwoni po karetkę!”

Viv wypuściła torebkę z ręki, kluczyki wypadły ze środka i wylądowały z brzękiem na podłodze. Viv gwałtownie nabrała powietrza, w pośpiechu zgarnęła zgubę i pognała do wyjścia. Podbiegła do cavaliera, otworzyła drzwi i rzuciła się za kierownicę. Cisnęła torebkę na fotel pasażera, zatrzasnęła drzwi.

Motel nadal wyglądał jak jedna wielka czarna plama na tle niewiele jaśniejszego nieba. Viv przekręciła kluczyk w stacyjce i wcisnęła do oporu pedał gazu. Nic się nie wydarzyło; silnik nie zapalił. Z panicznym zawrotem głowy i ze łzami spływającymi po policzkach spróbowała jeszcze raz – z identycznym rezultatem.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że ktoś stoi przed samochodem. Kobieta – młoda, może trzydziestoletnia, miała kręcone ciemne blond włosy, które spływały jej na ramiona, ciemne oczy i kształtną, owalną twarz. Porażona niezwykłością tego zjawiska Viv w ułamku sekundy zobaczyła wszystko wyraźnie jak za dnia: wąskie barki kobiety, sukienkę z długimi rękawami i wzorem w wielkie, ciemnofioletowe kwiaty, materiałowy pasek z kokardą,

którym była przewiązana. Wpatrywała się w Viv, jej spojrzenie przenikało przez przednią szybę auta, a oczy... oczy...

Viv otworzyła usta, żeby krzyknąć, i zamarła. Z jej gardła nie dobył się żaden dźwięk. Ze wzrokiem utkwionym w kobiecie nabrała pełne płuca powietrza.

Kobieta nie była rzeczywista, a jednak... Viv ją widziała. Patrzyła na nią. Co więcej – czuła na sobie jej wzrok, płonący, przesycony niehumanicznymi emocjami, które sprawiały, że Viv chciało się jednocześnie krzyczeć, płakać i wymiotować.

Zacisnęła palce na kierownicy. Poczuła, jak zawartość żołądka podchodzi jej do gardła.

Nagle kobieta uderzyła otwartymi dłońmi w maskę samochodu – łup! – i był to jak najbardziej prawdziwy, przesywający i brutalny dźwięk. Oparta o zimny metal gapiała się na Viv i bezgłośnie poruszając ustami, powtarzała w kółko tylko jedno słowo:

„Uciekaj”.

Viv zdławiła jęk i kolejny raz bez powodzenia przekręciła kluczyk w stacyjce. Zalewając się łzami i wyjąc z niemocy, powtarzała sekwencję raz za razem, ale samochód wciąż odmawiał współpracy. Gdy w końcu odważyła się podnieść wzrok, kobiety już nie było. Motel niezmiennie stał pogrążony w ciemności, a noc dokoła wydawała się jeszcze czarniejsza.

Silnik był zalany i nie chciał odpalić. Dotarło do niej, że nie ma jak uciec.

Zablokowała drzwi, przepęźła na tylne siedzenie, ukryła się za fotelem pasażera, tak by nie widzieć tego, co znajdowało się za przednią szybą, i zwinęła się w kłębek jak ktoś, kto stara się uniknąć przypadkowej kuli podczas ostrzału.

A kiedy nareszcie w motelu włączyło się światło i znak znów rozbłysnął na żółto i niebiesko, ciałem Viv nadal wstrząsały spazmy płaczu.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Sama nie wiedziałam, czego się właściwie spodziewałam po Sun Down. Obejrzałam go na Google Earth i wyglądał jak dziesiątki podobnych przydrożnych moteli: znak, neon, szereg pokoi na parterze i na galerii. Zdawałam sobie sprawę, że miał dla mnie szczególne znaczenie ze względu na historię mojej rodziny i osobliwą fiksację, jaką go darzyłam, ale przypuszczałam, że dla innych jest po prostu zwyczajny.

Był daleki od zwyczajności.

Zatrzymałam się na wysypanym żwirem parkingu i rozejrzałam się. Budynek miał kształt litery L. Drzwi pokoi mieszczących się na dole wychodziły bezpośrednio na chodnik, a tych zlokalizowanych na górze – na zadaszoną galerię. Ustawiony przy zjeździe z autostrady znak oblewał nas niebiesko-żółtym blaskiem; pod nazwą motelu jaskrawo migiała informacja o kablówce i wolnych miejscach. Na samym końcu parkingu, gdzie z trudem docierało światło, stała stara toyota tercel. Przed wejściami do pokoi nie było żadnych samochodów. Nigdzie ani śladu człowieka.

Heather wysiadła z auta i przez chwilę stałyśmy w całkowitym milczeniu. Ruch na szosie za naszymi plecami zamarł. Za budynkiem rosło kilka drzew, a dalej rozciągało się tonące w ciemności odludzie, nad którym wisiał srebrny półksiężyc. Zapięłam kurtkę pod samą szyję. Wpatrywałam się w motel jak zahipnotyzowana, przesuwając wzrokiem po pustych szybach, w których odbijało się przyćmione światło nierówno zawieszonych lamp. Nie mogłam uwierzyć, że Sun Down zbudowano z myślą o goszczeniu ludzi. Wydawał się taki surowy i opustoszały, a panująca tu cisza była wręcz ogłuszająca. Przez chwilę czułam się jak w jakimś niesamowitym, pozaziemskim miejscu – na cmentarzu albo islandzkim przedpieklu.

Heather miała chyba podobne wrażenie, bo nie odezwała się ani słowem. Zostawiła poncho w mieszkaniu i zastąpiła je czarną puchową kurtką w typie

parki. Przyszło mi do głowy, że pewnie jest jedną z tych osób, którym bez przerwy zimno.

– Nie, to w ogóle nie jest upiorne – mruknęła w końcu cicho. – Ani trochę.

Spojrzałam na świecący nad drzwiami neon „RECEPCJA”. Ktoś powinien być w środku, ale zastanawiałam się, czy na pewno chcę to sprawdzać.

– Rozejrzyjmy się – zaproponowałam.

Obeszliśmy budynek dokoła, przyglądając się chodnikowi, galerii i zamkniętym drzwiom. Wszystko wyraźnie trąciło myszką: przejścia, schody, gałki z dziurkami od kluczy... Motel musiał wyglądać tak samo jak przed trzydziestoma pięcioma laty, kiedy pracowała w nim moja ciocia. Po drugiej stronie natrafiłyśmy na pusty basen ogrodzony rozpadającą się siatką. Nie docierało tutaj tyle światła co od frontu, ale brud, masa liści i popękane, pokruszone betonowe krawędzie basenu świadczyły o tym, że nie zamknięto go po prostu na zimę; był nieczynny od lat, może nawet dekad, i zapewne nigdy więcej nie będzie udostępniony.

Postanowiłam zignorować upiorność Sun Down i nie zwracając uwagi na zimny pot spływający mi po plecach, pomyślałam o cioci Viv. „Gdybym miała zniknąć z takiego miejsca, to w jaki sposób?”

Najbardziej oczywista odpowiedź: szosa. Viv wprawdzie zostawiła swój samochód, ale ktoś mógł ją wciągnąć do auta i wywieźć stąd. To rodziło kolejne pytania. Jak ten ktoś to zrobił? Pozbawił Viv przytomności? W artykułach nie wspomniano o krwi ani o śladach szamotaniny. Czy ten ktoś wywabił Viv z recepcji? Może udawał, że został poszkodowany w wypadku, albo zwrócił się do niej z prośbą o pomoc? Czy ta osoba zaplanowała porwanie, czy zrobiła to pod wpływem impulsu?

Odeszłam od basenu i wróciłam na parking przy wjeździe. Żałowałam, że nie przyjechałam za dnia, żeby móc się rozejrzeć po okolicy. Może w świetle dziennym Sun Down nie robiłby aż tak ponurego i złowieszczonego wrażenia.

Miałam szczęście, że tak niewiele się tu zmieniło od osiemdziesiątego drugiego. Gdyby motel zburzono i na jego miejscu postawiono centrum handlowe, nawet nie próbowałabym odtworzyć losów Viv, bo nie miałabym się na czym oprzeć.

A jeśli nie opuściła Sun Down samochodem, tylko na piechotę?

– Heather – zagadnęłam nową współlokatorkę – dobrze kojarzysz tę okolicę? Na co bym natrafiła, gdybym chciała stąd pójść na piechotę?

– O rany, czekaj, niech się zastanowię. – Ruszyła za mną. – Wydaje mi się, że tam, za motelem, są tylko pola i lasy. Musiałabyś pokonać naprawdę wiele kilometrów, zanim znalazłabyś ślady cywilizacji.

– A gdyby pójść wzdłuż drogi?

– Idąc w tamtą stronę – pokazała w kierunku przeciwnym niż Fell – doszłabyś do stacji benzynowej. Ale to też za półtora kilometra, może dwa. I nie wiem, czy postawiono ją przed osiemdziesiątym drugim. A tam – wskazała na miasto, z którego przybyliśmy – za trzy kilometry jest zjazd na Coopersville, potem parę starych domów, Value Mart, no i Fell.

– Myślisz, że dałoby się znaleźć mapę z osiemdziesiątego drugiego?

– Może w bibliotece – zaproponowała. – Tak w ogóle, to ktoś umarł w tym basenie.

Spojrzałam na nią.

– Co takiego?

– Mówię serio, Carly. – Zimny wiatr czerwienił blade policzki Heather i rozwiewał jej blond włosy po bokach głowy, tam gdzie nie sięgała wsuwka. – Przecież to oczywiste. Założę się o tysiąka. Ktoś w nim umarł, więc go osuszili i zagrodzili, żeby nikt więcej nie mógł wejść.

– Albo może zamknęli basen, bo mają za mało gości, żeby opłacało się go utrzymywać – podsunęłam. – Za mało, czyli zero.

– No co ty – prychnęła Heather. – Nie mają gości, bo ktoś im umarł w basenie.

Otworzyłam usta, żeby skomentować, ale przerwał mi czyjś głos:

– Halo! Szukają panie czegoś?

Odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy stojącego przed wejściem do recepcji mężczyznę. Przyglądał nam się z daleka. W padającym na niego od tyłu blasku neonu nad drzwiami widziałyśmy tylko tyle, że ten ktoś jest wysoki, muskularny i młody.

– Przepraszamy! – zawołałam. – Po prostu się rozglądamy.

Mężczyzna nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Kiepski pomysł – powiedział. – Nie wolno podchodzić do starego basenu.

– Dobrze – zgodziłam się, starając się nadać swojemu głosowi przyjemny ton. Ruszyłam w stronę recepcji, Heather za mną.

Z bliska okazało się, że mężczyzna ma około trzydziestki i ciemne, bardzo krótkie włosy. Był ubrany w białą koszulę, niebieską poliestrową kamizelkę firmową i spodnie od garnituru. Kamizelka miała wyhaftowany żółtą nicią napis „Motel Sun Down” na lewej piersi.

– Życzą sobie panie pokój? – spytał.

– Nie – odparłam. – Proszę wybaczyć, po prostu byłyśmy ciekawe.

Zrobił zaskoczoną minę.

– Czego?

– Lubię stare motele – wyjaśniłam w przypływie weny. – Wie pan, takie z połowy zeszłego wieku. Strasznie mnie pociągają. Ot, moje małe hobby.

Weszliśmy na chodnik. Mężczyzna łypał to na mnie, to na Heather.

– W życiu nie słyszałem o takim hobby.

Coraz bardziej zafascynowana wpatrywałam się w jego kamizelkę. Viv pracowała tu przez kilka miesięcy przed zniknięciem. Niewykluczone, że stawała dokładnie w tym samym miejscu co ten mężczyzna. Czy w osiemdziesiątym drugim nosili takie same kamizelki? Znów – tak jak w mieszkaniu – poczułam, jakby Viv była tuż obok, jakby zaglądała mi przez ramię. Byłam tak blisko, dzielił mnie od niej jedynie cienki woal czasu, który w Fell wydawał się zupełnie przezroczysty.

– Mogę obejrzeć recepcję? – spytałam.

Popatrzył jeszcze bardziej zdezorientowany, ale Heather posłała mu tak promienny uśmiech, że wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

Wnętrze było staroświeckie, ściany pomalowane na mdły brąz, a biurko duże i ciężkie. Gapiłam się ze zdumieniem i z zachwytem na wielki aparat stacjonarny z plastikowymi guzikami, na oprawioną w skórę księgę gości z ręcznymi wpisami, na wytarte krzesło, wieszak na ubrania w kącie, a nawet stojący przy biurku piecyk elektryczny, którego poźółkły przewód ewidentnie stwarzał zagrożenie pożarowe.

– Jezu, co za miejsce – mruknęłam do siebie.

– Słucham? – zaciekawił się mężczyzna.

– Nic takiego. – Spróbowałam się uśmiechnąć. – Długo pan tu pracuje?

– Bo ja wiem? Kilka miesięcy. – Trochę spochmurniał i zrobił lekko obojętną minę, jakby szybko tracił nami zainteresowanie.

– Lubi pan to zajęcie? – spytała Heather.

– Nie bardzo. – Obejrzał się, jakby bał się, że ktoś go usłyszy. – W sumie jest w porządku – poprawił się. – Nie mamy zbyt wielu gości.

Usiłowałam wyciągnąć z niego więcej informacji, ale szło mi coraz trudniej. Miał na imię Oliver. Tak, bardzo tu cicho i spokojnie. Nie, nie wiedział, z którego roku jest motel. Nie, chyba raczej nikt nigdy nie odnawiał budynku, ale w sumie nie miał pewności. Kiedy rozmawiałam z recepcjonistą, Heather podeszła do okna i przyglądała się terenowi na zewnątrz.

W końcu odpuściłam Oliverowi, pożegnaliśmy się, wsiadliśmy do samochodu i odjechaliśmy w stronę miasta. Wyparowały ze mnie fascynacja i rozemocjonowanie, pozostawiając jedynie frustrację.

– Chyba błędę, wiesz? – przyznałam. – Nie mam pojęcia, czego się spodziewałam po tej wizycie. Myślałam, że się czegoś dowiem, jeśli się tam przejdę i postoję w recepcji? Niby jak miało mi to pomóc?

– Chciałaś poczuć, że jesteś bliżej niej – stwierdziła Heather, jakby odpowiedź naprawdę mogła być aż tak prosta. – Chciałaś zobaczyć, jak wyglądało jej życie.

– No, to mi się udało, biorąc pod uwagę, że od osiemdziesiątego drugiego nic się tam nie zmieniło.

Milczałyśmy przez chwilę. Czarna szosa przesuwała się pod kołami samochodu. Zobaczyłam, że Heather zagryza wargę.

– Co?

– Nie wiem, czy powinnam ci to pokazywać.

– Teraz już musisz. O co chodzi?

Zawahała się, po czym wyjęła z kieszeni kartkę i rozłożyła ją.

„Zatrudnię recepcjonist(k)ę na nocną zmianę. Praca od zaraz. Proszę dzwonić” – i tu numer telefonu.

– Nie mów. – Z niedowierzaniem wpatrywałam się w ogłoszenie. – Ja pierdziele. Szukają osoby na to samo stanowisko, na którym pracowała moja ciocia?

– Niesamowite, co?

– Mało powiedziane. – Westchnęłam i przesunęłam dłonią po swoim końskim ogonie. – Czemu kusi mnie, żeby się zgłosić? Odbiło mi?

– To by dopiero było dziwaczne. Ale też całkiem spoko.

Pomyślałam to samo. Nocki w Sun Down? Byłam typem dziewczyny, która ochoczo spędziłaby noc w rzekomo nawiedzonym domu tylko po to, żeby się przekonać, co się stanie. Idealny pomysł na przerwę od nauki.

– Może nie będą chcieli mnie zatrudnić?

– E... jakoś mi się nie wydaje, by przebierali w ofertach.

Moje serce zaczęło mocniej bić: z przejęcia – czy ze strachu?

– Przez całą noc będę się regularnie zgłaszała, że jeszcze żyję.

– Dam ci swój gaz pieprzowy. Mam zapasowy.

– Heather, w tym samym miejscu zaginęła moja ciocia. Na nocnej zmianie.

– No tak, ale to było trzydzieści pięć lat temu. Chyba nie sądzisz, że ten, kto to zrobił, nadal się tu kręci? Pewnie nie żyje, a nawet jeśli, jest już starym człowiekiem.

– Nie planowałam, że spędzę w Fell dużo czasu. Ale myślę, że chcę to zrobić. Chcę zostać. Dlaczego?

– Ponieważ jesteś dziewczyną z Fell – odparła Heather, kiwając głową. – Zrozumiałam, jak tylko cię zobaczyłam.

– To mroczne miejsce.

– Niektórzy z nas lubią mrok. Bo go dobrze znają.

Skręciłam obok starego kina Royal z oknami zabitymi deskami. Nad wejściem wciąż wisiał afisz reklamujący Masz wiadomość.

– Popracuję kilka nocy, dowiem się wszystkiego, czego będę mogła się dowiedzieć, i ewakuuję się stamtąd – powiedziałam. – Dam radę, prawda? Będę robiła to samo co Viv. Spojrzę na to miejsce jej oczami.

– Dotarłaś tak daleko – skomentowała Heather. – I co: zatrzymasz się teraz i wrócisz do koledżu? Chyba nie zostawisz cioci na lodzie?

Viv. Bez względu na to, czego się bałam, Viv przeszła przez coś znacznie gorszego. Spotkał ją prawdopodobnie straszny i przerażający, lecz przecież nieznaną los. Dotąd nie udało się rozwikłać zagadki jej zniknięcia. Nie

odnaleziono nawet ciała. Tylko ja mogłam to zrobić. Nawet nie „to” – po prostu cokolwiek.

W tym celu musiałam zatrudnić się na nocną zmianę w motelu Sun Down.

– W porządku – stwierdziłam. – Zrobię to. Co może pójść nie tak?

Fell w stanie Nowy Jork Wrzesień 1982 roku

VIV

Tydzień po incydencie z brakiem światła Viv po raz pierwszy, od kiedy zaczęła pracować w Sun Down, musiała wezwać policję.

Po tamtej koszmarnej nocy była gotowa rzucić to zajęcie, spakować się i wrócić do Illinois. Tylko co by powiedziała matce? „Zobaczyłam ducha i uciekłam do domu”?

Miała dwadzieścia lat. „Co zrobisz, kiedy znajdziesz się w prawdziwej opresji?” Powrót do starego pokoju i obsługi stanowiska z popcornem w restauracji dla zmotoryzowanych nie wchodził w grę.

Poza tym nie potrafiła się uwolnić od myśli o kobiecie w sukience w kwiaty. Jej wściekłość i rzucające się w oczy cierpienie nie dawały Viv spokoju.

Dlatego ostatecznie postanowiła nie odchodzić z Sun Down.

Tego wieczoru, kiedy została zmuszona do wykonania telefonu na policję, miała ze sobą kanapkę z mortadela: dwie kromki paczkowanego krojonego chleba, plasterk mortadeli, porcja serka topionego, odrobina musztardy – najlepsze, co można zjeść w środku nocy, gdy zarabia się trzy dolary na godzinę. Zwykle taki posiłek jej wystarczał, ale tym razem nadal była głodna. Myśli Viv popłynęły ku automatowi ze słodyczami.

Automat stał na parterze, w znajdującym się po sąsiedzku z pokojem sto cztery niewielkim pomieszczeniu, które dzielił z maszyną do lodu. Działał i nawet był zaopatrzony; Viv zakładała, że jest uzupełniany na dziennej zmianie. Snickers kosztował dwadzieścia centów, a Viv akurat miała w kieszeni dwie dziesięciocentówki.

Zdjęła kurtkę z haczyka i narzuciła ją na firmową kamizelkę. Zapięła suwak pod szyję, po czym wyszła z recepcji i skręciła za róg. Tej nocy w Sun Down zatrzymało się kilka osób: para w drodze do rodziny w Karolinie Północnej; młody chłopak, który wyglądał, jakby padał z nóg po wielu dniach

za kierownicą; oraz samotny mężczyzna bez bagażu. Przynajmniej nie była zupełnie sama.

Mimo to czuła lekki strach, tak jak za każdym razem, kiedy wychodziła z za rogu i jej oczom ukazywały się dwa rzędy słabo oświetlonych drzwi. Niektóre żarówki przepaliły się i wyglądały jak szczyrby w uzębieniu. Spięła się i przypomniała sobie tamto upiorne wrażenie, kiedy nagle zgasł znak i zapadła cisza, a potem zaczęły się otwierać drzwi, rozległy się głosy, dało się słyszeć kroki, poczuła dym i zobaczyła kobietę.

„Uciekaj”.

Rozejrzała się po parkingu, przesunęła wzrokiem po budynku. Ani śladu kobiety – a jednak Viv wydawało się, że wyczuwa jej obecność. Może to nic takiego, a może coś? „Nie mogę jej zostawić” – pomyślała.

Po tamtej nocy Viv poszła do papierniczego i kupiła notes w spiralnej oprawie oraz długopis. Położyła oba te przedmioty na biurku i z początku tylko zerknęła na nie od czasu do czasu, ale wreszcie zaczęła pisać. Przeleżała na papier wszystko, co się wydarzyło, jak wyglądała kobieta, co mówiły głosy. W ten sposób wyraziła w słowach swoje myśli, uczyniła je rzeczywistymi. Wraz z używanym egzemplarzem Hotelu New Hampshire, który zawzięcie czytała, mimo że nie do końca rozumiała opowiadaną historię, notes stał się jej jedynym kompanem podczas długich nocnych dyżurów w recepcji.

Idąc do automatu po snickersa, zastanawiała się, czy warto wyjąć z torebki książkę i kolejny raz spróbować wgryźć się w fabułę. Lato ustępowało wczesnej jesieni i noce stawały się coraz chłodniejsze i coraz bardziej wietrzne. Viv wślizgnęła się do niewielkiego, wręcz mikroskopijnego pomieszczenia, w którym dwóm osobom byłoby ciasno, i przyjrzała się automatowi.

Kątem oka zobaczyła samochód wjeżdżający na parking. Lśniący ford thunderbird jak z salonu. Wsiadła z niego kobieta. Wrzuciła kluczyki do torebki. Viv wystawiła głowę z za uchylonych drzwi pomieszczenia z automatami i obserwowała. Kobieta była pod trzydziestkę, miała na sobie jasnoniebieskie dzinsy, białą bluzkę w małe czerwone kropki, do tego srebrny pasek i buty do kostek. Miała ciemne, krótkie włosy – po bokach i nad czołem natapirowane i utrwalone lakierem – brązowe wąskie brwi, niebieskie oczy i szczególnie, zmysłowo-pogardliwy kształt ust. Wyglądała jak mniej wyluzowana siostra Pat Benatar: ładna i na bieżąco z modą, zbuntowana, ale nie aż tak rock’n’rollowa.

Nie udała się do recepcji, żeby się zameldować, tylko od razu podeszła do sto dwudziestki jedyńki, w której Viv ulokowała mężczyznę bez bagażu.

Viv czekała, co się stanie. Gość ze sto dwudziestki jedyńki był wprawdzie dosyć przystojny, ale miał już koło czterdziestki. W jakim celu ta dziewczyna umówiła się z nim w motelu? prostytutki, którym zdarzało się wynajmować pokój w Sun Down, były zwykle zmęczonymi życiem kobietami w obcisłych ciuchach i z włosami jak strąki; spędzały w motelu kilka godzin, płaciły zmiętymi piątkami i dziesiątkami. Ta, która przyjechała thunderbirdem, w niczym ich nie przypominała – wyglądała raczej jak któraś z sąsiadek Viv w Grisham. Zatrzymała się przed drzwiami i zapukała. Otworzył jej mężczyzna, którego Viv zameldowała. Był bez palta i butów, miał na sobie spodnie od garnituru i koszulę rozpiętą pod szyją. Uśmiechnął się do kobiety.

– Helen.

Kobieta przyjęła pozę z dłonią wspartą na biodrze i obdarzyła mężczyznę życzliwym uśmiechem.

– Robercie.

– Wejść – powiedział, wyciągając dłoń.

Stojąca za plecami Viv maszyna do lodu nieoczekiwanie ożyła i głośno zawarkotała. Viv aż podskoczyła. Prędko cofnęła się do środka, żeby kobieta i mężczyzna nie zobaczyli, że ich obserwuje. Wygrzebała z kieszeni dwie dziesięciopensówki i wsunęła je do otworu w automacie ze słodyczami. Nachyliła się, żeby wyjąć snickersa z podajnika, gdy nagle drzwi do pomieszczenia zamknęły się i zrobiło się całkiem ciemno.

Viv zamarła. Nic nie widziała, nawet własnej dłoni, którą machnęła przed oczami. Wyciągnęła ręce przed siebie i dotknęła automatu. Maszyna do lodu nadal furkotała, jakby przemawiała w jakimś starożytnym języku, i wypluwała kostki zamrożonej wody, które z grzechotem wpadały do plastikowego pojemnika. Viv rozpaczliwie macała w poszukiwaniu włącznika światła.

Nie znalazła go. Za to natrafiła dłońmi na framugę, zsunęła palce niżej, na gałkę u drzwi, obróciła ją i pchnęła. Zdążyła zobaczyć niewyraźny fragment parkingu i poczuć przyjemny powiew chłodnego powietrza, zanim drzwi znów się zamknęły.

– Halo – powiedziała łamiącym się głosem. – Halo – powtórzyła nieco donośniej. Ponownie odnalazła gałkę, chwyciła... ale nie była w stanie jej przekręcić.

Maszyna do lodu nagle zamilkła i jedynym dźwiękiem, jaki docierał do uszu Viv, był jej własny lekko chrapliwy oddech.

– Halo – odezwała się jeszcze głośniejsze, chociaż nie umiałaby powiedzieć, do kogo właściwie się zwracała. Walnęła pięścią w drzwi. Czy któryś z gości usłyszy? A jeśli tak, to czy będzie mu się chciało wyjść i odnaleźć źródło hałasu?

Uderzyła jeszcze raz i poczuła na piersi, jak odpycha ją jakaś siła. Poleciała do tyłu, potknęła się i uderzyła obojczykiem o kant automatu ze słodyczami. Jej ramię przeszył ból. Wyrzuciła ręce do tyłu i zaczęła po omacku szukać jakiegoś punktu oparcia.

„Uciekaj” – powiedział głos jak delikatna bryza, syk powietrza.

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że huknęły o ścianę, po czym zawisły bezwładnie i zaskrzypiały, poruszone podmuchem wrześnie wiatru.

Viv wyskoczyła z pomieszczenia i pognęła przez parking, z trudem łapiąc powietrze. W jej głowie krążyła tylko jedna myśl, wyła jak syrena alarmowa: „To były dłonie. To były DŁONIE”. Widziała je wyraźnie i równie wyraźnie poczuła, gdy naparły na jej klatkę piersiową. Viv zatoczyła się i zatrzymała. Pochylona, wspierając się rękami na kolanach, usiłowała zapanować nad mdłościami. Ze strachu chciało jej się wymiotować.

Wtedy usłyszała krzyk przebijający się przez paniczne dzwonienie w uszach.

W recepcji cisza i porządek, wszystko wyglądało dokładnie tak jak przed wyjściem Viv. Wróciła na zeszywniałych nogach do środka i opadła na krzesło. Trzęsącymi się dłońmi zaczęła szukać rzeczy, którą Janice pokazała jej już pierwszej nocy. W końcu znalazła: przymocowaną do ściany obok biurka kartkę z napisem „POLICJA W FELL”. „To na wypadek, gdyby ktoś sprawiał kłopoty – zaznaczyła Janice. – Znają nas w komisariacie”. Viv podniosła słuchawkę.

Nie było sygnału. Zamiast tego odezwał się męski głos.

– Helen, po prostu powiedz, co się dzieje.

Viv znieruchomiała.

– Nie mam pojęcia – odparła spokojnie kobieta niskim, seksownym jak whisky głosem. – Jakaś kłótnia na parkingu. Dwóch mężczyzn. Wyglądają na truckersów. Recepcjonistka mówiła, że wezwie policję.

„To o mnie – pomyślała Viv. – Ja to powiedziałam”.

– O której będziesz? – spytał mężczyzna.

– Nie wiem. Może dopiero rano.

Viv słuchała, bojąc się oddychać.

„Jak to możliwe, że słyszę rozmowę telefoniczną ze sto dwudziestki jedynek?” – pomyślała. Po chwili dodała, również w myśli: „Powinnam się rozłączyć”.

– Po prostu zależy mi, żebyś bezpiecznie dotarła do domu – powiedział mężczyzna. – Czekam na ciebie. Zaczekam całą noc, jeśli będzie trzeba.

– Wiesz, że to kiepski pomysł – odparła Helen zmęczonym głosem. – Zadzwoń, kiedy będę wolna, dobrze?

Viv jeszcze przez chwilę śledziła rozmowę, a potem się rozłączyła. Mdlilo ją. „Powinnam była odłożyć słuchawkę – pomyślała. – Dlaczego tego nie zrobiłam?” Wyobraziła sobie, jak dzwoni do tego mężczyzny – mimo że nie znała jego numeru – i mówi: „Żona pana okłamuje!”.

Oczywiście nie postąpiłaby w taki sposób.

Kilka razy nacisnęła widełki, żeby upewnić się, że linia jest wolna, następnie wykręciła numer na policję.

– Policja w Fell. Słucham – odezwał się znudzony, chropawy męski głos.

– E... dobry wieczór – zaczęła Viv. – Pracuję w motelu Sun Down. Jestem recepcjonistką.

– No i?

– Mamy bójkę na parkingu. Dwóch truckersów... no, bije się.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Są uzbrojeni?

– Chyba nie? – odparła z taką intonacją, jakby zadawała pytanie. Wkurzało ją to, że brzmiała jak matolek i że policjant na pewno wziął ją za mało rozgarniętą. Pomyślała o kobiecie, o jej zmysłowym jak whisky głosie i naturalnej elegancji, którą emanowała, i spróbowała zmienić ton, żeby przydać sobie choć odrobinę powagi. – Nie wydaje mi się, by mieli jakąkolwiek broń. Po prostu walczą na pięści.

– Rozumiem – powiedział policjant. – Proszę o chwilę cierpliwości. Myślę, że sami to zakończą, ale na wszelki wypadek pošlę do was kogoś.

Dziesięć minut później truckersi nadal się okładali. Goście siedzieli w swoich pokojach, a Viv stała przy drzwiach do recepcji, wystawiała głowę na zewnątrz i obgryzała skórę przy kciuku. Bolał ją bark. Wyczuła delikatną woń papierosa. „Nie teraz – pomyślała, kierując tę niewypowiedzianą prośbę do palącego mężczyzny. – Błagam, nie teraz”.

Na teren motelu wtoczył się cicho radiowóz z wyłączonym kogutem i zatrzymał się przed dwiema zaparkowanymi ciężarówkami, kilka kroków od bijących się facetów. Viv najpierw odetchnęła z ulgą, a dopiero po chwili zorientowała się, że funkcjonariusz, który wysiadł z auta, jest niski i drobny jak na glinę. No i ma włosy związane w koński ogon.

Wyszła na chodnik, żeby lepiej się przyjrzeć. Policjantka? Dotąd widywała je tylko w serialu Cagney i Lacey, nigdy na żywo.

Ale ta policjantka była jak najbardziej żywa i prawdziwa. W przeciwieństwie do Cagney i Lacey, które zwykle chodziły w cywilnych ciuchach, była ubrana w poliestrowy granatowy mundur i czapkę. Miała ciężki od kabury, pałki i radia pas, który idealnie układał się na jej biodrach. Kroczyła dumnie i pewnie, doskonale świadoma swojej władzy. Podeszła do walczących kierowców i ich rozdzieliła.

Żaden nie stawiał oporu, mimo że obaj wyglądali na rozwścieczonych, a jeden splunął na ziemię u stóp policjantki. Funkcjonariuszka wyjęła notes i zaczęła zadawać pytania. Spisywała informacje, zupełnie nie zważając na to, że jest dobre dwadzieścia pięć kilogramów lżejsza od każdego z nich.

Kiedy skończyła, sięgnęła po radio i powiedziała do niego kilka słów. Obaj kierowcy wrócili do swoich ciężarówek. Ten, który wcześniej splunął, jeszcze raz spojrzął przez ramię, wycelował i z wprawą posłał kolejny pocisk z flegmy, tak by trafił tuż obok buta policjantki. Nie zauważyła tego albo postanowiła to zignorować.

Odwróciła się i zobaczyła stojącą przed drzwiami do recepcji Viv. Przyłapana na gapieniu się Viv nieśmiało uniosła dłoń, żeby się przywitać, po czym czmychnęła do środka. Policjantka poszła za nią do budynku.

– Szalona noc – odezwała się. Liczyła nie więcej niż trzydzieści lat. Nie była ładna w oczywisty sposób, ale miała ciemne, starannie przyczesane włosy, wysokie kości policzkowe i ciemnobrązowe oczy. Tchnęła opanowaniem i pewnością siebie. Viv zajęła miejsce za biurkiem i dotknęła swojej natapirowanej fryzury. Naraz zrobiło jej się wstyd białej bluzki, którą miała na sobie trzecią noc z rzędu, i okropnej firmowej kamizelki.

– Szalona – potwierdziła Viv i pomyślała: „Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo”. Splotła trzęsące się dłonie i ukryła je za biurkiem. Nadal czuła na piersi dotyk rąk, które ją odepchnęły. Z trudem usiłowała wypełnić płuca powietrzem.

Policjantka przysunęła sobie krzesło, które razem ze stojakiem pełnym wiekowych, spłowiałych broszur turystycznych podpierało ścianę. Usiadła na nim, założyła nogę na nogę i wyjęła notes.

– Mam tu napisane, że zdarzenie zgłosiła niejaka Vivian Delaney. To ty?

– Tak, proszę pani.

Policjantka posłała jej rozbawione spojrzenie.

– Skarbie, „proszę pani” to możesz sobie mówić do swojej nauczycielki. Nazywam się Alma Trent. A jeśli koniecznie chcesz się do mnie zwracać oficjalnie, używaj formy „posterunkowa”. Jasne?

– Jasne, pani posterunkowa. – Czemu obecność policjantki tak bardzo dodawała jej otuchy? Czy to instynkt podpowiadał Viv, że może się przy niej czuć bezpieczna?

„Ona nie ochroni cię przed duchami – powiedziała sobie Viv. – Nikt nie zdoła tego zrobić”.

Alma lekko przekrzywiła głowę i przyjrzała się Viv.

– Ile ty w ogóle masz lat?

– Dwadzieścia.

– Aha. – Sprawiała wrażenie dosyć zasadniczej, ale w jej spojrzeniu było dużo życzliwości. Viv odruchowo zerknęła na dłoń policjantki: nie nosiła obrączki. – Jesteś z Fell lub okolic?

– Hę? – Brzmiała jak skończona idiotka.

– Fell. – Alma wystawiła palec wskazujący i narysowała nim kółko w powietrzu. – Okolica. Jesteś stąd?

– Nie, proszę pani. Pani posterunkowa. Jestem z Illinois. – Viv zacisnęła powieki. – Przepraszam, że mówię tak nieskładnie. To była naprawdę długa noc. Poza tym nigdy wcześniej nie rozmawiałam z policjantem... policjantką.

– Akurat to ci się chwali – skomentowała Alma bez śladu niechęci. – Mam na myśli to, że nie miałaś styczności z policją. Jesteś nocną recepcjonistką, prawda?

– Tak – odparła Viv i nareszcie zabrzmiała odrobinę mniej głupio.

– Siedzisz tu codziennie?

– Prawie. W tygodniu mam jedną noc wolną.

– Długo pracujesz? – Policjantka zadawała pytania w ekspresowym tempie, zapewne po to, żeby Viv się nie rozkojarzyła. Strategia przynosiła efekty.

– Od czterech tygodni – odpowiedziała Viv, ale uświadomiła sobie, że nie pamięta, kiedy po raz ostatni zaglądała do kalendarza; w ogóle nie zwracała uwagi na to, jaki jest dzień. – Może od pięciu.

– Wzywałaś nas wcześniej?

– Nie.

– Zatem to pierwszy raz. – Rozmowa sprawiała wrażenie swobodnej, ale Alma nawet na moment nie oderwała wzroku od Viv. – Do tej pory nie zdarzały się zakłócenia porządku?

– Nie. – Chyba że zaliczyć do nich brak światła, pojawienie się duchów i to coś, co czaiło się w pomieszczeniu z automatem ze słodyczami. „Uciekaj”. Viv o mało się nie wzdrygnęła. Odchrząknęła i dodała: – Zwykle jest cisza i spokój.

– Tak, na pewno – skwitowała Alma. – Zdarzają nam się zgłoszenia w sprawie prostytutek i dilerów. Widywałaś tu takie osoby?

Co miała zrobić: naskarżyć na pracodawczynię? A jeśli ta ją wyleje? Jasne, że widywała prostytutki i dilerów, i to codziennie; jeżeli posterunkowa Trent nie miała pojęcia o takich sprawach, to najwyraźniej była kiepskim gliną.

– Nie wiem – wymigła się Viv. – To w sumie nie za bardzo moja sprawa.

– Hm, filozofka – stwierdziła Alma. – Doskonale się odnajdziesz w Sun Down. – Uśmiechnęła się do Viv i odchyliła się na krześle. – Pracuję na nocki, dlatego to zwykle ja jeżdżę do takich zgłoszeń. Handel narkotykami, zakłócanie porządku po pijanemu, bójki, przemoc domowa, nastolatki na gigancie. Różne rzeczy się tu zdarzają. Pracujesz w motelu od pięciu tygodni, więc zakładam, że wiesz, o czym mówię.

Viv poprawiła się na krześle. Na chwilę zapomniała o duchach.

– Lubi pani nocną służbę?

Alma wzruszyła ramionami.

– Jestem jedyną kobietą w tutejszej policji. Raz skierowali mnie na nockę i tak już zostało – odparła rzeczowo. – Chcą, żebym sama odeszła, ale niedoczekanie. Okazało się, że nawet polubiłam służbę w nocy. Szczerze mówiąc, prawie nie pamiętam, jak wygląda świat za dnia, ale nie tęsknię za nim.

– Ja już właściwie nawet nie czuję się zmęczona.

Alma pokiwała głową.

– Podobno to niezdrowe dla organizmu, ale... pokaż mi coś, co jest zdrowe. Napoje gazowane, papierosy... wszystko szkodzi. Jeśli nie masz ciała jak Olivia Newton-John, to znaczy, że robisz coś nie tak. Ja tego nie kupuję. Myślę, że raz na jakiś czas każdy powinien sobie zafundować nieprzespaną noc. Bo to bywa bardzo pouczające. Możesz się przekonać, co tracisz, kiedy śpisz.

– Nie wszystko, z czym się stykamy, jest dobre – zauważyła Viv.

– To prawda – przyznała z uśmiechem Alma. – Wydajesz się miłą dziewczyną. Sun Down to dla ciebie jak skok na głęboką wodę.

– Ludzie nie są tacy źli. – „W każdym razie ci żywi” – dodała w myśli. Ostrożnie dobierała słowa, bo przecież nawet nie znała posterunkowej i nie wiedziała, czego się po niej spodziewać. Niemniej przyjemnie było z kimś porozmawiać, choćby tylko przez kilka minut. – Wyjechałam z domu. Chyba po prostu chciałam trochę pobyć sama.

– No tak, Fell doskonale się do tego nadaje.

Alma wstała i zaczęła wychodzić. Była już przy drzwiach, kiedy Viv nagle zapytała:

– Kto umarł w basenie?

Alma zatrzymała się i odwróciła. Miała zaciśnięte usta.

– Słucham? – wycedziła.

Viv nabrała powietrza. Znów poczuła dym papierosowy. „Na litość boską, wezwijcie karetkę!” Tamten głos zabrzmiał tutaj, w tym pomieszczeniu, dosłownie tuż obok. Alma Trent musiała coś wiedzieć.

– Ktoś umarł w tym basenie, prawda? Jakieś dziecko.

– Kto ci o tym powiedział? – spytała podejrzliwie Alma.

Viv wzruszyła ramionami.

– Słyszałam plotkę.

Alma nie odpowiedziała od razu. Przez dłuższą chwilę przypatrywała się Viv.

– Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co mówią ludzie. Ale owszem, dwa lata temu w basenie zginął chłopiec. Uderzył głową o betonową krawędź, stracił przytomność i już nigdy jej nie odzyskał. Zastanawiam się, kto mógł ci powiedzieć. Janice nigdy o tym nie wspomina, a od Henry’ego na pewno nie mogłaś tego usłyszeć.

– Henry’ego?

– Pracował tu wtedy – wyjaśniła Alma. – To on zgłosił wypadek. Pół roku później zmarł na zawał. – Wycelowała palec w Viv. – Siedział tam, gdzie ty. Na tym samym krześle.

Viv milczała. Zrobiło jej się niedobrze.

– Któregoś dnia będziesz musiała mi zdradzić, skąd o tym wiesz – zapowiedziała posterunkowa Trent. – To jeszcze nie jest najgorsze, co tu się wydarzyło. Ale sądzę, że już się tego domyśliłaś. – Skinęła głową. – Miłej nocy, Vivian Delaney. W razie czego dzwoń.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Zatrudnili mnie. Domyśliłam się, że nie było wielu kandydatów, o ile w ogóle zgłosił się ktokolwiek poza mną. W każdym razie cztery dni później siedziałam o jedenastej w nocy w recepcji Sun Down w towarzystwie ponurego Chrisa, który miał mi przekazać wiedzę na temat mojego stanowiska pracy. Chris miał około pięćdziesiątki, gustował w dżinsach i niebieskich flanelowych koszulach w kratę, przedstawił się jako syn pierwszych właścicieli motelu i był tak samo niezadowolony z życia, jak wszyscy faceci, których spotkałam na swojej drodze, nawet z liceum. Dosłownie tchnął przygnębieniem.

– Tu trzymamy klucze – powiedział, wysuwając szufladę w biurku. – Nigdy nie przeszliśmy na karty, bo to dużo kosztuje. Zresztą w ogóle mamy problem z elektroniką. Kiedyś próbowaliśmy prowadzić rejestr gości w komputerze, ale wiecznie coś nie działało, aż w końcu któregoś dnia nawet nie chciał się włączyć, więc wróciliśmy do książki. – Gestem wskazał leżący na blacie, sporej wielkości, oprawiony w skórę tom, do którego trzeba było się ręcznie wpisać.

– Rozumiem. – Nawet kiedy pracowałam jako baristka w kawiarni, miałam do czynienia z bardziej zaawansowaną techniką niż tutaj. – Jest i telefon stacjonarny – zauważyłam.

Chris łypnął na aparat.

– Możesz korzystać z komórki, o ile złapiesz zasięg. Nie mamy wi-fi, chyba że uda ci się podpiąć pod którąś z okolicznych sieci, ale raczej tylko przy dobrej pogodzie. Jak już mówiłem, elektronika tu wariuje, a wi-fi to dodatkowy koszt. Codziennie w południe przychodzi Nancy sprzątać w pokojach zwalnianych przez gości. Na zapleczu stoi pojemnik na brudną pościel i ręczniki. Pranie jest odbierane i dostarczane raz w tygodniu, również w ciągu dnia. Nie będziesz się widywać ani z Nancy, ani z pracownikami pralni.

Zawiesiłam się na dużo ważniejszej kwestii.

– To znaczy, że nie ma internetu? W ogóle?

Spojrzał na mnie z lekceważeniem.

– Domyślam się, że dla osoby w twoim wieku to może stanowić problem. Pewnie chciałabyś, żeby ci płacić za siedzenie i twitterowanie przez całą noc.

– Zgadza się – odparłam z kamienną twarzą. – O niczym innym nie marzę. Mogę zarabiać nawet płacę minimalną, byleby ktoś mi pozwolił spędzać całe noce na twitterowaniu z biurka recepcji motelu. Totalnie. A kiedy mam przebłysk ambicji, wtedy facebookuję.

– Ten kraj schodzi na dziady – skomentował.

– Na psy. Mówi się: „schodzi na psy”.

– Co za różnica? Włóż to. – Wręczył mi ciemnoniebieską kamizelkę z logo na piersi. – Nie wiem, czy rzeczywiście będziesz ją nosiła, ale zasadniczo powinnaś. Chcieliśmy je jakoś unowocześnić, ale...

– ...to kosztuje – dokończyłam za niego.

Posłałam mu uśmiech. Odpowiedział smutnym grymasem.

– Moi rodzice włożyli w to grosze, wiesz? Tata kupił za bezcen działkę od jakiegoś starego rolnika, a potem tanio postawił motel. Prawdziwą inwestycją miała być ziemia, a motel jedynie sposobem na zarobienie na podatki. Rodzice pewnie liczyli, że sprzedadzą Sun Down, kiedy jego wartość pójdzie w górę. – Westchnął. – Nigdy do tego nie doszło, bo miasto nie wybudowało tego przekłętą parku rozrywki. Rodzice zmarli i motel trafił w moje ręce. Próbowałam się go pozbyć zaraz na początku wieku, ale nie było chętnych. No więc tak. Te parę tysięcy dolarów rocznie zarobku to i tak mniej niż prowizja dla biura nieruchomości.

Wzięłam od niego kamizelkę i poczułam pod palcami plastikową fakturę grubego poliestru.

– W takim razie z czego pan żyje?

– Sprzedaję ubezpieczenia samochodowe. Od zawsze. Stateline Auto w Fell. Zadzwoń, jak będziesz potrzebowała OC. – Rozejrzył się zmęczonym wzrokiem. – Szczerze mówiąc, nie cierpię tego miejsca, mam stąd wyłącznie złe wspomnienia. Przyjeżdżam tu, tylko kiedy muszę.

Chciałam zapytać, co ma na myśli, ale zniechęciła mnie jego mina.

– Opłaca się panu zatrudnić kogoś na noc?

– W latach dziewięćdziesiątych próbowaliśmy się obejść bez nocnej zmiany, ale skończyło się tak, że w Sun Down rozpanoszyły się prostytutki. Wchodziły do pokoi, wyrządzały szkody, które potem musiałem naprawiać, i ulatniały się bez płacenia. Trudno w to uwierzyć, ale zyski wręcz zmalły. Okazuje się, że kiedy ktoś siedzi w recepcji, goście zachowują się choć trochę bardziej przyzwoicie. – Pokazał palcem wiszącą obok biurka tablicę korkową z przyczepioną do niej karteczką. – W razie czego dzwoń po gliny. Większość ludzi na szczęście kładzie uszy po sobie, kiedy ich zrugasz. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś z nocnej zmiany padł ofiarą agresji.

– Z wyjątkiem tej zaginionej recepcjonistki – zauważyłam.

Chris otworzył szerzej oczy.

– Słucham?

– No, tej, która przepadła bez wieści w osiemdziesiątym drugim.

– Skąd o tym wiesz?

– Pisali w gazetach – odparłam właściwie zgodnie z prawdą.

– O Boże – jęknął, przeczesując palcami rzednącą czuprynę. Sprawiał wrażenie przerażonego. – Nie wspominaj o tym, dobra? Myślałem, że już wszyscy zapomnieli. To się stało, kiedy jeszcze rządili tu rodzice. Nie było cię nawet na świecie.

– Znał ją pan?

– Nie, byłem wtedy dzieciakiem.

– Jak pan myśli, co się z nią stało?

– Kto to może wiedzieć? Stare dzieje. Bardzo cię proszę, nie wspominaj o tym. Inaczej przestaną do nas zaglądać nawet ci nieliczni goście, którzy nadal to robią.

Na tym się zakończyła moja rozmowa z Chrisem na temat zaginięcia cioci Viv. Zagadka kontra Nancy Drew: jeden do zera.

Po wyjściu Chrisa powiesiłam kamizelkę na oparciu krzesła i zabrałam się do pracy. Zaczęłam od biurka. Otwierałam po kolei wszystkie szuflady i sprawdzałam ich zawartość. Niestety, oprócz kluczy do pokoi – każdy na metalowym kółku i ze skórzaną przywieszką z odcisniętym numerem – nie znalazłam nic wartego uwagi.

Następnie skupiłam się na drewnianym, ukruszonym blacie z plastikowym laminatem. Leżała na nim podkładka na biurko, były ołówki i długopisy,

a także stał stary telefon z wielkimi kwadratowymi przyciskami centralki; akurat żaden guzik się nie świecił. I jeszcze duża, oprawiona w skórę księga gości. Przesunęłam nad nią ręką – i znieruchomiałam.

Przez krótką, szaloną chwilę miałam wrażenie, jakby przecięły się i przeniknęły różne płaszczyzny czasowe, jakby nie było żadnej różnicy pomiędzy teraźniejszością a przeszłością. Viv Delaney siedziała przy tym biurku i korzystała z tego telefonu. Nie zdziwiłabym się, gdyby nosiła tę samą kamizelkę, którą wręczył mi Chris. Zajmowała miejsce na tym krześle, patrzyła na tę tablicę z przyczepioną do niej karteczką z numerem komisariatu policji w Fell. „Który mamy rok? – odezwał się głos w mojej głowie. – Osiemdziesiąty drugi czy dwa tysiące siedemnasty? Wiesz w ogóle?”

Sięgnęłam po księgę gości i otworzyłam ją. Obłożenie: cztery pokoje – dwóch mężczyzn, para i kobieta. Nie kojarzyłam żadnej z tych osób, bo i skąd? Znalazłam stary notes, wyrwałam kartkę i przepisałam nazwiska. Potem wyjęłam komórkę. Wiedziałam, że w recepcji nie ma zasięgu, ale uznałam, że może poszczęści mi się na zewnątrz. Włożyłam więc kurtkę, wyszłam na dwór i zaczęłam krążyć najpierw po chodniku, a później po parkingu, wpatrując się w wyświetlacz.

Dotarłam prawie do znaku (WOLNE POKOJE. KABLÓWKA!), kiedy nareszcie pojawiła się upragniona ikonka. Miałam zamiar szybko wygooglować nazwiska z księgi, ale nawet pierwsze nie chciało się wczytać. Sygnał był za słaby.

Schowałam kartkę do kieszeni. Wiedząc, że Heather na pewno nie śpi, napisałam do niej esemesa. Kiedy się dowiedziała, że dostałam tę pracę, dwa dni z rzędu przesiedziałyśmy razem do rana i oglądałyśmy filmy – w ten sposób przygotowywała mnie do nocnej zmiany.

„Zero plików, komputera, internetu. A szef zabrania pytać o Viv. Jedna wielka porażka”.

„Carly, jest dopiero wpół do dwunastej” – odpowiedziała niemal od razu.

Słuszna uwaga. Miałam przepracować kilka dni, dowiedzieć się tyle, ile zdołam, i dopiero wtedy zrezygnować. Noc jeszcze młoda. „Dobra, działam dalej” – wklepałam i schowałam telefon do kieszeni; znów straciłam zasięg.

Wiatr smagał mnie po karku, a niebiesko-żółty znak, pod którym stałam, dziwnie buczał. Odsunęłam się od niego i poszłam na parking, żeby przyjrzeć się budynkowi. W prawie wszystkich pokojach na obu poziomach było

ciemno, tylko w dwóch świeciły się lampy za zaciągniętymi zasłonami. Mimo że motel sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie, znów, tak jak wtedy, kiedy przyjechałam tu pierwszy raz, poczułam ten dziwny dreszcz. Zaczęłam rozcierać dłonie, zastanawiając się, w jaki sposób zagospodaruję najbliższe siedem i pół godziny. „Co ja tu w ogóle robię?” – pomyślałam.

Nagle drzwi do jednego z niezajętych pokoi na piętrze otworzyły się, ukazując tonące w mroku wnętrze.

Zmrużyłam oczy. Nie, w tym pokoju na pewno nikt nie mieszkał. Nie dostrzegłam też nikogo w wejściu. A jednak drzwi stały otworem i na wietrze lekko uderzały o ścianę.

Widocznie zepsuł się zamek. Przecięłam parking i wspięłam się po schodach, mocniej opatulając się kurtką, bo im wyżej, tym zdawało się robić zimniej. Późna jesień na północy stanu Nowy Jork to nie przelewki. Szczypały mnie uszy i zaczynało mi lecieć z nosa.

Podeszłam do pokoju numer dwieście osiemnaście, złapałam za gałkę i pociągnęłam drzwi do siebie. Próbowałam ją przekręcić, żeby dobrze je zamknąć, ale nie udało mi się, a nie miałam przy sobie klucza. Pchnęłam drzwi i zobaczyłam, że po wewnętrznej stronie znajduje się specjalny zatrzask w formie tarczy. Obróciłam ją i zatrasnęłam drzwi.

W tej samej chwili otworzyły się inne – do dwieście szesnastki.

Lekko zaskrzypiały i tyle. Powiał wiatr i uderzył skrzydłem o ścianę. Cisza.

„Coś jest nie tak” – stwierdził głos w mojej głowie.

Zignorowałam go, podeszłam do kolejnych drzwi, położyłam dłoń na gałce i szybko rozejrzałam się po ciemnym pokoju. Łóżko, komoda, telewizor, łazienka.

Obróciłam tarczę, przyciągnęłam drzwi do siebie i upewniłam się, że są dobrze zamknięte. Po chwili znów się otworzyły, mimo że gałka nawet nie drgnęła. Zaskoczona trzasnęłam nimi prawie z całej siły. Nie minęło dziesięć sekund, jak ponownie uchyliły się z cichym skrzypnięciem.

Wychwyciłam niewyraźny odgłos, jakby ktoś stał po drugiej stronie. Szelest ubrania. Czyjeś kroki na wykładzinie. Poczułam woń kwiatowych perfum.

– Hej – odezwałam się i wyciągnęłam rękę, ale zanim zdążyłam dotknąć drzwi, zamknęły się z takim hukiem, że zatrzęsły się ściany.

Zaparło mi dech. Stałam z podniesioną dłonią i zmarzniętymi palcami. Lodowate powietrze omiotło moją twarz i wdarło się za kołnierz kurtki. Nie mogłam zebrać myśli. Byłam jak sparaliżowana.

Nagle otworzyły się drzwi do dwieście dziesięć.

Poczułam ucisk w piersi. Zmusiłam stopy do posłuszeństwa, przesunęłam się do tyłu i uderzyłam plecami o balustradę. Po moim kręgosłupie rozszedł się tępy ból. Miałam dłonie jak sople lodu. Niezgrabnie usiłowałam się obrócić, wycofać. Usłyszałam czyjeś ciężkie kroki.

Z pokoju dwieście dziesięć wyłonił się jakiś mężczyzna. Był trochę starszy ode mnie – przynajmniej tak mi się wydawało – ubrany w wytarte dżinsy i sprany ciemnoszary T-shirt. Miał niebieskie oczy o przeszywającym spojrzeniu, kilkudniowy zarost i brązowe, krótko obcięte włosy, zmierzwiłone, jakby właśnie wstał z łóżka.

Patrzyłam jak oniemiała. Mężczyzna nie był zjawą, a jednak jego obecność wprawiła mnie w osłupienie. Sprawdzałam w księdze i wiedziałam, że dwieście dziesiątka nie jest zajęta. Kim więc był i co tu robił?

– Ej – odezwał się do mnie, jakby był u siebie. – A ty to, kurwa, kto?

Wypuściłam gęsty obłok pary z ust. Cofnęłam się o krok.

– E...

– Po cholere walisz drzwiami w środku nocy? Ludzie chcą spać.

„To nie ja. A przynajmniej nie sądzę, żebym to była ja”.

– Co pan tu robi? Nie powinno tu pana być – odpaliłam. Pokazałam na drzwi za jego plecami. – W tym pokoju.

Spojrzał na mnie gniewnie.

– O czym ty gadasz, do cholery?

– Dzwonię na policję – oznajmiłam. Byłam pod wrażeniem tego, jak stanowczo zabrzmiałam, biorąc pod uwagę, jak bardzo byłam przerażona. Zbyt późno przypomniałam sobie, że w torebce, która została w recepcji, mam gaz pieprzowy od Heather. Zaczęłam się odwracać.

– Chwileczkę, niech pani zaczeka – powiedział pojednawczo. – Ja tu mieszkam. Naprawdę. Wszystko gra. Mam klucz i w ogóle. – Coś zabręczało i zobaczyłam w dłoni mężczyzny znajomą skórzaną przywieszkę z numerem pokoju.

Zawahałam się.

– Jak pan się nazywa?

– Nick Harkness.

– Nie ma pana w księdze gości.

– Nigdy się nie wpisuję. Ale wszystko gra, naprawdę. – Schował klucz i sięgnął do tylnej kieszeni w spodniach. – Chce mnie pani sprawdzić? Proszę bardzo. – Wyjął portfel i rzucił go na betonową podłogę galerii; wylądował z głośnym plaśnięciem. – Tu są moje dokumenty – powiedział. – Nie chciałem pani nastraszyć.

Zastanawiałam się, czy popełnię błąd, jeśli schylę się i podniosę portfel. Wiadomo, że seryjni mordercy rzucają się na człowieka w chwili nieuwagi. Podsunęłam sobie portfel nogą, po czym zgarnęłam go najszybciej, jak umiałam. W środku rzeczywiście znajdowały się dokumenty tożsamości wystawione na nazwisko Nicka Harknessa, a także sześćdziesiąt dolarów w gotówce.

– Okej – westchnęłam bardziej do siebie niż do niego. Zamknęłam oczy i potarłam grzbiet nosa pod okularami. – Dobrze, w porządku. Sytuacja opanowana.

Przyglądał mi się, wciąż stojąc w drzwiach do pokoju.

– Nic pani nie jest?

– Skądże – odpowiedziałam. – Czuję się wprost znakomicie. Jestem nocną recepcjonistką.

Nick zamrugął ze zdumienia swoimi bladoniebieskimi oczami. Dotarło do mnie, że przecież nie włożyłam niebieskiej firmowej kamizelki – ani pod kurtkę, ani tym bardziej na nią.

– Pani jest nocną recepcjonistką. – Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– No tak. Przepraszam za ten hałas. Nie wiedziałam, że pan śpi.

– Nie przyszło pani... Możemy jednak po imieniu? Nie przyszło ci do głowy, że waląc drzwiami w środku nocy, pobudzisz gości?

Jego ton ociekał sarkazmem. Miałam ochotę rzucić w niego tym durnym portfelem. „Coś otwierało drzwi i trzaskało nimi, ty kretynie, a ja mam naprawdę gównianą noc”. Ale nie potrafiłam się wściec. Patrzyłam na Nicka, jak stał w samej koszulce na listopadowym ziąbie, przyglądałam się jego postaci i twarzy – i dochodziłam do wniosku, że jest całkiem przystojny, mimo że na jego obliczu maluje się zmęczenie. Czyżby sypiał tak mało jak ja?

– Mógłbyś się postarać nie być bucem, wiesz? – powiedziałam. – Po prostu wykonywałam swoją pracę.

Drgnął mu mięsień na zuchwie. Nick odwrócił głowę.

– A skoro mowa o drzwiach... – ciągnęłam. – Zauważyłeś, żeby było z nimi coś nie tak? – Nadal milczał. – Otwierały się i zamykały, więc pomyślałam, że... To było naprawdę dziwne.

Czułam, że jednocześnie bredzę i brzmię jak słodka idiotka, ale Nick chyba nie zwracał na to uwagi. Nadal patrzył gdzieś w bok i z roztargnieniem drapał się po brzuchu, bardzo płaskim brzuchu, który ukazał się spod uniesionej mimowolnymi ruchami palców koszulki.

– Jezu... – mruknął pod nosem.

– Jasne. Spałeś. Oddaję portfel. Pójdę już.

– Jesteś nowa? – spytał. Nie wyciągnął ręki po portfel.

– Powiedzmy. – Tak.

– Jesteś – stwierdził. Opuścił dłoń, którą się drapał, i koszulka, niestety, zasłoniła przyjemny widok. – Rany, nie sądziłem, że naprawdę kogoś zatrudnią. Poprzedni koleś odszedł tydzień temu, a Chris właściwie nigdy tu nie przyjeżdża. Już myślałem, że postawił krzyżyk na motelu.

– Zatrudniłam się tymczasowo. Przynajmniej tak zakładam. A ty... mieszkasz tu od dawna?

– Mam układ z Chrisem.

– Jaki układ?

Rzucił mi kolejne gniewne spojrzenie; skubany, miał to przećwiczone.

– Taki, że mogę sobie tu mieszkać. W razie kłopotów dzwonię po gliny, a on w zamian daje mi święty pierdolony spokój. Tyle ci wystarczy?

Do diabła z nim. Cisnęłam jego portfelem o betonową podłogę, tak jak on to zrobił wcześniej.

– Ktoś mógł mnie uprzedzić. Żeby przypadkiem nie zeszła na zawał – powiedziałam. – Byłoby miło. Ale przynajmniej rozumiem, dlaczego siedzisz tu sam. Dobrej nocy życzę.

Zaczęłam odchodzić.

– Dam ci dobrą radę, nowa nocna recepcjonistko – zawołał za mną. – Jeśli znowu będzie ci się wydawało, że słyszysz, jak się otwierają i zamykają jakieś

drzwi, nie fatyguj się. Siedź za biurkiem i nie ruszaj się stamtąd. Najlepiej w ogóle nie wychodź z recepcji. Po prostu czekaj, aż skończy się twoja zmiana. Dotarło?

Obróciłam się na pięcie, żeby mu powiedzieć, że jest chamem, że ta przemowa była nie na miejscu i że nie powinien mnie tak traktować. Ale na sekundę mój wzrok zawędrował do jego pokoju i słowa uwięzły mi w gardle.

Nick tego nie zauważył.

– Dobra, idź już – rzucił. – Sio.

Odwróciłam się i zesłam po schodach, zeszywniałymi dłońmi kurczowo trzymając się poręczy, żeby się nie potknąć. Oczy łzawiły mi od zimna, a krew szumiała w uszach.

Wracając do recepcji, nie mogłam przestać myśleć o dwóch rzeczach.

Po pierwsze, Nick wiedział o drzwiach. Wiedział.

Po drugie, kiedy zajrzałam do jego pokoju, zobaczyłam łóżko, telewizor i zapaloną lampę. Łóżko było pościelone, ale poduszka miała wgniecenie.

A na szafce nocnej obok łóżka leżał lśniący metalicznym blaskiem pistolet. Leżał tam, jakby ktoś przed chwilą go odłożył. Jakby ktoś – Nick – trzymał go w dłoni tuż przed tym, jak otworzył drzwi.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

– Chwila, wróć – powiedziała Heather. – Możesz powtórzyć tę ostatnią część?

Ugryzłam kawałek tostu z masłem orzechowym. Rozmawialiśmy następnego dnia, po tym, jak wróciłam do domu z pierwszej nocnej zmiany w motelu Sun Down, padłam na łóżko i ciurkiem przespałam dziewięć godzin. Siedziałam teraz w spodniach od piżamy i moim ulubionym jasnoniebieskim T-shircie z napisem: „NA ŚNIADANIE TYLKO TORT”. Chętnie zjadłabym kawałek tortu na śniadanie, tyle że miałam jedynie tosty, no i nie była ósma rano, ale piąta po południu.

– No wiem – przyznałam. – Może był gliną albo kimś takim.

– Carly. – Heather zgromiła mnie wzrokiem, trochę jak Nick. Znów miała na sobie czarne poncho. Ulokowałyśmy się przy mikroskopijnym stole w kuchni. Ona z otwartym laptopem, na którym bez entuzjazmu klepała pracę na zaliczenie z terminem za sześć dni. – Żaden glina nie będzie pomieszkiwał przez kilka tygodni z rzędu w takim miejscu jak Sun Down. Martwe kobiety. Mówi ci to coś? Chodzi o to, żebyś nie została jedną z nich, tak? Powinnaś się trzymać jak najdalej od facetów ze spluwami. Trzeba go było psiknąć gazem.

– Nie wydaje mi się, żeby chciał mnie skrzywdzić – odparłam. – Nie potrzebowałam gazu. Wróciłam do recepcji i siedziałam, jak mi kazał.

– Przez całą noc?

Odłożyłam skórkę na talerz. Trochę wstydziałam się przyznać, że po spotkaniu z Nickiem za bardzo się bałam, by uskutecznić wyprawy poza recepcję. Drzwi, szelest materiału, zapach perfum, Nick Harkness – nieco za dużo atrakcji. Miałam wrażenie, jakby spowijał mnie obłok strachu, byłam nieobecna myślami, nie mogłam się skupić. Zdawałam sobie sprawę, że coś się wydarzy, ale nie miałam pojęcia co. To było samotne, przenikliwe uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doznałam.

– W szafce znalazłam stary komputer – powiedziałam. – Przez kilka godzin usiłowałam go uruchomić. Odebrałam trzy telefony: jedną pomyłkę i dwa lubieżne dyszenia. – Spojrzałam na Heather. – Kto robi takie rzeczy w tych czasach?

Heather aż się skrzywiła.

– Na pewno żaden przyzwoity człowiek. Udało ci się włączyć komputer?

Pokręciłam głową i wypiałam łyk kawy. Z początku dziwnie się czułam, jedząc śniadanie ze świadomością, że w tym samym czasie inni spożywają kolację, ale nawet trochę mi się to podobało.

– Chris, właściciel, mówił, że próbowali prowadzić rejestr gości na komputerze, tyle że w motelu ogólnie jest jakiś problem z elektroniką. Podłączyłam monitor, ale też nie chciał działać. Znalazłam jakiś stary egzemplarz Podpalaczki, więc przynajmniej trochę sobie poczytałam do końca zmiany.

– Hmm. – Heather klikała na laptopie. – Może dzisiaj coś się wydarzy.

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

– Spałaś, kiedy opowiadałam o drzwiach, które same się otwierały?

– Przecież mówiłam ci, że motel jest nawiedzony – odrzekła rzeczowo. – Najwyraźniej pogłoski są prawdziwe. Jak sądzisz, ile osób mogło stracić życie w takim miejscu? Myślę, że naprawdę wiele. Na przykład ten ktoś, kto umarł w basenie.

– Nie mamy żadnych dowodów na to, że ktokolwiek umarł w basenie.

– Przekonasz się, że mam rację.

Zdjęłam okulary i położyłam je na stole. Powoli przetarłam oczy, lekko uciskając kąciki oczodołów. Na chwilę świat zrobił się rozkosznie nieostry.

Dziś wieczorem musiałam tam wrócić. Nie mogłam pozwolić, żeby pokonało mnie kilkoro otwierających się pokoi. Pomyślałam o Viv, która pewnie od trzydziestu pięciu lat leżała w jakimś dole bez nagrobka, zapomniana przez wszystkich. Czułam, że w Sun Down znajdę przynajmniej część odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Nie, nie dam się odstraszyć upiorności i nudzie. Wypałam się i byłam gotowa na kolejne starcie. Byłam gotowa wygrać.

– Jeżeli jest glina, być może zdoła mi pomóc. – Jakoś nie mogłam przestać myśleć o Nicku Harknessie. O jego bładoniebieskich oczach. Jeszcze nigdy

nie spotkałam faceta o takim spojrzeniu.

– Na stówę nie jest gliniarzem – powiedziała Heather.

Opuściłam dłonie i spojrzałam na nią. Była rozmazaną blond plamą, dopóki nie włożyłam z powrotem okularów.

– Skąd ta pewność?

– Wyguglowałam go – poinformowała, obracając laptopa tak, żebym mogła zobaczyć, co się znajduje na ekranie. – Pochodzi z Fell, ale już tu nie mieszka, bo piętnaście lat temu jego ojciec śmiertelnie postrzelił brata Nicka i poszedł siedzieć. Po tym wydarzeniu Nick wyjechał z miasta.

Kiedy o jedenastej zameldowałam się na stanowisku pracy, nie zastałam nikogo w recepcji. Światło się świeciło, drzwi nie były zamknięte na klucz, ale nikt nie siedział za biurkiem. Wyglądało to tak, jakby osoba z popołudniowej zmiany po prostu na chwilę wyszła z budynku. Tyle że na wieszaku w kącie nie wisała żadna kurtka, a przeznaczone dla pracowników miejsce parkingowe było puste. W ogóle oprócz mojego auta stał tylko pikap z wczoraj. Domyśliłam się, że należał do Nicka.

Postawiłam torbę na podłodze i ściągnęłam kurtkę.

– Cześć? – zagadnęłam ciszę.

Brak odpowiedzi. Poczułam zapach dymu papierosowego. Może osoba, od której przejmowałam dyżur, wyszła zapalić? Ale nie widziałam nikogo na zewnątrz.

Wystawiłam głowę za drzwi recepcji, rozejrzałam się w obie strony.

– Halo?

Znowu woń dymu. Ale poza tym nic.

Wróciłam do biurka. Zerknęłam do księgi: zameldował się ktoś o nazwisku James March. Jedyne nowy gość od wczoraj. W rubryczce z numerem pokoju widniała liczba „103”. To właściwie tuż obok. Może James March kurzył pomimo wyraźnie widocznej, choć nieco poźółkłej tabliczki z informacją, że „NA TERENIE CAŁEGO OBIEKTU OBOWIĄZUJE ZAKAZ PALENIA”.

Usiadłam przy biurku i wyjęłam z torby plik wydruków. Przed pracą spędziłam kilka godzin w internecie i poważnie uszczupliłam zapas cennego tonera w małej drukarce Heather, ale za to powiększyłam swoją skromną kolekcję artykułów na temat Fell o teksty o Nicku Harknessie. Okazało się, że jest tego całkiem sporo.

Z tego, co o nim pisano, wynikało, że Nick ma dwadzieścia dziewięć lat. Jego matka utonęła, kiedy Nick był małym chłopcem. Od tamtej pory mieszkał ze starszym bratem Elim oraz ojcem, powszechnie znanym w Fell prawnikiem.

„Martin stał się nieobliczalny – powiedział o ojcu Nicka jego partner z kancelarii. – Bywał rozgniewany, czasem roztargniony. Nie mieliśmy pojęcia, co się z nim dzieje. Nie był sobą, ale nie wiedzieliśmy, jak mu pomóc”.

Pewnego dnia Martin wrócił do domu z pistoletem. Eli był w salonie, a czternastoletni Nick grał w grę wideo w swoim pokoju na piętrze. Policji udało się ustalić, że Martin dwukrotnie wypalił w pierś Eliego z bliskiej odległości. Nick otworzył drzwi balkonowe, przeskoczył przez kratkę, wylądował na ziemi i pobiegł do sąsiadów po pomoc.

Zapytany później, dlaczego uciekał, odparł: „Usłyszałem strzały, krzyk Eliego, a potem kroki taty na schodach”.

Kiedy policjanci przybyli na miejsce, na podłodze w salonie znaleźli zwłoki siedemnastoletniego Eliego. Jego ojciec siedział w kuchni i pił wodę. Pistolet leżał na blacie. „Gdzie Nick?” – chciał wiedzieć Martin.

Ponieważ ojciec Nicka był ważną postacią w lokalnej społeczności, w miejscowych mediach wybuchła prawdziwa wrzawa. „ZNANY PRAWNIK STRACIŁ PANOWANIE NAD SOBĄ” – pisano w nagłówkach. „DLACZEGO ZABIŁ WŁASNEGO SYNA?” – pytano, ale nikt nie znał odpowiedzi. „To się musiało skończyć – brzmiał jedyny komentarz Martina na temat zbrodni. – To wszystko musiało się skończyć”. Przyznał się do winy, ale nie powiedział nic nowego, co mogłyby wykorzystać gazety. Po kilku tygodniach znalazły się nowe tematy i o sprawie ucichło.

Ponownie przeczytałam artykuły, tym razem skupiając się na zdjęciach. Do jednego z tekstów dołączono fotografię czternastoletniego Nicka – bladoniebieskie oczy, charakterystyczne kości policzkowe; tak, to on – i podpisano ją: „Ocalały syn”. Nick pomieszkał kilka lat z krewnymi, a kiedy skończył osiemnaście lat, wyjechał z miasta. A jednak wrócił i od tygodni samotnie zajmował jeden z pokoi w Sun Down. Dlaczego? Co tu robił? Czego chciał?

Światło zamrugało, zgasło i znów się włączyło. Lampy fluorescencyjne pod sufitem zaczęły dziwnie buczeć. Wstałam, podeszłam do drzwi

i zerknęłam na znak przy wjeździe na parking. Działał, ale przez chwilę zamigotał.

Cholera. Coś się dzieje z zasilaniem. Wzięłam kurtkę, włożyłam ją i wyszłam na dwór. Oświetlenie w budynku wariowało, jakby rozszalała się burza, a przecież powietrze było zimne i nieruchome. Usłyszałam rytmiczny łomot, metaliczne stukanie, którego nie umiałam rozpoznać. Brzmiało jak jakieś urządzenie, zwłaszcza że towarzyszył mu przenikliwy warkot. Zorientowałam się, że odgłosy dobiegają z pomieszczenia z automatami. Pomyślałam, że pewnie maszyna do lodu ześwirowała od skoków napięcia.

Wiatr smagał mnie po twarzy. Opatuliłam się kurtką, podniosłam kołnierz. Znowu poczułam woń dymu papierosowego i ułamek sekundy później coś się o mnie otarło – dotknęło mnie i potrąciło tak, że musiałam cofnąć się o krok. W pustce nocy rozległ się czyjś męski głos: „Cholerna suka”.

Zrobiłam kolejny krok do tyłu. „Cholerna suka”. Usłyszałam to – naprawdę usłyszałam, w dodatku całkiem wyraźnie. Jęknęłam przez ściśnięte gardło i spojrzałam na motel.

Powoli gasły światła. Najpierw zamigłała i wyłączyła się lampa na samym końcu dłuższego boku budynku, a po niej następne, jak kostki domina. Sun Down zasnuwała coraz gęstsza i coraz bardziej nieprzenikniona ciemność. „Pewnie jakiś problem z korkami” – powiedziałam sobie, mimo że nigdy w życiu nie widziałam korków. Mrok posuwał się niepowstrzymanie, a kiedy objął jedną część motelu, zaczął spowijać drugą, aż dotarł do recepcji. Oświetlenie nad drzwiami przestało działać, a chwilę po nim wyłączył się neon. Byłam sama. W absolutnej ciszy.

Nagle zobaczyłam chłopca na galerii.

Miał osiem, może dziewięć lat i bladą, prawie białą twarz. Siedział po turecku na betonie i patrzył na mnie przez kratkę pod balustradą. Miał na sobie krótkie spodenki i kolorową koszulkę, wyglądał, jakby wybierał się na plażę. Dotknął dłonią kratki i pochylił się.

– Ej, ty! – krzyknęłam do niego zaskoczona. Z informacji w księdze gości nie wynikało, żeby zatrzymały się tu jakieś dzieci; w dodatku ubrane tak bardzo nieodpowiednio do pogody. Ruszyłam w stronę schodów. – Halo!

Chłopiec wstał, odwrócił się i pomknął przed siebie, oddalając się ode mnie. Usłyszałam jego drobne, równe kroki na stopniach. Zupełnie zapomniałam o dymie papierosowym, bezcielesnym przekleństwie i całej

reszcie. Pobiegłam wzdłuż budynku, licząc, że uda mi się złapać małego, kiedy będzie schodził.

Tymczasem on zeskoczył z ostatniego schodka i zniknął za rogiem. Zmierzał w kierunku ciemnego lasu.

– Hej! – krzyknęłam znowu, jakbym rzeczywiście mogła zmusić go do zatrzymania się i powrotu. Przeszedł mnie dreszcz, włoski na karku stanęły mi dęba. „Czy to się naprawdę wydarzyło? Tak wyglądało. A jeśli to był prawdziwy chłopiec?”

Stałam u podnóża schodów. Usłyszałam znajome kliknięcie, takie jak zeszłej nocy, kiedy zaczęły się otwierać drzwi do pokoi. Zrobiłam krok do tyłu, przekrzywiłam głowę i spojrzałam do góry, przenikając wzrokiem przez kratkę pod balustradą. Tym razem kliknięcie było pojedyncze, a po nim nastąpił inny znany mi już odgłos: szelest materiału. Kroki, stukot obcasów.

Cofnęłam się z zadartą głową. Lampa nad dwieście szesnastką była wyłączona, ale widziałam, że drzwi znowu są otwarte. Nagle ukazała się w nich kobieta i wyszła na galerię.

Była pogrążona w mroku, ale nie przeszkodziło mi to zobaczyć, że jest ubrana w ciemną – fioletową, a może granatową – kwiecistą sukienkę do kolan i z długimi rękawami. Na nogach miała czółenka. Była szczupła, miała smukłe łydki, zgrabne ramiona i kręcone, spływające na plecy włosy. Oparła dłonie na barierce, spojrzała na mnie i przez chwilę mogłam się skupić na bladym owalu jej twarzy i czarnej kresce wokół migdałowych oczu. Wyglądała jak miliony kobiet ze zdjęć w albumach rodzinnych z poprzedniej epoki, tyle że patrzyła na mnie – i była nieprawdziwa.

W jej rozżarzonych do białości oczach surowość i gniew mieszały się z niewiarygodnym smutkiem. Patrzyła na mnie – i była nieprawdziwa.

Rozchyliła usta, żeby coś powiedzieć.

Jęknęłam z przerażenia i wtedy złapała mnie za rękę czyjaś wielka, silna, prawdziwa dłoń. Obróciłam się i zobaczyłam Nicka wpatrującego się we mnie tymi swoimi bladoniebieskimi, przenikliwymi oczami.

– Co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery?! – wrzasnął.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami.

– E... – Zerknęłam do góry, ale po kobiecie nie było śladu. Poczułam panikę i niewysłowioną ulgę. – Widziałeś to?

Nie odpowiedział. Nadal trzymał mnie za rękę. Usłyszałam kliknięcie na galerii. Otworzyły się drzwi... jedno, drugie, trzecie, kolejne.

– Chodź – powiedział, ciągnąc mnie w stronę parkingu.

– Dokąd? – zdołałam wybąkać.

– Wynosimy się stąd. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, ale nie zostanę, żeby się przekonać. A ty?

Fell w stanie Nowy Jork Wrzesień 1982 roku

VIV

Kiedy już poznała sztukę z telefonem, starała się nie podsłuchiwać cudzych rozmów, ale nie zawsze umiała się powstrzymać.

Na przykład Jamie Blaknik. Chłopak w dzinsach i znoszonym T-shircie, który ćmił papierosy pomimo wyraźnie widocznej tabliczki z informacją, że „NA TERENIE CAŁEGO OBIEKTU OBOWIĄZUJE ZAKAZ PALENIA”, i za każdym razem, gdy się meldował, zaburzał zdolność Viv do wykrywania ducha palącego mężczyzny. Po dymno-słodkawym zapachu, który od niego wyczuwała, wywnioskowała, że jest dilerem marihuany, typem faceta, z jakim nigdy wcześniej nie miała styczności; na widok kogoś takiego – gdyby Viv odważyła się przyprowadzić go do domu – matka pewnie dostałaby zawału. Viv podobał się jego szorstki, nieco prymitywny sposób bycia, dlatego ilekroć wpisywał się do rejestru i szczerzył się do niej znacząco znad kontuaru, czerwieniła się od szyi po policzki. „Ładna noc” – mawiał, a ona kiwała głową jak idiotka. Aż pewnej nocy uśmiechnęła się do niego, jak tylko otworzył drzwi, i Jamie odwdzieczył się tym samym.

– Ładna noc – powiedział, wyciągając zwitek banknotów z kieszeni powycieranych dzinsów, i odliczył kilka dwudziestek.

Viv obrzuciła wzrokiem jego zmierzwione brązowe włosy, ładne szare oczy i lekko niedbałą postawę, naturalne wygięcie pleców, które biegło od ramion po biodra.

– Często u nas bywasz – zauważyła.

– Przeszkadza ci to? – spytał, przeciągając samogłoski. Wziął długopis i nabazgrał swoje nazwisko w rejestrze.

– Nie. Po prostu jestem ciekawa, na czym polega atrakcyjność tego miejsca. Podoba ci się widok?

Popatrzył na nią znad otwartej książki i posłał jej spojrzenie o tysiącu znaczeń. Gdyby tylko potrafiła odgadnąć to właściwe.

– Tak – odparł z nutą rozbawienia w głosie. – Podoba mi się widok.

– Świetnie – powiedziała, nie odrywając od niego oczu. – Nie będę cię niepokoić. Chcę, żebyś o tym wiedział. To nie moja sprawa, co robisz.

Jamie wyprostował plecy.

– W porządku. – Wyciągnął rękę po klucz. Nosił na nadgarstku skórzaną bransoletkę z plecioną tkaniną. – Odpowiada mi to. Ja nie zawracam głowy tobie, a ty mnie.

– Jasne. – Sięgnęła do szuflady.

– Chyba że będziesz chciała się zabawić – dodał. – Wtedy wystarczy, że przyjdiesz i zapukasz do drzwi.

Wolnego! Aż tak daleko nie była gotowa się posunąć. Wręczyła mu klucz i zatrzepotała rzesami, ale zrobiła to w tak teatralny sposób, że Jamie nie mógł się nie zorientować, że żartowała.

– Och, wykluczone – powiedziała. – Mogłabym stracić pracę.

Roześmiał się. Jego śmiech wywoływał w niej równie przyjemne uczucia jak cała reszta.

– Jak sobie chcesz, grzeczna dziewczynko – podsumował. – Impreza i tak się odbędzie. Miłej nocy.

Jamie wyszedł, a kiedy kilka minut później na telefonie zaświecił się jeden z przycisków z cichym, ledwo słyszalnym kliknięciem, Viv podniosła słuchawkę. „Cześć, stary – zabrzmiał rozkosznie niski głos Jamiego. – Zameldowałem się. Jedziesz już?” Wykonał i odebrał jeszcze kilkanaście połączeń do i od swoich klientów, a Viv – która nigdy nie widziała skręta, już nie mówiąc o paleniu go – słuchała uważnie. Chłonęła słownictwo dilera, przyswajała wiedzę o wagach i cenach towaru, podziwiała Jamiego za niezwykle poczucie humoru, chyba rzadkie w tej branży.

Innej nocy pewna prostytutka w przerwach między klientami dzwoniła do opiekunki, z którą zostawiła swoją czteroletnią córeczkę Bridget. „Pamiętaj, żeby wypić mleko. Możesz jej dać trochę popcornu, ale nie za dużo. Od razu poszła spać czy jeszcze wstawała? Czasami zdarza jej się dwa albo trzy razy siadać na nocniku. Dobra, muszę kończyć, odezwę się później”. Kobieta wymeldowała się wpół do szóstej rano. Idąc w obcisłych dżinsach i japonkach do samochodu, związywała długie włosy w koński ogon. Nadal było ciemno, ale światło o tej porze zwykle stanowi już zapowiedź zbliżającego się świtu; to zupełnie inna ciemność niż o północy – w niej mama Bridget wyglądała

niemal ładnie, jej włosy były lśniące, a pierś wypięta i dumna. Siedząca samotnie w recepcji Viv z zazdrością śledziła swobodne ruchy jej bioder.

– Trafiają ci się jakieś upiorne typy? – spytała któregoś wieczoru Jenny, kiedy obie szykowały się do pracy. Ubrana w szpitalny kitel jadła jogurt, podczas gdy Viv stała przy blacie w kuchni i robiła sobie kanapkę z mortadellą. Telewizor był włączony na wiadomościach o dwudziestej drugiej, ale głośność zmniejszona prawie do minimum. Viv miała na sobie dzinsy z podwyższonym stanem i częściowo wpuszczoną w spodnie luźną białą koszulkę; dodała do tego wąski czerwony pasek, który ładnie wyglądał w szlufkach.

Spojrzała zaskoczona na współlokatorkę.

– To znaczy?

Jenny wzruszyła ramionami. Tydzień wcześniej odnowiła sobie trwałą i Viv w skrytości zazdrościła jej nienaganych loków; zastanawiała się, czy przy ograniczonym budżecie ją też byłoby stać na taki zabieg.

– No wiesz, upiorne. Odrażające. Zboki. Homosie.

Po dwóch miesiącach w Sun Down Viv czuła się bardziej obyta. Już wiedziała, kim są homosie, choć nie potrafiłaby takiego rozpoznać ani nawet nie miała pojęcia, czy przypadkiem już jakiegoś nie spotkała.

– Widuję sporo dziwek – odrzekła zadowolona, że mogła użyć takiego słowa. – Ale żadnych homosiów.

Jenny pokiwała głową i zjadła łyżeczkę jogurtu. Viv poczuła, że zdała egzamin.

– Homosie pewnie chodzą do parku. Ale i tak praca w takim miejscu, do tego nocą, musi być przerażająca.

Viv pomyślała o kobiecie duchu, która kazała jej uciekać, i o nieznannej sile, która pchnęła ją w pomieszczeniu z automatami.

– Rzeczywiście, czasem taka bywa.

– Uważaj na siebie – powiedziała Jenny. – Żebyś nie skończyła jak Cathy Caldwell.

Viv zawięta kanapkę w arkusz papieru śniadaniowego.

– Cathy Caldwell?

Jenny poruszyła teatralnie brwiami i wyjaśniła, naśladując Vincenta Price'a:

– Zamordowana i odnaleziona pod wiaduktem przed dwoma laty. Zadżgana na śmierć! – Wróciła do swojego normalnego, znudzonego tonu. – Mieszkała kilka domów od moich rodziców. Matka dzwoni do mnie raz w tygodniu. Myśli, że skoro robię na nocki, na pewno przytrafi mi się to samo co Cathy, tak jakbym przyciągała kłopoty.

– Ona też pracowała na nocną zmianę? – spytała Viv.

– Nie, zwyczajnie wracała do domu – powiedziała Jenny, zanurzając łyżeczkę w jogurcie. Viv wciągnęła wyraźny zapach kwaśnego mleka. – Moją matkę przeraża myśl, że któregoś razu odbierze telefon o północy i usłyszy: „Pani córka nie żyje!”. Aha, i nie chodź na jogging, bo podzielisz los Victorii Lee, którą zamordowano i porzucono przy ścieżce na obrzeżach miasta.

Viv zapomniała o kanapce. Wpatrywała się w Jenny, czując, jak na jej piersi zaciska się stalowa obręcz.

– Co ty mówisz? W Fell grasuje morderca?

– Nie. – Jenny wydawała się całkowicie pewna. – Victorię zabił jej chłopak. Po prostu od tamtej pory trochę boimy się biegać. Ale Cathy... – Otworzyła szeroko oczy i znów poruszyła brwiami. – Może to sprawa Michaela Myersa. Albo jak w tej historii o opiekunce do dzieci. „Morderca jest w domu!”

Viv roześmiała się, ale jej rozbawienie było wymuszone. Przypomniała sobie mężczyznę, który w samochodzie położył dłoń na jej udzie. Mógł porzucić jej martwe ciało w jakimś rowie i nikt by się nawet nie dowiedział, co zaszło.

– Okej, będę się trzymała z daleka od tras do joggingu – oświadczyła. – Zresztą i tak nie biegam. Ale nie, w motelu nikt mi się nie naprzykrzał. – Nawet Jamie Blaknik był na swój sposób sympatyczny.

– Chciałaś powiedzieć, że jak dotąd nikt się nie naprzykrzał – zauważyła rzeczowo Jenny. Zmierzyła Viv wzrokiem. – Jesteś ładna. Siedzisz tam zupełnie sama. Takie dziewczyny jak my muszą się mieć na baczności. W nocy nie wychodzę na dwór nawet na papierosa. Powinnaś nosić przy sobie nóż.

– Daj spokój, nie mogę nosić noża.

– Jasne, że możesz. Przecież nikt ci nie każe dźwigać maczety, tylko taki mały, wiesz, dla kobiet. Sama też myślałam, czyby sobie nie sprawić. Gdyby któryś z dziadków zaczął się za mocno przystawiać, wtedy... dziab! – Udała,

że wbija ostrze w blat. Viv znów się roześmiała. Jenny opowiadała, że praca nocnej pielęgniarki w domu spokojnej starości to nuda jak mało co, a starzy ludzie są dziwni i beznadziejni. Raczej za nimi nie przepadała. W ogóle chyba mało kogo lubiła, ale dziś najwyraźniej była dla Viv łaskawa.

Kiedy Jenny pojechała do pracy, Viv jeszcze przez jakiś czas krzątała się po mieszkaniu i zbierała swoje rzeczy. Na ekranie telewizora, który nadal grał w tle prawie bez głosu, pojawiła się piękna brunetka, a obok niej plansza „ZASADY BEZPIECZEŃSTWA DLA NASTOLATEK”. „Po zmroku nigdy nie wychodź sama – mówiła prezenterka o pięknie uszminekowanych ustach. – Korzystaj z dwójkowego systemu wzajemnej pomocy. Nigdy nie wsiadaj do auta z nieznajomymi. Noś przy sobie gwizdek lub latarkę”.

Viv wyłączyła telewizor i wyszła.

Usiadła za biurkiem, przepisowo ubrana w firmową kamizelkę, i w nocnej ciszy recepcji wyjęła notatnik. Od pierwszej klasy podstawówki doskonaliła staranny, bogaty w typowo kobiece pętelki i zawijasy charakter pisma, którym teraz umieściła na kartce skrótowe informacje: „Cathy Caldwell. Znaleziona pod wiaduktem. Victoria Lee. Trasa do joggingu. Chłopak?”.

Włożyła końcówkę długopisu do ust, pogryzła przez chwilę i dodała: „Kupić gwizdek? Latarkę? Nóż?”.

Usłyszała chrzęst opon na parkingu. Spodziewała się tego, bo Robert White, facet po czterdziestce, który zdradzał żonę z kobietą o imieniu Helen, zameldował się pół godziny wcześniej. Sam i bez bagażu, tak jak poprzednim razem.

Zaciekawiona odłożyła długopis, wymknęła się z recepcji i szybko wślizgnęła do pomieszczenia z automatami, skąd miała dobry punkt obserwacyjny. Helen zatrzymała swojego thunderbirda obok auta White'a i wysiadła. Była ubrana w jednoczęściową kopertową sukienkę w perłowo niebieskim kolorze, który podkreślał jej elegancko ułożone, krótkie, ciemne włosy. Tym razem White otworzył, zanim zdążyła zapukać. Uśmiechnęli się do siebie, White wpuścił Helen do środka i zamknął za sobą drzwi.

Viv już miała wracać do biurka i notatnika, kiedy zobaczyła, że z szosy zjeżdża kolejny wóz.

Ciemnozielony sedan wtoczył się na parking i stanął kilka miejsc za thunderbirdem Helen. Viv czekała, ale nikt nie wysiadał. W momencie gdy Helen i White znikali w pokoju, Viv ujrzała obiektyw aparatu – celował przez

okno po stronie pasażera, po czym wycofał się do środka i szyba zaczęła się podnosić.

Viv czekała ze wzrokiem utkwionym w sedanie, ale nic więcej się nie wydarzyło. Samochód nadal stał prawie na końcu parkingu, a jego drzwi pozostały zamknięte. Ten, kto w nim siedział, najwyraźniej gotów był czatować na Helen tak długo, jak to będzie konieczne. Gorzej, że miał nieprzesłonięty widok na pomieszczenie z automatami i zobaczyłby wychodzącą stamtąd Viv.

Ale nie mogła się przecież ukrywać całą noc. Sięgnęła do kieszeni i znalazła w niej dwadzieścia centów. Wrzuciła monetę do urządzenia ze słodyczami, wybrała snickersa i wyszła. Postanowiła skorzystać z podpatrzonej w teatrze sztuczki: zamykając drzwi, zrobiła to na tyle demonstracyjnie, żeby patrzący wyraźnie zobaczył firmową niebieską kamizelkę pracownicy motelu Sun Down i trzymany przez nią baton. „Nic nadzwyczajnego – pomyślała. – Po prostu recepcjonistka nabrała ochoty na coś słodkiego”. Wróciła do budynku i zamknęła za sobą drzwi, po czym podsunęła się do okna i zerknęła na samochód. Może jej się tylko wydawało, ale miała wrażenie, że dostrzega jakiś ruch po stronie pasażera. Bez sensu. Po co ktoś miałby robić jej zdjęcie? Nie miał ku temu żadnego powodu.

Noc okazała się zaskakująco obfita w wydarzenia. Przy motelu zatrzymała się ciężarówka i jej kierowca zapytał o drogę, a kiedy Viv przeprosiła, mówiąc, że niestety, nie umie pomóc, wyciągnął składaną mapę i razem pochylili się nad nią, żeby znaleźć najkrótszą trasę do autostrady, na którą usiłował wrócić. Viv odebrała kolejny telefon z dyszeniem. Pralnia zostawiła kosz z czystą pościelą za budynkiem i Viv musiała wykombinować, jak otworzyć pomieszczenie gospodarcze i wtoczyć kosz do środka. Przez cały ten czas wciąż wracała myślami do sceny na parkingu – do zamkniętych drzwi do pokoju, trzeciego auta, które zatrzymało się w bezpiecznej odległości, aparatu fotograficznego i obserwacji. Zastanawiała się, czy mężczyzna w zielonym sedanie przesiedzi tam całą noc. Ciekawe, czy mu się nudzi. Ciekawe, czy ją widział.

Tuż po drugiej przyjechało kolejne auto. Wysiadł z niego samotny mężczyzna, który od razu skierował się do recepcji. Miał na sobie garnitur i trencz, niósł walizkę oraz teczkę. Kiedy stanął przed kontuarem, Viv przypomniała sobie o manierach, podniosła głowę znad notatnika i uśmiechnęła się. Gość wydał jej się dziwnie znajomy. Dosyć przystojny,

gładko ogolony trzydziestoparolatek. Z pozoru wyglądał jak tysiące innych facetów w tym wieku, ale miał w oczach coś, co rozpoznawała.

– Dobry wieczór – powiedział, mimo że był środek nocy. Postawił walizkę na podłodze, obok niej umieścił teczkę. – Poproszę pokój.

– Oczywiście – odrzekła Viv z lekko przygasłym uśmiechem. – To będzie trzydzieści dolarów.

– Wiem – potwierdził mężczyzna z rozbawieniem i Viv znów doznała tego osobliwego uczucia, swojskości z nutą strachu, jakby powracał do niej zły sen, którego szczegółów nie potrafiła sobie przypomnieć. „Nie powinien się uśmiechać” – pomyślała, ale natychmiast sama się zrugowała. Z jego uśmiechem wszystko było w najlepszym porządku. Wyglądał doskonale.

Czekała, aż mężczyzna powie coś więcej, ale on milczał.

– Aha – skwitowała więc uprzejmym tonem.

Stał przed kontuarem, nadal szczerząc zęby.

– Nie pamięta mnie pani, prawda? – odezwał się po dłuższej chwili. – Zatrzymałem się tu przed kilkoma tygodniami. Ja panią zapamiętałem. No ale cóż, widocznie nie rzucam się w oczy.

Coś jej zaświtało.

– No przecież – powiedziała. – Pan komiwojażer.

– Zgadza się – potwierdził z uśmiechem. – I tak jak poprzednio potrzebuję pokoju na dziś oraz być może na jutro, ale to się okaże dopiero po rozmowie z przełożonymi. Bo wie pani, jeżdżę tam, gdzie każe mi szefostwo.

Viv pokiwała głową i podsunęła mu księgę gości.

– W porządku – zgodziła się, mimo że walczyła z przemożnym pragnieniem pozbycia się go stąd, przegnania go w diabły. Ale musiała być dla niego uprzejma; na tym polegała jej praca. – Nie ma sprawy.

– Dziękuję.

Wziął od niej długopis, czubkami palców niemal ocierając się o jej dłoń, i szybko napisał swoje nazwisko. Następnie wręczył jej trzydzieści dolarów.

– Wrócę jutro, jeżeli będę musiał zostać na jeszcze jedną noc.

Vivian pokiwała głową i podała mu klucz do dwieście dziesiątki.

– Bardzo proszę. Spokojnej nocy.

– Dziękuję... – Teatralnie zawiesił głos. – Jak pani ma na imię?

Poczuła się osaczona.

– Vivian – powiedziała. Nie chciała, żeby nazywał ją Viv.

– Vivian – powtórzył. Uchylił kapelusza, którego nie miał, podniósł walizkę oraz teczkę i wyszedł.

Viv przez chwilę stała bez ruchu w ogłuszającej ciszy, a potem podeszła do okna i zobaczyła, jak komiwojażer wspina się po schodach na galerię.

Samochód Helen zniknął, podobnie jak stojący na końcu parkingu sedan. Cholera, przegapiła go. Jedyne rozrywkę, na jaką mogła liczyć tej nocy.

Wróciła do biurka i zajrzała do rejestru. Komiwojażer wpisał swoje nazwisko dużymi, grubymi literami: JAMES MARCH.

Przewróciła kilka stron, przypominając sobie tamtą noc z zapachem dymu papierosowego i głosami. Przesuwała wzrokiem po rubrykach, aż natrafiła na identyczny charakter pisma.

Poprzednim razem komiwojażer zameldował się jako MICHAEL ENNIS.

„Tutaj nikt nie mówi prawdy – pomyślała. – Nikt i nigdy”.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Nick miał wielkiego, czarnego pikapa, który robił mnóstwo hałasu. W kabinie wozu unosił się słaby, ale wyczuwalny zapach płynu po goleniu, tak że nawet spanikowana i w półdelirycznym stanie poczułam solidne kopnięcie testosteronu. Mknęliśmy szóstką. Siedziałam w wysokim fotelu ze skórzanym obiciem, zarazem uspokojona i wytrącona z równowagi. Nie byłam już sama. Mężczyzna wziął sprawy w swoje ręce. Ale mimo to...

Mimo to...

Skręciliśmy na parking przed całodobowym Denny. Nie miałam pojęcia, w którym kierunku odjechaliśmy spod motelu ani jak długo trwała nasza podróż. Kilka minut? Równie dobrze mogło minąć kilka godzin.

– Zaczekaj tu – powiedział Nick i wysiadł.

Ręce mi się trzęsły, a do pleców kleił się zimny, zasychający pot. Odprowadziłam Nicka wzrokiem. Poruszał się z niewymuszoną swobodą, która sprawiała, że czułam przyjemne łaskotanie w brzuchu – i jednocześnie cała się spinałam. „Nie znasz tego mężczyzny – podpowiadał mi mój nakręcony adrenaliną instynkt. – Kiedy ostatnio go widziałas, miał przy sobie broń. Jego ojciec to morderca. Byłaś z nim sama w jego samochodzie w środku nocy”. W motelu została moja torba, a w niej telefon i gaz pieprzowy, który dostałam od Heather. Położyłam dłoń na klamce i nacisnęłam na próbę. Oczywiście nie stawiała oporu. Drzwi nie były zablokowane. Nick nie zamknął mnie w aucie, takie rzeczy się nie zdarzają.

No tak, ale nie zdarzają się też takie rzeczy jak znikający chłopiec albo kobieta w dwieście szesnastce.

Desperacko przełykałam powietrze, usiłując zapanować nad narastającą paniką. Mogłam wysiąść i pójść do restauracji poprosić o pomoc. Ale na co liczyłam – że wezwą policję? A może po prostu chciałam stąd uciec? Pojechać do domu?

Do domu – czyli dokąd? W tamtej chwili nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić Illinois. Nie wiedziałam, jak wygląda. Miałam przed oczami tylko mieszkanie, które dzieliłam z Heather, i motel Sun Down. Powinnam zadzwonić do Heather? A jeśli zarazę ją swoją paniką?

Podskoczyłam na dźwięk skrzypnięcia otwieranych drzwi. Nie zauważyłam, kiedy Nick wyszedł z knajpy. Usiadł za kierownicą, ale nie włożył kluczyka do stacyjki. Podał mi papierowy kubek z logo sieciówki, drugi zostawił sobie.

Powąchałam. Gorąca czekolada. Zajrzałam przez dziurkę w wieczku i ujrzałam bitą śmietaną na wierzchu. Przez chwilę wpatrywałam się w zawartość kubka tak zdziwiona, że nie wypiałam nawet odrobiny.

– Nie wiedziałem, czy lubisz kawę – powiedział Nick. Zerknęłam na niego i zobaczyłam, że mi się przygląda. – Zapomniałem zapytać. Pomyślałem, że czekolada to pewniak.

– Dziękuję – wychrypiałam.

Nadal nie odrywał ode mnie wzroku. Do kabiny docierał sączący się z okien restauracji blask, w którym połowa twarzy Nicka była podświetlona, połowa jakby pochłonięta przez ciemność. Patrząc na niego teraz, nie umiałabym zgadnąć, ile ma lat, mimo że znałam jego wiek z artykułów w gazetach. Był przystojny, ale sprawiał wrażenie zblazowanego i może odrobinę szalonego. Sama pewnie też wyglądałam jak wariatka, a światło odbijające się w moich okularach raczej nie przydawało mi urody.

– Jak masz na imię? – spytał szorstko.

Zaskoczył mnie. Ale fakt, nie przedstawiłam się. Jeżeli był seryjnym mordercą i gwałcicielem gustującym w kobietach, które właśnie spotkały ducha, to i tak już niewiele mogłam zrobić; co najwyżej chlusnąć mu w twarz gorącym napojem i spróbować uciec.

– Carly. – Wzięłam łyk czekolady z roztopiającą się, zabójczo słodką bitą śmietaną; smakowała niebiańsko.

– Carly – powtórzył. – Powiedz, że widziałaś to samo co ja.

– Tak – potwierdziłam. – Widziałam małego chłopca i... kobietę.

Była – i nie była kobietą. Była czymś innym.

– Jezu. – Przeciągnął dłonią po porastającej brodzie szczecinie. Miał na sobie granatową flanelową koszulę w kratę narzuconą na T-shirt. Był bez kurtki.

Kiedy usłyszał hałas, pewnie wybiegł z pokoju, nie myśląc o ubraniu.

– Mieszkasz w motelu od iluś tygodni – powiedziałam. – Czy coś takiego miało wcześniej miejsce?

– Nie. – Opuścił dłoń i wpatrzył się w przednią szybę. – Bez przerwy słysząc różne odgłosy, nawet kiedy budynek jest pusty. Czuć dziwne zapachy. No i drzwi... widziałaś, co się z nimi dzieje. To się często zdarza. Światło gaśnie i się zapala. Którejś nocy zobaczyłem kobietę na moim łóżku. Siedziała w nogach. Obudziłem się i była tam, patrzyła na mnie. Materac się pod nią nie ugiął, jakby nic nie ważyła. Zamrugalem i zniknęła. Czułem jej perfumy i coś jeszcze, taki miedziany zapach, wiesz, jak krew. To było jakieś dwa tygodnie temu.

Serce zaczęło mi walić od samego słuchania. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym się znaleźć tak blisko tej kobiety, tak blisko tego, czym była.

– Mimo to zostałeś? – spytałam z niedowierzaniem. – Nie wyniosłeś się stamtąd po tym wszystkim?

– No wiem. Ale mam swoje powody.

– Na pewno jakieś szalone.

Pokręcił głową.

– Wcale nie. – Głos lekko mu się łamał, co dawało się usłyszeć jedynie wtedy, kiedy się dobrze nastawiło uszu. Wierzył w nie, w te powody, jakiegokolwiek by były. – Nie powinnaś wspominać o szaleństwie. Przecież doskonale wiesz, że wrócimy tam, jak tylko skończymy pić czekoladę.

Otworzyłam usta, żeby zaserwować mu gotową odpowiedź: „Nie ma mowy. W życiu tam nie wrócę. Do diabła z portfelem i moimi rzeczami. Do diabła z robotą i Viv. Nie ma takiej opcji”.

Ale ugryzłam się w język, bo Nick miał rację. Uciekliśmy z Sun Down w samym środku tego, co się tam rozgrywało. Cholernie chciałam się dowiedzieć, jak to się skończyło.

Byłam ciekawa, jak teraz wygląda motel. Gdzie się podziewają duchy?

Przechyliłam kubek i wlałam w siebie spory łyk gorącego przysmaku. Mężczyzna, który siedział obok mnie, nie pasował mi do tego słodkiego napoju. Wytarłam usta i powiedziałam:

– Wyguglowałam cię.

Nie odezwał się, ale poczułam, że się spał.

– Musiałam – wyjaśniłam. – Mieszkasz w motelu, w którym pracuję na nocną zmianę. Nie figurujesz w księdze gości. I trzymasz pistolet na szafce przy łóżku.

– Dla bezpieczeństwa. – Otworzył wolną dłoń. – Nawet nie pomyślałem, żeby go zabrać. Nie mam go przy sobie. – Spojrzał na mnie. – Długo mnie nie było. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy dźwiga się ciężar nierozwiązanych spraw z przeszłości, które wciąż każą ci wracać w to samo miejsce.

Mylił się. O, jak bardzo się mylił.

– Zakładałam, że wiesz, co się wydarzyło w mojej rodzinie. Niektórzy ludzie potrafią zapomnieć o czymś takim albo pogodzić się ze stratą i żyć dalej. Mnie się to nigdy nie udało. Przez te wszystkie lata byłem jak otwarta rana. Narkotyki, alkohol... nic nie pomagało. Dlatego pomyślałem, że przyjadę tu, spojrzę na to miejsce oczami dorosłego człowieka. Stawię czoła przeszłości. Zameldowałem się w Sun Down na jedną noc, tylko na jedną. I wiesz co?

– Nie?

– Przespałem ją. – Uśmiechnął się kącikiem ust i przez chwilę ujrzałam w nim nastolatka, którego widziałam na zdjęciu w gazecie, tamtego przystojnego, prawego młodziaka gotowego zmierzyć się z życiem. – Naprawdę przespałem, co nie zdarzyło mi się od wielu lat. Jestem człowiekiem nocy. Cierpię na bezsenność od tak dawna, że nawet nie pamiętam, kiedy się zaczęło. Tymczasem położyłem się na łóżku w Sun Down i spałem przez bite jedenaście godzin. Tak po prostu. – Głośno pstryknął palcami.

– Akurat tu, gdzie to wszystko się wydarzyło? Fell jest jedynym miejscem, w którym możesz się wyspać?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. – Spojrzał za okno. – Eli jest tu pochowany, moja mama też. Nie umiałem się odnaleźć w żadnym innym miejscu. Może to popieprzone miasto jest moim domem, czy tego chcę, czy nie.

Milczałam. Myślałam o słowach Heather: „Niektórzy z nas lubią mrok. Bo go dobrze znają”.

– Dlatego zostałem – ciągnął Nick. – Dałem Chrisowi torbę pieniędzy i kiedy się zorientował, że nie diluję ani nie odstawiam żadnych podejrzanych akcji, po prostu zostawił mnie w spokoju. Mogę spać do woli. Za każdym

razem, kiedy kładę się w Sun Down, zasypiam. Nieważne, dzień czy noc. Chcesz wiedzieć, co robię od miesiąca? Nadrabiam zaległości w śnie.

– A potem obudziłeś się pewnej nocy i zobaczyłeś kobietę na łóżku.

– Tak. Gdy zniknęła, znów zasnąłem. Wiem, że to dziwne, ale tak zrobiłem. Sun Down mnie do tego zmusza, a ja posłusznie wypełniam jego wolę. Nie przejmuję się dźwiękami, zapachami ani obcymi kobietami. Wrócę do motelu, bo tylko tam mogę spać.

Zagryzłam wargę. To, co mówił Nick, brzmiało na swój sposób sensownie w tym zwichrowanym nocnym świecie.

– Ja też nie zamierzam się poddawać – powiedziałam. – Tak się składa, że podobnie jak ty, nie trafiłam tu przypadkowo. W osiemdziesiątym drugim w Sun Down zaginęła bez wieści moja ciocia. Chcę się dowiedzieć, co się z nią stało.

O dziwności tamtej nocy niech świadczy fakt, że Nick nawet nie mrugnął okiem.

– Ale... pracowała tam? Tak jak ty?

– Tak. Przyjechałam do Fell, bo czułam, że nikt się szczególnie nie przyłożył do tego, by ją odnaleźć. Tak się złożyło, że Chris akurat szukał kogoś do motelu, więc się zgłosiłam.

Pokiwał głową, jakby to wszystko było najzupełniej normalne.

– Ta kobieta w sukience... to ona?

Zaprzeczyłam. Byłam na dziewięćdziesiąt procent pewna, że nie, ale wszystko wydarzyło się tak szybko...

– Nie wydaje mi się. Ubranie nie pasowało do jej czasów, poza tym miała włosy w innym kolorze i nosiła inną fryzurę. Nie, to nie była Viv.

– No tak. Zwróciłem uwagę na tę sukienkę – powiedział Nick. – Skojarzyła mi się z latami siedemdziesiątymi. Czyli ta kobieta jest za stara, żeby być twoją cicią. – Drgnął mu mięsień na żuchwie. – Ale przecież kimś musi być. To pewne. Nie jest nikim.

Patrzyłam przez szybę na brzydki parking. Tej nocy widziałam rzeczy, o których każdy, kogo znałam, powiedziałaby: nie, to niemożliwe. Ale tutaj, w tej ciemnej kabinie pikapa, były prawdziwe. I zrozumiałe. A jako problemy być może nawet rozwiązywalne. Piekły mnie oczy, coś uciskało mnie w piersi.

Czułam, że ta noc okaże się zbyt krótka, zabraknie mi godzin i z pewnością nie zasnę. Miałam wrażenie, że już nigdy nie będę zmęczona.

„Nie jest nikim”.

– Możemy zacząć od sukienki – powiedziałam. – Dowiemy się, z której dekady pochodzą takie stroje. Przejrzymy archiwa miejscowej gazety. Wiemy przynajmniej, że ta kobieta umarła, prawda? Bo przecież nie ma duchów żywych ludzi.

Łypnęłam na niego. Przyglądał mi się. Wypił łyk kawy i wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale chyba masz rację.

– Założmy, że umarła w latach siedemdziesiątych. W motelu. Jest szansa, że w lokalnej prasie znajdziemy o tym jakąś informację. Jeżeli pochodziła z Fell lub okolic, być może jej rodzina nadal tu mieszka. Moglibyśmy z nimi porozmawiać. – Znowu zerknęłam. – Sama mogę porozmawiać, jeśli nie chcesz. Ten chłopiec... On też musiał umrzeć w motelu. Nie wiem, jak był ubrany, ale jeżeli w Sun Down zmarło dziecko, na pewno nie zostało to przemilczane przez media.

– Wydawało mi się, że szukasz swojej cici. – Głos Nicka zabrzmiał niemal łagodnie.

Poczułam pieczenie w gardle.

– Bo szukam – odparłam. – To wszystko jest częścią poszukiwań. Po prostu uważam, że... – Nabrałam powietrza. – Myślę, że to, co zabiło kobietę i chłopca, mogło również zabić Viv. A to znaczy, że być może jest tam z nimi. – Oparłam głowę na zagłówek. Oczy nadal mnie szczypały, ale nie było w nich łez. – Może uda mi się ją zobaczyć – powiedziałam. Z trudem to sobie wyobrażałam: że Viv wyłoni się z jednego z pokoi w Sun Down, ujrzę tę twarz, którą dotąd oglądałam tylko na zdjęciu w gazecie, te śliczne oczy i szeroki uśmiech. Usłyszę jej kroki. Przysiądzie w nogach łóżka.

Przerażała mnie ta perspektywa. Ale mimo to...

Mimo to...

Przecież po to tu przyjechałam.

„Nie była nikim”.

Znalazłam się we właściwym miejscu. Teraz musiałam tylko do niego wrócić.

Dopiero kiedy zajechaliśmy na parking, przypomniałam sobie o drugim gościu motelu. James March, którego nazwisko widniało w księdze.

Do Sun Down powróciło zasilanie i znak przy drodze znów oblewał szóstkę swoim niebiesko-żółtym blaskiem. Sprawdziłam godzinę na telefonie: dwadzieścia trzy po pierwszej.

Wysiedliśmy z pikapa i przyjrzelśmy się budynkowi. Sun Down wyglądał jak zwyczajny motel, ale oboje wiedzieliśmy, że nim nie jest. Na razie pozostawał... uśpiony. Drzemał. „Wstąp, wędrowcze – zachęcał przyjazny znak. – Połóż się i zamknij oczy. Wyzbądź się trosk aż do świtu. A jeśli zobaczysz kogoś w nogach łóżka, nie zwracaj uwagi. To tylko jedna z moich tajemnic. Nie zdradzę ci jej”.

W pokojach było ciemno. Neon nad drzwiami działał, podobnie jak lampy w recepcji, ale poza tym w budynku nie było włączone żadne inne źródło światła, jeśli nie liczyć tych na dole i na galerii, które jak zwykle dawały nikłą i bladą poświatę.

– Sto trójka – odezwałam się do Nicka.

Obszedł auto skulony; przypomniałam sobie, że za całą jego ochronę przed zimnem robiła flanelowa koszula.

– Co?

– Mamy gościa w sto trójce – wyjaśniłam. – Mężczyznę. To znaczy, mieliśmy, zanim zaczęło się to całe zamieszanie.

Nick powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem. Pokój numer sto trzy tonął w ciemności, tak jak wszystkie pozostałe.

– Hm – mruknął i ruszył przez parking w stronę drzwi.

– Nie powinniśmy zakłócać mu spokoju w środku nocy – powiedziałam, podbiegając.

– Jeżeli słyszał to, co się działo wcześniej, jego spokój i tak został zakłócony.

– Myślisz, że to przespał?

– Nie mam pojęcia. Zapytam go.

Zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Nie zapaliło się też światło. Kiedy Nick walnął pięścią, drzwi same się otworzyły.

Staliśmy w wejściu do ciemnego pokoju. Spojrzeliśmy po sobie. Nick ściągnął brwi i powiedział:

– Zaczekaj tutaj. – Powoli wszedł do środka. – Halo, jest tu kto? – usłyszałam.

Wrócił po minucie.

– Nikogo nie ma. I nie wygląda, żeby w ogóle ktokolwiek się tu zatrzymał. Łóżko jest nietknięte, tak jak cała reszta.

– Jego nazwisko widnieje w księdze gości – zdziwiłam się. – Może zwolnił pokój.

Nick wyszedł na chodnik i rozejrzał się po parking, na którym stały tylko moje auto i jego pikap.

– Czym przyjechał?

Zaczęłam się zastanawiać. Był samochód, musiał być jakiś samochód. Pamiętałam, że kiedy zjawiłam się na swoją zmianę, recepcja była pusta, co wydało mi się dziwne. Wyjrzałam wtedy na parking i zobaczyłam swój wóz oraz pikap Nicka.

Poszłam teraz do recepcji. Drzwi były otwarte, światło włączone. W środku wszystko wyglądało tak, jak to zostawiłam; moja torba nadal stała na podłodze obok biurka. Wchodząc, wciągnęłam powietrze nosem ciekawa, czy poczuje zapach dymu papierosowego, ale nie.

Usłyszałam za sobą kroki Nicka. Podeszłam do biurka, otworzyłam księgę i znalazłam stronę z dzisiejszą datą. Pokój 103: James March. Obce, patykowate pismo. Wysunęłam szufladę i zaczęłam szperać w kluczach. Oprócz klucza do dwieście dziesiątki, którą zajmował Nick, wszystkie, łącznie z tym do sto trójki, były na swoim miejscu.

Wyjęłam go, trzymając za skórzaną przywieszkę, i pokazałam Nickowi.

– Mógł go zwrócić – zauważył. – Drzwi do recepcji nie były zamknięte, szuflada też nie.

– Nie było samochodu – powiedziałam.

– Jak wyglądał ten mężczyzna? Ty go meldowałaś?

– Nie mam pojęcia. I nie, nie ja.

– W takim razie kto?

– Kiedy przyjechałam do pracy, w recepcji nikogo nie było. Drzwi były otwarte, światło się świeciło, a w księdze widniało to nazwisko. Nic więcej nie wiem.

Nick przysunął sobie rejestr i wpatrzył się w niego.

– James March – mruknął. – Skoro nie ma go tutaj, to gdzie jest?

Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku

VIV

Przy North Edge Road, niedaleko wjazdu na autostradę międzystanową, stała tania restauracja o nazwie Turnabout. Będąc na terytorium truckersów i nocnych kierowców, właśnie tam, na peryferiach miasta, można było znaleźć lokal otwarty do późna.

W Turnabout nie serwowano wyszukanych potraw, zresztą kawa też nie była szczególnie smaczna, ale Viv to nie przeszkadzało. Za trzy dolary mogła coś zjeść i pobycć wśród ludzi – prawdziwych ludzi, którzy się znali i rozmawiali ze sobą. Zdążyła zapomnieć, jak wygląda kontakt z kimś, kto nie jest przejazdem.

Wsunęła się na kanapę w boksie. Czekwała niespokojnie i niecierpliwie. Miała ze sobą notatnik, długopis oraz szarą kopertę pełną materiałów, których zebranie zajęło jej cały tydzień. Dziś miała się dowiedzieć, czy poświęciła czas na darmo.

„Nie dasz rady”.

„Dasz”.

Wciągnęła się. Od kiedy usłyszała od Jenny historie Cathy Caldwell i Victorii Lee, Viv nie mogła usiedzieć w miejscu. Czuła, że musi wiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że jej ciekawość ma lekko niezdrowy charakter, bo przecież chodziło o makabryczne historie, ale rozumiała, że jest w tym coś więcej: pewnego rodzaju cel, jakieś dążenie – tajemnica, której odkrycie było jej pisane.

Zaczęła codziennie jeździć do archiwum Biblioteki Głównej w Fell i przekopywać stare gazety. Bez większego trudu znalazła artykuły na temat Cathy i Victorii, ponieważ lokalne media szeroko rozpisywały się na temat obu tych morderstw – szeroko, ale krótko; po tygodniu historie obu kobiet spadły z czołówek „Fell Daily” i nowych wiadomości – zwykle opatrzonych nagłówkami w stylu: „ŚLEDZTWO NADAL NIE POSUNĘŁO SIĘ DO

PRZODU” albo: „ZAGADKA WCIAŻ POZOSTAJE NIEROZWIAZANA” – należało szukać na dalszych stronach.

Kelnerka kolejny raz dołała Viv kawy. Viv zerknęła nerwowo w stronę drzwi. Alma Trent obiecała, że przyjedzie.

Dotrzymała słowa. Pięć minut później zjawiała się w mundurze, ponieważ jak zwykle miała nocną służbę, i uśmiechnęła się do kelnerki.

– Co słychać, Lauro?

– Dziękuję, nie narzekam. Wieki cię nie widziałam.

– Bo nie musiałaś mnie wzywać – skomentowała Alma. – Napiałabym się kawy. – Zajęła miejsce naprzeciwko Viv. – Witaj, Vivian.

Viv kiwnęła głową. Okropnie pociły jej się dłonie, ale obiecała sobie, że tym razem nie zrobi z siebie głupka, który zapomina języka w gębie.

– Dziękuję, że zgodziła się pani przyjechać.

– Przyjechałam, ponieważ powiedziałaś, że masz dla mnie coś ciekawego. – Zerknęła na zegarek. – Za trzy kwadransy zaczynam służbę i zdaje się, że ty też wybierasz się do pracy. Dlatego proponuję, po pierwsze, żebyś mówiła mi po imieniu, a po drugie, żebyś się streszczała.

Viv wyprostowała plecy. Miała na sobie bluzkę w kwiaty, na którą narzuciła żółty sweterek. Zastanawiała się, czy nie włożyć czegoś ciemniejszego, ale żółty najbardziej jej odpowiadał.

– Chciałam porozmawiać o czymś, co może się okazać pomocne.

– Dobrze – zgodziła się uprzejmie Alma. Podziękowała kelnerce za kawę, wsypała cukier i zaczęła mieszać.

– Chodzi o Cathy Caldwell i Victorię Lee.

Dłoń, którą Alma trzymała łyżeczkę, zastygła w połowie ruchu.

Viv otworzyła kopertę.

– To znaczy, nie tylko o nie. Posłuchaj...

– Vivian. – Głos Almy zabrzmiał niemal łagodnie. – Jestem zwykłą posterunkową. Nie zajmuję się morderstwami.

– Posłuchaj, proszę – powtórzyła Viv z tak nagłą potrzebą w głosie, że Alma nie zaprotestowała. Kiwnęła głową na zgodę.

– Cathy Caldwell zabito w grudniu osiemdziesiątego roku – zaczęła Viv. – Miała dwadzieścia jeden lat. Pracowała jako recepcjonistka w przychodni

stomatologicznej. Była zamężna, miała półrocznego synka. Jej mąż był wojskowym.

Recytowała te fakty z pamięci, jakby opowiadała o własnym życiu.

– Tak, pamiętam – potwierdziła Alma.

– Któregoś dnia jak zwykle zostawiła synka z opiekunką i wyszła do pracy. O siedemnastej zadzwoniła do opiekunki, powiedziała, że po drodze musi zrobić zakupy, i uprzedziła, że spóźni się kwadrans. O osiemnastej trzydzieści opiekunka zadzwoniła do matki Cathy z pytaniem, co ma robić, ponieważ Cathy jeszcze nie wróciła. Matka poradziła jej, żeby odczekała godzinę i wezwała policję. O dziewiętnastej trzydzieści opiekunka wykręciła numer komisariatu. – Viv na chwilę zawiesiła głos. – Policja szukała Cathy przez trzy dni. Znalaziono jej ciało pod wiaduktem. Była naga. Z boku szyi miała trzy głębokie rany kłute. Morderca najprawdopodobniej usiłował trafić w tętnicę, co w końcu mu się udało.

– Vivian, dziewczyno, powinnaś chyba...

– Wysłuchaj mnie – powiedziała z naciskiem Viv. Musiała wyrzucić to z siebie, podzielić się z kimś myślami, które od kilku dni kłębiły się w jej głowie i które przelewała na papier.

Alma umilkła, a Viv wyjęła narysowaną przez siebie mapkę.

– Z informacji, które znalazłam w gazecie, wynika, że Cathy zwykle robiła zakupy w tym sklepie. – Pokazała palcem kropkę postawioną mniej więcej w połowie drogi między jednym iksem oznaczającym miejsce pracy Cathy a drugim, wskazującym lokalizację jej domu. – Tamtego wieczoru nikt jej tam nie widział. Samochód Cathy odnalazł się przed centrum handlowym, dlatego spekulowano, że po prostu postanowiła kupić to, czego potrzebowała, gdzie indziej niż zazwyczaj. Ale takie zachowanie było do niej niepodobne. Poza tym cała reszta ma sens. Morderca porzucił zwłoki tutaj – dotknęła kolejnego iksa – po czym udał się jej samochodem na oddalony dziesięć minut jazdy od wiaduktu parking przed centrum handlowym. To, że stał tam jej wóz, nie oznacza przecież, że sama też tam była.

– Rozumiem – powiedziała Alma. – Bawiłaś się w detektywa amatora.

Viv ubodły te słowa. „Bawiłaś się w detektywa amatora”. Zupełnie inaczej to traktowała.

– Zmierzam do najważniejszego – zaznaczyła, ale Alma mówiła dalej.

– Czasami zgłaszają się do nas tacy ludzie. Dzwonią na komisariat ze swoimi teoriami, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawę Cathy. Wielu nie podoba się to, że pozostała nierozwiązana. Uważają, że morderca nadal przebywa na wolności.

– Bo tak jest.

Alma pokręciła głową.

– Nie zajmowałam się bezpośrednio tą sprawą, ale pracowałam już w policji w Fell, kiedy zamordowano Cathy. Wszystkich nas wtajemniczono w szczegóły. Sprawdziliśmy każdy trop.

Viv czuła, że Alma jej się wymyka.

– Wysłuchaj mnie przynajmniej ten jeden raz. Obiecuję, że więcej nie będę ci się naprzykrzała.

Alma westchnęła.

– Nie naprzykrzasz się. Nawet cię polubiłam, bo wydajesz się bystrą dziewczyną. Niech będzie. Dopiję kawę i wysłucham, co masz do powiedzenia.

Viv wzięła głęboki oddech.

– Istniała pewna teoria dotycząca zaginięcia Cathy. W jednej z opon w jej aucie policja odkryła załataną dziurę. Morderca mógł więc przekłuć oponę, a następnie porwać Cathy, kiedy zatrzymał się, żeby jej pomóc, gdy stała na poboczu, bo złapała gumę. Tyle że nie udało się ustalić, kiedy dokonano naprawy. – Otworzyła notatnik na kolejnej stronie pełnej starannie sporządzonych zapisków. – Skorzystałam z książki telefonicznej Fell i obdzwoniłam wszystkie miejscowe warsztaty samochodowe. W żadnym nie pamiętają takiej naprawy, w każdym razie nie w wozie Cathy, ale to było przed dwoma laty, kwity mogły się zawieruszyć.

Przy stoliku zaległa cisza. Viv podniosła wzrok znad notatek i spojrzała na przyglądającą się jej Almę.

– Zadzwoń do warsztatów – powiedziała Alma i nie zabrzmiało to jak pytanie.

Viv wzruszyła ramionami, jakby nie chodziło o nic wielkiego. Nie zamierzała wspominać, że trzech rozmówców odłożyło słuchawkę.

– Po prostu zadałam im kilka pytań. Kolejna rzecz: z ran kłutych na szyi Cathy straciłaby mnóstwo krwi. Naprawdę dużo krwi. W artykułach nie było

o tym ani słowa.

Alma uniosła brwi.

– I na tej podstawie wyciągasz wniosek, że nie zginęła pod wiaduktem, tylko gdzieś indziej?

– Sprawdziłam archiwalne informacje o warunkach pogodowych – ciągnęła Viv, ignorując ironiczny komentarz Almy. – Dzień po tym, jak Cathy zaginęła, przeszła nad Fell silna burza z ulewnym deszczem, który mógł zmyć krew. – Przeczesała palcami swoje niedawno obcięte na krótko włosy. – Gdybyś zamierzała kogoś zabić i spodziewała się, że będzie dużo krwi, zrobiłabyś to w takim miejscu jak wiadukt? Oczywiście, że nie. Przecież tam jeżdżą samochody. Stawiam raczej na strumień. – Pokazała na mapce. Niebieska kreska znajdowała się niecałe dwieście metrów od wiaduktu. – W artykułach zabrakło informacji o tym, czy policja przeszukała strumień. I czy zwłoki Cathy były ubłocone. Ale założę się, że trafiłabym na to w raportach policyjnych.

– Dane o pogodzie też sprawdziłaś?

– No... tak – potwierdziła Viv. – Można je znaleźć w archiwum w bibliotece. – Przewróciła stronę w notatniku. – Moim zdaniem przebita opona to zwykły zbieg okoliczności. Skoro morderca nie uprowadził jej na szosie ani w sklepie, mógł to zrobić tylko w jednym miejscu. – Postukała w iks na mapie. – W przychodni. Porwał ją, kiedy wsiadała do samochodu.

Alma popijała kawę. Wyglądała na zaciekawioną.

– Okej, masz swoją teorię. Ale jak na razie nie powiedziałaś nic, o czym bym nie wiedziała albo czego nie mogłabym sprawdzić w komisariacie.

Viv nie skomentowała.

– Victoria Lee. – Przewróciła stronę i wyjęła z koperty drugą ręcznie narysowaną mapkę. – Osiemnaście lat. Autor artykułu napisał, że miała „wielu chłopaków”. To znaczy, że uważano ją za puszczalską, prawda?

Alma zacisnęła usta i nie odpowiedziała.

– Prawda – potwierdziła za nią Viv. – Victoria miała chłopaka, z którym wciąż się rozstawała i schodziła. Bez przerwy się handryczyli. Kłóciła się zresztą również z rodzicami i nauczycielami. Jej brat uciekł z domu i nie wrócił. – To prawie wszystko, co wiedziała o Victorii. Dziennikarze poświęcili jej znacznie mniej uwagi niż śmierci pięknej i prawej młodej matki. Poza tym

morderca Victorii został ujęty. No i w porównaniu z Cathy była tą dziewczyną, która „sama sobie zasłużyła”.

– Sierpień osiemdziesiątego pierwszego – wtrąciła Alma. – Dobrze pamiętam tamten dzień.

Viv spojrzała na nią i pokiwała głową.

– Victoria lubiła biegać. Wyszła z domu tutaj – iks na mapie – i udała się na trasę do joggingu tutaj. – Kolejny iks. – Nie wróciła. Rodzice zgłosili zaginięcie dopiero następnego dnia pod wieczór. Twierdzili, że Victoria często wychodziła, nie mówiąc im, dokąd idzie. Założyli, że spotkała się z przyjaciółmi.

– Przez pewien czas kręciliśmy się w miejscu – przyznała Alma. – Rodzice byli przekonani, że dzień wcześniej Victoria po prostu zabalowała. Od tego więc zaczęliśmy. Rozmawialiśmy z jej znajomymi, usiłując ustalić, czyja to była impreza i gdzie się odbywała. Dopiero po całym bezowocnym dniu dotarło do nas, że rodzice Victorii oparli się na przypuszczeniu i nie było żadnej balangi. Musieliśmy cofnąć się do momentu, w którym widziano Victorię po raz ostatni, czyli kiedy wyszła pobiegać.

Viv lekko pochyliła się do przodu. Tych informacji nie było w gazetach.

– Podobno użyto psów tropiących.

– To prawda. Daliśmy im do powąchania bluzkę Victorii. Znaleźliśmy ją w krzakach sześć metrów od ścieżki. – Alma odwróciła wzrok i zacisnęła dłonie na kubku z kawą. – Koroner stwierdził, że zginęła krótko po wyjściu z domu. Zdążyła wbiec na ścieżkę, kiedy morderca dopadł ją i zabił, a ciało porzucił. Leżała tam przez cały ten czas, kiedy my się opieprzaliśmy.

Milczały przez chwilę.

– Rzeczywiście zabił ją chłopak? – spytała Viv.

– Tak. Pokłócili się, i to ostro. Nawrzeszczała na niego, a on nazwał ją suką. Było kilkanaścioro świadków. Victoria poszła do domu i ścięła się z rodzicami. Chłopak, Charlie, nie miał alibi. Twierdził, że od razu po kłótni udał się do siebie, ale z zeznań jego matki wynikało, że zjawił się godzinę później, niż utrzymywał. Miał mnóstwo czasu, żeby zabić Victorię. Nie potrafił powiedzieć, gdzie był. Próbował nam wmówić, że spędził ten czas z inną dziewczyną, ale nie chciał podać jej nazwiska. Cała ta sprawa śmierdziała na kilometr. W końcu go skazano. – Zmarszczyła czoło. –

Dlaczego tak cię interesuje Victoria? Jej przypadek był zupełnie inny niż Cathy. Przede wszystkim znaleziono winnego.

Viv zabębniła palcami o notatnik. Nie umiała wyjaśnić przyczyn swojego zainteresowania Victorią. W gazetach pisano o sprawie w taki sposób, jakby wszystko było oczywiste, ale Viv nie dawały spokoju słowa Jenny: „Nie chodź na jogging, bo podzielisz los Victorii”... Dobra rada od jednej dziewczyny dla drugiej. Jakby to, co spotkało tamtą osiemnastolatkę, mogło się powtórzyć.

– Zginęły w krótkim odstępie czasu – powiedziała. – Cathy w grudniu osiemdziesiątego, Victoria w sierpniu osiemdziesiątego pierwszego. Dwie dziewczyny zamordowane w Fell w ciągu niespełna roku. Może osobą, która zabiła Victorię, wcale nie był jej chłopak.

Alma uraczyła ją uśmiechem – życzliwym, ale jednak protekcyjnym.

– Vivian, o takich rzeczach decydują śledczy i sądy. Jedni i drudzy już wykonali swoją pracę.

Właśnie: sąd. „Ciekawe, czy istnieje stenogram z procesu? – pomyślała Viv. – I jak można się z nim zapoznać?”

– Po prostu ta sprawa nie wydaje mi się zakończona – powiedziała, z góry wiedząc, jak kiepsko i nieprzekonująco to zabrzmie. – Dlaczego ścieżka? Dlaczego akurat tam? Przecież się znali. Mógł ją zabić gdziekolwiek. Mógł zadzwonić i wywabić ją z domu choćby pod pretekstem przeprosin. Na pewno poszłaby z nim w jakieś ustronne miejsce. Zamiast tego zabił ją tam, gdzie chodziło i biegało mnóstwo ludzi.

– Kto wie dlaczego? Na ścieżce zwykle panuje spory ruch, to prawda, ale tamtego dnia padało. Chłopak zachowywał się irracjonalnie, kierował nim gniew. Zabił ją szybko, porzucił ciało w krzakach i poszedł do domu. Jesteś młoda, Vivian, ale wierz mi, takie rzeczy zdarzają się od zawsze. – Postawiła pusty kubek na blacie i dodała łagodniejszym tonem: – Jesteś naprawdę miłą, bystrą dziewczyną, ale brakuje ci kwalifikacji. Nie wiem, czemu uważasz, że śmierć Victorii ma jakiś związek ze śmiercią Cathy. Bo do tego zmierzasz, mam rację?

Viv nie potrafiła tego wytłumaczyć. Może chodziło o to, że obie historie miały charakter przestrogi? „Nie bądź taka jak ona. Nie skończ tak jak ona”. Ale to tylko przecucie. Bez sensu. Błądziła po omacku, nie była policjantką ani sędzią. Brakowało jej kompetencji.

Może oprócz tego, że była potencjalną ofiarą.

– Życie straciły trzy osoby, a nie dwie – powiedziała.

Sięgnęła do koperty, wyjęła wycinek z gazety i położyła go na stole przed Alną. Nagłówek brzmiał: „RODZICE MIEJSCOWEJ DZIEWCZYNY NADAL SZUKAJĄ ZABÓJCY CÓRKI”.

– Betty Graham również została zamordowana – dodała.

Alma spojrzała na artykuł i jej oblicze stężało.

– Nie mam nic do powiedzenia na temat Betty Graham – ucięła. – W ogóle nie powinnam z tobą rozmawiać.

Właśnie dlatego Viv zadała sobie tyle trudu; dlatego to było ważne. Chodziło o kobietę w kwiecistej sukience, która – jak odkryła Viv – nazywała się Betty Graham.

– Betty zginęła w listopadzie siedemdziesiątego ósmego – naciskała. – Zagadki jej śmierci nie udało się rozwiązać.

Alma kręciła głową.

– Teraz już rozumiem. Dowiedziałas się o Betty i o tym, gdzie znaleziono jej ciało. Stąd twoje zainteresowanie, prawda?

– Była nauczycielką w szkole – nie odpuszczała Viv. – Ktoś ją zabił i porzucił zwłoki. W gazetach pisano, że doszło do „naruszenia integralności cielesnej”. Co to znaczy? Została zgwałcona? W artykułach o Cathy nie było o tym mowy.

– Vivian, to, co robisz, jest chore. To nie są normalne tematy. Taka miła dziewczyna jak ty powinna myśleć o...

– Imprezach? Chłopakach? Filmach? Wszystkie te rzeczy na pewno były ważne dla Cathy i Victorii. Podejrzewam, że również dla Betty. – Viv postukała palcem w leżący na stole wycinek. – Ciało Betty znaleziono w motelu Sun Down.

– Wtedy to jeszcze nie był motel – sprecyzowała Alma ściśniętym głosem.

– Masz rację. Morderca zabił Betty i porzucił ją na kupie piachu na placu budowy.

– Lata temu.

„To prawda, ale Betty nadal tam jest. Wciąż tkwi w Sun Down. Widziałam ją, ponieważ nie odeszła stamtąd.

Jest tam – i próbuje mi powiedzieć, żebym uciekała”.

Betty miała dwadzieścia cztery lata. Nie miała męża ani chłopaka, wrogów, niezdrowych nawyków. Wyszła z domu w sobotę w południe i nigdy więcej jej nie widziano. Rodzice Betty wciąż rozpaczali po stracie – i nadal szukali mordercy. „Chcemy wiedzieć, jaki człowiek mógł się dopuścić czegoś takiego – zacytowano jej ojca. – Nie potrafimy tego zrozumieć. Nie ukoi to naszego bólu, ale chcemy wiedzieć”.

Zdjęcie Betty Graham przedstawiało kobietę, którą Viv widziała w motelu. Miała związane włosy i uśmiech na twarzy, ale to z całą pewnością była ona.

– Co to znaczy, że doszło do „naruszenia integralności cielesnej”? – powtórzyła Viv.

Alma pokręciła głową.

– Naprawdę, zostaw to. Z zajmowania się takimi mrocznymi sprawami nie przyjdzie ci nic dobrego.

– To, że coś jest mroczne, nie oznacza, że nie istnieje – odparła Viv. Spędziła dużo czasu w bibliotece, czytała artykuły o morderstwach i czuła, jak robi się jej coraz bardziej niedobrze. Po powrocie do domu rzuciła się na łóżko i płakała bezgłośnie, jej szlochanie wyglądało tak, jakby tonący usiłował łapać oddech. Myślała o kobiecie w kwiecistej sukience, o tym, że jej duch został uwięziony tam, gdzie porzucono jej zwłoki, i nie może odejść. – Posłuchaj – zwróciła się ponownie do Almy. Za dziesięć minut obie musiały pojechać do pracy. – Ostatnią osobą, która widziała Betty żywą, była jej sąsiadka. Zobaczyła mężczyznę, prawdopodobnie komiwojażera, pukającego do drzwi Betty. Betty mu otworzyła i wpuściła go do środka. – Krew tak głośno szumiała jej w uszach, że Viv słyszała swój własny głos jak zza grubej zasłony. – W Sun Down zatrzymuje się komiwojażer. Za każdym razem melduje się pod innym fałszywym nazwiskiem.

Alma na chwilę znieruchomiała, jakby zastanawiała się nad słowami Viv.

– Widziałas komiwojażera i wydaje ci się, że to morderca Betty?

– Komiwojażera, który co pewien czas zatrzymuje się w Sun Down, tam gdzie porzucono ciało Betty. I ukrywa swoją prawdziwą tożsamość.

– Szlag. – Alma spojrzała na zegarek. – No dobrze, posłuchaj. I tak nikogo nie obchodzi, co robię na służbie. Ale muszę mieć jakiś punkt zaczepienia, coś, co będę mogła sprawdzić. Kiedy następnym razem zjawi się ten gość, zdobądź coś dla mnie, nie wiem, jego nazwisko, nazwę firmy, która go zatrudnia, markę i model samochodu, numer rejestracyjny. Zagadaj go, bądź

uprzejma, ale i ostrożna, bo ładna z ciebie dziewczyna, a nie każdy jest tak miły jak ty.

– Wiem. – Zdążyła się o tym przekonać.

– Zatem jesteśmy umówione. Muszę teraz jechać do pracy. Do zobaczenia, Vivian. I bardzo cię proszę: jeżeli nic z tego nie wyjdzie, odpuść. Jeśli nie dla siebie, to dla mnie.

Viv potwierdziła skinieniem głową, ale wiedziała, że nie odpuści. Pochłonęła ją tajemnica. Zebrała materiały, schowała je do koperty, wzięła notatnik i wyszła.

W recepcji znów nikogo nie zastała, mimo że światło było włączone, a drzwi otwarte. Włożyła firmową kamizelkę i usiadła za biurkiem.

„Kiedy następnym razem zjawi się ten gość, zdobądź coś dla mnie”.

Nie powiedziała Almie o duchach. O kobiecie w kwiecistej sukience. O tym, że za każdym razem, kiedy meldował się komiwojażer, Sun Down ożywał i przemieniał się w motel z koszmaru.

Jakby okazywał niechęć do tego konkretnego człowieka.

„Kiedy następnym razem zjawi się ten gość, zdobądź coś dla mnie”.

„Uciekaj”.

Może to nic takiego. Nie może, tylko na pewno, a Viv jest głupią dziewczuchą, która nie ma pojęcia, o czym bredzi.

– Betty? – odezwała się Viv wśród nocnej ciszy.

Nikt jej nie odpowiedział, ale kiedy nabrała powietrza przez nos, poczuła znajomą woń świeżego dymu papierosowego.

„Co to znaczy, że doszło do naruszenia integralności cielesnej?”

Mężczyzna w samochodzie, jego dłoń na jej udzie.

„Co to znaczy, że doszło do naruszenia integralności cielesnej?”

„Zdobądź coś dla mnie”.

Betty, Cathy, Victoria. Trzy kobiety zamordowane w Fell w ciągu ostatnich kilku lat. Trzy ciała, które ktoś wyrzucił jak śmieci. Nawet jeśli zagadkę śmierci jednej z nich rozwiązano, to i tak dwie pozostałe nie doczekały się sprawiedliwości. Komiwojażer był jedynym tropem, który przychodził Viv do głowy, jedynym punktem zaczepienia.

Problem polegał na tym, że nie wiedziała, kiedy mężczyzna znów się pojawi, o ile w ogóle. Musiała na niego poczekać. Utknęła w Sun Down.

Kiedy był tu poprzednim razem, nie pozostawił żadnej wskazówki co do swojej tożsamości. Chyba że...

Zastanowiła się i po chwili uśmiechnęła się pod nosem.

Może jednak nie utknęła.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Uwielbiałam biblioteki. W szkole i na studiach nie było tygodnia, żebym nie wykorzystywała limitu wypożyczeń. Potrafiłam zapuszczać się w najgłębsze zakamarki klasyfikacji dziesiętnej Deweya i dotąd myszkować w nieznanym dziale, aż wygrzebałam coś ciekawego. Komputery, katalogi kartkowe, mikrofisz – wszystko to nie miało przede mną tajemnic.

Dlatego w Bibliotece Głównej w Fell z miejsca poczułam się jak ryba w wodzie. Znajdowała się w centrum miasta w nieprzesadnie okazałym gmachu, któremu kolumny i sztuczny marmur miały chyba przydawać dostojności. Wnętrze pachniało stęchlizną i przypominało wielki sześcian z wysokimi oknami i otwartą klatką schodową na piętro. Minęłam stanowisko wypożyczalni na parterze i skierowałam się od razu w głąb budynku, tam, gdzie, jak przypuszczałam, mieściło się archiwum czasopism. Na swojej drodze spotkałam kilkoro emerytów, trzydziestoletnią kobietę gorączkowo zakuwającą do jakiegoś egzaminu i garstkę studentów w moim wieku, zapewne uczących się w miejscowym niewielkim koledżu. Nie zdziwiłabym się, gdyby z tym wyglądem – dzinsy, sznurowane buty, sweter, kurtka do pasa, włosy związane w koński ogon, torba przewieszona przez ramię – wzięli mnie za jedną z nich.

W zastawionych regałami, oddalonych od okien i pełnych zakurzonych zaułków trzewiach biblioteki panował przyjemny półmrok, który jak ułną pasował do mojego zmęczenia. Była czwarta po południu – dla mnie środek nocy. Musiałam zwlec się z łóżka, żeby dotrzeć tu przed zamknięciem, i nie miałam już serca budzić Heather, zwłaszcza że ostatnio tak mało sypiała.

To, czego szukałam – szklane drzwi z tabliczką „ARCHIWUM MIASTA FELL” – znalazłam ostatecznie na piętrze. Całe pomieszczenie: dwa terminale komputerowe, kilka długich stołów, parę półek z książkami i czasopismami, miałam tylko dla siebie. Nie zawracałam głowy bibliotekarzowi, po prostu usiadłam i zabrałam się do dzieła.

W dwadzieścia minut rozpracowałam system i zaczęłam grzebać w archiwum Fell.

Na pierwszy ogień poszły najbardziej oczywiste hasła: „Viv Delaney”, „Viv Delaney zaginięcie”, „motel Sun Down”. Do pary artykułów, które znalazłam w rzeczach po mojej mamie, udało mi się dorzucić dwa kolejne: jeden powtarzający z grubsza te same informacje i jeden opatrzone nagłówkiem: „KIM BYŁA VIVIAN DELANEY? WĄTPLIWOŚCI W SPRAWIE ZAGINIĘCIA MIEJSCOWEJ DZIEWCZYNY”. Wklepałam numer mojej karty kredytowej i kliknęłam „drukuj”.

Wyszukiwanie po hasle „motel Sun Down” dało inne rezultaty. Zawęziłam przedział czasowy do lat „1980–1983”, ale wyskoczyło mało wyników, więc go poszerzyłam, a potem w ogóle usunęłam ograniczenie. Z tekstów, które mi się wyświetliły, zdołałam jako tako sklecić historię mojego miejsca pracy.

Sun Down wybudowano w siedemdziesiątym ósmym roku na parceli, którą miejscowi nazywali „ziemią Cottona” po prostu dlatego, że przed sprzedażą należała do rolnika noszącego to nazwisko. Motel otworzył podwoje na początku siedemdziesiątego dziewiątego, zimą, przed sezonem turystycznym. Inauguracji działalności przybytku nie towarzyszyła żadna wielka pompa, do prasy trafiło jedynie dosyć zwyczajne zdjęcie zrobione zza znaku przy szóstce: przed budynkiem stali kobieta, mężczyzna i mały chłopiec; dorośli trzymali dłonie na ramionach dziecka. Fotografie podpisano następująco: „Janice i Carl McNamarowie oraz ich syn Christopher przed motelem Sun Down. Właściciele zapraszają do nowo otwartego obiektu z basenem oraz telewizją kablową. Koszt noclegu wynosi dwadzieścia dolarów”.

Przyjrzałam się chłopcu i rozpoznałam Chrisa, smutnego mężczyznę, który przyjął mnie do pracy. „Szczerze mówiąc, nie cierpię tego miejsca, mam stąd wyłącznie złe wspomnienia. Przyjeżdżam tu, tylko kiedy muszę”.

Skupiłam się na budynku. Na początku siedemdziesiątego dziewiątego Sun Down wyglądał identycznie jak obecnie: te same drzwi, to samo oświetlenie, ten sam znak. Gdyby nie wielki kołnierz koszuli Carla, koszulka z kraciastej bawełny, którą miał na sobie Chris, i spodnie Janice z bardzo, bardzo wysokim stanem – których fason zresztą wracał do mody – powiedziałabym, że zrobiono to zdjęcie nie dalej niż wczoraj. Nawet widoczny ponad ramieniem Carla neon nad drzwiami recepcji był tym samym neonem, który ukazywał się moim oczom każdego wieczoru, gdy zjeżdżałam z szosy. Parking był pusty, drzewa w tle ciemne i wysokie. Ta swojskość zarazem podnosiła na duchu

i przyprawiała o gęsią skórę. Jakby Carl i Janice nie umarli, a Chris nie wyrósł na nieszczęśliwego człowieka, który wolał, żeby Sun Down w ogóle nie istniał. Jakby kobieta w kwiecistej sukience mogła otworzyć drzwi, wyjść na galerię i uprzejmie spytać, kiedy basen będzie czynny.

Wydrukowałam zdjęcie i przeszłam dalej. Motel od początku miał pod górkę. W grudniu siedemdziesiątego dziewiątego policja urządziła tam obławę na handlarzy marihuaną, a w lutym osiemdziesiątego w Sun Down zabunkrowała się, a potem została odnaleziona dziewczyna, która uciekła z domu z chłopakiem.

Przewinęłam do artykułu z trzynastego lipca osiemdziesiątego roku i zamarłam.

„ŚMIERĆ CHŁOPCA W WYPADKU W BASENIE” – brzmiał nagłówek dwuakapitowego tekstu w dziale wiadomości lokalnych na ostatniej stronie gazety. Dziewięcioletni William Dandridge – Billy – podróżował z mamą i tatą na Florydę. Rodzina zatrzymała się w motelu Sun Down i podczas kąpieli chłopiec uderzył głową o betonową krawędź basenu. Trafił do szpitala z urazem mózgu i zmarł po czterech dniach. Rodzice odmówili kontaktu z prasą. Zapytana o to, czy kierownictwo motelu zatrudni ratownika, Janice McNamara odpowiedziała: „Nie. Myślę, że po prostu zamkniemy basen”.

Wpatrywałam się w monitor, czując narastające pieczenie w kącikach oczu. Ten chłopiec... Widziałam go. Siedział na galerii, opierał się o kratkę pod balustradą. A potem uciekł.

To on. Już wiedziałam, kim był.

– Przepraszam – odezwał się ktoś za moim plecami. – To należy do pani?

Odwróciłam się i zobaczyłam mężczyznę mniej więcej w moim wieku. Miał długawe złocistobrązowe włosy i brązowe oczy. Był ubrany w czarny sweter i dzinsy. Na jednym ze stołów leżały kurtka i plecak, prawdopodobnie jego. Trzymał w ręku plik kartek. Nawet nie słyszałam, jak wchodził.

Spojrzałam na kartki: to artykuły, które wydrukowałam; musiał je wziąć z tacki drukarki stojącej w drugim końcu pomieszczenia. Rzucił się w oczy nagłówek „KIM BYŁA VIVIAN DELANEY?”.

– Dziękuję – powiedziałam, zabierając je od niego.

– Udało się pani? – spytał. Mówił cicho, ale nie szeptem. Owszem, znajdowaliśmy się w bibliotece, ale w tej sali byliśmy sami.

– Ale co?

Wskazał nagłówek.

– Ustalić, kim była Vivian Delaney – wyjaśnił. – Przyznam, że jestem ciekaw.

Przyjrzałam mu się jeszcze raz. Uświadomiłam sobie, że odwykłam od oglądania facetów w świetle dziennym. Próbowałam sobie przypomnieć, jak rozmawiają ludzie, którzy nie są mną albo Heather.

– Zaginęła w osiemdziesiątym drugim – powiedziałam. – Nie odnalazła się.

– O cholera. Zaginęła w Fell?

– W motelu Sun Down. Pracowała jako nocna recepcjonistka.

– Znam to miejsce. – Przysunął sobie krzesło i usiadł obok mnie. Po chwili dotarło do niego, że zapomniał o manierach. – Callum MacRae – przedstawił się, wyciągając dłoń.

– Carly – powiedziałam, ściskając ją.

– Możemy mówić sobie po imieniu?

– Jasne.

Teraz, kiedy jego twarz znalazła się na tej samej wysokości co moja, zobaczyłam, że ma bardzo regularne rysy: ciemnobrązowe oczy osadzone pod symetrycznymi brwiami, klasyczny profil nosa, kości policzkowe, podbródek, wszystko nienaganne. Miał klasę, to pewne. Świadczył o tym choćby jego strój; drogi i idealnie dopasowany do sylwetki sweter. Albo swobodny sposób, w jaki nawiązał rozmowę i skrócił dystans. Albo subtelna, dyskretna woń dobrej wody kolońskiej. Wszystko to razem z jego uśmiechem składało się na bardzo pozytywne wrażenie, ale i tak miałam się na baczności. Trochę za mocno wchodził w moją przestrzeń. Gdyby zrobił się napastliwy, nie wahałabym się urządzić scenę.

– Wybacz, że przeszkadzam – powiedział, choć wcale nie było mu przykro. – Ale mam fioła na punkcie historii Fell. Studiujesz w KEK-u? Pisziesz pracę na zaliczenie?

Byłam zmęczona i doznałam chwilowego zaćmienia.

– Gdzie?

Uśmiechnął się szeroko.

– Czyli nie jesteś studentką? KEK to Koledź Edukacji Klasycznej.

Ach, no przecież.

– Nie, nie studiuję w KEK-u. A ty?

– Niby tak, ale właściwie to nie bardzo. Moja mama tam wykłada, więc formalnie rzecz biorąc, mogę się uczyć za darmo. Rozumiesz, taka dodatkowa korzyść dla kadry. Staram się chodzić na zajęcia, ale rzadko mi się udaje. – Wzruszył ramionami. – Straszna nuda, przynajmniej dla mnie. To jest o wiele ciekawsze. – Postukał palcem w mój plik kartek. – Moje pytanie, czy piszesz pracę na zaliczenie, było naprawdę głupie. Mogłem się domyślić, że tego nie robisz, skoro zamiast Chaucera przeglądasz gazety z Fell z osiemdziesiątego drugiego. Po prostu zaskoczyła mnie twoja obecność, bo wiesz, przeważnie przesiaduję tu całkiem sam.

Rozejrzałam się.

– Przesiadujesz w archiwum biblioteki?

– No tak, dziwnie to brzmi, ale rzecz w tym, że numery „Fell Daily” sprzed dwa tysiące czternastego nie zostały jeszcze zdigitalizowane i starszych wydań po prostu nie znajdziesz nigdzie w sieci. Zresztą sama wiesz najlepiej, skoro tu jesteś.

– Fakt. – W istocie był to jeden z najważniejszych powodów całej tej mojej wyprawy. Jako nie całkiem zwyczajna dziewczyna z Illinois, z osobliwym czytelnickým hobby i trupem w rodzinnej szafie, zawsze chciałam przyjechać do Fell, żeby przetrząsnąć tutejsze archiwa.

– Oprócz „Fell Daily” wydawano jeszcze dwa inne lokalne tytuły – wyjaśnił Callum. Oczy mu zaślniły. Było widać, że to, o czym opowiada, jest jego pasją. – „Fell Gazette” i „Upstate New York Journal”. „Gazette” była dziennikiem, a „Journal” tygodnikiem. „Gazette” zwinęła się w osiemdziesiątym, a „Journal” dotrwał do dziewięćdziesiątego czwartego. Oba te pisma nie doczekały się digitalizacji, a zawierają mnóstwo świetnych materiałów. Niektórych numerów nie ma nawet na mikrofilmach, przechowuje się je w formie papierowej, po prostu na półkach. Wiem, że cię totalnie nudzę, ale wierz mi, zmierzam do puenty. – Uśmiechnął się i wbrew sobie odpowiedziałam mu tym samym. – Biblioteki nie stać na digitalizację. Kiedy się o tym dowiedziałem, postanowiłem sam to zrobić. Na ochotnika.

Uniosłam brwi.

– No proszę. Czyli co: przychodzisz tu codziennie i digitalizujesz stare gazety? Za darmo?

– Zgadza się. Mam pozwolenie. Jedyne koszty, jakie poniosła biblioteka, to cena skanera i komputera, żeby móc na czym pracować. Bibliotekarze znają moją mamę, bo wykładała w KEK-u. I wiedzą, że robię to z własnej woli i z ochotą, więc nie mają nic przeciwko.

– Ale dlaczego? – spytałam. – Nie powinieneś, nie wiem, uczyć się czy coś? – Wzdrygnęłam się w myśli, słysząc własne słowa; brzmiały zupełnie jak moja matka. – Przepraszam, źle wyszło. Chodziło mi o to, że skoro interesują cię takie rzeczy, mógłbyś na przykład studiować dziennikarstwo. Albo pójść na staż w redakcji gazety.

– Mógłbym – przyznał Callum. – Ale wtedy musiałbym pisać o tym, co mi każą, a nie o tym, co mi się podoba.

Westchnęłam i poprawiłam okulary na nosie.

– Wierz mi, doskonale to rozumiem.

– Domyśliłem się, kiedy zobaczyłem, że siedzisz tu sama. Tak jak przeważnie ja. – Nachylił się. – Fell to Fell. Wiesz, że kiedy w dziewięćdziesiątym pierwszym kopali ziemię pod parking obok Sav-Martu przy Meller Street, odkryli sześć ciał? Same dzieci. Szczątki sprzed dwustu lat. To nie był żaden cmentarz, tylko zwykły dół, a w nim sześcioro dzieci, które zmarły na tyfus. Nawet bez trumien. Wrzucone o, tak.

– Jezu. Były rodzeństwem?

Callum uniósł palec.

– Nie – powiedział, upajając się chwilą. – Nie były rodzeństwem. Za to pochodziły z Europy. Co się wydarzyło? Wybuchła epidemia tyfusu? Jeśli tak, to w przekazach z tamtych czasów nie pozostał po niej żaden ślad. W Fell istnieje cmentarz, który założono w tysiąc siedemset pięćdziesiątym szóstym i na którym leżą europejscy osadnicy. Czemu więc nie pochowano tam tych dzieci? Kto wykopał dół i po prostu wrzucił je do niego? Nie wiadomo. Trafiłem na tę historię w numerze „Journal”, który digitalizowałem w zeszłym tygodniu. Napisali jeden artykuł i cześć. Wariactwo. „Odnaleziono szczątki sześciorga dzieci. Nikt nie wie, dlaczego się tam znalazły. A jeśli chodzi o pogodę, w ten weekend będzie padało”. Właśnie to mam na myśli, mówiąc, że Fell to Fell.

– Zaczynam rozumieć, w czym rzecz.

– Od razu widać, że nie jesteś stąd. – Odchylił się na krześle. – Fell przyciąga dziwnych ludzi. Takich o lekko makabrycznych zainteresowaniach.

Bez urazy.

– Nie uraziłeś mnie. – Pokazałam na leżący na stole artykuł. – Viv Delaney była moją ciocią, siostrą mojej mamy. Przyjechałam tu, bo chciałam się dowiedzieć, co się z nią stało. Uważam, że zasługuje na sprawiedliwość. Tyle że sprawy układają się inaczej, niż sobie zaplanowałam.

Nie zapytał, co chciałam przez to powiedzieć, tylko pokiwał głową.

– No dobrze. Na mikrofiszach nie znajdziesz wszystkiego. Poszukajmy gazet z osiemdziesiątego drugiego.

Trzy godziny później siedziałam z Heather w naszym mieszkaniu: ja na kanapie, ona – po turecku na podłodze. Cała ława była założona wydrukami i kserówkami, a pośrodku leżał otwarty notatnik z moimi nagryzmołonymi uwagami. Obie miałyśmy przed sobą laptopy.

– Żyła złota – podsumowała Heather. – Jako zdeklarowana pasjonatka prawdziwych zbrodni zawsze polegałam przede wszystkim na internecie. A tu się okazuje, że chyba powinnam zacząć grzebać w archiwum biblioteki w Fell.

– Totalnie. – Poprawiłam koc, którym przykryłam nogi. Nie wszystkie znalezione przeze mnie artykuły dotyczyły Viv; właściwie tylko nieliczne. Jej zniknięcie było jedynie drobnym epizodem w życiu miasta, jedną z mnóstwa rzeczy, jakie wydarzyły się w Fell w osiemdziesiątym drugim. – Jednego nie rozumiem – powiedziałam, sięgając po wydruk. Patrzyła na mnie Viv z nieznanego mi wcześniej zdjęcia. Odwrócona plecami do fotografującego, spoglądająca przez ramię z delikatnie pochyloną głową, jakby ktoś ją zawołał i dopiero wtedy nacisnął spust migawki. Fotografia była lekko rozmyta, być może zrobiona ze sporej odległości, ale nie miałam wątpliwości, że przedstawia Viv. Na innych widniała uśmiechnięta i upozowana – i tylko na tej miała poważną minę, zaciśnięte usta, ściągnięte brwi i skupiony na czymś, zabójczo przenikliwy wzrok. Była ubrana w niebieski sweter, niosła przewieszoną przez ramię torebkę. Włosy sięgały jej prawie do ramion, miała grzywkę zrobioną na lokówkę. Bez względu na to, jak ziarniste było zdjęcie i jak przestarzała była jej fryzura, nie można było odmówić Viv niezwyklej urody. – W artykułach nie ma ani słowa o poszukiwaniach. Zupełnie nic. Wychodzi na to, że policja trochę popytała, zaapelowała w prasie i właściwie tyle.

– Może powinniśmy z nimi pogadać – podsunęła Heather. Wzięła kartkę. – W tym artykule dziennikarz przytacza wypowiedź Edwarda Pareya, komendanta policji w Fell. Przekonajmy się, czy gość żyje.

– Sądzisz, że w ogóle będzie chciał z nami rozmawiać?

Heather wzruszyła ramionami, przebierając palcami po klawiaturze.

– Dlaczego nie? Jesteśmy nieszkodliwe. Niby co możemy zrobić?

– Jeśli żyje, pewnie jest na emeryturze. Może nie chce wracać do starych spraw.

– Chyba że właśnie chce? Gdybym była szefem policji i przeszła na emeryturę, nudziłabym się jak mops. – Przeklikała parę stron. – Nic nie wskazuje na to, że zmarł. Ale dobrze by było znaleźć kogoś, kto go znał albo zna.

– Może Callum umiałby pomóc. – Heather popatrzyła na mnie obojętnym wzrokiem. – Chłopak, którego poznałam dziś w archiwum. Przecież ci mówiłam.

– A, no tak. Kolejny z twoich facetów. – Parsknęłam śmiechem; nie zdołałam się powstrzymać. – No co? Masz ich wielu – zauważyła Heather.

Myślałam, że pęknię ze śmiechu.

– Jak to dobrze, że nie masz pojęcia, jak bardzo godną współczucia osobą jestem – powiedziałam. – Nie przypominam sobie, żebym na studiach rozmawiała z mężczyzną, wiesz, takim prawdziwym, stuprocentowym. Kiedyś jeden zagadał do mnie na imprezie i o mało nie zakrztusiłam się drinkiem. Wróciłam do domu i po raz kolejny przeczytałam Insignia śmierci, wmawiając sobie, że dlatego płaczę.

– Mój Boże, naprawdę jesteś moją siostrzaną duszą – powiedziała Heather. – Faceci to nie moja bajka. – Zobaczyła moje pytające spojrzenie i zaznaczyła: – Spokojnie. Faceci to teoretycznie moja bajka. Po prostu nie lubię... – Wykonała gest, jakby rysowała bańkę w powietrzu. – Nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka. W ogóle.

– Rozumiem to.

– Carly, nikt tego nie rozumie. Ani moi rodzice, ani chłopcy, ani psychiatrzy. Nikt.

Pomyślałam o baterii leków w naszej wspólnej łazience.

– Ale ja tak. Nie chcesz czuć na sobie dotyku czyichś rąk. Rozumiem to.

Na dłuższą chwilę zrobiło się między nami bardzo poważnie. Heather patrzyła na mnie i widziałam, że chce coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnowała. Westchnęła i odwróciła głowę.

Nie kłamałam. Naprawdę ją rozumiałam. Wyobraziłam sobie Calluma MacRae'a i chociaż był bardzo miłym chłopakiem... rozumiałam ją. Potem wyobraziłam sobie Nicka Harknessa i moja pierwsza myśl była taka, że pewnie zgodziłabym się, gdyby chciał mnie dotknąć, zgodziłabym się łatwo, mimo że nigdy by tego nie zrobił.

Wyglądziłam dłonią kserówkę, którą trzymałam na kolanach, i ponownie przyjrzałam się Viv. Jak żywa. Całkowicie spontaniczne ujęcie – jakby zajmowała się własnymi sprawami, nie zwracając sobie głowy takimi drobnostkami jak pozowanie do zdjęcia. Chyba że – uświadomiłam sobie – nawet nie wiedziała, że ktoś ją uwiecznia; chyba że sfotografowano ją z ukrycia.

Zerknęłam na podpis w rogu: „Fot. Marnie Mahoney”.

Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku

VIV

Helen i Robert wrócili do Sun Down. Tak samo jak śledzący ich zielony sedan. Stał na parkingu przez całą noc, był tam jeszcze o siódmej rano, kiedy Viv kończyła zmianę. Zastanawiała się, czy w taką pogodę, kiedy przez strugi deszczu przebija jedynie szarawa plama słońca, mężczyzna w aucie może liczyć na dobre ujęcia.

Zdjęła niebieską poliestrową kamizelkę i włożyła kurtkę, szykując się do wyjścia. Czasem o siódmej przyjeżdżała Janice, żeby ją zluźnić, a czasem nikt się nie zjawiał. Viv nie zaprzętała sobie tym głowy. W Sun Down tak naprawdę nie obowiązywały żadne reguły.

Tym razem Janice się nie pojawiła. Viv zamknęła drzwi do recepcji, ale nie wyłączyła neonu nad wejściem. Nasunęła kaptur, żeby ochronić głowę przed deszczem, i ruszyła w stronę basenu. Okrążyła budynek motelu; kilka razy wdepnęła w zimną kałużę. Przemknęła wzdłuż wąskiego szpaleru drzew oddzielającego granicę działki od międzystanowej szóstki i dotarła na parking od tyłu. Podeszła do zielonego sedana, czując chlupotanie w butach i strużki wody na karku.

Samochód stał tam, gdzie zawsze: na samym końcu, w miejscu, w którym beton spotykał się z wymieszanim z błotem żwirem. W kabinie było ciemno, w półmroku ulewy Viv nie była w stanie zajrzeć do środka. Podeszła więc do drzwi po stronie pasażera i zastukała.

Jakiś cień poruszył się wewnątrz, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Facet na pewno chciał, żeby sobie poszła. Viv nachyliła się i powiedziała głośno, zbliżając usta do okna:

– Wyjdą za dziesięć minut.

Jeszcze przez chwilę nic się nie działo – i nagle szyba zaczęła się opuszczać. Viv poczuła zaskakująco przyjemną woń perfum.

– O czym ty gadasz, do ciężkiej cholery? – odezwał się kobiecy głos.

Viv zbaraniała, ale szybko się otrząsnęła.

– O parze ze sto dziewiątki – wyjaśniła. – Bo przecież to na nich pani czeka, prawda? Chce im pani zrobić zdjęcia. Siedzi tu pani całą noc.

Cisza. A potem mruknięte pod nosem: „Szlag”, które Viv usłyszała pomimo deszczu.

– Zwykle nie zostają tak długo – ciągnęła. – Wyjeżdżają przed czwartą, ale nie muszą pani tego mówić. Mężczyzna właśnie dzwonił do żony powiedzieć, że jest już w drodze. Kobieta może wyjść w każdej chwili. Zawsze wychodzi pierwsza.

– Szlag – padło tym razem głośniejsze. – Nie stój tak, dziewczyno. Wsiadaj z tyłu. Ja tu zarabiam na życie.

Viv otworzyła drzwi i wsunęła się na tylną kanapę. Ściągnęła z głowy mokry kaptur, niechcący strzepując krople wody na skajową tapicerkę, i spojrzała na kobietę – a kobieta odwróciła się i spojrzała na nią.

Miała czarną skórę, była szczupła i nosiła krótkie naturalne afro. Wyglądała na trzydziestkę, może trochę mniej. Bluzka z prostym kwiatowym wzorem, złote kolczyki w uszach i zero makijażu. Na jej twarzy nie było widać żadnych oznak zmęczenia po nieprzespanej nocy.

Viv nie spodziewała się czarnoskórej kobiety. Myślała, że w aucie siedzi mężczyzna, prywatny detektyw w typie bohaterów popularnych seriali. W telewizji detektywi ani policjanci nigdy nie byli czarnymi kobietami, nawet w Cagney i Lacey. Ale właściwie... dlaczego nie? Fell było pełne niespodzianek. Powoli się do tego przyzwyczajała.

Na fotelu pasażera leżała okazałych rozmiarów torba ze sprzętem fotograficznym i druga, wielkości sporego pudełka na kanapki, najpewniej zawierająca kolację nieznaną. Spojrzenie ciemnobrązowych oczu kobiety spotkało się ze wzrokiem Viv, która dostrzegła w nich nieustępliwą, nieufną i zdecydowanie bardziej niż lekko rozdrażnioną osobę, doskonale świadomą tego, co pomyślała sobie Viv.

Kobieta przymrużyła powieki. Rozpoznała ją.

– Pracujesz w recepcji.

– Tak – potwierdziła Viv. – A pani szpieguje Helen, kiedy zdradza męża.

– Masz z tym problem? Nie wiem, zgłosisz to swojemu szefowi?

– Nie. Nie mam z tym żadnego problemu. I nie wiem, gdzie jest moja szefowa.

Oblicze kobiety jeszcze bardziej stężało.

– To po co przyszłaś? Nudzi ci się? Nie masz nic lepszego do roboty?

Viv wytrzymała jej spojrzenie.

– Nie. Przyszłam, bo chcę panią prosić o przysługę.

– Przysługę? – Kobieta pokręciła głową i o mało się nie roześmiała. – Szlag, szlag i jeszcze raz szlag. Co za fatalna noc. Nie zorientowałam się, że mnie rozgryzłaś, recepcjonistko. To dla mnie znak, że muszę być bardziej dyskretna.

– Oni nie mają pojęcia, że pani tu jest – uspokoiła ją Viv. – Jestem tego pewna.

– Aha. A niby skąd wiesz, o czym nasz Romeo rozmawia z żoną?

– Telefony w motelu mają usterkę – wyjaśniła Viv. – Kiedy ktoś dzwoni z pokoju, wystarczy, że podniosę słuchawkę w recepcji, i wszystko słyszę. Często to robię.

Kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Hm. Praktyczna sprawa.

Viv wzruszyła ramionami.

– Zależy, co chce się usłyszeć. W zamian za przysługę mogę pani opowiedzieć o wszystkim, co oboje mówili przez telefon podczas pobytu w Sun Down.

W kabinie zaległa cisza. Kobieta rozważała propozycję Viv, a Viv zastanawiała się, czy dobrze to rozegrała. Może tak. Nie planowała zdradzać tajemnic Helen i Roberta, żeby zdobyć to, na czym jej zależało, ale chyba powoli uczyła się, że czasami po prostu trzeba.

– Dobra, pójdę na to – odezwała się w końcu kobieta. Wyciągnęła rękę. – Mam na imię Marnie, a ty?

– Viv. – Uścisnęła jej dłoń. – Miło mi cię poznać. Myślę, że...

– Cii. – Marnie nagle chwyciła za aparat. – Prędko, schowaj się za fotelem. Nie mogą cię zobaczyć.

Viv łypnęła zza oparcia. W drzwiach do sto dziewiątki pojawiła się Helen. Znow była w dzinsach, a pod kurtką miała czarno-białą bluzkę z obniżoną

talią. Zasłoniła głowę jakąś kartką – Viv wyteńczyła wzrok i rozpoznała poźółkły folder „Witamy w Sun Down!”, który stał na szafce nocnej pokoju – i pobięła do samochodu.

Przyglądając się Helen, Viv pomyślała o swoich rodzicach. W niespełna rok po rozwodzie ojciec ponownie się ożenił. Czy wcześniej dopuścił się zdrady? Matka nic nie mówiła, ale czuła się tak upokorzona, że nie wyjawiałaby prawdy, nawet będąc jedną nogą w grobie. Rozwód dokonał się wśród kamiennej ciszy. Jednego dnia ojciec był z nimi, a drugiego odszedł bez słowa, bez jakiegokolwiek rozmowy. Pozostała po nim pustka, którą matka zapełniała paniczną uporczywością, z jaką oczekiwała doskonałości od obu córek, tak jakby bycie perfekcyjną dziewczyną eliminowało wszelkie problemy.

Mimo że była już dorosła, Viv nie mogła liczyć, że kiedykolwiek dowie się od rodziców, czy doszło do zdrady. Wiedziała, że nigdy nie pozna prawdy.

Zsunęła się niżej. Marnie wycelowowała obiektyw i zaczęła raz za razem naciskać spust migawki. Helen wsiadła do auta i odjechała, a każdy jej ruch został utrwalony na kliszy. Dopiero wtedy Marnie opuściła aparat.

– Cholera, zimna jak lód – skomentowała.

– Kto cię wynajął? – spytała Viv, poprawiając się na siedzeniu. – Jego żona czy jej mąż?

Marnie zerknęła na nią.

– W zasadzie nie powinnam mówić. Ale siedzę tu całą noc i już mi wszystko jedno. Zatrudnił mnie prawnik męża. Facet podejrzewa, że coś jest na rzeczy.

– Chyba zdobyłaś już wystarczająco dużo dowodów?

– To prawda. Ale kiedy oddaję prawnikowi jedną rolkę filmu, ten domaga się kolejnej. Twierdzi, że chce mieć absolutną pewność. Zanosi się na to, że suka dostanie kopa w dupę. I za co? Za parę nocek z White'em? Nie zrozum mnie źle, gość jest niebrzydki. Ale niebrzydkich i na dokładkę nieżonatych facetów jest na pęczki. Co takiego ma ten konkretny? Jest Supermanem w łóżku?

– Moim zdaniem ona nie szuka romansu – powiedziała Viv, zamyślając się nad Helen. – Nie wiem, czego szuka, ale nie tego.

– Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi – zauważyła roztropnie Marnie. Schowała aparat do torby. – Zależy mi wyłącznie na forsie. Którą

niniejszym zarobiłam. Teraz muszę się przespać przed kolejnym zleceniem.

– Tak wygląda twoja praca? Robisz to codziennie? – spytała Viv. – To chyba niebezpieczne zajęcie, wiesz, dla kobiety? Myślałam, że jesteś facetem.

– Tak? No cóż, każdego z nas czasem spotyka zawód. Pewnie zakładałaś też, że jestem biała? Śmiało, możesz powiedzieć.

Viv wzruszyła ramionami. Jasne, że zakładała.

– Nie, nie robię tego codziennie, jeśli chcesz wiedzieć. – Marnie machnęła ręką w kierunku parkingu i motelu. – Miewam inne zlecenia. Pracuję z modelkami, czasem organizuję w szkołach sesje do zdjęć klasowych. Agenci nieruchomości potrzebują fotografii do ogłoszeń sprzedaży. W wolniejsze dni obskakuję pięć albo sześć domów po cztery dolce za fotę. Mało twórcze, ale robota to robota.

Viv nigdy nie słyszała, żeby ktokolwiek utrzymywał się z takich zajęć. Praca recepcjonistki w Sun Down okazywała się jednym długim pasmem nowych doświadczeń.

– Masz zdjęcia motelu z poprzednich nocy?

– Po wywołaniu filmu zachowuję dla siebie po jednej odbitce, chociaż niektórych nie powinnam. Ale nigdy nie wiadomo, co się może przydać. Czemu pytasz? Cholera, wychodzi. Schyl się.

White opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi na klucz. Był szczupły, wysportowany i energiczny. Na palcu lewej dłoni nosił ślubną obrączkę. Miał na sobie ciemny garnitur, jasną koszulę i krawat, a czarne, przyprószone siwizną włosy zaczesał gładko do tyłu. Otworzył parasol. W przybliżeniu paniki Viv uświadomiła sobie, że będzie chciał się wymeldować.

– Nikogo nie ma w recepcji – powiedziała. – Skończyłam swoją zmianę, a Janice jeszcze nie przyjechała. Biuro jest zamknięte.

Marnie ponownie sięgnęła po aparat.

– Zapłacił z góry?

– Tak.

– To nie masz się czym przejmować. – Skierowała oko obiektywu na White'a i pstryknęła mu kilka zdjęć, gdy szedł do recepcji. Wyglądał jak zwykły mężczyzna wybierający się do pracy w zwykły dzień. Tyle że właśnie wychodził z motelu o siódmej rano po nocy spędzonej z kobietą, która nie była jego żoną.

– Nie muszę go fotografować – powiedziała Marnie, nie opuszczając aparatu. – Tylko ją. Ale skoro już tu jest. Co kto lubi, nie? Biali faceci nie są w moim typie.

Viv słuchała tych rzucanych od niechcienia komentarzy z rosnącym zażenowaniem. Matka widziała w niej młodocianą przestępczynię, ale tak naprawdę dwudziestoletnia Viv była niewinna, również jeśli chodziło o „te sprawy”. Nie miała pojęcia, jacy faceci są „w jej typie”, bo żeby to wiedzieć, musiałyby spróbować choć kilku. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie tak obytą w świecie kobietą jak Marnie, Helen czy nawet Alma, która sprawiała wrażenie, jakby wszystko wiedziała. Mimo to zaryzykowała:

– W moim też nie.

Marnie uwieczniła White’a szarpiącego się z drzwiami do recepcji, a potem odpuściła. Zaśmiała się cicho, ale bez złośliwości.

– Uroczą z ciebie dziewczyną – powiedziała, śledząc mężczyznę przez wizjer. White cofnął się, wrzucił klucze do pokoju, zatrzasnął drzwi i szybkim krokiem ruszył na parking. – No dobrze. Słucham. Po co mnie zaczepiłaś?

„To głupie” – pomyślała Viv, nadal skulona na tylnym siedzeniu, z głową do połowy schowaną w kurtce.

Ale w głębi duszy wiedziała, że jest inaczej. Ucisk, który poczuła w piersi, kiedy dowiedziała się o morderstwach Cathy i Victorii, i o zwłokach Betty Graham porzuconych na terenie budowy przyszłego Sun Down, nie osłabł – wręcz przeciwnie: stawał się coraz bardziej uporczywy. Zamiast spać w ciągu dnia, spędzała dużo czasu w Bibliotece Głównej w Fell, wertowała stare gazety, szukała czegoś... czegokolwiek. Zabrnęła w ślepy zaułek. Pojawienie się Helen i White’a, a wraz z nimi zielonego sedana, było darem niebios, który podniósł ją na duchu. Było czymś, na co czekała.

„Kiedy następnym razem zjawi się ten gość, zdobądź coś dla mnie”.

Nie, to nie było głupie. Ani trochę.

– Słyszałaś o Betty Graham?

Marnie przez chwilę milczała.

– Co o niej wiesz? – W głosie kobiety pobrzmiwała podejrzliwość. – I dlaczego pytasz?

– Jej ciało znaleziono tutaj, w Sun Down, zanim powstał motel. Wiedziałaś o tym?

– Owszem. – White odjechał i Marnie opuściła aparat. – Tak jak mnóstwo ludzi. Było o tym dosyć głośno. Jestem natomiast ciekawa, skąd ty wiesz.

„Bo ją widziałam” – pomyślała Viv. Kobieta w kwiecistej sukience ukazała się trzy noce wcześniej. Viv usłyszała cichy stukot obcasów za drzwiami, a kiedy je otworzyła i wystawiła głowę na zewnątrz, poczuła niewyraźny zapach perfum. Kobieta stała pięć, sześć metrów od Viv, zwrócona do niej plecami. Wiatr poruszał rąbkiem jej sukienki i rozwiewał jej piękne włosy.

Viv zebrała się na odwagę. „Betty?” – zapytała.

Kobieta nie odwróciła się i nie odpowiedziała, a po chwili zniknęła.

– Po prostu jestem ciekawa – odparła Viv, starając się uspić podejrzliwość Marnie. – Słyszałam o słynnym morderstwie w Fell, a że ciało ofiary porzucono akurat tu, gdzie pracuję, to się zainteresowałam.

– Aha. – Ton głosu Marnie sugerował, że cynizm jest jej domyślną postawą. – I co to ma wspólnego ze mną?

– Ostatnia osoba, która widziała Betty żywą, twierdzi, że odwiedził ją komiwojażer. Zapukał, Betty otworzyła i wpuściła go do środka. Nikt nie zauważył, żeby któreś z nich opuściło dom. Nikt nie wie, czy komiwojażer ją zabił ani nawet kim był.

Marnie obróciła się w fotelu i spojrzała na Viv.

– Mów dalej.

– W Sun Down co jakiś czas zatrzymuje się komiwojażer – powiedziała Viv, wskazując na budynek za ścianą deszczu. – Przyjeżdża tutaj, do tego miejsca. Melduje się i za każdym razem używa fałszywego nazwiska.

Było inaczej niż z Alną. Marnie patrzyła na Viv, jakby Viv czytała z książki, której treści nigdy nie spodziewała się usłyszeć na głos.

– Zalewasz – skwitowała głosem na granicy szeptu. – Jaja sobie robisz, dziewczyno.

– Był tu poprzednim razem, kiedy przyjechała Helen. I ty też tu byłaś. Robiłaś zdjęcia. Chcę wiedzieć, czy udało ci się go uchwycić. Jego twarz, cokolwiek. Samochód. Jeśli zdobędę numery rejestracyjne, dowiem się, kim jest. Kim naprawdę jest.

– Ach, więc o to chodzi? Bawisz się w Nancy Drew i w środku nocy próbujesz rozwiązać zagadkę morderstwa? – zadrwiła Marnie, ale ton głosu był śmiertelnie poważny.

Viv wytrzymała spojrzenie i nie odwróciła wzroku. Miała prostą odpowiedź:

– Ktoś musi.

Marnie zastanawiała się przez chwilę.

– W porządku – zgodziła się w końcu. – Film jest wywołany. Przejrzę odbitki.

– A mogę sama je obejrzeć?

– Masz tupet, dziewczyno. Ale rozumiem cię. To, co przytrafiło się Betty Graham, nikomu nie powinno było się przytrafić. Drań, który jej to zrobił, wciąż chodzi na wolności. Jeżeli istnieje choć szansa, że jest nim ten twój komiwojażer, przejrzę z tobą zdjęcia, nie ma sprawy.

– Nie chodzi tylko o Betty – zaznaczyła Viv. – Były też inne ofiary.

Marnie zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Masz na myśli tę dziewczynę, którą znaleźli pod wiaduktem. Tę z dzieciakiem.

Viv poczuła coś dziwnego, osobliwe doznanie, które zagnieździło się w jej karku – jakby kurek był zbyt mocno zakręcony i ktoś nareszcie go poluzował; jakby popłynęło z kranu coś, co zbyt długo nie mogło znaleźć ujścia. Marnie wiedziała. Ona i pozostałe kobiety w Fell dzieliły tę wspólną wiedzę, posługiwały się tym samym językiem.

– Cathy. A także Victorię.

– Dziewczynę ze ścieżki. – Marnie zmierzyła Viv wzrokiem. – Jesteś gliną? Mówisz, że pracujesz w Sun Down, i jakoś nie wyglądasz mi na policjantkę.

– Bo nie jestem nią. Po prostu poświęciłam dużo czasu w bibliotece na szukanie informacji o zamordowanych kobietach. Myślę, że jest ich całkiem sporo w Fell.

– Myślisz, że jest ich całkiem sporo w Fell – powtórzyła Marnie. – Tak myślisz? Dziewczyno, ja tu mieszkam od urodzenia. Kiedy zginęła Betty Graham, wszystkie się bałyśmy. Każda z nas. Zamykałyśmy drzwi i nie wychodziłyśmy wieczorami. Matki bez przerwy sprawdzały, gdzie jesteśmy i co robimy. Nawet moja, mimo że Betty była biała. Przez kilka tygodni wszystkie byłyśmy Betty, rozumiesz?

Viv przełknęła ślinę i przytaknęła.

– Nadal nią jesteśmy – powiedziała. – Przynajmniej ja.

Marnie znów pokręciła głową.

– Dziwna jesteś, ale podobasz mi się. Siadaj z przodu.

Viv przeniosła się na fotel pasażera, z którego Marnie zdjęła torbę ze sprzętem fotograficznym.

– Dokąd jedziemy?

– Spokojnie, dostaniesz zdjęcia – zapewniła Marnie, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Ale skoro tak cię interesują martwe kobiety, zabiorę cię na małą wycieczkę.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

– Dopiero po czterech dniach zorientowali się, że zaginęła – powiedziałam.
– Wyobrażasz sobie? Po czterech dniach.

Była druga w nocy. Zauważyłam, że automat ze słodyczami przestał działać, i poprosiłam Nicka, żeby rzucił okiem. Poszedł do składziku – nawet nie wiedziałam o jego istnieniu – i wrócił ze skrzynką z narzędziami. Usiadłam na maszynie do lodu i przyglądałam się Nickowi grzebiącemu w automacie w wąskim, ciasnym pomieszczeniu. Znaleźliśmy starą cegłę i podparliśmy nią drzwi, bo bez przerwy same się zamykały.

– Czyli co? – zdziwił się Nick. – Nikt nie zawiadomił policji?

– Nie. W gazetach napisano, że Viv zaginęła „prawdopodobnie” w czasie nocnej zmiany dwudziestego dziewiątego listopada. Rozmawiała z gościem z popołudniowej zmiany i to on był ostatnią osobą, która ją widziała. Cztery dni później, kiedy policja w końcu zaczęła szukać, znaleziono jej rzeczy osobiste w recepcji Sun Down.

Nick odkręcił jakąś śrubkę i zdjął przedni panel urządzenia.

– Powiedziałbym, że personel był mało spostrzegawczy, ale wiesz, mieszkam tu od ładnych kilku tygodni i w ogóle rzadko kiedy widuję kogokolwiek z personelu.

– Właśnie. Kiedy kończę o siódmej rano, z reguły nikt się nie zjawia, żeby mnie zmienić. Myślę sobie, że gdybym zniknęła w środku nocy, nikt by nawet nie zauważył.

– Ja bym zauważył – powiedział Nick.

Zarumieniłam się. Nie przychodziła mi do głowy żadna riposta.

Nick zaglądał do trzewi maszyny i nie zwrócił uwagi na moje rozpalone policzki.

– Mówiłaś, że miała współlokatorkę?

– Tak. Nazywała się Jenny Summers. – Kiedy on skupiał się na mechanizmie automatu ze słodyczami, ja mogłam bezkarnie studiować jego profil. A ten, gdy uważnie się przyjrzeć, był niemal doskonały. Jego niebieskie oczy były osadzone pod wiecznie – no, prawie wiecznie – zmarszczonymi brwiami, zwłaszcza gdy się na czymś skupiał. Jego nos miał idealny kształt. Nick nie golił się od kilku dni, dlatego dolną część jego policzków, brodę i podbródek porastała ciemnobrązowa szczecina. Kiedy posługiwał się śrubokrętem, z mięśniami i ścięgnami jego przedramienia działały się niesamowite rzeczy, a pod rękawami T-shirtu swój dziki taniec skuteczniały okazałe bicepsy. Chyba nadeszła pora, bym przyznała sama przed sobą, że zadurzyłam się w tajemniczym gościu z dwieście dziesiątki.

Nick odłożył śrubokręt, a do mnie nagle dotarło, że przestałam mówić po to, by móc pożerać go wzrokiem. Otrząsnęłam się i przypomniałam sobie, na czym skończyłam.

– Sprawdziłam dzisiaj tę Jenny Summers – powiedziałam. Nick lekko rozluźnił ściągnięte brwi i wrócił do pracy. – Otóż nadal nazywa się tak samo jak w osiemdziesiątym drugim i na dodatek figuruje w miejscowej książce telefonicznej. Bo, wyobraź sobie, Fell ma prawdziwą, fizyczną książkę telefoniczną.

– Wiem. – Ponownie sięgnął po śrubokręt, po czym pstryknął jakiś przełącznik we wnętrzu urządzenia. Nic się nie zadziało. – Jest w recepcji.

– Bingo. – Uniosłam kciuk, żeby mu pogratulować, mimo że nie patrzył na mnie. – Znalazłam ją w szufladzie biurka. Kolejny egzemplarz można dostać w bibliotece. Czuję się, jakby wynalazek Internetu nigdy nie dotarł w te strony.

– Musisz się przyzwyczaić – podsumował.

Kucnął, żeby wybrać inny śrubokręt ze skrzynki, i w tej pozycji koszulka podjechała mu kilka centymetrów do góry, odsłaniając fragment dolnej części pleców. Wpatrywałam się nieruchomym wzrokiem w ten wąski pasek ciała i mówiłam:

– W każdym razie Jenny Summers figuruje w książce. Zadzwoiłam do niej i zostawiłam wiadomość. Powiedziałam, że jestem siostrzenicą Viv. Poza tym próbowałam się skontaktować z policjantem, który zajmował się tą sprawą. Chciałam zapytać, dlaczego przez cztery dni nikt się nie zorientował, że Viv zniknęła.

– Nie miała przyjaciół ani chłopaka. Takie rzeczy się zdarzają, kiedy jesteś całkiem sama – stwierdził Nick.

– To swoją drogą. – Maszyna do lodu, na której siedziałam, wydała dziwny, przypadkowy dźwięk, jak beknięcie, i w środku coś kliknęło. Ciekawe, że przez te wszystkie lata dzień za dniem produkowała lód, którego nikt nie potrzebował. Spokojnie zaczekałam, aż skończy, i podjęłam przerwany wątek. – We wszystkich artykułach opisywano Viv jako ładną i lubianą. Rzeczywiście była ładna, to trzeba przyznać. Ale co to znaczy „lubiana”? Osoba lubiana z reguły ma wielu znajomych. Kiedy ktoś taki znika bez śladu, ludzie zwykle orientują się prędzej niż po czterech dniach. Nie nazwałabym siebie szczególnie towarzyską osobą, ale przynajmniej powiedziałam współlokatorce, że na jakiś czas rezygnuję z zajęć na uczelni. Gdybym nie wróciła, pomyślałaby, że wpadłam w łapy gościa z Milczenia owiec.

– Tak jest dziś – zauważył Nick. – Ale mówimy o osiemdziesiątym drugim. Wtedy było inaczej.

– Może. Ale po co opisywać dziewczynę w taki sposób, skoro nikt nawet nie zauważył jej nieobecności? Dla mnie to dziwne.

Nick przecesał włosy dłonią.

– Nie wiem. Może dziennikarz, który to pisał, po prostu założył, że była lubiana.

– Z powodu jej urody? Ktoś spojrział na zdjęcie ślicznej buzi i uznał, że ta dziewczyna na pewno musi się cieszyć popularnością? Tak jakby atrakcyjna kobieta nie mogła mieć problemów. Ani głębi. Ani życia innego niż doskonałe.

Nick spojrział na mnie rozbawiony.

– Niezła przemowa, ale to nie ja byłem autorem tego artykułu.

Zamęczałam go gadaniem, bo nie umiałam się powstrzymać. Powinnam była się w końcu zamknąć i przestać w kółko trajkotać o Viv – tyle że miałam obsesję na jej punkcie. Już dawno powiedziałam o tym wszystkim Heather, ale wychodziłam z założenia, że im dłużej będę rozmawiała z Nickiem, tym dłużej będę mogła na niego patrzeć.

– Myślisz, że zdołasz to naprawić? – spytałam, mając na myśli automat ze słodyczami.

– Nie – przyznał uczciwie i wstał. Odsłonięty fragment skóry na plecach zniknął, ale pojawił się nowy, na jego niewiarygodnie płaskim brzuchu, kiedy

Nick wyciągnął rękę po śrubokręt, który zostawił na górze obudowy. – Nawet nie potrafię rozgryźć, jak działa. Musi mieć za trzydzieści albo czterdzieści lat. Udało ci się coś w nim kupić?

– Nie. Przyszłam po batona, bo tu jest napisane, że są po dwadzieścia centów, czyli jak za darmo. Wrzuciłam dwie dziesiątki, ale ustrojstwo połknęło monety i zaczęło wydawać dziwne dźwięki. Więc pomyślałam, że się zepsuło.

– No... jest zepsute, fakt, i to od dłuższego czasu. Zobacz, ile kurzu na tych m&m'sach. Za to snickers nie wygląda źle. – Podał mi batona, a sam znowu skupił się na urządzeniu. Podważył śrubokrętem i zdjął boczną płytę. – Może się po prostu zablokowało.

– Czym?

– Wiem tyle samo co ty. Nie... nic tu nie widzę. Jedno jest pewne: ten automat nie wydaje słodczy i żeby się do nich dorwać, trzeba się do niego włamać.

Westchnęłam.

– Tyle zachodu i co z tego mam? Zakurzonego snickersa.

– Nie narzekaj. – Obejrzał element, który przed chwilą wymontował. – Bez dwóch zdań zepsuty. Dziwne, że w ogóle jest podłączony do prądu.

Otworzyłam snickersa. Bo czemu nie? Przecież nie był aż tak stary, miał rok albo dwa, a nie trzydzieści.

– Stawiam, że naprawa za dużo kosztuje. W Sun Down nie wydaje się pieniędzy. Ani na nowe telefony, ani na klucze elektroniczne, ani na to... na nic.

– Mój pokój wygląda jak muzeum – zgodził się Nick, z powrotem przytwierdzając płytę. – Abażury pożółkły ze starości, a materiał prześcieradła ma te takie szorstkie węzłki z nici. Nie przeszkadza mi to, bo po raz pierwszy od lat nareszcie się wysypiam, ale... O cholera, coś się dzieje.

Po złożeniu automat ze słodczymi zaczął warkotać. Gdzieś głęboko w bebechach urządzenia zabręczały moje dwie dziesięciocentówki. Coś łupnęło i w podajniku na dole pojawił się drugi baton.

Przez chwilę oboje patrzyliśmy zaskoczeni.

– E... gratulacje? – powiedziałam. – Zdaje się, że jednak go naprawiłeś.

Nick był w szoku.

– Na to wygląda. – Zabrał drugiego snickersa. – Do którego gliniarza zadzwoniłaś?

– Co?

– Mówiłaś, że dzwoniłaś do policjanta, który pracował nad sprawą zaginięcia twojej cioci. Do którego? – Spojrzał na mnie. – Znam wszystkich gliniarzy w Fell.

No tak. Bo jego brat został zamordowany i niewiele brakowało, żeby on sam również stracił życie.

– Do Edwarda Pareya. Był komendantem policji.

Nick pokręcił głową.

– Nie pomoże ci. Był komendantem, kiedy umarł mój brat, i zachowywał się jak ostatni palant. Wątpię, żeby się zmienił.

„Kiedy umarł mój brat”. Powiedział to takim tonem, jakby chodziło o naturalną śmierć. Miał zupełnie obojętną minę.

– Trudno – stwierdziłam. – Jeśli nic z tego nie wyjdzie, poszukam kogoś innego.

– Znam kilka osób, do których mogłabyś przekreślić. – Podrapał się po karku. – Tylko nie powołuj się na mnie. Jako nastolatek często pakowałem się w tarapaty, więc wiesz... ci ludzie niespecjalnie za mną przepadają.

– Na przykład co robiłaś?

– Kradłem, wdawałem się w bójki. Sporo piłem. Po morderstwie zupełnie się wykołem, stałem się zakałą Fell. W sumie nie powinnaś się ze mną zadawać.

– Przykro mi – powiedziałam, bo uświadomiłam sobie, że dotąd nie wyraziłam współczucia dla niego. Nie było to wiele, ale zawsze coś.

Posłał mi zagadkowe spojrzenie, jakby słowa, które padły z moich ust, wydały mu się dziwne.

– Dzwoniłaś do Almy Trent? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Kim jest Alma Trent?

– Policjantką, która przez wiele, wiele lat pracowała na nocnej służbie. Teraz pewnie jest już na emeryturze. Była zwykłą posterunkową, ale możliwe, że poznała Viv, skoro robiła na nocki.

– Czy Alma Trent też cię nie cierpi?

Uśmiechnął się pod nosem.

– Parę razy zbierała mnie z podłogi na imprezach, ale zawsze zachowywała się porządnie. Zrobiła mi kilka wykładów o tym, że marnuję swoje życie. Nie godziła się na moje cyrki. – Jego uśmiech zgasł. – Jezu, właśnie do mnie dotarło, że siedzę w Fell od miesiąca i prawie nie wystawiłem nosa poza motel. Nawet nie wiem, czy ludzie, których znałem, nadal żyją.

Spuściłam wzrok i ugryzłam kawałek snickersa.

– Pojedź ze mną – zaproponowałam. – Kiedy będę z nimi rozmawiała.

Milczał. Podniosłam głowę, żeby zobaczyć, czy spojrzenie jego niebieskich oczu stężało.

– To nie jest dobry pomysł – powiedział powoli.

– Mówiłeś, że wróciłeś zmierzyć się z własnymi demonami. Stawić czoła przeszłości. Nie uda ci się to, jeśli nie będziesz się ruszał z motelu. Wyprawa do miasta może ci pomóc.

– To nie takie proste. – Odwrócił się do automatu i zaczął zamykać przedni panel. – Dla ciebie może tak, bo jesteś tu obca, ale nie dla mnie. Znam tych ludzi. Wielu z nich znało mojego ojca i Elię. Stanę przed nimi, kiedy będę gotowy, nie wcześniej.

Komórka zadzwoniła o wpół do dwunastej. W południe. Leżałam zagrzebana w pościeli, spałam – i śniłam: o drodze i jeziorze, o nieruchomej powierzchni wody. Nie chciałam pływać. Na dźwięk dzwonka opuściłam ciemną jaskinię kołdry. Moją skórę pokrywała cienka warstwa chłodnego potu.

Sięgnęłam po leżący na szafce nocnej aparat.

– Halo.

– Rozmawiam z Carly Kirk? – odezwała się kobieta.

Półprzytomna ściągnęłam brwi.

– Tak.

– Mówi Marnie Clark. Oddzwaniam.

Marnie Clark, dawniej Mahoney. Fotografka podpisana pod zdjęciem Viv, które znalazłam w gazecie. Pomyślałam, że co mi szkodzi, i wygooglowałam ją. Wyszła za męża w osiemdziesiątym trzecim, ale nadal mieszkała w Fell, tak

jak Jenny Summers, współlokatorka Viv. Wychodziło na to, że nikt nigdy nie wyjeżdżał z Fell. A jeżeli wyjeżdżał – jak Nick – to w końcu i tak wracał.

– Dzień dobry – przywitałam się, siadając na łóżku. Słyszałam Heather krzątającą się w kuchni. – Dziękuję za telefon.

– Proszę nie dziękować – odparła kobieta. Ton jej głosu nie był gniewny, ale bardzo stanowczy. – Nie mam nic do powiedzenia na temat Vivian Delaney.

– Widziałam zdjęcie w gazecie. Podpisano je pani nazwiskiem.

– To nic wielkiego. W tamtych czasach pracowałam jako niezależna fotografka. Robiłam masę zdjęć. Sprzedawałam je gazetom i różnym ludziom. Tak zarabiałam na życie.

– Wyglądało jak zrobione z ukrycia.

– Bo pewnie takie było. Chyba że zgodziła się zapozować w studiu, ale nie przypominam sobie. Jej zresztą też nie pamiętam.

Przezesłam włosy palcami.

– Może pani nie rozumie. Viv była moją ciocią. Zaginęła w osiemdziesiątym drugim i nigdy się nie odnalazła...

– Wiem o tym – przerwała mi Marnie. – Wiem, że zaginęła. Czytałam o tym w gazetach. Miałam jej zdjęcie, więc zaproponowałam, żeby je kupili. Zgodzili się. Wzięłam pieniądze. To wszystko.

– Po prostu myślałam, że...

– Błądzi pani – powiedziała. – Nie wiem, czego się pani spodziewa, ale to się nie stanie. Proszę się z tym pogodzić.

– Słucham?

– To moja rada dla pani. Minęło trzydzieści pięć lat. Mieszkam w Fell od urodzenia i mówię pani, że co zniknęło, tego już nie ma. Rozumie pani? Trudno to zaakceptować, ale taka jest prawda. Co zniknęło, tego już nie ma. To wszystko, co mam do powiedzenia na temat Vivian Delaney albo kogokolwiek.

– Niech pani posłucha. Może udałoby nam się spotkać na kawie? Chcę tylko porozmawiać.

Odpowiedziała mi cisza w słuchawce. Marnie Clark się rozłączyła.

Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku

VIV

Jechały przez centrum w strugach deszczu, który w odczuciu Viv trafnie oddawał charakter Fell. Marnie zabrała ją dalej, na drugą stronę miasta, tam, gdzie niewielkie dwupoziomowe domy stopniowo ustępowały łąkom, polom, pojedynczym magazynom i zaniedbanym, na pierwszy rzut oka wiecznie nieczynnym warsztatom. Zwolniła dopiero tuż przed wiaduktem i po chwili stanęła na poboczu. Za mokrą przednią szybą było widać ciemny wlot do tunelu.

– Tutaj znaleziono Cathy Caldwell – powiedziała Marnie.

Viv nasunęła kaptur na głowę i wysiadła. Zachlupotało jej w butach. Szosą na górze – zwykłą dwupasmówką, która łączyła się z oddaloną o kilka kilometrów autostradą międzystanową – jeździło sporo samochodów, ale tutaj, na dole, panowała niemal niezmacona cisza, jeśli nie liczyć jednostajnego szumu deszczu. Nie było nikogo, żadnych aut ani żadnych zabudowań w zasięgu wzroku.

Viv przyjrzała się wiaduktowi i tonącemu w mroku tunelowi. Ot, zwyczajna konstrukcja drogowa, jedna z tysięcy, szpetna betonowa bryła z paroma nasprayowanymi na odwal się zawijasami, tak jakby nastolatkom z Fell nawet nie chciało się tu przychodzić bez względu na to, jak bardzo doskwierała im nuda. Pod ołowianym niebem wlot tunelu wyglądał jak rozdziawiona, gotowa połknąć swoją zdobycz gęba. W mokrej, śliskiej nawierzchni drogi po drugiej stronie odbijało się zamglone światło.

Kiedy Viv minęła krawędź estakady, przestało padać jej na głowę, mogła więc ściągnąć kaptur i rozejrzeć się. Po obu stronach drogi znajdowało się wąskie betonowe pobocze, a ziemia była zasłana śmieciami: potłuczonymi butelkami po piwie, petami... kawałkiem sflaczałej gumy, w której dopiero po chwili zaszokowana rozpoznała – z opowieści, nie z doświadczenia – prezerwatywę, i to zużytą. Skrzywiła się z niesmakiem i odwróciła wzrok. Poczowała zapach stęchłego moczu.

Morderca Cathy porzucił pod wiaduktem jej nagie, martwe ciało. Viv odsunęła od siebie poczucie obrzydzenia i oburzenia – i spróbowała się zastanowić. Dlaczego akurat tutaj?

Po pierwsze: mógł to zrobić niezauważony. To oczywiste. Od momentu, w którym Marnie zatrzymała się na poboczu, nie pojawił się w tunelu żaden samochód. Jedyne potencjalnymi świadkami byli pasażerowie aut przejeżdżających górą, ale chcąc cokolwiek zobaczyć, musieliby się wychylać przez okno. Ile czasu zajmuje porzucenie zwłok? Minutę? Dwie? Viv stała tu dłużej.

Po drugie: światła i cienie w tunelu wprowadzały w błąd. Leżące na poboczu ciało można było z łatwością pomylić ze śpiącym pijakiem albo narkomanem. Prawdopodobieństwo szybkiego odkrycia zwłok w tym miejscu, przynajmniej w porównaniu z przydrożnym rowem albo otwartą przestrzenią, było stosunkowo małe; ale też nie ulegało wątpliwości, że zwłoki prędzej czy później zostałyby odkryte.

Po trzecie: tunel pod wiaduktem był miejscem dla wtajemniczonych – pijaków, nastolatków, amatorów seksu na powietrzu – w tym sensie, że trzeba było wiedzieć, dokąd się udać; nie dało się tu trafić przypadkiem, na przykład podczas spaceru. To oznaczało, że morderca wybrał je, ponieważ już wcześniej tędy przejeżdżał. Być może wiele razy. W jedną albo drugą stronę. To była jego droga.

Uprowadził Cathy, kiedy po pracy wsiadała do samochodu. Zrobił to, gdy jej męża nie było w domu. Porzucił zwłoki tutaj, w tunelu.

Viv wróciła do auta i wsiadła. Nagle dotarło do niej, że przez cały ten czas Marnie baczenie się jej przyglądała.

– No i?

Viv przeczesła dłonią wilgotne loki, które tak pracowicie ułożyła; makijaż już dawno spłynął.

– Wybrał ją – powiedziała. – Śledził ją. Wiedział, gdzie pracowała. Wiedział, że jej mąż wyjechał. A kiedy ją zabił, wybrał akurat to miejsce, by porzucić martwe ciało. Zaplanował to. Mordercą jest ktoś stąd.

– A niech mnie. Wykombinowałaś to wszystko po pięciu minutach w tunelu? – Marnie się zamyśliła. – To ktoś tutejszy, bo orientuje się w okolicy – powiedziała, dopasowując elementy układanki. – Obcy nie wiedziałby o istnieniu tego miejsca.

Viv pokazała palcem na drugi koniec tunelu.

– Dokąd prowadzi ta droga?

– Do wylotówki na południe. Do Nowego Jorku.

Nowy Jork. Viv przypomniała sobie, jak się tam wybierała i chciała się znaleźć na tej drodze. Zamierzała potraktować Fell jak przystanek na trasie. Nadal mogła to zrobić. Mogła pojechać do Nowego Jorku.

Przemieszczał się tędy ktoś, kto często przybywał do Fell i opuszczał je. Ktoś taki jak na przykład... komiwojażer.

– Zabierz mnie w kolejne miejsce – poprosiła.

Marnie zabrała ją na zielone osiedle dwudziestoletnich bungalowów, uchodzące za przedmieścia Fell. Viv urodziła się i przez jakiś czas mieszkała w podobnej okolicy, zanim ojciec zdobył lepiej płatną pracę i rodzina przeniosła się do nowego domu w Grisham, otoczonego równym trawnikiem i świeżo obsadzonego roślinami. Ulica, przy której teraz się znalazły, była skromna, ale zadbana, w słoneczny letni dzień wyglądała pewnie całkiem ładnie; co innego w ponury, deszczowy poranek.

Marnie stanęła przy krawężniku i wyłączyła silnik. Krople deszczu bębniły o dach.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Viv.

– Wspomniałaś o Betty Graham – powiedziała Marnie. – W sobotnie popołudnie wpuściła do domu komiwojażera. – Pokazała. – Tam mieszkała.

Viv podążyła wzrokiem za palcem Marnie. Budynek był nieduży i schludny, miał prosty chodnik prowadzący od ulicy do wejścia i wypielegnowane krzewy pod oknami od frontu. W pewnej chwili otworzyły się drzwi i wyszedł przez nie około sześćdziesięcioletni mężczyzna w płaszczu w szkocką kratę i kapeluszu do kompletu. Spojrzał na zegarek – było tuż po ósmej rano – wsiadł do samochodu i odjechał. Gdzieś niedaleko zaszczekał pies.

– Rodzina oczywiście sprzedała dom – skomentowała Marnie. – Wydawało się, że będą mieli z tym problem, ale nie. Pewnie dlatego, że Betty nie zginęła tutaj.

– Nie?

Marnie pokręciła głową.

– W salonie znaleziono przewróconą i potłuczoną lampę, ale to był jedyny ślad świadczący o tym, że cokolwiek się tu wydarzyło. Nie było krwi, nic z tych rzeczy. Morderca musiał ją stąd wywieźć. – Wskazała dom po drugiej stronie ulicy. – Tam mieszkała sąsiadka, która widziała komiwojażera. Zobaczyła, jak wchodzi do środka. Nie zauważyła, żeby ktokolwiek wychodził.

– Jak to możliwe?

Marnie wzruszyła ramionami, ale nie był to swobodny, obojętny gest; wyraźnie dało się w nim wyczuć napięcie.

– To pytanie do mordercy. Wiadomo tylko, że Betty zniknęła, a potem jej ciało odnalazło się na placu budowy przyszłego motelu Sun Down.

Kobieta w kwiecistej sukience. Nie nawiedzała domu, w którym mieszkała, lecz motel.

– Skąd tyle wiesz na ten temat? – spytała Viv.

– Zdarza się, że policja w Fell zamawia u mnie dokumentację fotograficzną z miejsca przestępstwa. Zwykle chodzi o włamania, wiesz, pstrykam wybite szyby, wyłamane zamki, splądrowane pokoje, ślady w ogrodzie. Obsada tutejszego komisariatu jest tak nieliczna, że brakuje im ludzi do takich zadań, poza tym nie mają dość sprzętu, żeby obskoczyć dwa miejsca w tym samym czasie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wtedy wkraczam ja. Oczywiście jako wolny strzelec. – Przekreśliła kluczyk w stacyjce. – Nigdy nie fotografowałam zwłok, co to to nie. Słucham, o czym gliny rozmawiają między sobą, a wiedz, że plotkują jak wszyscy normalni ludzie. Jeśli nie zwracasz na siebie uwagi, możesz się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

– Policja wyklucza możliwość, że wszystkie te zbrodnie popełniła jedna i ta sama osoba – raczej stwierdziła, niż zapytała Viv.

– Nawet nie przyszło im to do głowy. Wierz mi, praca w małym mieście nie wygląda jak na filmach, tu nie ma zespołu śledczych, którzy pochylaliby się nad różnymi aspektami sprawy. Betty i Cathy obracały się w innych kręgach i znały innych ludzi. Przypadku Victorii w ogóle nie powiązano z pozostałymi dwiema kobietami, bo przecież za morderstwo skazano jej chłopaka.

Powoli ruszyła. Włączyła wycieraczki.

– A jeśli mają rację? – odezwała się Viv. – Może każdą z tych kobiet zabił inny mężczyzna z innego powodu?

– To by oznaczało, że mamy w Fell nie jednego, a wielu morderców – odparła Marnie. – Co byś wolała?

Ścieżka, na której Victoria Lee została zamordowana, była ledwo widoczna w ulewnym deszczu. Zaścielała ją warstwa mokrych, częściowo zgniłych liści i co jakiś czas dołączały do nich świeże, strącane przez grube krople wody. Wejścia na ścieżkę z bocznej uliczki strzegła niewysoka barierka, przez którą wszyscy oczywiście przestępowali. Brakowało jakichkolwiek oznaczeń terenu.

– Dom Victorii stoi tam – powiedziała Marnie, wskazując szereg budynków na lekkim wzniesieniu za długim ciągiem ogrodzeń. Patrzyły na osiedle od strony ogrodów na tyłach. – Docierała do końca swojej ulicy, potem skręcała w tę i wbiegała na ścieżkę.

– To wygląda na popularne miejsce – skomentowała Viv, rozglądając się. – Pewnie przewija się tędy mnóstwo ludzi.

– Ale nie tamtego dnia. Lało jak dziś. Rozpętała się nawet burza. Nikt nie korzysta ze ścieżki w deszczu.

Viv przeszła nad barierką. Znów musiała włożyć kaptur. Woda szybko wsiąkała w materiał.

– Poszła pobiegać, chociaż padało.

– Po kłótni – dopowiedziała Marnie. Ruszyła za Viv, ale w przeciwieństwie do niej nie zawracała sobie głowy kapturem; uznała, że zmoknie tak czy siak. – Nie dotarła zbyt daleko. Znalaziono jej ciało niespełna dziesięć metrów stąd.

Wśród gęstych drzew szum deszczu nie brzmiał tak ogłuszająco jak na otwartej przestrzeni. Krople z liści skapywały Viv na czoło, a jej buty chlupotały w błocie. Zsunęła kaptur i rozejrzała się. Czuła się tu jak w katedrze, było ciemno, cicho i przerażająco. Drzewa rosły tak blisko siebie, tworzyły tak zwartą formację, że nie było widać, gdzie się przeredzają i ustępują podwórkom i domom, mimo że te wcale nie stały daleko. Viv miała wrażenie, jakby weszła do lasu, który ciągnął się na wiele kilometrów.

– Dokąd prowadzi ścieżka? – spytała.

– Ma niespełna dwa kilometry. To stare tereny miejskie, początkowo przeznaczone pod tory, które jednak nigdy nie powstały. Przez prawie sto lat władze nie potrafiły zdecydować, co zrobić z tą działką. Ostatecznie machnęły na nią ręką, bo jest długa, wąska i właściwie do niczego się nie nadaje. Okoliczni mieszkańcy, jak to często bywa, wydeptali sobie ścieżkę, która

zaczyna się tutaj, a kończy tuż za budynkiem Band and Trust przy Eastern Road.

Szły dalej.

– W gazetach nie pisano, że Victoria uprawiała sport – powiedziała Viv. Skupiano się na tym, że często miewała kłopoty w szkole, jakby to mógł być powód, dla którego chłopak napadł na nią i ją udusił. Jakby sama była sobie winna. Oczywiście nie mówiono tego wprost, Viv czytała między wierszami, ale było to oczywiste dla każdej dziewczyny. „To samo może się przytrafić tobie, jeżeli będziesz się źle zachowywała i będziesz puszczańska”. Nawet w artykułach o prawej, zamężnej Cathy Caldwell snuto przypuszczenia, że mógł ją zamordować kochanek. „To samo może się przytrafić tobie, jeżeli będziesz przyprawiała mężowi rogi”. Och, jakie używanie mieliby pismacy, gdyby zabito Helen, która rzeczywiście zdradzała małżonka.

– Bo nie była zawodową biegaczką – wyjaśniła Marnie. – Robiła to, żeby być w formie. Wiesz, żeby mieć smukłe ciało dla tych wszystkich facetów, z którymi rzekomo randkowała.

No dobrze, a więc dziewczyna, za którą nikt tak naprawdę nie przepadał, wybrała się na jogging w deszczu, bo chciała wyładować złość. Viv zeszła ze ścieżki i zaczęła się przedzierać przez zarośla. Mokre gałęzie zostawiały ciemne ślady na nogawkach jej dzinsów. Buty i skarpetki miała tak przesiąknięte wodą, że już przestała zwracać na to uwagę.

„Zrobił to szybko” – pomyślała. Victoria biegła i była zła. Nie zdołałby jej udobruchać. Musiałby na nią skoczyć, schwycić ją, zatrzymać. Powalić na ziemię. Uciszyć. Zasłonić jej usta dłonią, zacisnąć je na gardle. Może miał nóż albo pistolet.

Czy Victoria stawiała opór? Czy próbowała krzyknąć? Przecież niedaleko stały budynki, wśród nich jej dom, i na pewno istniała szansa, że ktoś by ją usłyszał. Musiałaby tylko wydobyć z siebie głos.

Ale może nie przyszło jej do głowy krzyknąć, bo mężczyzna, który ją zaatakował, był jej chłopakiem, a więc kimś, kogo znała?

Viv zaczęła się kręcić dokoła. „Jak bym postąpiła na miejscu Victorii?” – pomyślała. Przywołała wspomnienie osiemnastoletniej siebie i wyobraziła sobie, jak wybiega z domu po kłótni z matką. Albo wychodzi z pracy. Albo robi jedną z tych rzeczy, którymi codziennie zajmują się kobiety.

Nadal mogło ją to spotkać. Jutro, pojutrze, któregoś dnia. A jeśli nie ją, to Marnie. Albo Helen. Albo jej siostrę, która została w Illinois. Taka była prawda. Nie chodziło przecież wyłącznie o dziewczyny z Fell. Viv lub ktoś z jej otoczenia mógł w każdej chwili podzielić ich los.

Spojrzała na ścieżkę. „Zaczęłabym krzyczeć?” Raczej nie. Byłaby tak bardzo przerażona, tak bardzo by się bała, że zrobiłaby wszystko, czego zażądałby od niej napastnik. „Nie odzywaj się. Nawet nie piśnij. Podejdź tu. Połóż się”. Gdyby usłyszał, że ktoś się zbliża, i zacisnął palce na jej szyi, byłoby po wszystkim.

– Według ciebie nie zrobił tego jej chłopak? – zawołała Marnie ze ścieżki.

– Nie wiem – przyznała Viv. – Jest tak, jak mówiłaś. Jeżeli to on jest sprawcą, mamy w Fell więcej niż jednego mordercę.

– Nie bierzesz pod uwagę, że mógł zabić również Betty Graham i Cathy Caldwell. Może chłopak Victorii jest seryjnym mordercą.

Viv zamknęła oczy. Krople wody spływały jej po twarzy. Rzeczywiście, to niewykluczone. Czas by się zgadzał.

– Zaczął od obcych kobiet, a na koniec zabił swoją dziewczynę.

– I od tamtej pory nikt więcej nie zginął, ponieważ policja ujęła prawdziwego sprawcę.

Nie przejmowała się chłodnym deszczem na skórze, bo była rozpalona; jej serce szybko tłoczyło krew.

– Victoria miała osiemnaście lat, kiedy zginęła. A jej chłopak?

– Dwadzieścia.

– Czyli chodził do liceum, kiedy zamordowano Betty. Musiałby się wysilić, gdyby chciał udawać komiwojażera.

– O ile to komiwojażer jest winny. A tego nie wiemy.

Poszczególne elementy pasowały do siebie. Chłopak Victorii mógł być potworem, który doskonale się kamuflował i przed dwudziestym rokiem życia zabił dwie osoby: nauczycielkę oraz młodą matkę.

– Nie wierzysz w to – powiedziała do Marnie, nie podnosząc powiek. – Gdyby było inaczej, nie pokazywałabyś mi tych miejsc. Uważasz, że morderca nadal przebywa na wolności.

Marnie milczała przez chwilę.

– Wiem tylko tyle, że chcę stąd iść, bo dostaję gęziej skórki.

Viv otworzyła oczy i weszła głębiej w las. Racja, wysiłały się na próżno. Morderca Victorii siedział w więzieniu. Ta sprawa nie kryła już żadnej tajemnicy. Czy na pewno? Bo skąd chłopak Victorii wiedział, gdzie ją znaleźć? Nie uprawiała sportu zawodowo ani amatorsko i nawet nie biegła regularnie. Dlaczego więc przyszedł akurat tutaj? Zaatakował ją praktycznie na samym początku ścieżki – czy to znaczy, że czekał tu na nią? Jeśli tak, to jak zgadł, dokąd Victoria skieruje się po wyjściu z domu?

Szła, dopóki nie natrafiła na kraniec lasu. Spojrzała na tonący w deszczu, porośnięty krzakami pas zieleni, za którym zaczynały się ogrodzenia i budynki. Wedle słów Marnie w jednym z tych domów mieszkała Victoria.

Powiodła wzrokiem wzdłuż płotów. Długi ciąg parkanów miał przerwę tylko w jednym miejscu; znajdowała się tam wąska dróżka, skrót z ulicy służący temu, żeby mieszkańcy nie musieli niepotrzebnie okrążyć całego szeregu posesji. Viv opuściła schronienie lasu i ruszyła w tamtą stronę.

Usłyszała za plecami kroki i po chwili głos Marnie:

– Ej, dokąd idziesz? Strasznie tu mokro.

Przejęcie okazało się zwykłą wydeptaną ścieżką pomiędzy dwiema działkami. Trochę zarośniętą, ale używaną. Miejscowi skracali sobie nią drogę do lasu i na ścieżkę.

Z jej końca, pozostając niewidoczną, Viv mogła obserwować tę typową podmiejską uliczkę, przy której stało około piętnastu domów.

Marnie dogoniła ją i zatrzymała się obok niej.

– Co jest? – spytała.

– Spójrz – powiedziała Viv.

Marnie milczała.

– W którym domu mieszkała Victoria?

– Nie wiem.

– Założę się, że w którymś z tych. – Viv wskazała budynki w polu widzenia. – Założę się, że stąd widział, kiedy wyszła i dokąd się udała. Stał tu, gdzie my. A jeśli poszła tamtędy, dookoła...

– Mógł skorzystać ze skrótów i znaleźć się tam przed nią – dokończyła Marnie.

Może. Może. Tak wiele niewiadomych. Ale jeżeli chłopak zabił Victorię, musiał jakimś sposobem przeciąć jej drogę na ścieżce.

I skoro stał tutaj i obserwował jej dom, równie dobrze mógł to robić każdy. Ktoś obcy.

Viv wyciągnęła z kieszeni notatnik i pochylając się nad kartką, żeby litery nie rozplynęły się na deszczu, zaczęła spisywać adresy i nazwiska. Narysowała mapkę. Sporządziła też plan działania, bo już wiedziała, co musi zrobić. Marnie przestała narzekać na pogodę i czekała, aż Viv skończy.

– Zrobione – powiedziała wreszcie Viv, chowając notatnik. – Możemy teraz obejrzeć twoje zdjęcia?

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Jenny Summers, która w osiemdziesiątym drugim była współlokatorką mojej cioci, pracowała w domu spokojnej starości w centrum Fell. Dom mieścił się w zwyczajnej, przykrytej płaskim dachem i otoczonej zimozielonym żywopłotem kostce z czerwonej cegły. Na trawniku przed wejściem umieszczono metalową tabliczkę z nazwą przybytku. Jenny nie chciała rozmawiać przez telefon, ale powiedziała, że jeśli przyjadę, znajdzie dla mnie czas w przerwie na lunch. Zgodziłam się, co oznaczało nici z południowego snu.

Heather wybrała się razem ze mną. Zrobiło się odrobinę cieplej, co pozwoliło jej zamienić poncho i parkę na pikowaną kurtkę. Jak zwykle odgarnęła włosy z czoła i upięła je wsuwką na czubku głowy. Włożyła czarną spódnicę do kostek i czarne wysokie buty. Nie zapomniała o gołębich rękawiczkach z jednym palcem, które idealnie pasowały do kurtki.

– Będziemy odgrywały dobrego glinę i złego glinę? – spytała, kiedy wysiadłyśmy z auta. – Mogę być tym złym?

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek jeszcze się nabierał na ten numer – stwierdziłam, zapinając kurtkę. Ruszyłam do wejścia. W środku dnia samochody na ulicach Fell można było policzyć na palcach jednej ręki, do tego wiał chłodny, ale niosący przyjemną woń wiatr. Po niebie krążyły, nawołując się, czarne ptaki.

– Pewnie masz rację – przyznała Heather. – Poza tym efekt byłby lepszy, gdybyś zamiast mnie przywozła ze sobą któregoś ze swoich facetów.

Zrobiłam wymowną minę i otworzyłam drzwi.

– Żadnych facetów. Callum jest irytujący, a Nick nie zwraca na mnie uwagi.

Poruszyła brwiami – robiła tak, kiedy chciała mnie trochę „wpienić”, jak to określała. Udawało jej się, gdy byłam w podatnym nastroju.

– Wpadłaś w oko Callumowi – skomentowała. – Ciągłe do ciebie dzwoni i pisze. Opowiedz Nickowi o Callumie i zobaczysz, że robi się zazdrosny.

– Przestań. Nie jesteśmy już w liceum. I nie zapominaj, że faceci to nie nasza bajka.

Tylko się uśmiechnęła. Dałam Callumowi swój numer po tym, jak poznaliśmy się w bibliotece – mówił, że będzie mi podsyłał artykuły, na które się natknie – i dosyć często z niego korzystał. Pisał na przykład: „Znalazłem rozkład jazdy greyhounda z osiemdziesiątego drugiego. Może Vivian wyjechała z miasta autobusem?”. Albo: „Natrafiłem w archiwum sądowym na akt własności motelu. Zasyłam”. Szczerze mówiąc, wydawało mi się to trochę dziwne, że atrakcyjny mężczyzna, jakim bez wątpienia był Callum, tak bardzo się mną interesował. Nie chodziło o to, że nie wierzyłam w siebie – to naprawdę było dziwne. Wolałam myśleć o tym jak o czysto intelektualnym zainteresowaniu. Maniaczka prawdziwych zbrodni dobrała się z miłośnikiem starych gazet.

Podeszłyśmy do stanowiska recepcji i powiedziałyśmy, że jesteśmy umówione z Jenny Summers. Musiałyśmy zaczekać kilka minut. Na spotkanie wyszła nam kobieta pod sześćdziesiątkę, smukła jak źdźbło trawy, subtelnie umalowana, z modną krótką blond fryzurą. Miała na sobie bordowy kitel, a na nogach crocsy. Od razu wydała mi się osobą od młodości obdarzoną niezwykłą urodą, której wiek jedynie wyostrzył rysy i przydał jej obliczu nieco surowości. Kiedy na nią patrzyłam, mina Jenny mówiła: „Naprawdę sądzisz, że mnie to obchodzi?”.

– Proszę za mną – powiedziała.

Zaprowadziła nas do pokoju socjalnego, w którym stały niewielka lodówka, ekspres do kawy, kilka krzeseł i dwie kanapy. Na kanapach leżały poduszki i złożone koce; służyły pracownikom zmianowym jako miejsce do drzemki.

Jenny pokazała, żebyśmy usiadły, a sama podeszła do ekspresu.

– Która z was to Carly? – spytała.

Podniosłam rękę.

– Ja. A to moja przyjaciółka Heather.

Jenny pokiwała głową.

– Mogłam się domyślić. Jesteś trochę podobna do Vivian. Czyli mówisz, że była twoją ciocią?

Poczułam radosne podniecenie. Ta kobieta знаła Vivian. Rozmawiała z nią. Dzielila z nią mieszkanie, które teraz zajmowaliśmy z Heather. Miałam wrażenie, jakby ktoś uchylił drzwi do przeszłości, do tamtego czasu przed zaginięciem Viv, i pozwolił mi zajrzeć.

– Moja mama była siostrą Vivian.

– Siostrą! – Nalewając sobie kawę, Jenny oparła się biodrem o blat. Pokręciła głową nad kubkiem. – Nigdy nie wspominała o siostrze. Ale to było tak dawno temu. – Odwróciła się do nas. – Zdajecie sobie sprawę, że pewnie nie zdołam wam pomóc, prawda? Minęło trzydzieści pięć lat.

– Zależy mi na wszystkim, co pani sobie przypomni – powiedziała. – Chcę po prostu wiedzieć.

Jenny wzięła kubek i usiadła naprzeciwko mnie. Założyła nogę na nogę.

– Kiedy zaginęła, nie było cię jeszcze na świecie. Nie miałaś okazji jej poznać. Mój Boże, ale jestem stara.

– Jaka była? – spytałam.

Zamyśliła się.

– Kapryśna. Milcząca. Samotna, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– W gazetach pisano o niej „pełna życia”.

Jenny pokręciła głową.

– Na pewno nie ta Viv, którą znałam. Może była taka w Illinois, nie wiem, nie znałam jej wtedy. Tutaj, w Fell, trzymała się z boku. Powiedziała, że jej rodzice się rozwiedli i że chciała się wyrwać z domu, od matki. Wiem tylko o jednym, może dwóch przypadkach, kiedy zdarzyło jej się rozmawiać z matką, i nie wyglądała na szczęśliwą z tego powodu. Robiła na nocną zmianę w motelu. Nie spotykała się z chłopakami, nie imprezowała. Wiedziałam o jej nieistniejącym życiu towarzyskim, bo też pracowałam na nocki. Nie randkowała. Aczkolwiek przez kilka tygodni przed zniknięciem często wybywała w ciągu dnia. Mówiła, że nie może spać, i chodziła do biblioteki.

Zerknęłam na Heather.

– Czego tam szukała? Była zapaloną czytelniczką?

– Nigdy nie przynosiła książek do domu. Pamiętam, że wspomniałam o tym policjantom, ale nie znaleźli nawet jej karty bibliotecznej. Z drugiej

strony bibliotekarki ją kojarzyły, a więc nie kłamała. Mówiła, że lubiła przesiadywać w archiwum.

Tam, gdzie ja. Kto wie, może siadałyśmy na tym samym krześle? Jakoś przestały mnie już dziwić takie zbiegi okoliczności.

– Chodziła też w inne miejsca?

– Tego nie wiem. To znaczy, pod koniec więcej jej nie było, niż była, o ile dobrze pamiętam. Ale nie mam pewności, bo w ciągu dnia odsypiałam noce. To był mój pierwszy rok w domu spokojnej starości i dopiero po kilku miesiącach załapałam się na dzienną zmianę. – Rozejrzała się po pokoju socjalnym. – Myślałam, że to będzie tymczasowe zajęcie, sposób na podreperowanie budżetu. Widać, jak bardzo się pomyliłam. Za rok przechodzę na emeryturę.

Gdyby żyła, Viv pewnie robiłaby to samo. Bolesnie odbierać stratę kogoś, kogo nawet się nie znało – osobliwe uczucie. Viv miała wtedy mniej więcej tyle samo lat, ile ja teraz.

– Dziwne, prawda? To, że w ostatnich tygodniach przed zniknięciem tak często wychodziła z domu. Może kogoś poznała?

– Myślę, że to niewykluczone. – Wzruszyła ramionami. – Policja też tak sądziła, ale nie udało im się nikogo znaleźć. Wypytywali mnie, czy Viv poznała jakiegoś faceta, tak jakby to miało załatwić sprawę. Powtarzałam, że nie, nic z tych rzeczy, i byli z tego bardzo niezadowoleni. Ale nie mieli pojęcia, do jakiego stopnia Viv żyła we własnym świecie. Wiem, jak się zachowuje dziewczyna, kiedy kogoś poznaje. Sama taka byłam. Ale Viv nie. W tych ostatnich tygodniach nie sprawiała wrażenia szczęśliwej... raczej zdeterminowanej. Chodziła ponura. Mówiłam o tym glinom, ale mieli to gdzieś. Viv miała dwadzieścia lat i była ładna. Uznali, że uciekła z jakimś facetem i tyle. Sprawa zamknięta.

Heather podsunęła się bliżej razem z krzesłem.

– W jaki sposób jej szukano?

– O ile mi wiadomo, policja po prostu rozpytywała wśród ludzi – powiedziała Jenny, popijając kawę. – Przeszukali teren wokół motelu, ale nie poświęcili temu zbyt wiele czasu. Rozmawiali z rodzicami Viv. Sprawdzili samochód. Przejrzeli nasze billingi...

– Billingi?

Jenny spojrzała na mnie z politowaniem.

– Przypominasz mi moją córkę, wiesz? Wy, dzieciaki, nie macie pojęcia o tamtych czasach. To przecież jasne, że mieliśmy wtedy tylko telefony stacjonarne. Dane o połączeniach przechowywała firma telekomunikacyjna, policja musiała zwracać się do niej z prośbą o udostępnienie billingów i dostawała długi wydruk.

Zastanawiałam się, gdzie są te billingi i czy mogłabym się do nich dorwać.

– Nigdy o nikim nie wspominała? – Chciałam się upewnić. – Niekoniecznie o mężczyźnie, ale w ogóle? Może o osobie, z którą łączyły ją wspólne zainteresowania?

Jenny nachyliła się i ujrzałam w jej obliczu znużenie kobiety, która od trzydziestu pięciu lat opiekuje się innymi ludźmi.

– Skarbie, nie byliśmy przyjaciółkami, tylko współlokatorkami. Nie powierzałyśmy sobie tajemnic i nie chodziłyśmy na podwójne randki. Po prostu od czasu do czasu zamieniałyśmy kilka słów, szykując się do pracy. To wszystko.

Spojrzałam jej w oczy. Mogła sobie wmawiać, co chciała, ale prawda była prawdą.

– Minęły cztery dni, zanim ktoś się zorientował, że Viv zniknęła, i zawiadomił policję – powiedziałam, niemal sycząc ze złości. – Cztery dni.

Jenny przymknęła powieki i raptem jakby uszło z niej powietrze.

– Wiem. Wyjechałam na kilka dni do rodziców. Kiedy wróciłam, doszłam do wniosku, że może postanowiła odwiedzić matkę. Uznałam, że to jej sprawa i nie będę się wtrącać. Miałam na głowie własne idiotyczne zmartwienia i nie pomyślałam. Od trzydziestu pięciu lat nie daje mi to spokoju, ale nic nie poradzę, że postąpiłam tak, a nie inaczej. – Wyprostowała się na krześle. – Czasem myślę... Co by było, gdybym zadzwoniła na policję od razu tamtej pierwszej nocy po powrocie? Czy Viv nadal by żyła? Nigdy się nie dowiem. Zawiadomiłam, kogo należało, ale za późno. Innym razem zastanawiam się... A gdybym w ogóle nie zgłosiła jej zaginięcia? Ile czasu musiałoby minąć, zanim ktoś by się zorientował, że Viv zniknęła? – Przeczesała włosy dłonią. – Tydzień? Dwa? Jej rzeczy leżały w szufladzie biurka w recepcji motelu i żadnej z osób, które tam pracowały, to nie obeszło. Dosłownie nikt nie przejął się tym, że jej torebka stała na swoim miejscu, ale po Viv nie było śladu. To jeszcze gorsze, wiesz? Jeszcze, kurwa, gorsze. Biedna Vivian.

Nie chciałam już tam być. W tym miejscu, w tym dołującym, przesiąkniętym przygnębiającymi zapachami pokoju socjalnym. Nie pojmowałam, jak Jenny mogła przez trzydzieści pięć lat wykonywać swój zawód.

– Uważa pani, że coś się z nią stało – powiedziałam. – Że wcale nie uciekła.

– Ja to wiem – odparła Jenny. – Policja może mówić, co chce, żeby poprawić sobie samopoczucie, ale ja wiem. – Pokazała Heather palcem. – Gdyby ona zapadła się pod ziemię na cztery dni, co byś pomyślała? Co byś wiedziała?

Zacisnęłam zęby i poczułam zimny dreszcz. Nie odpowiedziałam.

– Byłyśmy samotnymi dziewczynami, które pracowały na noc. Sądzisz, że nie zdawałyśmy sobie sprawy z niebezpieczeństw? Jezu, jak czasem pomyślę, że raptem parę tygodni przed śmiercią Viv rozmawiałyśmy o Cathy Caldwell... O pieprzonej Cathy Caldwell, akurat o niej. Jak mogłam być taka głupia?

– Kim jest Cathy Caldwell? – spytałam.

Heather wyprostowała plecy i jej drobne ciało napięło się jak cięciwa.

– Została zamordowana pod koniec lat siedemdziesiątych – powiedziała, odpowiadając na moje pytanie. – Jej ciało porzucono pod wiaduktem. – Spojrzała na Jenny. – Znała ją pani?

– Nie. Mieszkała przy tej samej ulicy co moi rodzice i kiedy się wyprowadziłam i zaczęłam pracować na nocnym dyżurze, matka lubiła mnie nią straszyć. „Uważaj na siebie, bo skończysz jak Cathy Caldwell!”, „Nie rozmawiaj z nieznanymi w autobusie, bo skończysz jak Cathy Caldwell!” Tak mówiła. Los Cathy spędzał mojej matce sen z powiek. To naprawdę były prostsze czasy... Równie mocno przejęła się Victorią Lee.

– Zamordowana na leśnej ścieżce przy Burnese Road – wyjaśniła Heather.

– „Tylko nie uprawiaj joggingu, Jenny, bo skończysz jak tamta dziewczyna!” – Jenny pokręciła głową. – Moja biedna matka. Dorastała w epoce, kiedy takie rzeczy się nie zdarzały, a raczej tak jej się tylko wydawało. Nie potrafiła zrozumieć, dokąd zmierza ten świat. Ale miała rację. Słuchałam jej i zawsze byłam ostrożna, tak samo Viv. Rozmawiałyśmy o tym któregoś wieczoru krótko przed jej zniknięciem. Chyba między innymi dlatego założyłam, że Viv po prostu gdzieś wyjechała. Wiedziała, z jakimi

zagrożeniami wiąże się praca nocą. Uważała na siebie. I nie była głupia, to na pewno.

Pomyślałam o moim bracie Grahamie, który opowiadał mi historie o mężczyźnie z hakiem zamiast dłoni, kiedy byliśmy mali. Chciał mnie zwyczajnie nastraszyć. Tymczasem to, o czym mówiła Jenny, było czymś zupełnie innym. Sama miałam do czynienia ze śliskimi, nieprzyjemnymi typami, od kiedy w tajemnicy przed matką założyłam swoje pierwsze konto na MySpace w wieku dziesięciu lat – z nieznanymi, ludźmi podszywającymi się pod innych albo usiłującymi namówić mnie do czegoś: kupienia jakiejś rzeczy, podpisania petycji... przysłania im zdjęcia. Gdy matka to odkryła, nie potrafiła zdecydować, co zrobić ani jak mnie ukarać – i czy w ogóle zasłużyłam na karę. Była całkowicie zagubiona. Viv, na swój sposób, wiedziała o zagrożeniach dużo więcej niż jej siostra kilkadziesiąt lat później.

Zerknęłam na Heather. Była wyraźnie ożywiona, miała poważne, napięte oblicze. „Było ich naprawdę wiele” – stwierdziła, kiedy się poznałyśmy. A gdy zapytałam, co ma na myśli, dodała: „Martwych kobiet”.

– Może pani powiedzieć coś jeszcze? – zwróciłam się do Jenny, bo czułam, że kończy się czas, który przeznaczyła na tę rozmowę. – Cokolwiek?

Jenny się zamyśliła. Wyobraziłam ją sobie przed trzydziestoma pięcioma laty, w dzinsach z podwyższoną talią, w luźnej bluzce, z natapirowanymi włosami.

– Viv była piękna – zaskoczyła mnie. – Pamiętam, że wspominała coś o aktorstwie. Wyjechała z domu z myślą o Nowym Jorku, ale to był tylko pretekst, po prostu chciała się wyrwać. Nie miała urody modelki, była raczej jedną z tych dziewczyn, które stają się tym piękniejsze, im dłużej się im przyglądasz, o ile ma to jakikolwiek sens.

– Tak.

– Jej twarz miała coś w sobie, jakiś spokój, bezruch. Viv, którą znałam, była smutna. Dziś pewnie byłaby idealnym materiałem na psychoterapię, ale w tamtych czasach nie miałyśmy takiej możliwości. Było w niej sporo gniewu, zwłaszcza pod koniec. Myślę, że coś ukrywała, ale raczej nigdy się nie dowiem co. Aha, jeszcze jedno. – Odstawiła kubek po kawie i spojrzała na mnie surowym wzrokiem. – Zawsze się zastanawiałam, dlaczego policja nigdy mnie nie zapytała o te dziwne połączenia z naszego numeru.

Fell w stanie Nowy Jork Październik 1982 roku

VIV

Kiedy nie musiała iść do pracy, Jenny zawsze wybywała z domu. Wiele razy powtarzała, że jej ulubiona wizja wolnego to siedzenie przed telewizorem i opychanie się słodyczami, ale gdy przychodziło co do czego, nigdy tak nie robiła. Zamiast tego spędzała czas na zakupach i wydawała swoją skromną pensję na płyty, kosmetyki i nowe buty, zwykle mokasyny albo spiczaste na niskim obcasie w jaskrawych kolorach, jasnoczerwone lub jasnożółte; buty, w których nie mogła chodzić do pracy w domu spokojnej starości, a mimo to chciała je mieć – „na imprezy”, jak twierdziła. Viv, co prawda, ani razu nie widziała, żeby Jenny szła na imprezę, ale w sumie mieszkali razem dopiero od niedawna.

Dziś znów wybrała się do centrum handlowego – może do kina albo do baru z sokami, albo porobić coś, co jeszcze pół roku temu w Illinois Viv sama by robiła w centrum handlowym. Zamiast odespać noc, Viv włożyła frotowy szlafrok i postanowiła skorzystać z okazji, że jest sama w domu, by spróbować namierzyć komiwojażera.

Wzięła telefon, zaniósła go do kuchni – mogła to zrobić dzięki temu, że aparat miał bardzo długi przewód, ponieważ Jenny lubiła chodzić po całym mieszkaniu, kiedy rozmawiała – i postawiła go na kuchennym stole. Obok wylądowały książka telefoniczna Fell, a także notatnik i długopis. Viv sięgnęła po paczkę krakersów oraz słoiczek serka topionego, zaopatrzyła się w nóż i zabrała się do pracy.

Otworzyła notatnik na ostatniej stronie i wyjęła wetknięte tam zdjęcia od Marnie Mahoney. Tylko na trzech znalazła tę rzecz, na której jej zależało, ale i tak uznała to za sukces. Na wszystkich widniał motel Sun Down nocą, jego światła kontrastowały z otaczającą go ciemnością. Na pierwszej fotografii White otwierał drzwi. Na drugiej Helen wchodziła do tego samego pokoju. Na trzeciej – Viv opuszczała pomieszczenie z automatami i z batonem w ręku wracała do recepcji.

Przyjrzała się sobie na zdjęciu. Nie mogła uwierzyć, że to ona. Niebrzydki profil, czysta, blada skóra, odgarnięte z czoła, spięte klamerką włosy. Patrząc z boku, można było pomyśleć, że jest wręcz ładna, nawet jeśli trochę smutna. „Kim jestem?” – zastanowiła się Viv.

Nie to jednak było najważniejsze. Na wszystkich trzech zdjęciach Marnie udało się uchwycić fragment stojącego na parkingu samochodu. Po zestawieniu ze sobą pierwszej i trzeciej fotografii przy odrobinie wysiłku udałoby się odczytać numer rejestracyjny auta. Na szczęście Viv nie musiała tego robić, ponieważ na drugiej fotografii tablica była widoczna w całej okazałości.

Wóz komiwożera.

Viv zerknęła na telefon. Powinna zadzwonić do Almy Trent; obiecała, że to zrobi. Alma powiedziała, że pomoże w ustaleniu tożsamości mężczyzny, który meldował się w motelu, pod warunkiem że Viv zapewni jej jakiś punkt zaczepienia. Tyle że Alma nie wierzyła Viv. Uważała jej podejrzenia za zwykły wymysł.

Viv posmarowała krakersa serem i zaczęła przeglądać książkę telefoniczną. Zamknęła oczy i przypomniała sobie kurs aktorstwa, na który poszła po skończeniu liceum. Była dobra w udawaniu i w odgrywaniu postaci. To, że choć przez chwilę mogła być kimś innym, było jedną z nielicznych rzeczy skutecznie poprawiających jej nastrój.

Weszła więc w rolę, którą sobie wymyśliła, i wykręciła numer wydziału komunikacji.

– Dzień dobry – odezwała się po uzyskaniu połączenia. – Przed chwilą dzwoniło do mnie z towarzystwa ubezpieczeniowego z informacją, że wystąpił jakiś problem z rejestracją auta mojego męża. Czy zechciałaby mi pani pomóc?

– Wie pani, nie możemy...

– Mąż jest wiecznie w trasie – weszła jej w słowo Viv. – Często podróżuje w związku z pracą i jeśli po powrocie do domu dowie się, że jego ubezpieczenie jest nieważne, będzie zły. Bardzo zły. – Starła się upodobnić do bezradnej, uroczej i zarazem nieco ujmującej Honey z Kto się boi Virginii Woolf? – Nie mam pojęcia, co robić. Nawet nie wiem, na czym polega problem. Mogłaby pani chociaż sprawdzić?

– To nie jest...

Viv wyrecytowała numer z tablicy i podała markę oraz model samochodu.

– Chodzi o ten wóz – powiedziała. – Mamy go od lat. Od lat. Nie rozumiem, co się mogło stać. Mąż mówi, że...

– Proszę chwilę poczekać.

Kliknięcie i cisza. Viv trzymała słuchawkę w śliskiej od potu dłoni.

Kolejne kliknięcie.

– Halo? Sprawdziłam i nie widzę tu żadnych nieprawidłowości.

– Jest pani pewna?

– Tak. Auto nadal jest zarejestrowane na pana Hessa, nic się nie zmieniło.

„Pan Hess”. Viv zakręciło się w głowie, ale zapanowała nad sobą, żeby nie wypaść z roli.

– Och, dziękuję. – Odetchnęła z fałszywą ulgą. – I adres też się zgadza?

– Jeżeli wciąż mieszkacie państwo przy Fairview Avenue, to owszem.

– Tak, dokładnie tam.

– W takim razie wszystko jest w porządku.

Viv podziękowała i powiedziała, że natychmiast oddzwoni do towarzystwa ubezpieczeniowego, żeby to wyjaśnić. Rozłączyła się. Poczowała pod szlafrokiem zimne krople potu między łopatkami. Miała sucho w ustach.

Zjadła krakersa, popiła go mlekiem, po czym przerzuciła kilka kartek w książce telefonicznej. Wzięła głęboki oddech. Zdjęła maskę Honey i puściła wodze fantazji, szykując się do wcielenia w kolejną postać.

W książce było tylko dwóch Hessów, w tym jeden mieszkający przy Fairview Avenue. Viv weszła w rolę twardej, pewnej siebie kobiety i ponownie wybrała numer.

– Halo? – odezwał się w słuchawce damski głos.

– Pani Hess?

– Tak.

– Dzwonię z działu handlowego. Chodzi o harmonogram wyjazdów pani męża. – Starła się brzmieć stanowczo i profesjonalnie, jak sekretarka w biurze. – Podejrzewamy, że mogła zajść pomyłka w rozpisce. Czy pani mąż jest dziś w drodze w Nowego Jorku?

– Do Nowego Jorku? Nie sądzę. Dwa dni temu mówił, że wybiera się do Buffalo. Być może zmienił plany. – Roześmiała się. – No ale to chyba wicie lepiej ode mnie?

– Tak jak mówiłam, pani Hess, mamy tu lekkie zamieszanie z grafikami. Czekamy, aż pan Hess się zgłosi, ale pomyśleliśmy, że zadzwonimy na wszelki wypadek.

– Nic nie szkodzi. Dział handlowy Westlake z reguły nie okazuje aż takiej troski.

„Westlake”. Viv zaczęła gorączkowo szukać w książce telefonicznej.

– Staramy się panować nad harmonogramem wyjazdów naszych komiwojażerów, ale czasem coś nam umyka.

– Dziś jeszcze nie rozmawiałam z Simonem. Jak tylko zadzwoni, poproszę, żeby się do was zgłosił.

– Będziemy wdzięczni. Pan Hess zawsze melduje się punktualnie. Jestem pewna, że wkrótce się odezwie.

Viv pożegnała się i rozłączyła. Schrupała kolejnego krakersa, otworzyła notatnik na czystej stronie, wzięła długopis i napisała:

Simon Hess

373 Fairview Avenue

Przedstawiciel handlowy firmy Westlake, producenta zamków do drzwi

Dodała jego numer domowy, numer do Westlake, markę i model samochodu oraz numer rejestracyjny.

Nie zdołała się powstrzymać i pod spodem dopisała jeszcze:

Łatwizna.

Przez kilka chwil wpatrywała się w to słowo. Potem zerknęła na książkę telefoniczną i zaczęła przerzucać strony, aż doszła do „W”. Myślała o ojcu i rozwodzie rodziców. O pełnych złości spotkaniach z prawnikami, o matce, która po powrocie do domu rzucała przedmiotami, wrzeszcząc na Viv, że do niczego się nie nadaje.

„Nie powinnaś tego robić” – szeptał głos w jej głowie.

Na co inny odpowiadał: „Nie dbam o to”.

Przesunęła palcem w dół kolumny, aż znalazła to, czego szukała. White. Było kilkunastu White’ów w Fell, ale tylko jeden nosił imię rozpoczynające

się na „R”.

Łatwizna.

Wykręciła numer. Tym razem nikogo nie udawała.

Znów zgłosiła się kobieta.

– Halo?

– Pani White?

– Tak.

– Mąż panią zdradza – rzuciła Viv i rozłączyła się.

Jadąc na Fairview Avenue swoim chevroletem cavalier, Viv czuła, że za chwilę pęknie jej głowa. O tej porze, a była czternasta, powinna odsypiać noc, tymczasem oprócz drzemki o ósmej rano przez cały dzień nie zmrużyła oka i miała wrażenie, że już nigdy więcej nie będzie jej dane zasnąć.

Obsadzona bungalowami i nagimi drzewami, które wiosną się zazielenią, Fairview Avenue była całkiem przyjemną ulicą, przynajmniej jak na standardy Fell. Viv toczyła się, wypatrując numerów domów w szarym świetle październikowego popołudnia. Na podjeździe przed numerem trzysta siedemdziesiąt trzy stało volvo żony Hessa.

Na tym etapie musiała przyznać sama przed sobą, że nie wie, co dalej. Komiwojażer był podobno w Buffalo. Viv nie dysponowała jego zdjęciem ani żadnymi informacjami wykraczającymi poza adres zamieszkania. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego meldował się w Sun Down pod fałszywymi nazwiskami ani po co to robił, skoro miał dom w Fell. Nie miała pojęcia, skąd pochodził i kogo znał. I czy miał dzieci.

Nadal nie była w stanie powiązać go z Betty, Cathy albo Victorią. Miała tylko nazwisko i adres.

Powinna odpuścić. Skręciła za róg i zatrzymała się przy niewielkim parku. Z okna po stronie kierowcy widziała podjazd przed domem Hessa. Zgasła silnik i przeciągnęła dłońmi po twarzy. „Wyjmę notatnik – pomyślała, odchylając się na fotelu. – Spiszę pomysły i...”

...i zasnęła, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

Było już ciemno, kiedy się obudziła. W pierwszej, pełnej dezorientacji chwili naszła ją paniczna myśl, że jest środek nocy i powinna być teraz w Sun Down. Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że dopiero osiemnasta, a złudzenie

późnej godziny wzięło się z typowego dla listopada wczesnego zmierzchu. W samochód uderzył podmuch porywistego wiatru; zadrżała z zimna.

Usiadła prosto, zaczęła poprawiać włosy i jej dłoń zastygła w połowie ruchu.

Na podjeździe stał drugi wóz. Auto komiwojażera.

Bez zastanowienia otworzyła drzwi i wysiadła. Gdyby się zawahała, zapewne nigdy by tego nie zrobiła. „Po prostu działaj”. Ruszyła w stronę domu Hessów. Widząc zbliżający się samochód na pustej, spokojnej ulicy, przybrała naturalną pozę. Zaczekała, aż jego tylne światła znikną w oddali, i dała susa na posesję Hessów. Podbiegła do budynku, kucnęła i przesunęła się wzdłuż ściany, kryjąc się w półmroku ogrodu.

„Wariactwo”.

„I co z tego?”

Zuchwałość okazała się wyzwalająca. Viv poczuła się uwolniona od wszystkiego: rodziny, znajomych, domu, prawdziwego życia. Od kiedy zaczęła pracować w Sun Down, odnosiła wrażenie, że nawet czas przestał cokolwiek znaczyć. Noce i dni przeplatały się i mieszały w jednej długiej sekwencji, niepojętej jak starożytny sanskryt. Dzielili świat z ludźmi umocowanymi w czasie – wstań rano, idź spać wieczorem, wróć z pracy o osiemnastej – ale nie rozumiała ich. Po co zawracać sobie tym głowę? O tej porze roku noce były długie: ciemno przed południem, ciemno po południu. Jeden wielki mrok przetykany plamami mętnego, szarego światła. Na przykład teraz: po czym poznać, że nie jest akurat trzecia w nocy?

W oknie dwa metry dalej zapaliło się światło. Viv podkradła się bliżej i nasłuchiwała. Do jej uszu nie docierały żadne cienkie, niewinne głosiki. Niedobrze, gdyby się okazało, że z komiwojażerem mieszkają dzieci; poczułaby się tak, jakby zobaczyła brzdąca wybiegającego na ulicę: „Uciekaj stamtąd! Uciekaj!” – krzyknęłyby. Jeżeli komiwojażer był tym, kim podejrzewała, że jest, powinien mieszkać tylko z żoną; Viv ujrzała w myśli bladą, zmarniałą kobietę, która już dawno zrezygnowała z życia. To pasowało do jej wyobrażeń.

Powoli, ostrożnie podniosła się z kucek, żeby zajrzeć do środka. Kuchnia. Przy zlewie stała odwrócona plecami do okna kobieta i płukała naczynia. Miała na sobie spodnie z gumką w pasie i obszerny T-shirt; nawet z tej

odległości było widać, że oba te elementy stroju zostały domowym sposobem uszyte na maszynie, zapewne przez nią samą.

Do kuchni wszedł mężczyzna. Przeciętnego wzrostu i przeciętnej budowy ciała, schludny, gładko ogolony, z zaczesanymi do tyłu, krótko ostrzyżonymi włosami. Był ubrany w spodnie i koszulę od garnituru, ale bez krawata i z podwiniętymi rękawami. Miał kanciastą twarz, do tego małe oczy bez wyrazu. Kiedy Viv widziała go po raz ostatni, obdarzył ją niepasującym do fizjonomii uśmiechem, od którego zrobiło jej się niedobrze. „Widocznie nie rzucam się w oczy” – powiedział wtedy. Teraz bez słowa postawił talerz na blacie obok zlewu i wyszedł.

„Witaj, Simonie Hessie” – pomyślała Viv.

Zdawała sobie sprawę, że kobieta opowie mężowi o dziwnym telefonie z biura. O dziale handlowym, któremu się wydawało, że posłał Hessa do Nowego Jorku. Komiwojażer popatrzy na nią zaskoczony i odrzeknie: „Oczywiście, że wiedzieli, gdzie jestem. Po co mieliby dzwonić?”. Być może już odbyli tę rozmowę. Szybki kontakt z firmą pozwoli komiwojażerowi domyślić się, że wypytywał o niego ktoś obcy. Viv nie mogła zwlekać.

Znowu kucnęła i poczłapała na tyły budynku. Otworzyła furtkę prowadzącą na teren za domem i zerknęła. Typowe podmiejskie podwórko: taras plus trawnik. Żadnych zabawek. Zamknęła furtkę i wycofała się.

Nie miała pojęcia, czego szukała – po prostu czegoś. Jakiejś rzeczy, która odłoni przed nią rąbek tajemnicy tego, kim jest komiwojażer. Cały czas kucając, przemieściła się pod ścianą z powrotem na front i zobaczyła stojący na podjeździe samochód mężczyzny.

Podeszła do niego. Zajrzała przez szybę. Wóz wyglądał jak z salonu. Czysta, niezniszczona tapicerka. Żadnych papierków po słodyczach, puszek, śmieci. Nic nie wskazywało na to, że komiwojażer udał się tym autem do Buffalo i z powrotem; nic nie wskazywało na to, że stale nim podróżował.

Obeszła samochód dokoła. Gdyby ktoś teraz szedł albo jechał ulicą, byłaby doskonale widoczna. Sąsiad z naprzeciwka mógł ją bez trudu zobaczyć, gdyby akurat wyjrzał przez okno. Łypnęła na dom po drugiej stronie: ciemno, pusty podjazd. Mimo to musiała działać szybko.

Na siedzeniu po stronie pasażera leżało kilka kartek. Viv nacisnęła klamkę i kiedy okazało się, że drzwi nie są zamknięte, poczuła, jak gorąca krew zaczyna huczeć jej w uszach. Wsunęła rękę do środka i zabrała kartki.

Kserokopie napisanego na maszynie harmonogramu wyjazdów. Zapach papieru i tuszu skojarzył się Viv ze szkołą; na sekundę zakręciło jej się w głowie od wspomnień z klasy. Prędko się opanowała i skupiła na treści.

Poniedziałek: pan Alan Leckie, 52 Farnham Road, Poughkeepsie.

Środa: Terra Systems, Bank Street, Rochester.

Czwartek: comiesięczne zebranie w siedzibie.

Zachciało jej się śmiać. Prawdziwy grafik z prawdziwego działu handlowego, pod który Viv podszyła się kilka godzin wcześniej. Przewróciła stronę i zobaczyła harmonogram sprzed tygodnia, dalej sprzed dwóch i tak dalej. Zastanawiała się, jak daleko wstecz dałoby się sprawdzić.

Na wszystkich kartkach znajdował się nagłówek, a w nim nazwisko i numer telefonu. Viv wyjęła jedną z dołu – może komiwojazer nie zauważy jej braku? – złożyła ją i schowała do kieszeni. Odłożyła plik dokumentów na miejsce i kiedy ostrożnie zamykała drzwi, podniosła wzrok i ujrzała czyjąś twarz w oknie w salonie.

Dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, z zatkniętymi za uszy długimi, prostymi włosami. Obserwowała Viv z obojętną miną.

Zaskoczona Viv zbladła. Przecież się rozglądała i nigdzie nie widziała śladu obecności dzieci. Powinna rzucić się do ucieczki, ale zamiast tego, wiedziona impulsem, spojrzała małej w oczy i położyła palec na ustach. „Bądź cicho, dobrze?”

Z oblicza dziewczynki nie sposób było wyczytać, czy zechce spełnić prośbę, czy nie, ale gest, który uczyniła – podniosła dłoń i pokazała w stronę drzwi wejściowych – był jasny: „Idzie”.

Viv poczuła gwałtowny przypływ adrenaliny, zrobiło jej się gorąco w brzuchu i na karku. Schylając się, pomknęła z podjazdu na ulicę, a potem wyprostowana pobiegła w kierunku swojego samochodu. Starła się przy tym wyglądać naturalnie, żeby przypadkiem nie wzbudzić niczyich podejrzeń. „Nie jestem tu obca. Tak tylko sobie truchtam. Nie dzieje się nic niezwykłego”. Dopadła do auta i wślizgnęła się za kierownicę w tej samej chwili, w której otworzyły się drzwi do domu komiwojazera. Położyła się na fotelu, żeby wóz wyglądał na pusty.

Po kilku sekundach odważyła się zerknąć na zewnątrz. Simon Hess stał na podjeździe tam, gdzie jeszcze przed chwilą sama kuciała, i rozglądał się po

ulicy. Nadal miał na sobie to samo ubranie co w kuchni. Jego wzrok natrafił na samochód Viv i przesunął się po nim. Viv wstrzymała oddech.

Hess skupił się teraz na własnym wozie. Okrążył go, następnie zajrzał przez szybę po stronie pasażera i otworzył drzwi. Zabrał leżące na siedzeniu papiery.

„Dobrze je odłożyłam? Dobrze je odłożyłam?”

Długo przyglądał się kartkom. Zbyt długo. Viv wiedziała, że się zastanawia. Próbuje domyślić się, o co chodzi i kto się kręcił przy jego samochodzie. Kiedy zamykała drzwi, te lekko stuknęły – teraz już wiedziała, że to usłyszał. Usiłował jakoś powiązać ten incydent z dziwnym telefonem rzekomo z biura.

Powoli umieścił kartki z powrotem w aucie, po czym odwrócił się, poszedł wzdłuż ściany budynku i zniknął.

Viv błyskawicznie się wyprostowała, włączyła silnik i odjechała. Miała lodowate, mokre od potu dłonie.

W jej głowie trwała gonitwa myśli. Komiwojażer zobaczy ślady w miękkiej ziemi w ogrodzie, odciski niewielkich sportowych butów. Domyślił się, że osobą, która myszkowała przy jego domu, nie był żaden wielki facet, tylko drobny chłopak albo dziewczyna. Viv nosiła proste sportowe uniseksy, które równie dobrze mógł mieć na nogach nastolatek – i właśnie tę wersję przyjmie Hess, bo przecież to chłopcy częściej wykręcają takie numery.

Chyba że córka Hessa ją wyda. Nie, raczej nie.

Tyle że osobą, która dzwoniła do jego żony, była kobieta. Hess zrobi się podejrzliwy i będzie miał się na baczności. Zacznie się zastanawiać, czego ten ktoś może od niego chcieć. Bo już wiedział, że ktoś czegoś chce.

„Tropię łowcę, który podejrzewa, że stał się zwierzyną.

Rozpoczęło się polowanie”.

Bała się. Była wręcz przerażona. Ale dopiero się rozkręcała.

Teraz musiała pomyśleć nad kolejnym ruchem.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Internet okazał się kopalnią informacji na temat Cathy Caldwell. O ile w przypadku Viv musiałam przetrwać wiele miesięcy na diecie z kilku akapitów, które cudem udało mi się wygrzebać, o tyle wiadomościami dotyczącymi Cathy mogłam się żywić do woli. Ponieważ Cathy była wręcz sławna.

Oczywiście nie od zawsze. Pierwsze wyszukiwanie dało rezultat w postaci listy artykułów z ostatnich kilku lat: wpisy na blogach o prawdziwych przestępstwach, podcast, wątek na Reddicie z mnóstwem komentarzy. Google pokazał mi kolorowe zdjęcie z lat siedemdziesiątych – przedstawiało ładną kobietę o rudawozłoty włosach, która stała na jakimś zalanym słońcem podwórzu i trzymała na rękach małe dziecko. Miała na sobie szorty i turkusowy top bez pleców. Jej twarz na ujęciu była lekko rozmyta, ale to normalne w czasach aparatów z ręczną regulacją ostrości. Fotografia wyglądała jak wyjęta ze starego albumu z cienkimi bibułowymi przekładkami.

– Jak mogłaś nie powiedzieć mi o Cathy Caldwell? – rzuciłam do Heather po tym, jak po powrocie od Jenny Summers usiadłam do laptopa.

Zapytałam półserio, ale Heather odpowiedziała całkiem poważnie:

– Przecież mówiłam, że mamy mnóstwo martwych kobiet w Fell.

– I nie żartowałaś. Jak brzmiało to drugie nazwisko? Victoria...

– Lee. – Heather stała w kuchni w takiej pozie, jakby zapomniała, co miała zrobić. Bluzę z kapturem zapięła pod samą szyją; naprawdę było aż tak zimno? Gapiała się pustym wzrokiem na zamknięte drzwi lodówki. – Sprawa została rozwiązana, a potem wyszło, że jednak nie.

Spojrzałam na nią spod ściągniętych brwi. Nawet nie patrzyła w moją stronę.

– Co to znaczy?

– Skazano chłopaka Victorii, a po kilku latach unieważniono wyrok, bo okazało się, że był niewinny.

– No co ty. – Otworzyłam nową kartę i wpisałam hasło do wyszukiwarki. – Niewiarygodne.

Heather odwróciła się do mnie z ciężką miną.

– Nie mogę już o tym rozmawiać.

Zdjęłam dłonie z klawiatury.

– Słucham?

– O martwych dziewczynach. Kilka lat temu trochę za dużo się o nich naczytałam i nie było ze mną za dobrze. Nie powinnam do tego wracać, wiesz?

– Depresja? Stany lękowe?

– Po trochu wszystkiego. – Wzruszyła ramionami. – Jedno idzie w parze z drugim i prowadzi do bezsenności. I jeszcze wypadek na rowerze... Miałam po nim uraz psychiczny. – Przesunęła wzrokiem po zapiętej bluzie. – Na pewno się domyślasz, że na tym nie koniec moich problemów. Terapeutka mówi, że muszę je przepracować, ale nie mogę... poddawać się tej obsesji na punkcie negatywnych rzeczy. – Łypnęła na mnie. – Chyba jednak nie będę aż tak pomocna, jak mi się wydawało. Przepraszam.

– Nie, to ja przepraszam – powiedziałam. – Zjawiłam się w twoim życiu nie wiadomo skąd i sprowadziłam własne problemy. To moja wina.

Przewróciła oczami i machnęła ręką.

– Nic się nie stało. Po prostu zostawię cię samą z dociekaniem i pójdę się pouczyć. Albo może się zdrzemnę. – Ruszyła w stronę swojego pokoju, wciąż skulona w bluzie, która była na nią sporo za duża i nadawała Heather wygląd małej, drobnej dziewczynki. Zatrzymała się w progu, położyła dłoń na framudze i zerknęła przez ramię. – Poszukaj informacji o Betty Graham – podsunęła. – A kiedy skończysz, możesz się poczęstować moimi lekami. – Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Osiemdziesiąty rok. Cathy Caldwell. Młoda, zamężna, matka małego dziecka, mąż żołnierz na służbie poza rodzinnym miastem. Pewnego dnia wyszła z pracy i nie dotarła do domu. Jej zwłoki znaleziono pod wiaduktem. Zmarła wskutek ran kłutych w szyję.

Sprawa morderstwa przez kilka tygodni nie schodziła z pierwszych stron miejscowych gazet, ale z czasem, w miarę braku postępów w śledztwie, uwaga opinii publicznej zaczęła skupiać się na innych wydarzeniach. O Cathy powoli zapominano – aż do dwa tysiące szesnastego, kiedy to twórcy popularnego podcastu o prawdziwych zbrodniach postanowili wrócić do tematu. Znowu odżyło zainteresowanie, a wraz z nim pojawiło się nowe pokolenie detektywów amatorów, którzy podjęli próbę wyjaśnienia zagadki. Syn Cathy, już jako dorosły mężczyzna, udzielał wywiadów i pozował do zdjęć. Opowiadał o tym, jakim koszmarem było dorastanie ze świadomością, że potwór, który zamordował jego matkę – kimkolwiek był – wciąż pozostaje na wolności.

Pomimo szumu, jaki wywołała w internecie, sprawa nadal nie doczekała się rozwiązania. Policja dysponowała próbkami DNA, ale nie pasowały do danych zgromadzonych w systemie. Oprócz tego nie było nic, do czego można by wrócić, żadnych innych tropów, które nowoczesne narzędzia techniki kryminalistycznej mogły wykorzystać. Ludzka pamięć szwankowała po latach. Coraz więcej osób, na przykład mąż Cathy, po prostu umierało. Śledczy snuli ciekawą jak bibuła, wspartą przez okrągłe zero dowodów teorię, że sprawcą był ktoś wynajęty przez męża ofiary, a motywem – pieniądze z ubezpieczenia na życie. Poza tym: nic.

O Victorii Lee udało mi się znaleźć jeszcze mniej. Straciła życie rok po Cathy. Została uduszona i porzucona tuż przy leśnej ścieżce. Szybko aresztowano jej chłopaka, którego następnie sąd skazał na karę więzienia. Inaczej niż do ślicznej, uroczej Cathy, do Victorii nikt nie układał długich ód o tym, jak wspaniałą była dziewczyną. Ograniczono się do wykadrowania jej nieostrej twarzy z jakiegoś zdjęcia grupowego i opatrzenia go podpisem: „Victoria Lee, ofiara morderstwa”. Cathy była życzliwą, kochaną i niewinną żoną i matką. Victoria była po prostu ofiarą zbrodni.

W osiemdziesiątym ósmym nowym prawnikom jej chłopaka udało się na podstawie szczegółu formalnego z pierwszego procesu wywalczyć ponowne rozpoznanie sprawy przez sąd. W toku drugiego postępowania wyszło na jaw, że feralnego dnia Victoria miała na szyi cienki złoty łańcuszek, który pod wpływem siły użytej przez dusiciela dosłownie zatopił się w skórze. W chwili schwytania sprawca nosiłby zatem na dłoniach zadrapania po łańcuszku, tymczasem dłonie chłopaka Victorii były od nich wolne. Sąd unieważnił wyrok.

W ten sposób zagadka śmierci Victorii znów była nierozwiązana.

Nie wiedziałam, po co to czytałam. Nie miałam pojęcia, co to wszystko miało wspólnego z moją ciocią. Ale nie mogłam przestać.

Pora na Betty Graham. Rok siedemdziesiąty ósmy. Kobieta została zamordowana, a jej zwłoki porzucone na placu budowy. Betty była nauczycielką, nie miała męża ani dzieci, cicha, spokojna, nie wychylała się. Sąsiadka widziała, jak do drzwi Betty puka komiwojażer. Betty wpuściła go i tyle ją widziano żywą.

Sprawa Betty również rozpała ciekawość internetowych detektywów, ale na znacznie mniejszą skalę niż przypadek Cathy. Napisało o niej kilkoro kanapowych śledczych, a także pewien specjalizujący się w prawdziwych zbrodniach bloger, który wyróżnił się długim, rzetelnie przygotowanym artykułem. Szczegóły mordu w większości pozostawały nieznane, ale to, co udało się ustalić, zmroziło mnie.

Betty stawiała opór napastnikowi.

Autor tekstu dotarł do ówczesnego raportu koronera i jako pierwszy po latach ujawnił jego treść. Betty miała siniaki na rękach, ramionach i plecach. Jej paznokcie były połamane i pokrwawione. Kolana spuchnięte i uszkodzone. Miała zadrapania na nodze i biodrze, jakby ktoś ją ciągnął. Na kłykciach dużo krwi – jej własnej – do tego cztery złamane palce. Brakowało jej dwóch zębów. Koroner doszedł do wniosku, że ofiara broniła się przed umieszczeniem jej w zamknięciu, na przykład w bagażniku samochodu, a następnie usiłowała się uwolnić. Potem próbowała się wyrwać, zanim sprawca ją zgwałcił i zadał jej pięć ciosów nożem w pierś.

Na koniec porzucił zwłoki na placu budowy przyszłego motelu Sun Down.

Zakręciło mi się w głowie. Sun Down. Na terenie motelu znaleziono martwą kobietę.

Przewinęłam artykuł i znalazłam zdjęcie Betty Graham. Miała klasyczną fryzurę i bluzkę z wysokim kołnierzykiem, ale nie dało się ukryć, że była piękną kobietą. Pozowała do oficjalnego portretu, najprawdopodobniej w szkole, w której pracowała. Przekrzywiła głowę w typowy dla takich fotografii sposób, dłonie trzymała złożone skromnie na podołku, na jej ustach gościł uprzejmy uśmiech. Miała niezwykłą urodę, ale była nieprzystępna, jej oczy i postawa mówiły: „Nie zbliżaj się”. Typ kobiety, która przez długie lata jest dla ciebie uprzejma i miła, aż w końcu uświadamiasz sobie, że nie wiesz

kompletnie nic o jej życiu osobistym, ponieważ nigdy nie zdradziła żadnych szczegółów.

Sprawiała wrażenie takiej, która do końca swoich dni wiodłaby nudne panięskie życie. Dlatego patrząc na nią, nie widziało się osoby, która do ostatniego tchu walczyłaby o przetrwanie. Nie opierałaby się napastnikowi, nie zdrapałaby sobie paznokci, nie szorowałaby kolanami po ziemi. Jej pragnienie przeżycia nie byłoby aż tak rozpaczliwe.

Ale mogłam się mylić.

Może jednak była kobietą, która tak bardzo nie chciała umierać, że nie pogodziła się ze swym losem. Może była kobietą w kwiecistej sukience, którą widziałam w Sun Down. Poprawka: była nią na pewno. Na sto procent.

A skoro ja widziałam Betty, to mogłam założyć, że ukazywała się również Viv.

Pięć minut później stałam spocona nad umywalką w łazience i trzymałam się jej lodowatymi dłońmi z nadzieją, że uda mi się nie zemdleć.

„Rozmawialiśmy o Cathy Caldwell któregoś wieczoru krótko przed zniknięciem Viv”.

Ciało Betty Graham, która walczyła i przegrała z napastnikiem, odnaleziono tam, gdzie pracuję. Tam, gdzie pracowała Viv.

„Byłyśmy samotnymi dziewczynami, które pracowały na noc. Sądzisz, że nie zdawałyśmy sobie sprawy z niebezpieczeństw?”

„Pieprzona Cathy Caldwell. Jak mogłam być taka głupia?”

Pochyliłam się nad zlewem i odkręciłam zimną wodę. Wsunęłam dłoń pod strumień, chcąc ochłapać twarz, ale nie mogłam się zebrać. Stałam i jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w odpływ.

Musiał istnieć jakiś związek. Viv wiedziała o Cathy w osiemdziesiątym drugim, rozmawiała o niej ze swoją współlokatorką. Jeżeli wiedziała o Cathy, bardzo możliwe, że słyszała również o Betty, zwłaszcza że jej zwłoki znaleziono na budowie Sun Down. Kiedy pracujesz w jakimś miejscu, prędzej czy później dowiadujesz się o takich rzeczach.

Jeśli kobietą w kwiecistej sukience była Betty – a była nią – to Viv ją widziała. I wiedziała, kim jest. Domyśliła się, tak samo jak ja.

Musiało to mieć coś wspólnego z jej zniknięciem.

„Kilka lat temu trochę za dużo naczytałam się o martwych kobietach i nie było ze mną za dobrze”.

„Viv była smutna. I miała w sobie sporo gniewu, zwłaszcza pod koniec”.

Krótko przed zaginięciem rzadko bywała w domu. Coś ją dręczyło. Nie chodziło o mężczyznę, tylko o coś, co budziło jej złość.

Z kranu wciąż leciała woda. Podniosłam spojrzenie na półkę obok apteczki. Ogarnęłam wzrokiem rząd lekarstw Heather.

Betty, Cathy, Victoria. Mroczne tropy wiodące do mrocznych miejsc. Widziałam to wyraźnie: wystarczy otworzyć drzwi, przejść przez nie – i nigdy nie wrócić. Czytanie o martwych kobietach sprawia, że bezustannie o nich myślisz i zaczynają cię prześladować. Ponieważ po tylu latach, po śledztwach i unieważnionym wyroku, po niezliczonych internetowych teoriach nadal nikt nie wiedział, kto je zabił. Nikt.

Jeżeli chciałam rozwiązać zagadkę, nie było rady, musiałam przejść przez te drzwi.

Więc zrobiłam to.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Dwa dni później wróciłam do archiwum biblioteki w Fell i znów przerzucałam stare gazety. Tyle że tym razem darowałam sobie mikrofiszę i zanurkowałam w zbiory papierowe.

Przeczytałam wszystkie artykuły z siedemdziesiątego ósmego na temat Betty Graham oraz okoliczności odnalezienia jej zwłok. Morderstwo było zdecydowanie najczęściej omawianym tematem roku w Fell, przerażającą tajemnicą w miasteczku, które dotąd uważało się za spokojne i niewinne. Z trwogą donoszono o braku postępów w śledztwie, a działy listów do redakcji były pełne pytań w rodzaju: „Czy powinniśmy barykadować się w domach?”. Albo: „Czy ulice nadal są bezpieczne?”.

„Nie chcę puszczać córki nawet na wrotkowisko” – poskarżyła się pewna kobieta; wyobraziłam ją sobie z krótkimi, nastroszonymi włosami, jak w jaskrawym spodniem ostrożnie wiesza na ścianie kwietnik z makramy. „Nie będę zostawiał żony samej w domu” – zadeklarował pewien mężczyzna; wyobraziłam sobie, jak jego żona łyka valium, myśląc: „Błagam, zostaw mnie samą w domu. Choćby na dziesięć minut”. Inny mężczyzna napisał, że oczywiście muszą być w to zamieszani czarni, bo któżby inny?

Nigdzie ani słowa o obrażeniach Betty. Policja nie ujawniła tych informacji. Dlaczego? Czy w siedemdziesiątym ósmym uznano je za zbyt drastyczne dla opinii publicznej? A może postąpiono w ten sposób, ponieważ tylko morderca wiedziałby o sposobie, w jaki skrzywdził ofiarę? Zapewne chodziło o jedno i drugie.

Przeskoczyłam do roku osiemdziesiątego, kiedy zginęła Cathy Caldwell, i wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że sprawcą obu tych zbrodni mogła być ta sama osoba. Z pozoru nic na to nie wskazywało: Cathy i Betty zaginęły w innych okolicznościach oraz zostały inaczej pozbawione życia. Cathy nie miała takich obrażeń jak Betty. Ale obie były pięknymi kobietami; obie zostały zgwałcone i zabite ostrym narzędziem, a ich ciała porzucone.

Poza tym byłyby to niezwykley zbieg okoliczności, gdyby w tak niewielkiej miejscowości, jaką jest Fell, objawiło się dwóch tak brutalnych morderców. Czytałam rozważania niedzielnych detektywów na Reddicie, ale miejscowa policja nie miała nic do powiedzenia. Jeżeli obu czynów dopuścił się jeden człowiek, to po Cathy zaprzestał krwawej działalności albo przeprowadził się do innego miasta. Albo umarł.

Albo został i w osiemdziesiątym drugim zabił Viv.

– Hej – odezwał się ktoś nad moim ramieniem. – To znowu ty.

Wzdrygnęłam się zaskoczona i podniosłam głowę. Callum MacRae, chłopak, który całymi dniami przesiadywał w archiwum i digitalizował wszystko, co się dało.

– Cześć.

– Już prawie osiemnasta – powiedział z uśmiechem. – Zaraz zamykają bibliotekę.

– Aha. – Rozejrzałam się. – To będę się zbierać.

– Jak idzie? – spytał, kiedy zaczęłam wstawać. – W sensie: poszukiwanie cioci.

Miał na sobie dzinsy i zapinaną bluzę z kapturem – obie te rzeczy wyglądały na nowe i nietanie. Brak życia towarzyskiego nadrabiał nienagannym ubiorem.

– Jeszcze jej nie odnalazłam. Nawet się do tego nie zbliżyłam.

– Szkoda. Mogę ci jakoś pomóc?

Machnęłam ręką w stronę regałów w archiwum.

– Już mi pomogłeś swoją podpowiedzią, żebym odpuściła sobie mikrofiszę i skupiła się na wersjach papierowych. Dzięki ci za to. Natrafiłam na informacje, których inaczej bym nie odnalazła.

– Serio? – Uniósł brwi. – Na przykład?

Nie potrafiłabym wyjaśnić, dlaczego czułam się przy nim nieswojo. Był przecież miłym chłopakiem w dobrych ciuchach, który okazywał zainteresowanie tym, co robiłam; a jednak nie miałam ochoty przebywać w jego towarzystwie.

– Ogólnie o historii Fell – odparłam. – Wygląda na to, że miało tu miejsce sporo morderstw.

– Ach, to. – Callum znów się uśmiechnął. – Uprzedzałem cię. Teraz już wiesz, co miałem na myśli.

– No tak. A jak postępy z digitalizacją?

Callum rozłożył dłonie; zademonstrował, że są puste.

– Skończyłem na dziś. Zresztą i tak już zamykają. Co teraz robisz?

Spojrzałam na niego z otwartymi ustami jak kretynka.

– A co?

– Moglibyśmy skoczyć coś zjeść.

– Nie mogę – skłamałam. Wyciągnęłam telefon, żeby włączyć dźwięk, i zobaczyłam, że mam nieodebrane połączenie. Skojarzyłam numer ze swojej listy: Alma Trent, emerytowana policjantka, której nazwisko podsunął mi Nick. Kilka godzin wcześniej zostawiłam jej wiadomość. – Jestem umówiona – powiedziałam z nadzieją, że to prawda.

– Tak? Gdzie?

Zwlekałam z odpowiedzią, ale on czekał; nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele brakowało, żebym zaczęła być nieprzyjemna. Odezwało się we mnie dobre wychowanie – „bądź miła!” – i w końcu wydukałam:

– E... Wybieram się na rozmowę z Alną Trent, która była policjantką w tamtych latach, kiedy zaginęła moja ciocia.

Z głośników popłynęła informacja o zbliżającej się porze zamknięcia biblioteki. Ruszyłam do drzwi, Callum za mną.

– Brzmi ciekawie. Mogę pojechać z tobą? – podsunął; no nie do wiary...

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – powiedziałam, desperacko szukając wymówki. – Obiecałam, że przyjdę sama.

– Policjantka tak ci kazała? – spytał, odrobinę obniżając głos.

Wyszliśmy z biblioteki. Znalazłam wzrokiem swój samochód na płatnym parkingu pod budynkiem.

– No – potwierdziłam. – Ale dzięki za propozycję. Później się zgadamy, okej? – Pomachałam mu niby radośnie i wsiadłam do auta. Zanim ruszyłam, wyjęłam telefon i odsłuchałam wiadomość pozostawioną przez Alnę.

Powiedziała, że jest na emeryturze – o czym wiedziałam, bo znalazłam tę informację w sieci; numer Almy wygrzebałam w starej dobrej książce telefonicznej Fell – ale chętnie się ze mną spotka. Miała przyjemny głos,

mówiła prosto i rzeczowo. Poprosiła, żebym uprzedziła, kiedy się zjawię, to zaparzy kawę.

Oddzwoniłam do niej i zapytałam, czy mogę teraz. Odparła, że jak najbardziej, i podała mi adres. Po krótkiej rozmowie z nią pod wpływem impulsu wysłałam esemesa do Nicka. „Nie śpisz?” Nigdy nie byłam pewna, kiedy śpi, a kiedy czuwa.

Nie odpowiedział. Wpatrywałam się w ekran przez dobrą minutę, czekałam, a potem dopisałam: „Jadę na spotkanie z Alną Trent, tą policjantką, o której mi powiedziałaś”.

Zawahałam się jeszcze chwilę. Nadal nic.

Zrobiło mi się trochę głupio, ale postanowiłam dokończyć: „Przekażę ci wszystko w nocy”.

Nie żeby w ogóle go to obchodziło. Bo niby czemu by miało? Nawet nie wiedziałam, czym Nick się zajmował poza spaniem. Miałam jego numer raptem od wczoraj; podyktował mi go, żebym puściła mu esemesa, kiedy dostarczą zamówioną pizzę do recepcji.

Sama nie wiedziałam, po co właściwie do niego napisałam. Może nie chciałam iść na spotkanie z Alną sama. Heather odpadała, bo moje poszukiwania Viv za bardzo dawały jej się we znaki; ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało, było doprowadzenie do pogorszenia stanu psychicznego Heather.

Nick wciąż nie odpowiadał. Westchnęłam i schowałam telefon. A więc jednak pojedę sama.

Zerknęłam za okno. Callum stał przed wejściem do biblioteki. Trzymał ręce w kieszeni bluzy i przyglądał mi się. Kiedy na niego spojrzałam, uśmiechnął się lekko i pomachał do mnie.

Włączyłam silnik i ruszyłam.

Alma mieszkała poza Fell, po drugiej stronie miasta, patrząc od Sun Down, przy drodze prowadzącej do zadbanego wiejskiego domu. Było już całkiem ciemno, ale dało się zobaczyć, że budynek jest obłożony białą deską szalunkową, na tle której wyróżniały się ciemnozielone okiennice. Na ganku stały doniczki z zeschniętymi już o tej porze roku roślinami. Kiedy podeszłam do wejścia, rozległo się szczekanie psa. Zapukałam w ramę zewnętrznych drzwi z siatką przeciw owadom.

– Chwileczkę – zawołała Alma. – Przestań, wariacie. – Usłyszałam, jak zwraca się do zwierzaka. – Mój Boże, ależ z ciebie głupol.

Pies nadal szczekał. Po chwili otworzyły się główne drzwi. Alma była pod sześćdziesiątkę, miała związane w koński ogon siwawo-brązowe włosy i przyjazne oblicze, którego nie ukrywała pod makijażem. Była ubrana w stare, lekko workowate dżinsy, flanelową koszulę w kratę i brązowy rozpinany sweter. Nadal była w formie i wyglądała na silną. Obdarzyła mnie życzliwym uśmiechem.

– Carly?

– Dobry wieczór – przywitałam się. – Miło mi panią poznać. Dziękuję, że zgodziła się pani na spotkanie.

Podaliśmy sobie ręce; zrobiła to lekko, ale czułam, że mogłaby mi zmiażdżyć dłoń, gdyby chciała.

– Zapraszam do środka – powiedziała. – Zaparzyłam kawę, tak jak obiecałam. Wiem, że może trochę późno na kofeinę, ale jestem nocnym markiem. Zostało mi po tych wszystkich latach nocnej służby.

– Chętnie się napiję. Sama też lepiej funkcjonuję w nocy.

Poszłam za nią wąskim korytarzem do kuchni, która była mała i przestarzała, ale dobrze utrzymana. Nieduży pies, jakaś odmiana teriera, najpierw szczekaniem obwieścił mi, że tu rządzi, po czym obwąchał mi nogi, radośnie skacząc wokół butów.

– Proszę uważać na spodnie. Mój pies to głupek. – Wskazała mi krzesło, a kiedy usiadłam, przyjrzała mi się w świetle lampy. – Jest pani bardzo do niej podobna – stwierdziła.

Było dla mnie oczywiste, kogo miała na myśli. Znów poczułam to radosne podniecenie. Oto ktoś, kto widział Viv na własne oczy, znał ją.

Otworzyłam usta, żeby zadać pytanie, ale Alma mnie uprzedziła.

– Niech pani powie, co sprawiło, że postanowiła pani odszukać swoją ciocię, która zmarła, zanim przyszła pani na świat?

– Formalnie rzecz biorąc, nie wiadomo, czy zmarła.

Alma uprzejmie uniosła brwi.

– Aha.

– To znaczy, zapewne nie żyje – sprostowałam. – Chyba. Bo w sumie nigdy nie odnaleziono jej zwłok. Z drugiej strony przepadła, nie zabierając ze sobą portfela, samochodu ani innych rzeczy. – Zamilkłam. Paplałam zupełnie bez sensu.

Alma nie skomentowała mojego gadania, więc nie wiedziałam, czy się ze mną zgadza. Otworzyła szafkę i wyjęła dwa kubki.

– To była okropna noc – powiedziała. – Dobrze ją pamiętam. Chodzi mi oczywiście o tamtą noc, kiedy dowiedziałam się, że Vivian zaginęła. Zniknęła prawdopodobnie cztery dni wcześniej. – Stała przy dzbanku do kawy i zamyśliła się. – Takie opóźnienie nie powinno być mieć miejsca. Ale stało się.

– Jak to możliwe? – spytałam. Miałam wrażenie, jakby czytała mi w myślach.

– Po prostu. Nikt nie zwrócił uwagi. Vivian była cichą, spokojną dziewczyną, która nie lubiła się wychylać ani być w centrum zainteresowania. Zdaje się, że jej współlokatorka akurat wtedy wyjechała. Vivian była bardzo daleko od tych, którym naprawdę na niej zależało. Właściciele motelu nawet nie odnotowali faktu, że nie zjawiła się w pracy. Jeśli chce pani poznać ludzi, którzy uczynili sztukę z pilnowania własnego nosa, proszę pojechać do motelu Sun Down.

Przyglądałam się jej ruchom, kiedy zaczęła nalewać kawę do kubków, i zobaczyłam, że ma w sobie spokój, niespieszność i naturalne opanowanie. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale teraz umiałam sobie wyobrazić tę kobietę, jak wkracza na imprezę i zbiera naprutego Nicka Harknessa z podłogi. Robi mu wykład, a potem puszcza wolno. Jako policjantka na pewno miała do czynienia z dużo gorszymi przypadkami.

– Jak pani poznała Viv? – spytałam.

Spojrzała na mnie, znowu unosząc brwi.

– Z czym pani pije kawę? – Odparłam, że ze śmietanką. Odwróciła się z powrotem do kubków. – Przez trzydzieści lat pełniłam służbę w nocy. Od czasu do czasu miewałam wezwania do motelu. Vivian też mnie wezwała raz czy dwa. Wydaje mi się, że za pierwszym razem chodziło o bójkę truckersów na parkingu. W Sun Down zdarzały się tego rodzaju drobne zajścia, to po prostu było takie miejsce. Nadal jest.

– Wiem – powiedziała, kiedy postawiła przede mną kawę. – Pracuję tam.

Zaskoczyłam ją. Zastygła z palcami w uchu kubka.

– Słucham?

– Pracuję w recepcji – wyjaśniłam. – Na nocnej zmianie, tak jak Viv. Pojechałam tam, żeby się czegoś dowiedzieć, ale okazało się, że szukają kogoś

do pracy, i tak się jakoś... – Alma podsunęła sobie krzesło i usiadła. – O co chodzi?

Pokręciła głową.

– To nie jest bezpieczne miejsce. Nigdy nie było. Zawsze się martwiłam o Vivian, kiedy siedziała tam sama przez całe noce. A teraz zacznę się martwić o panią.

„Ona wie o duchach” – pomyślałam, ale kiedy spojrzałam w jej oczy, straciłam pewność. Byłaby świetną pokerzystką. Nie zamierzałam poruszać tematu duchów z nikim oprócz Nicka, który widział to samo co ja.

– Sun Down od początku miał pecha – powiedziałam. – Najpierw ciało Betty Graham na terenie budowy, potem ten chłopiec, który zmarł po wypadku na basenie...

Alma popijała kawę, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakby pomyliła się w początkowej ocenie. Może spodziewała się dwudziestolatki o ptasim mózdzku, która siedzi z nosem w Twitterze. Kto wie? Większość ludzi pewnie by tak pomyślała.

– Skąd pani o tym wie? – spytała.

– Z archiwum biblioteki w Fell.

Odstawiła kubek.

– No dobrze – zaczęła ze spokojną miną. – Czego pani ode mnie oczekuje?

Sięgnęłam po swój kubek. Nie wypiałam jeszcze nawet łyka, mimo że prawie dziś nie spałam i bardzo potrzebowałam kofeiny.

– Chodzi mi o akta sprawy Viv. Co się w nich znajdowało?

– Byłam zwykłą posterunkową, a nie śledczą. Nie zajmowałam się sprawami zaginionych osób.

– Ale widziała pani akta.

Westchnęła i w typowym geście właścicieli psów odruchowo opuściła rękę poniżej siedziska krzesła. Psiak wsunął pysk w dłoń swojej pani.

– Tak, czytałam je – przyznała. – Znałam Vivian. Nie dawało mi spokoju to, że zaginęła. Nie była nieobliczalna ani szalona, nie brała narkotyków. I z całą pewnością nie była głupia. – Podrapała psa po głowie. – Wyglądało to tak, jak pisano w gazetach. Jej samochód stał na parkingu, a torebka leżała w recepcji. Vivian przyjechała do pracy, rozmawiała z mężczyzną, który

kończył zmianę przed nią, a potem zniknęła bez śladu, zostawiwszy wszystkie swoje rzeczy.

– Jej współlokatorka mówi, że zanim to się wydarzyło, Viv rzadko bywała w domu w ciągu dnia. Podobno wydawała się przygnębiona albo zła na coś. A kiedy przyszedł rachunek za telefon, już po zaginięciu Viv, w wykazie połączeń znajdowały się numery, których Jenny nie kojarzyła. Oddała billing policji, ale ta się do niej nie odezwała. Tak jakby nikt tego nawet nie sprawdził.

Alma pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie.

– Jenny mówi, że Viv nie miała chłopaka, ale według niej coś było na rzeczy.

– Jenny nie знаła Viv zbyt dobrze – zaznaczyła Alma. Miałam wrażenie, że jej głos zaczął się lekko łamać. – Przesiedziała dwa dni w pustym mieszkaniu i nawet przez chwilę nie pomyślała o tym, gdzie się podziewa jej współlokatorka. Nie zastanowiła się, czy wszystko z nią w porządku.

– W gazetach opisywano Viv jako ładną i towarzyską. Jenny twierdzi, że ten drugi przymiotnik nie odpowiadał prawdzie.

– Była ładna, to na pewno – powiedziała Alma. – Między innymi dlatego tak się martwiłam, że każdej nocy siedziała w Sun Down całkiem sama. Ale towarzyska... Zdecydowanie nie. Była spokojna i zamknięta w sobie, z tym że potrafiła reagować emocjonalnie, zwłaszcza kiedy zaczynała mówić o czymś, co ją interesowało. Nie wydaje mi się, żeby miała jakichś znajomych.

– A co ją interesowało?

– Słucham?

– Powiedziała pani, że Viv ożywiała się, kiedy mówiła o czymś, co ją interesowało. Jestem ciekawa, co to było.

Alma zamilkła na chwilę. Nadal głaskała psa.

– Wie pani... nie pamiętam. Jakiś film albo może serial. Przyjeżdżałam do niej i rozmawialiśmy o wielu różnych rzeczach. Tak jak mówię, martwiłam się o nią.

– W motelu nikt jej nie znał?

– A kto miał znać? Na nocnej zmianie siedziała sama jak palec. Wiedziałam, że jednym ze stałych gości Sun Down był Jamie Blaknik i na

pewno poznał Vivian, ale nic więcej nie zdołałam z niego wycisnąć.

– Jamie Blaknik?

– W tamtych czasach handlował marihuaną, niekiedy środkami pobudzającymi i uspokajającymi, jeśli akurat jakieś dorwał. W osiemdziesiątym drugim, zanim rynek zalały twarde narkotyki, takie substancje były bardzo popularne. Prowadził ten swój biznes w pokoju w Sun Down, a więc musiał przynajmniej rozmawiać z Vivian. Był w motelu tamtej nocy, kiedy zniknęła.

– Tak?

– Sama go przepytываłam. Twierdził, że zameldował się tylko na kilka godzin, ubił parę interesów i odjechał. Miał alibi, i to niejedno. Widział się z kilkorgiem klientów pomiędzy dwudziestą trzecią a północą i z kolejnymi po tym, jak opuścił motel i udał się do baru. Gdyby chciał zabić Vivian, musiałby to zrobić w dziesięciominutowej przerwie pomiędzy jednym chętnym na działkę a drugim. Policji nie udało się niczego udowodnić.

– Mówi pani, że go przepytывała. A przecież nie była pani śledczą – zauważyłam.

Zrobiła niechętną minę. Przestała głaskać psa i położyła dłoń z powrotem na kolanach.

– Rozpytywałam się. To nie to samo. Na nocnej służbie nie miałam zbyt wiele do roboty, jeśli nie liczyć użerania się z pijakami i agresywnymi typami. Poza tym miałam do czynienia z innymi ludźmi niż funkcjonariusze z dziennej zmiany. Co z tego? I tak nikt nie chciał mnie słuchać.

– Bo była pani zwykłą posterunkową?

Posłała mi uśmiech, którego złożoności i podtekstów nie potrafiłam rozszyfrować.

– Bo byłam jedyną kobietą w policji w Fell – powiedziała. – Sądzi pani, że te trzydzieści lat nocnej służby to z własnego wyboru? Do innej nie chcieli mnie przydzielić. Bierz, co dają, albo droga wolna. I wściekali się, mówię pani, jak bardzo się wściekali, kiedy zamiast rzucić odznaką, pracowałam, jak kazali.

– Obłąd. Czy takie rzeczy nie są nielegalne?

Wybuchnęła donośnym śmiechem.

– Bystra z pani osoba, ale strasznie młoda. Włożyłam mundur w siedemdziesiątym dziewiątym. W tamtych czasach miałam szczęście, że bank wydał mi kartę kredytową, chociaż byłam niezamężna. Koledzy z pracy nazywali mnie lesbą, i to nie za plecami, tylko prosto w twarz. Używali tego słowa zamiast mojego nazwiska. Moim chłopakiem mógł być sam Robert Redford, a i tak nic by to nie zmieniło. Kobieta, która wychodziła za mąż i rodziła dzieci, była słaba. Kobieta, która się na to nie decydowała, była lesbą. Prosty podział. Z czasem polubiłam nocną służbę, bo przynajmniej nie musiałam wysłuchiwać żartów o lizaniu cipy. Gdybym się poskarżyła, zostałabym wyśmiana i prawdopodobnie zwolniona. – Wzruszyła ramionami. – Tak to wtedy wyglądało. Chciałam być policjantką i służyć w Fell. Czuję się związana z tym miastem. Pracowałam więc nocami, a kiedy nikt nie patrzył, robiłam, co uważałam za słuszne. Na przykład rozpytywałam się po zaginięciu Vivian.

Odchyliłam się na krześle.

– Jeśli kiedykolwiek będę chciała się cofnąć w czasie, proszę mi przypomnieć, żebym nie wracała do lat siedemdziesiątych.

– Nie było tak źle – zaznaczyła Alma. – Mieliśmy Burta Reynoldsa... Nie było internetu ani AIDS... Sami nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak mamy dobrze, dopóki nie nastały lata osiemdziesiąte i świat zaczął schodzić na psy. – Napila się kawy. – Jamie był mniej więcej w wieku Vivian. Przystojny chłopak. Na pewno zwróciłby uwagę na taką ładną dziewczynę jak Viv. Ale znałam go praktycznie od dziecka i nie był brutalnym typem.

Wyjęłam długopis. Każdy, kto znał Viv, musiał znaleźć się na mojej liście.

– Wie pani, gdzie go szukać?

– Na cmentarzu – odparła wprost. – Zjechał z drogi i owinął się wokół drzewa. Kiedy to było... Jakoś na początku dziewięćdziesiątych.

– Rozumiem. Kogo jeszcze pani podejrzewała? Z kim pani rozmawiała?

– Nie miałam wielkiego wyboru. Rozmawiałam z Janice McNamarą, właścicielką Sun Down, która zatrudniła Vivian.

Przypomniało mi się zdjęcie w gazecie z siedemdziesiątego dziewiątego: kobieta oraz jej mąż i syn na tle nowo wybudowanego motelu.

– Z kolei mnie przyjął do pracy jej syn Chris – powiedziałam. – Mówi, że nie przyjeżdża do Sun Down, jeśli naprawdę nie musi.

Alma posłała mi spojrzenie, jakby wiedziała coś, o czym ja nie mogłam mieć pojęcia, i przez chwilę myślałam, że wspomni o duchach.

– Janice była taka sama – stwierdziła. – Niedługo po tym, jak motel rozpoczął działalność, wydarzył się wypadek.

– Chłopiec uderzył się na basenie.

– Właśnie. Uderzył się, a potem zmarł. Henry, pracownik, który to zgłosił, pół roku później dostał w recepcji śmiertelnego ataku serca. Zaczniemy od tego, że Janice i Carl wcale nie marzyli o wejściu w biznes motelowy. Liczyli na to, że dzięki parkowi rozrywki Sun Down stanie się maszynką do robienia pieniędzy, a ziemia, na której stanął, szybko zyska na wartości. Po tym, jak pomysł parku spalił na panewce, a na Sun Down spadło odium śmierci, z obojga jakby uszła para. Carl się rozchorował i nie mógł się dłużej zajmować motelem. Janice obsługiwała recepcję, ale robiła to zupełnie bez zaangażowania. Nie było jej na miejscu tamtej nocy, kiedy zniknęła Vivian. Po śmierci rodziców interes przeszedł w ręce Chrisa, któremu też nie zależało. – Pokręciła głową. – Właśnie na tym polega problem: Sun Down jest niechciany. Nikt nie dba o jego los. Tak było od samego początku, od kiedy na budowie znaleziono zwłoki Betty Graham. Nie wierzę w klątwy, ale z jakiegoś powodu ten motel jest niekochany.

Poczułam się pusta w środku i zakręciło mi się w głowie.

– Ktoś... ktoś umarł w recepcji?

– Tak. O Jezus, przepraszam. – Alma pokręciła głową. – Wychodzą lata służby. Policjanci bez skrępowania rozmawiają ze sobą o takich rzeczach. Zupełnie zapomniałam, że pani tam pracuje. Tak. Henry zmarł na zawał. Śmierć chłopca tak bardzo go poruszyła, że w końcu serce nie wytrzymało.

„Czy był palaczem? – przyszło mi do głowy. – Bo myślę, że nadal nim jest”.

– Niewielka strata – dodała Alma, kiedy się nie odezwałam. – Mówię o Henrym. Był z niego kawał szui. Skontaktowałam się z jego byłą żoną, która nadal figurowała jako najbliższa krewna, a ta warknęła, że bardzo dobrze, niech zgnije w piekle, i rzuciła słuchawką. Przez lata wiele razy oskarżała Henry’ego o to, że jej groził, ale potem wycofywała zarzuty i nigdy nic z tego nie wynikało. No, nie był to najprzyjemniejszy człowiek pod słońcem. – Napila się kawy. – Jest pani dobrą słuchaczką, a ja zamęczam panią swoim gadaniem.

– Nic podobnego – zapewniłam ją. – Dziękuję. – Zerknęłam na kartkę, na której miałam notować. Widniało na niej tylko jedno nazwisko: Jamie Blaknik. – Kto jeszcze przebywał w motelu w noc zniknięcia Viv?

– Tylko Brenda Bailey. Alkoholiczka. Raz na jakiś czas mąż urządzał jej przymusowy odwyk, więc Brenda przyjeżdżała do Sun Down i wynajmowała pokój, żeby móc pić w tajemnicy. Była u siebie. Nieprzytomna. Śledczy przesłuchali ją oficjalnie, a potem ja wypytałam ją poza protokołem. Nic nie widziała ani nie słyszała. – Pokazała brodą na mój notes. – Brenda też nie żyje. Zmarła w osiemdziesiątym siódmym. Jezu, wychodzi, że znam całe mnóstwo martwych ludzi. Zapewniam panią, że Fell to nie tylko trupy.

Zapisałam „Brenda Bailey”, bo czułam, że powinnam.

– A mężczyzna, który miał zmianę przed Viv? Niewykluczone, że jako ostatni widział ją żywą.

– Johnny? Jasne, może pani z nim porozmawiać, jeśli pani chce. Jest teraz po siedemdziesiątce, mieszka w domu starców w New Jersey, w którym umieściła go siostrzenica, żeby mieć blisko. Nie miał do powiedzenia nic więcej ponad to, że Viv zjawiała się jak zwykle i zmieniała go, a on sam udał się do domu. Jego matka potwierdziła, że przyjechał kwadrans po jedenastej.

To było bez sensu. Zaczęłam wątpić, czy coś wskóram, więc zmieniłam temat.

– Pracowała pani przy sprawie Cathy Caldwell?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam zaszokowaną minę Almy. Jakby ktoś przekazał jej tragiczne wieści.

– Zaginięcie Vivian nie ma żadnego związku ze śmiercią Cathy Caldwell – wyrzuciła z siebie niemal mechanicznie i jej odpowiedź skojarzyła mi się z wypluwającym snickersa, na zmianę działającym i nie działającym automatem ze słodyczami.

– Tego nie wiemy – powiedziałam. – Oba zdarzenia miały miejsce mniej więcej w tym samym czasie. Zagadka morderstwa Cathy pozostaje niewyjaśniona. Podobnie jak tajemnica śmierci Betty Graham. I była jeszcze Victoria Lee, której zabójcę szybko ujęto i skazano, ale, jak się okazało, niesłusznie. To daje trzy nierozwiązane sprawy.

– Między nimi nie ma żadnego związku – powtórzyła stanowczo Alma.

– Nie wydaje się pani, że to musiało być coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności? – nie ustępowałam. – Wszystkie te kobiety straciły życie na

krótko przed zniknięciem Viv. Potem krwawa seria się zakończyła.

Kiedy mówiłam, Alma kręciła głową.

– Przeklęty internet. Carly, niech pani posłucha. Wiem, że tego rodzaju teorie są kuszące, ale nad tymi sprawami pracowali naprawdę kompetentni śledczy i gdyby odkryli, że rzeczywiście są one w jakiś sposób połączone z zaginięciem Vivian, na pewno poszliby tym tropem. Ale nie poszli, ponieważ związku, który pani chce widzieć, po prostu nie było. Brak zwłok to też brak punktu wyjścia.

Sprawiła wrażenie absolutnie przekonanej o słuszności swoich słów, brzmiała tak stanowczo i miała ten typowy dla policjantów głos, którego ton komunikował: „Wiem, co robię, więc rób, co mówię”. Ale: ofiary blisko siebie w czasie, niewyjaśnione okoliczności śmierci. Jakie było prawdopodobieństwo, że każdą z tych kobiet zabił ktoś inny? I że na drodze Viv stanął kolejny morderca? Fell byłoby gorszą wylęgarnią zwyrodnialców niż miasteczko w serialu Napisana: Morderstwo. Czy policja naprawdę tego nie widziała? Przecież ktoś powinien był się zorientować.

Po minie Almy poznałam, że moje spekulacje trafiły w próżnię.

– No tak. To tylko moje przemyślenia. – Zamknęłam notatnik. – Dziękuję, że zechciała pani poświęcić mi czas.

– Przepraszam – powiedziała Alma. – Byłam blisko tych spraw. Nie jestem śledczą, ale po Betty i Cathy każdy miał pełne ręce roboty. Nie było nam łatwo. – Zaciśnęła usta. – Rzeczywiście, ma pani rację, pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych mieliśmy szereg dziwnych, niewyjaśnionych morderstw. Ale to się skończyło i przez dłuższy czas w Fell panował spokój. Tę passę przerwał dopiero czyn popełniony przez Harknessa, który wstrząsnął miejscową społecznością.

Nick. Jego ojciec zabił starszego syna w salonie na dole, a potem poszedł na górę zrobić to samo z młodszym. Nick wyskoczył przez okno i uciekł.

– Przekażę Nickowi pozdrowienia – powiedziałam.

Alma uniosła brwi.

– Nick wrócił do miasta?

O cholera. To miała być tajemnica. „Tylko nie powołuj się na mnie” – prosił Nick. Ale ze mnie idiotka.

– Chyba tak – odparłam asekuracyjnie. – Poznałam go w Sun Down. – Położyłam notatnik na kolanach.

– Nick Harkness mieszka w Sun Down?

– Tymczasowo. Tak mi się wydaje. – Czemu nie mogłam się zamknąć? Nickowi zależało na prywatności. Nie chciał, żeby całe Fell dowiedziało się o jego powrocie. – To on podsunął mi pani nazwisko i zasugerował, żebym z panią porozmawiała.

– Nie dziwię się, że mnie pamięta. Tyle razy, ile zatrzymywałam go za pijaństwo i pakowałam do ciupy, żeby odespał... – Odsunęła się na krześle. – Proszę mi wierzyć, Nick nie jest osobą, z którą chciałaby się pani zadawać.

– Jest dorosłym człowiekiem. Zmienił się – powiedziałam, mimo że wcale nie znałam go aż tak dobrze. – Już nie pakuje się w tarapaty.

– Chyba że tylko tak mówi. – Alma spojrzała na mnie w zamyśleniu. – Wie pani, nie udało nam się niczego udowodnić, ale zawsze się zastanawiałam, czy Nick naprawdę był na górze w swoim pokoju, tak jak twierdził. Proszę go ode mnie pozdrowić.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Noce bez snu okropnie się dłużyły. Viv wydawało się, jakby żyła w nieustającej ciemności, przerywanej krótkimi okresami jasności, które i tak niespokojnie przesypiała. Dziś znów siedziała w recepcji Sun Down sama, z półprzymkniętymi powiekami, czując ból we wszystkich kończynach. Kiedy przyjechała do motelu, znalazła na biurku białą kopertę opisaną jako „wypłata” – to była jedyna interakcja Janice z pracownikami.

„A gdybym się nie zjawiała? – wpadło jej do głowy. – Czy ktoś by się w ogóle zorientował? Czy Johnny doniósłby, komu trzeba? Jak długo mogłabym zwyczajnie nie przychodzić do pracy, zanim ktokolwiek zaczęłby się zastanawiać, gdzie się podziewam?”

Przez chwilę zrobiło jej się bardzo smutno i pomyślała, że może powinna spróbować zadzwonić do matki. Albo do siostry. Albo przynajmniej pogadać z Jenny. Kiedy ostatni raz naprawdę z kimś rozmawiała? Przetarła oczy i rozprostowała zeszywniałe nogi pod biurkiem.

Tej nocy nie było żadnych gości. Dosłownie. Okrągłe zero. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęła pracę w Sun Down, Viv czuła się tak pusta i przejmująco samotna, że niewiele brakowało, by się rozplakała. Żeby przyplątał się choć Jamie Blaknik z tą swoją potarganą czupryną i dziwnie życzliwym uśmiechem. Żeby ktokolwiek zechciał się tu zatrzymać.

W ciszy recepcji zabrzączał przenikliwy dzwonek telefonu. Viv podniosła słuchawkę.

– Motel Sun Down, czym mogę służyć?

– Viv, mówi Marnie.

Na dźwięk znajomego głosu Viv napłynęły łzy do oczu. Musiała wziąć się w garść.

– Marnie – wydusiła.

– No. Słuchaj, byłam na innym zleceniu i tak się złożyło, że akurat przejeżdżałam obok domu tego twojego podejrzanego. Jego wóz stoi na podjeździe, a w oknach ciemno. Wygląda na to, że facet śpi jak suseł.

Viv usiadła prosto; już nie czuła się taka samotna. Marnie czasem wyświadczała jej przysługę polegającą na tym, że śledziła komiwojażera, kiedy Viv nie mogła.

– Dziękuję.

– Poza tym rozmawiałam z jednym gliną z Fell. Powiedziałam mu, że poznałam dziewczynę, która sądzi, że jest kuzynką Betty Graham, i spytałam, czy zdaniem policji Betty i Cathy mogły zginąć z ręki tego samego człowieka.

– No i?

– W sumie niewiele się od niego dowiedziałam – przyznała. – Nabrał wody w usta. Bąknął tylko, że owszem, rozważali taką możliwość, ale nie znaleźli żadnych dowodów. Będę z tobą szczerą, Viv. Im głębiej w ten las, tym mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że twoja teoria jest błędna. Te kobiety się nie znały, obracały się w różnych kręgach. Betty była nauczycielką i starą panną, Cathy mężatką i matką. A Victoria Lee... Mój kontakt nawet nie chciał o niej rozmawiać, bo to zamknięta sprawa. Obrażenia Cathy wyglądały zupełnie inaczej niż Betty. Zupełnie.

– Opowiedz mi o nich – poprosiła Viv. – Przecież wiem, że wiesz. W gazetach nie ma o tym ani słowa.

Marnie westchnęła.

– Pamiętaj, że to nieoficjalne, po prostu gadka glin. Ale podobno Betty była cała posiniaczona. Jakby zaciekle walczyła z napastnikiem. I została zgwałcona.

„Doszło do naruszenia integralności cielesnej”.

– Cathy też została zgwałcona, ale Victoria nie – ciągnęła Marnie. – Rozumiesz, o co mi chodzi? To wszystko jest zbyt przypadkowe. A ten komiwojazer... Nie widziałam, żeby robił cokolwiek poza jeżdżeniem do pracy i z powrotem. Źle kombinujesz, skarbie.

– Być może na każdą ofiarę poluje inaczej – powiedziała Viv. – Tak woli. Taki ma sposób działania. Ale przecież musi je jakoś wybierać. Na pewno istnieje jakiś związek.

– Jezu, ty naprawdę masz obsesję – skwitowała Marnie. – Martwię się o ciebie, wiesz? Za dużo czasu spędzasz sama nocami. Potrzebny ci chłopak, i to od zaraz.

Viv się roześmiała.

– A co, masz jakiegoś?

– Zawsze. Nie potrzebuję faceta, ale lubię go mieć. Czasem się przydaje. Serio, powinnaś spróbować. Opuść sobie mrok i śmierć, bo ci nie służą. Już pomijam fakt, że możesz przez to stracić życie.

– Będę ostrożna – zapewniła ją Viv.

– Oby. Bo jeśli coś ci się stanie, ten, kto to zrobi, będzie miał do czynienia ze mną.

Tym razem dym z papierosa szczypał w oczy. Po rozmowie z Marnie Viv wstała, podeszła do drzwi, przyłożyła do nich dłoń i z zamkniętymi oczami wciągała woń. Palący mężczyzna, ten sam, który przeszedł jej za plecami tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła duchy. Na chodniku dało się słyszeć czyjeś kroki. Viv wzięła głęboki oddech, obróciła gałkę i wyszła na zewnątrz.

Pusto. Tylko lodowata ciemność i powietrze, które zaczynało pachnieć śniegiem. W nagich koronach drzew za motelem cicho szumiał wiatr. Od strony miasta niosło się świdrujące, zanikające wycie syreny. Owca

„Mogłabym zniknąć. Mogłabym umrzeć. Kto by mnie szukał?”

Rodzice Victorii nawet nie pomyśleli o tym, żeby jej szukać, bo założyli, że córka imprezuje. Nikt się nie zorientował, że Betty zaginęła, dopóki nie zauważono jej nieobecności w pracy.

„Musi istnieć jakiś związek”.

Wyraźny chrzęst żwiru na parkingu. Kliknięcie. Otworzyły się drzwi... jedno, drugie, kolejne.

Betty się przebudziła.

Viv zaczęła myśleć o tym w taki sposób, że gdy spała Betty, spał motel. Ale czasem Betty się budziła, a wraz z nią Sun Down. Zwykle robiła to, kiedy nocował komiwojażer, ale tej nocy go tu nie było. Tej nocy Viv była całkiem sama.

„Jesteśmy tylko ja i Betty”.

Viv wyszła na chodnik i minęła pomieszczenie z automatami. Przed nią, za zgięciem elki, otwierały się drzwi, po kolei, patrząc od dalszego końca. Słyszała je również na górze. Klik, klik, klik.

– Betty? – odezwała się.

Znak zamigotał, ale nie zgasł; o dziwo, jego jaskrawe neonowe barwy dodawały Viv pewnej otuchy w ciemności.

Postawiła kołnierz, pozwoliła, by wiatr rozwiął jej włosy, i zeszła z chodnika na parking. Żwir zachrząścił pod jej sportowymi butami. „Mogłabym po prostu zniknąć – pomyślała. – Stać się jednym z duchów Sun Down. Nikt by się nawet nie zorientował”. Może w przyszłości jakaś nocna recepcjonistka poczuje zapach dymu papierosowego, usłyszy warkot maszyny do lodu i wszystko zacznie się od nowa. Za rok? Za pięć lat? Jak będzie wyglądała ta dziewczyna? Co pomyśli, gdy ujrzy szorującego podeszwami po żwirze ducha Viv?

Stała plecami do otwierających się pokoi, a potem ruszyła z powrotem do recepcji. Nie weszła do środka. Te drzwi również były otwarte, choć nie pamiętała, czy przypadkiem sama ich tak nie zostawiła. Prawie się nie zdziwiła, kiedy zobaczyła mężczyznę siedzącego za biurkiem na jej miejscu. Był starszy i chudy, pochylał się nad blatem, trzymając się za głowę.

Viv stała w progu z dłonią na framudze, żeby nie stracić równowagi. Czowała się, jakby oddech zamarzył jej w gardle. Powietrze było przesiąknięte zapachem dymu papierosowego.

Mężczyzna podniósł głowę i popatrzył na Viv. Miał czarne, palące spojrzenie.

– Cholerna suka – powiedział.

Viv wycofała się i idąc na nogach jak z waty, okrążyła budynek, kierując się w stronę pustego basenu. Tutaj, dużo dalej od blasku znaku i świateł z szosy, było ciemno choć oko wykol. Nad jej głową wisiał dający słabą poświatę okrawek księżyca. Mimo to Viv udało się wyłowić z mroku kształt ogrodzenia i czarną jak atrament misę basenu pełną śmieci i liści. Głośno szurała butami po spękanej betonowej powierzchni.

Zrobiła wdech, wpuściła do płuc zimne, szczypiące powietrze i wpatrzyła się w niebo. Odeszło ją zmęczenie, czuła tylko pęd krwi w żyłach i szelest skóry. Zamknęła oczy, opuściła głowę i znów je otworzyła.

Przed ogrodzeniem, opierając się o nie plecami, siedział na ziemi blady chłopiec z kolanami pod brodą. Pomimo zimna miał na sobie jedynie koszulkę i spodenki. Chłopiec, który uderzył się o krawędź basenu i zmarł. Spojrzał na Viv. Jego oblicze nie tchnęło gniewem, tylko bezsilnością.

– Źle się czuję – powiedział cienkim, niematerialnym głosem.

– Przepraszam, nie mogę ci pomóc – odparła Viv.

Ale nieruchomy chłopiec nadal jej się przyglądał. Czekał. Viv zrobiła krok do tyłu; nie była w stanie na niego patrzeć.

– Przepraszam – powtórzyła.

Wciąż jeszcze przeszywał ją wzrokiem, gdy odwróciła się i odeszła, mijając wejście do recepcji – szybkim krokiem, żeby nie ulec pokusie zerknięcia na siedzącego w środku mężczyznę. Wyszła zza rogu i zobaczyła, że wszystkie drzwi w motelu, na obu poziomach, są uchylone, jakby ktoś machnął nimi, ale zapomniał zatrzęsnąć. Światło na końcu zamigotało i zgasło, potem kolejne i następne. Z jednego z pokoi na galerii wyłoniła się kobieta w kwiecistej sukience i prawie natychmiast zaczęła się wycofywać.

– Betty – odezwała się Viv i tym razem nie było to pytanie.

Za jej plecami z sykiem zgasł stojący przy zjeździe znak i zapanował gęstniejący z każdą sekundą mrok. „Jestem sama w tych ciemnościach – pomyślała Viv. – Nie ma tu nikogo poza mną”. Tyle że nie do końca była to prawda. I tym razem Viv się nie bała.

Wdrapała się po schodach, przesuwając po poręczy zmarzniętą dłoń. Powoli traciła czucie w policzkach i zaczynało jej cieknąć z nosa, ale nie zatrzymała się. Dotarła do drzwi, w których widziała kobietę, zawahała się przez ułamek sekundy – i weszła.

W pokoju było duszno. Nie docierała tu nawet odrobina światła. Stara wykładzina tłumiała odgłos kroków. Przez otwarte drzwi wpadał gwizdzący wiatr, ale nie nawiewał zimna. Powietrze było stojące, nieprzyjemnie ciepłe, jak siedzisko krzesła, z którego ktoś przed chwilą wstał, odrobinę mdlący zapach, jak cudza woń spod pach. Viv zobaczyła łóżko, tanią szafkę nocną i lustro. Oraz kobietę.

To była ona – postać z tamtej pierwszej nocy, która zmaterializowała się przed samochodem Viv, gdy ta ze strachu kulila się w środku. „Uciekaj” – powiedziała wtedy, a Viv wpatrywała się w nią przerażona. Teraz kobieta stała

do niej plecami, wciąż w tej samej sukience, a Viv czuła jedynie ból i bezbrzeżną litość.

„Nie mogłabym jej tak po prostu zostawić” – pomyślała.

– Betty – wychrypiała.

Kobieta odwróciła się powoli. Oczy Viv musiały przyzwyczać się do ciemności – albo może po prostu nie było aż tak ciemno, jak sądziła – ponieważ wyraźnie widziała jej sylwetkę, kształt szyi, bladość skóry. Starannie wyszczotkowane włosy w kolorze miodu, które kończyły się tuż poniżej ramion, spięte nad czołem spinką tak jak tamtego dnia, kiedy Betty otworzyła drzwi niewłaściwemu człowiekowi.

Przez chwilę zrobiło jej się słabo, ponieważ w tym dziwnym świetle zobaczyła również zadrapania. Siniaki i rozcięcia na policzkach. Głębokie ślady na szyi. Poplamione dłonie, połamane paznokcie. Pękniętą wargę i spuchnięte lewe oko. Ściekającą po nogach krew.

Przerażenie, które ścięło Viv, wspięło się po jej plecach i zagnieździło się w brzuchu. Zacisnęło swoje lodowate palce na jej szyi i sparaliżowało ją. Roniąc zimne łzy, patrzyła, jak Betty rozkłada ręce i przygląda im się z niedowierzaniem.

A potem Betty przemówiła – tak jak przemówili mężczyzna i chłopiec – i jej głos zabrzmiał jak odległy gwizd. Docierał zarazem znikąd – i zewsząd.

– Jak to się stało?

Viv uniosła dłoń do policzka, zlodowaciałym kciukiem rozmazała łzę.

– Betty – wyszeptwała.

W spojrzeniu, które Betty wbiła w Viv, konsternacja mieszała się z niepohamowaną wściekłością.

– Jak to się stało? – powtórzyła.

– Nie wiem – powiedziała Viv. Nie miała pojęcia, czy Betty ją słyszy. Kobieta nie reagowała, stała bez ruchu z wyciągniętymi zakrwawionymi rękami. – Kto ci to zrobił? Powiedz.

Betty wpatrywała się w Viv płonącymi oczami i pomimo strachu Viv zapragnęła zbliżyć się do niej, zrobić krok do przodu. Tyle że nogi nie chciały jej słuchać. W powietrzu zmaterializowała się biała mgiełka i dopiero po chwili Viv zorientowała się, że to jej własny oddech. Nagle zrobiło się zimno.

Wargi Betty poruszyły się, a z jej gardła dobył się niewyraźny głos.

– Jak to się stało?

– Powiedz! – krzyknęła Viv. – Mogę to naprawić! Proszę!

Na parkingu ktoś głośno zatrafił. Viv podskoczyła i wrzasnęła. Przez okno i uchylone drzwi wpadła do pokoju migocząca czerwono-niebieska poświata. Rozległo się pojedyncze „biip” syreny.

Dźwięk odwrócił uwagę Viv. Zerknęła w tamtą stronę, a kiedy znów spojrzała, Betty już nie było.

Gdy szła do drzwi, trzęsły jej się nogi. Na parkingu stał radiowóz w poprzek wolnego miejsca, a obok niego Alma Trent z latarką w ręce.

Spojrzała na galerię i zobaczyła Viv.

– Jezus, zawału przez ciebie dostanę! – powiedziała, a jej głos zabrzmiał donośnie w czystym nocnym powietrzu. – Drzwi do recepcji są otwarte na oścież, a w środku nikogo nie ma. Nie mogłam cię znaleźć. Już się bałam, że jakiś zbok wrzucił cię do bagażnika i wywiózł.

Viv patrzyła na nią z góry. Czuła, jak pod bluzą i koszulką lodowate krople potu powoli spływają jej po plecach.

– Nie zimno ci? – spytała Alma. – Czemu światła są zgaszone? Nie słyszałam, żeby ktoś zgłaszał przerwę w dostawie prądu. – Pstryknęła latarkę i poświeciła nią na Viv. – W porządku? Dlaczego wszystkie drzwi są otwarte?

Viv otworzyła usta, żeby coś powiedzieć – nie miała pojęcia co – ale zanim zdążyła to zrobić, znak przy drodze zabuczał i rozbłysnął żółto-niebieską wściekłą jaskrawością. Potem jedno po drugim włączyły się światła, poczynając od skraj dłuższego boku budynku. Następnie drzwi na dole i na górze zamknęły się po kolei z cichym kliknięciem.

Trwało to kilka nieznośnych chwil pełnych milczenia, a gdy się skończyło, wzrok Viv napotkał spojrzenie Almy i splótł się z nim.

– Vivian – odezwała się w końcu Alma. – Zejdź, proszę. Musimy porozmawiać.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Północ. Od godziny trwała moja zmiana. Czytałam znaleziony w biurze stary egzemplarz Podpalaczki. Z okładki spoglądała na mnie twarz małej Drew Barrymore z włosami rozwianymi przez podmuch płomieni za jej plecami. Andy i Charlie właśnie zostali zatrzymani przez CIA i zaczynało się dziać naprawdę ostro. Nagle otworzyły się drzwi i wmaszerował Nick.

Miał na sobie džinsy i bluzę z kapturem zapinaną na suwak. Jego włosy były lekko zmierzwiłone, a broda wyraźnie mu zgęstniała. Wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka. Wniósł sześciopak piwa i postawił go na kontuarze.

– Hej – rzucił.

– A to co? – spytałam znad książki.

– Piwo.

– Mam dopiero dwadzieścia lat.

Uniósł brwi.

– Ty tak na serio?

Odłożyłam książkę, ale wcześniej znalazłam karteczkę samoprzylepną, której użyłam jako zakładki, ponieważ zaginanie rogów – nawet w trzydziestoletnim egzemplarzu – to zwyczajna profanacja.

– Niech ci będzie. Tylko uprzedzam, że kiepski ze mnie kompan do picia. Z jakiej to w ogóle okazji?

Nick podszedł do stojącego w kącie drewnianego krzesła, strzepnął z niego stare broszury turystyczne i przyniósł je sobie, żeby usiąść ze mną przy biurku.

– Z takiej, że nie odpowiedziałem na twoje esemesy. – Sięgnął po piwo.

– Spałeś.

– Nie. Zachowałem się jak palant. – Otworzył puszkę i wręczył mi ją. Widząc moją minę, dodał: – Tak już mam.

– Okej – powiedziałam powoli.

Otworzył sobie drugie piwo i odchylił się na krześle. Przy jego szerokich ramionach oparcie wyglądało jak wzięte z fotelika dla przedszkolaków.

– Taki jestem i tyle – skwitował. – Od bardzo, bardzo dawna zachowuję się jak palant.

Z grzeczności wypiął łyk piwa i łyknęłam na książkę, jakbym sugerowała, że najchętniej wróciłabym do lektury.

– Nie przywykłem do tego, że ludzie są dla mnie mili – wyjaśnił.

– Hm.

Zawiesił się na chwilę.

– No więc przepraszam. Naprawdę.

Uniosłam okulary i rozmasowałam sobie grzbiet nosa.

– W porządku, przeprosiny przyjęte.

Wypuścił powietrze i wyglądało to, jakby odetchnął z ulgą.

– Jak było u Almy? – spytał. – Napisałaś, że opowiesz.

Wypiął kolejny łyk i poczułam, jak tężeją mi mięśnie karku. Rzeczywiście tak napisałam, ale teraz nie byłam pewna, czy chcę mówić mu o wszystkim. Bo przecież zdradziłam Almie, że Nick wrócił do miasta, chociaż nie powinnam była tego robić. No i Alma podzieliła się ze mną wątpliwościami na temat okoliczności morderstwa brata Nicka przez jego ojca.

Dziwnie się z tym czułam.

Więc zmieniłam temat.

– Doszłam do tego, kim jest kobieta nawiedzająca motel – powiedziałam. – Nazywała się Betty Graham.

Zamrugnął zaskoczony.

– Ta, która usiadła na moim łóżku?

– Tak. Została zamordowana w siedemdziesiątym ósmym. Jej zwłoki porzucono tutaj, w motelu, to znaczy na tym terenie, kiedy jeszcze trwała budowa. Była nauczycielką, mieszkała sama. Policja nie wpadła na trop sprawcy.

Nick dodał dwa do dwóch i zrobił to błyskawicznie; dlatego nie umiałam się na niego złościć.

– Zaledwie parę lat później w tym samym miejscu zaginęła twoja ciocia. Chyba mało prawdopodobne, że sprawcą był ktoś inny?

– No więc właśnie. – Miałam ochotę zakrzyknąć, ale w ostatniej chwili zapanowałam nad głosem. – To jeszcze nie wszystko. Jest też Cathy Caldwell.

Ściągnął brwi i przymknął oczy, próbując sobie przypomnieć.

– Dziewczyna, którą znaleziono pod wiaduktem.

– Dwa lata później. Pomiędzy Betty i Viv. Tej zagadki również nie udało się rozwiązać.

– Boże, co za miasto – skonstatował, przeczesując palcami włosy, przez co zaczęły jeszcze bardziej sterczeć; większość ludzi wyglądałaby głupio z taką fryzurą, ale nie Nick. – Wyobraź sobie ten slogan: „Hej, kanalio! Chcesz kogoś zamordować? Przyjedź do Fell!”.

– Idealne miejsce, żeby kogoś zabić – dopowiedziałam.

– I nie było żadnych tropów? Nic?

– Jeżeli były, to dziennikarze o nich nie wiedzieli. Strasznie to frustrujące. Myślałam, że Alma Trent pozwoli mi lepiej zrozumieć, co się wydarzyło, ale jak tylko wspomniałam o Cathy i Betty, zrobiła się nieprzystępna. – „A potem zabroniła mi z tobą rozmawiać”. Zagryzłam wargę.

– Co? – spytał Nick, uważnie mi się przyglądając.

Napiłam się piwa.

– No co? – powtórzył i zmarszczył czoło, bo sam się domyślił. – Powiedziała coś o mnie – rzekł powoli, jakby czytał słowa, które miałam wypisane na czole. – Coś złego.

– Właściwie to nie.

– Carly...

– Wymknęło mi się, że tu mieszkasz – przyznałam się. – Przepraszam. Po prostu poczułam się przy niej zbyt swobodnie.

Nick zrobił minę, jakby z trudem usiłował to przetrwać.

– Alma wie, że tu jestem? W Sun Down?

– No, tak jakby.

– Cholera – zaklął łagodnym tonem. – Pewnie mnie odwiedzi. I to niedługo.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Pokręcił głową. – Wiadomo, że nie mogłem się wiecznie ukrywać. Jak to sobie wyobrażałem? Że będę siedział w Sun Down do sześćdziesiątki? Zwariuję, zanim przyjdą święta.

– Tak jak mówiłeś, Alma nie zalicza się do twoich wielbicielk. – Odstawiłam piwo. – Podobno policja brała pod uwagę teorię, że w chwili śmierci brata nie byłeś w swoim pokoju.

Nick zastygł, zupełnie znieruchomiał. Długo się we mnie wpatrywał, a jego oblicze stopniowo traciło wszelki wyraz, stawało się puste jak wytarta tablica.

Denerwowałam się i nie panowałam nad tym. Zaszło mi w gardle, poczułam napięcie w karku i zimny pot na plecach.

– Nick – odezwałam się wreszcie, bo nie mogłam znieść ciszy.

– No tak – przyznał, ignorując swoje długie milczenie. – Rzeczywiście była taka teoria. Przypominam sobie.

Przełknęłam ślinę.

– Nie mówię, że w nią uwierzyłam.

– Jasne, że nie. – Dopił piwo i odstawił puszkę. Przez chwilę myślałam, że to koniec: powie, że pora na niego, i pójdzie sobie. Nawet pochylił się do przodu, jakby zamierzał wstać. – Co to za dzieciak biega w spodenkach?

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ma na myśli ducha.

– Uderzył głową o krawędź basenu i zmarł – wyjaśniłam. – W roku, w którym otwarto motel.

Nick pokiwał głową, jakby wszystko układało się w sensowną całość.

– A stary chudzielec z papierosem?

Popatrzyłam na niego zdumiona.

– Widziałeś go? Palącego mężczyznę?

– Na parking. Stoi i pali, gapiąc się na mój pokój, a potem znika.

– To on wezwał karetkę do chłopca. Zmarł pół roku później. Tutaj, gdzie teraz siedzimy. – Dokończyłam piwo.

Nick uniósł brwi.

– No to, kurwa, nieźle – skomentował krótko. – Co z tym dalej zrobimy?

„My”? Nie wiedziałam, że Nick mi w tym pomaga. Chciałam mu jakoś odpowiedzieć – zastanawiałam się jak – kiedy nagle otworzyły się drzwi i wparowała Heather.

– Cześć – rzuciła. Zobaczyła Nicka. – O!

Włożyła obcisłe dzinsy, uggi i swoją wielką parkę. Włosy jak zwykle spięła wsuwką. Miała zaróżowione od chłodu policzki i taki sam błysk w oku jak tamtego dnia, kiedy ją poznałam. Wchodząc, wpuściła do recepcji powiew zimnego nocnego powietrza. Trzymała pod pachą papierową teczkę wypchaną dokumentami. Stała w miejscu i popatrzyła po nas.

– Heather – odezwałam się, kiedy Nick obrócił się na krześle, żeby na nią spojrzeć.

– Ty jesteś Nick – powiedziała Heather, mierząc go wzrokiem.

– A ty współlokatorka.

Pokiwała głową. Jej oczy były otwarte nieco szerzej niż zwykle – po tym poznałam, że Heather wie, z kim ma do czynienia. Taki szczegół mógł zauważyć tylko ktoś, kto znał ją tak jak ja.

– Przyjechałam, bo nie mogłam spać, poza tym nie masz tu zasięgu – zwróciła się do mnie. – Chcę ci coś pokazać.

– Wszystko w porządku? – spytałam. – Jesteś pewna, że możesz to robić?

– Tak. Nic mi nie będzie, naprawdę. – Położyła teczkę obok sześciopaku.

– Piwka? – rzucił Nick.

Heather pokręciła głową i pokazała palcem na skroń.

– Źle się dogaduje z lekami – odparła. – Siedziałam parę godzin w sieci – powiedziała do mnie. – Weszłam na fora, które znałam, i zajrzałam do moich starych plików. I zobacz, co znalazłam.

Otworzyłam teczkę. Dokumentami okazały się wydruki z internetu: zdjęcia, artykuły, wątki na forach. Portret Betty Graham, na którym zwróciła swoją piękną, skrytą twarz pod kątem do aparatu. Cathy Caldwell na imprezie bożonarodzeniowej. Victoria Lee w ostatniej klasie liceum. I dziewczyna, której nie kojarzyłam.

– A to kto?

– Wielkie odkrycie – oznajmiła Heather. – Ktoś, o kim nawet ja nie pomyślałam. – Sięgnęła po zdjęcie. Musiało pochodzić z jakiejś kroniki szkolnej, bo dziewczyna była nastolatką i uśmiechała się szeroko do obiektywu. Serce zaczęło mi walić. Nastolatka.

– Tracy Waters – poinformowała Heather. – Mieszkała dwa hrabstwa stąd. Zaginęła dwudziestego siódmego listopada osiemdziesiątego drugiego. Jej

zwłoki odnaleziono w rowie dwa dni później. – Położyła fotografię na środku biurka, żebyśmy wszyscy mogli się przyjrzeć. Poczułam, jak strach rozmywa mi wzrok.

– Dwudziestego dziewiątego – mruknął Nick.

– Właśnie – potwierdziła Heather. – Ciało Tracy odnaleziono tej samej nocy, kiedy zaginęła Vivian.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Kłopot z komiwojażerem polegał na tym, że nie miał ustalonego porządku dnia. Pomijając pojedynczą kartkę z jego grafiku, którą udało jej się znaleźć w samochodzie – Alan Leckie, 52 Farnham Road, Poughkeepsie; zebranie w siedzibie – Viv nie wiedziała, dokąd Hess się wybiera ani kiedy. Na pewno nie wychodził z domu o ósmej i nie wracał o osiemnastej jak przeciętny pracujący mężczyzna. To utrudniało śledzenie jego ruchów.

Viv wypracowała schemat działania: po przebudzeniu – bez względu na to, o której godzinie – ubierała się, czesała i jechała na ulicę, przy której mieszkał. Najpierw mijała dom ze zwykłą prędkością, żeby sprawdzić, czy wóz Hessa stoi na podjeździe. Jeżeli stał, zatrzymywała się przy parku za rogiem, kuliła w fotelu, żeby komiwojażer przypadkiem jej nie zauważył, i czekała, aż wyjdzie. Jeśli auta nie było, jechała do siedziby Westlake na drugim końcu miasta. Jeżeli również tam nie udawało jej się wypatrzeć samochodu Hessa, oznaczało to, że jego właściciel jest w trasie.

Aktywność Hessa ograniczała się właściwie tylko do tej trójcy: dom, Westlake, trasa. W jego harmonogramie nie istniało pojęcie dnia wolnego, soboty zarezerwowanej na sprawunki. Viv wiedziała o tym, ponieważ poświęciła czas także na znacznie łatwiejszą obserwację żony Simona Hessa. Pani Hess odwoziła córkę do szkoły i odbierała ją; pomiędzy jedną a drugą czynnością robiła zakupy oraz załatwiała rozmaite sprawy. Prosty podział: mąż pracował i zarabiał na utrzymanie rodziny, żona zajmowała się całą resztą.

Po dwóch bezowocnych dniach, kiedy Hessa nie było w mieście, wreszcie coś się wydarzyło. Viv znalazła jego auto na parkingu przed siedzibą Westlake. Wjechała na miejsce daleko od niego, zgasiła silnik, jak zwykle trochę się osunęła, żeby nie zostać zauważoną, i czekała. W pewnej chwili zobaczyła, że wychodzi z budynku. Był ubrany w garnitur i granatowy

płaszcz, na nogach miał wyczyszczone do połysku buty. Niósł teczkę. Modelowy komiwojażer.

„Widocznie nie rzucam się w oczy” – powiedział, kiedy się ostatnio meldował w motelu, i zapytał ją, jak ma na imię.

Zachowywał się normalnie i nie zmienił rozkładu zajęć, ale Viv wiedziała, że to pozory. Był łowcą, drapieźnikiem. Viv wyzbyła się wątpliwości i obaw, że być może pomyliła się i ten mężczyzna wcale nie zabił Betty Graham i innych kobiet. Że jest zwykłym, niewinnym człowiekiem, który poświęca się pracy. Że zwariowała.

Hess zatrzymał się przy swoim samochodzie i włożył rękę do kieszeni, jakby szukał kluczyków. Robiąc to, zakreślił wzrokiem niespieszny, metodyczny łuk, przyjrzał się każdemu zakątkowi parkingu. Jego oczy były ciemne i martwe jak u rekina. Takim samym spojrzeniem omiótł ulicę tamtego dnia, kiedy o mało nie nakrył Viv na podjeździe. Szukał czegoś. Kogoś. Jej.

Viv jeszcze bardziej osunęła się w fotelu i lekko odchyliła do boku, żeby Hess nie mógł zobaczyć jej głowy nad deską rozdzielczą. Na wszelki wypadek zamknęła oczy i wstrzymała oddech, jakby rzeczywiście mogło to pomóc.

Przez pół minuty, może minutę, nic się nie działo. Potem usłyszała znajomy odgłos zamykanych drzwi do samochodu i warkot silnika. Łypnęła znad deski. Hess powoli wyjeżdżał z parkingu.

„Muszę być ostrożna” – pomyślała i policzyła do sześćdziesięciu. Dopiero wtedy przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyła za komiwojażerem.

Opuścił Fell i włączył się do ruchu na autostradzie międzystanowej. Po godzinie skręcił na zjazd i dotarł do miasta Plainsview. Śledziła go przez całą drogę, aż zatrzymał się na jednej z podmiejskich ulic. Minęła go i przyspieszyła. Zrobiła kółko, znalazła miejsce przy jednej z bocznych uliczek i tam zaparkowała. Sięgnęła do torebki i wyjęła granatową dzianinową czapkę, którą wygrzebała z rzeczy Jenny. Włożyła ją, wysiadła z samochodu, przewiesiła torebkę przez ramię i ruszyła chodnikiem, jak gdyby nigdy nic.

Zobaczyła jego wóz na niewielkim parkingu przed pasażem handlowym, w którym mieściły się zakłady: fotograficzny i fryzjerski, oraz nieczynny gabinet stomatologiczny. Zapięła kurtkę pod szyję, bo wiało, wsunęła dłonie do kieszeni i szła dalej, patrząc przed siebie i lekko marszcząc brwi, jakby była zamyślona.

Nie widziała go; nie miała pojęcia, dokąd poszedł. Nagle ujrzała go dosłownie sześć metrów dalej. Dzwonił do drzwi domu, który właśnie mijała. Nie zauważyła go wcześniej, bo był zasłonięty przez żywopłot. Stał plecami do niej i Viv nie zdołała się powstrzymać – przechodząc obok, na dwie krótkie chwile wbiła w niego spojrzenie. Drgnął i raptem uświadomiła sobie, że dostrzegł jej odbicie w wąskiej szybcie w drzwiach. Prędko opuściła głowę i przyspieszyła kroku, zanim zdążył się obrócić i dobrze jej się przyjrzeć.

Było blisko. Skręciła za róg, potem za następny. Trafiała na przystanek autobusowy z ławeczką, na której siedziały trzy osoby. Poprawiła czapkę, nasunęła ją prawie na oczy, przysiadła na brzegu ławki, wyciągnęła notatnik, otworzyła go na chybił trafił i zaczęła udawać, że czyta. Postarała się nadać swojej twarzy rozluźniony wygląd i nie spięła się, nawet kiedy kątem oka zobaczyła wyłaniającego się zza budynku komiwojażera.

Zatrzymał się u wylotu ulicy i patrzył w stronę przystanku. Szukał jej. Chciał wiedzieć, dlaczego przyglądała mu się z takim zaskoczeniem. Chciał wiedzieć, kim była. Viv nie podniosła głowy. Siedziała pochylona nad notatnikiem, z obojętną miną, spokojnie oddychając. Wiedziała, że Hess waha się i zastanawia, czy do niej podejść – w środku miasta, w środku dnia.

Nie udało mu się podjąć decyzji przed przyjazdem autobusu. Widząc zbliżający się pojazd, Viv – nadal z wyrazem znużenia na twarzy – zamknęła notatnik i ustawiła się w kolejce za pozostałymi pasażerami. Zapłaciła ćwierć dolara za kurs i zajęła miejsce. Nie zaryzykowała zerknięcia na Hessa z okna autobusu.

„Byłaś nieuważna. A on jest sprytny. Następnym razem musisz być ostrożniejsza”.

Przejechała dwa przystanki – uznała, że jeden to za mało – i wysiadła. Wróciła piechotą do miejsca, w którym widziała Hessa. Tym razem nie poszła wzdłuż ulicy, tylko okrążyła szereg domów i znalazła wąskie przejście między budynkami. Zatrzymała się tam, wyjęła notatnik i wyłowiła z torebki ołówek. Stała zwrócona w stronę drzew i udawała, że rysuje – każdy, kto będzie ją mijał, zobaczy ładną dziewczynę szkicującą widoczek.

Przez cały ten czas miała Hessa na oku. Był po drugiej stronie ulicy, rozmawiał na ganku z kobietą, która mu otworzyła. Krótko i bez przygód. Kobieta zamknęła drzwi, a Hess sięgnął do kieszeni po złożoną kartkę. Wyciągnął ołówek – przyjął niemal identyczną pozę jak uwieczniająca drzewa Viv – i zaznaczył coś na kartce, po czym przyjrzał się jej uważnie. Zaczął

obracać ją to poziomo, to pionowo. Viv zrozumiała, że Hess studiuje mapę okolicy, ponieważ nie chce pominąć żadnego domu.

Podszedł do kolejnych drzwi i do następnych – komiwojażer wykonujący swoją pracę, odwiedzający po kolei wszystkie budynki; każdy odhaczał na mapce. Viv przesuwiała się, trzymając notatnik i ołówek w pogotowiu, śledziła ruchy Hessa. Nie rozglądał się, by się upewnić, że nie jest obserwowany. Widział ją, jak wsiadała do autobusu, dlatego nie musiał zachowywać przesadnej ostrożności. Łowca zmniejszył czujność. Nie skojarzył czekającej na autobus dziewczyny ze śladami w ogrodzie. Mogła obserwować go niezauważona.

„Nie spostrzegłam, żeby zajmował się czymkolwiek poza pracą. Jesteś na fałszywym tropie, Viv”.

Zdawała sobie sprawę, że można ją było wziąć za wariatkę. „Przecież to zwykły komiwojażer, który po prostu robi to, co do niego należy!” Wiedziała, że to nieprawda.

Hess odwrócił głowę. Viv zrobiła krok do tyłu, ukryła się przed jego wzrokiem. Zobaczyła idącego w jej stronę mężczyznę z psem na smyczy i skupiła się na rysowaniu drzew. Przechodząc, mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– Ładny dzień – powiedział.

Odwzajemniła uśmiech.

– To prawda.

Widząc to, rozpromienił się jeszcze bardziej. Mężczyźni uwielbiali, kiedy dziewczęta obdarzały ich serdecznością i odpowiadały w taki sposób, jakby to, co mówili, miało jakieś szczególne znaczenie. Zobaczyła, że zwolnił, jakby zastanawiał się, czy warto stanąć i porozmawiać.

„Idź stąd – pomyślała. – Spływaj”.

Komiwojażer mógł się przenieść dalej. Mógł zmienić okolicę albo wrócić do auta.

Mężczyzna już miał się zatrzymać, ale pies nagle zaszczekał i pociągnął za smycz, goniąc za wiewiórką. Czar prysł.

– Powodzenia z rysunkiem – rzucił mężczyzna i pobiegł za zwierzakiem.

– Dziękuję! – odparła pogodnie Viv, jakby była zachwycona jego słowami. Kiedy oddalił się na bezpieczną odległość, wróciła do swojego punktu

obserwacyjnego.

Komiwojażer przemieścił się o kilka domów i znów stał z mapą. Tyle że nie patrzył na nią. Pochylając głowę, jednocześnie lekko unosił brodę i przyglądał się czemuś, co znajdowało się przed nim.

Viv zmieniła pozycję, by móc podążyć za jego wzrokiem. Typowa spokojna podmiejska ulica. Od czasu do czasu w jedną albo w drugą stronę przejeżdżał jakiś samochód. Na podjeździe stała kobieta w zimowej kurtce i pomagała dziecku wsiąść na trójkołowy rowerek. Starszy pan z gazetą pod pachą siedł po przejściu dla pieszych.

Komiwojażer był jak wrośnięty, trwał bez ruchu i wpatrywał się. Viv przesunęła się jeszcze trochę.

Kilka domów dalej, tam, gdzie ulica zakręcała łukiem, stała na krawężniku dziewczyna i trzymała rower. Około szesnastoletnia, wysoka i szczupła, ubrana w ciemne dżinsy i zapinaną na suwak bluzę z kapturem, która sięgała jej do pasa. Włosy związała w luźny, niedbały koński ogon. Na rękach miała brązowe rękawiczki z jednym palcem. Nie zdawała sobie sprawy z gapiącego się na nią mężczyzny. Przerzuciła nogę przez ramę roweru i postawiła stopę na pedale. Złapała równowagę i odepchnęła się pełnym wdzięku ruchem. Ruszyła pochylona do przodu, szybko nabierając prędkości. Po chwili zniknęła Viv z oczu.

Simon Hess przyglądał się jej, stojąc na chodniku z mapą w ręku. Kartka cicho łopotała na wietrze. Chłodny powiew listopadowego powietrza zarzucił rąbkiem długiego wełnianego płaszcza komiwojażera.

W końcu Hess niespiesznie, jak w zwolnionym tempie, złożył mapę i schował ją do kieszeni. Zamrugał, jakby dopiero się przebudził. Następnie odwrócił się i poszedł w stronę swojego samochodu.

„Szuka ofiary” – pomyślała Viv.

Pobiegła do auta, żeby za nim pojechać.

Godzinę później musiała się poddać. Nie namierzyła ani wozu komiwojażera, ani dziewczyny na rowerze. Najpierw ruszyła w kierunku, w którym się oddalił, ale nie odnalazła go. Potem sprawdziła boczne alejki i to też nic nie dało. W końcu trafiła na główną ulicę Plainsview, przy której stały spożywczak, tania knajpka, sklep żelazny i nieczynny salon gier. Po Simonie Hessie i dziewczynie na rowerze nie było śladu.

„Dziś na pewno nie będzie niczego próbował, prawda? Prawda?”

Spanikowana wróciła na ulicę, przy której widziała dziewczynę, i zaparkowała w tym samym miejscu co poprzednio. Przeszła się tam, gdzie dziewczyna wsiadła na rower. Spojrzała na najbliższy dom – mieszkała tutaj? Odwiedzała kogoś? A może po prostu zatrzymała się na chwilę, będąc w drodze dokądś?

Viv zapisała adres w notatniku, wróciła do samochodu – i czekała. O tej porze, kilka minut przed szesnastą, powinna padać ze zmęczenia. Ale była całkiem rozbudzona. Jej serce tłoczyło krew jak szalone.

Komiwojażer pojechał za kolejną ofiarą. Była tego pewna.

Nie wiedziała tylko, co z tym zrobić.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Dom przy German Street, powojenny bungalow z elewacją z białego sidingu i dachem krytym zielonym gontem, musiał mieć dobre sześćdziesiąt lat. Stał w mieszkalnej części centrum Fell, z jednej strony kilka przecznic od KEK-u, z drugiej – niedaleko dużego marketu. W tej niewielkiej i gęstej siatce ulic można było znaleźć wszystko: od kilkupiętrowych budynków z mieszkaniami do wynajęcia przez maleńkie spożywczaki i pralnie samoobsługowe po niezbyt okazałą przychodnię, która zachęcała do skorzystania z fizjoterapii i masaży. Pomiędzy tymi konstrukcjami stały domy takie jak ten, okruchy dawnej zabudowy dzielnicy, przez dziesięciolecia demontowanej i przekształcanej. Bungalow, do którego zmierzałyśmy, prezentował się bardzo przyzwoicie: od ulicy i pod rozłożystymi drzewami rosły okazałe funkcie, a na drzwiach wisiał jesienny wieniec ze splecionych gałęzi.

Na podjeździe stał samochód – to dobry znak, bo zamierzałyśmy z Heather złożyć gospodarzom niespodziewaną wizytę.

– Na pewno dasz radę? – spytałam Heather bodaj trzeci raz.

Podniosła oba kciuki na znak, że wszystko gra, i wysiadłyśmy z auta.

Nacisnęłam dzwonek i gdzieś w środku zabrzmiała melodyjka. Po chwili otworzyły się drzwi. Zobaczyłyśmy czarnoskórą, pięćdziesięcioparoletnią kobietę z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami. Miała na sobie czarny sweter, czarne legginsy i białe kapcie.

Spojrzała na nas, podejrzliwie mrużąc oczy.

– O co chodzi?

– Pani Clark? – spytałam. – Nazywam się Carly Kirk. Rozmawiałyśmy przez telefon.

– A, to pani pytała mnie o zdjęcie – odparła Marnie. – Mówiłam, że nie mam nic do powiedzenia.

– To moja przyjaciółka Heather – ciągnęłam niezrażona. – Mamy tylko kilka pytań. Obiecuję, że szybko się uwiniemy.

Marnie oparła się o framugę drzwi. Nie wyglądała, jakby zamierzała nas wpuścić.

– Jest pani upierdliwa.

– Vivian była moją ciocią. Zaginęła, ale jej ciała nigdy nie odnaleziono.

Marnie na chwilę odwróciła głowę, po czym spojrzała najpierw na mnie, potem na Heather i znów na mnie.

– No dobrze. Nie wiem, w jaki sposób miałabym pomóc, ale mogę wam poświęcić kilka minut. Mój mąż wraca za pół godziny.

Zaprowadziła nas do salonu od frontu, dosyć przytulnego pokoju z kanapą, fotelem i dużym telewizorem. Na półeczce stała kolekcja fotografii przedstawiających Marnie, jej męża i dwoje dorosłych już dzieci: córkę i syna. Usiadłyśmy z Heather na kanapie, Marnie zajęła fotel. Nie zaproponowała nam nic do picia.

– Proszę posłuchać – zaczęła. – Mówiłam, że zarabiałam na robieniu różnego rodzaju zdjęć. Nie mam żadnej wiedzy na temat zaginięcia pani cioci.

Heather wyjęła z kieszeni wydruk artykułu o Viv i rozłożyła go. Na kartce widniał uwieczniony przez Marnie wizerunek Viv: obrócona głowa, piękna buzia i poważna mina, kręcone włosy.

– Pamięta pani, w jakich okolicznościach zrobiła to konkretne zdjęcie? – spytała Heather.

Marnie zerknęła i pokręciła głową.

– W tamtych czasach pracowałam jako wolny strzelec. Fotografowałam wszystko, na czym mogłam zarobić. Zdjęcia domów dla agencji nieruchomości, portrety, kilka razy nawet dokumentację z włamań na potrzeby tutejszej policji. – Położyła dłonie na podłokietnikach. – Kiedy poznałam męża, zatrudniłam się w studiu fotograficznym świadczącym usługi dla rady szkoły. Wie pani, zdjęcia klasowe i tym podobne. Nie zarabiałam kokosów, ale przynajmniej pracowałam w ludzkich godzinach. Byłam w ciąży, nie mogłam biegać z aparatem o każdej porze dnia i nocy.

– Przez telefon mówiła pani, że od urodzenia mieszka w Fell – powiedziałam.

– Zgadza się.

– Kojarzy pani motel Sun Down?

Marnie wzruszyła ramionami.

– Pewnie.

– Chodzi o to – zaczęła Heather – że powiększyłam to zdjęcie i... proszę popatrzeć tutaj. – Pokazała szczegół w rogu. – Z bliska to wygląda jak cyfra. Właściwie dwie cyfry: jedynka i zero. Przypominają numer na drzwiach pokoju w motelu. – Wyciągnęła telefon. – Pojechałam do Sun Down i przyjrzałam się. Numery pokoi na parterze zaczynają się od jedynki, a na piętrze od dwójki. Cyfry na drzwiach wyglądają identycznie jak te na pani zdjęciu.

Marnie znieruchomiała, a jej spojrzenie stało się beznamienne.

– Do czego pani zmierza?

– Numery na drzwiach w Sun Down nie zmieniły się od otwarcia motelu – powiedziałam. – Właśnie tam zrobiła pani to zdjęcie. – Postukałam palcem w kartkę. – Pamięta pani, dlaczego fotografowała motel albo w motelu?

Marnie nawet nie spojrzała na wydruk, tylko pokręciła głową.

– Co wam z tego przyjdzie? – spytała, znowu patrząc to na Heather, to na mnie. – Nancy Drew numer jeden i Nancy Drew numer dwa. Myślicie, że złapiecie mordercę? Powalicie go na ziemię i zwiążecie mu ręce? Jedna będzie go pilnowała, a druga zadzwoni po policję? Wydaje wam się, że zdjęcie z gazety sprzed trzydziestu pięciu lat okaże się niezbitym dowodem czyjejś winy? W prawdziwym życiu to tak nie wygląda. Wiem, co mówię. Powiedziałam pani przez telefon, że co zniknęło, tego już nie ma. Patrzę na was i zastanawiam się, czy kiedykolwiek byłam tak młoda jak wy. I nie, chyba jednak nie byłam.

Przeszyła mnie spojrzeniem ciemnobrązowych oczu; wytrzymałam je. Przez dłuższą chwilę trwałyśmy w klinczu.

– Zrobiła pani te zdjęcia w motelu Sun Down w osiemdziesiątym drugim – odezwałam się w końcu. – Dlaczego?

Westchnęła, nie odrywając ode mnie wzroku. Jej opór lekko zelżał.

– Wzięłam zlecenie na boku od pewnego prawnika. Miałam jeździć za żoną jego klienta i zbierać dowody jej domniemanej zdrady. Okazało się, że kobieta spotykała się z mężczyzną w Sun Down i przyprawiała mężowi rogi. Te zdjęcia nie były przeznaczone do użytku publicznego. – Wyprostowała plecy.

– Zarobiłam na nich sto siedemdziesiąt pięć dolarów, co wystarczyło na rachunki za media przez prawie rok. Nie miałam wtedy męża, za wszystko musiałam płacić sama. Potrzebowałam tych pieniędzy.

Poczułam znajome radosne podniecenie.

– Jak się nazywał ten klient? – spytałam.

– Bannister. Ale to było trzydzieści pięć lat temu. Nie zdziwiłabym się, gdyby oboje już nie żyli.

– Czyli robiła pani zdjęcia w Sun Down, kiedy Viv tam pracowała. Rozmawiała pani z nią?

– Nie miałam powodu. Obserwowałam kochanków z samochodu na parkingu przed motelem. Staralam się nie rzucać w oczy.

To żadna odpowiedź.

– A więc nie poznała jej pani?

– Chodzi pani o to, czy poszłam i przedstawiłam się nocnej recepcjonistce, mówiąc, że szpieguję czyjaś niewierną żonę? Nie.

– Wiedziała pani, jak wygląda – wtrąciła Heather. – Kiedy zniknęła, skojarzyła pani, że ma jej zdjęcie, i zaoferowała je prasie.

– Wiedziałam, jak wygląda, bo inna jej fotografia pojawiła się w gazetach – poprawiła ją Marnie. – Zobaczyłam twarz i ją rozpoznałam. W artykule było napisane, że pracowała w Sun Down, więc sprawdziłam odbitki i rzeczywiście była na jednej.

– Gdzie one teraz są? – spytałam.

– Sądzi pani, że przechowuję zdjęcia z osiemdziesiątego drugiego?

Spojrzałam na swoją współlokatorkę.

– Heather, jak sądzisz, czy pani Clark przechowuje zdjęcia z osiemdziesiątego drugiego?

– Zastanówmy się... Sprawa rozwodowa, cenne fotki, którymi można zaszantażować odpowiednią osobę... Ja bym je zatrzymała.

– Ja też – zgodziłam się. – Zwłaszcza gdyby na którymś widniała ofiara morderstwa. Jeżeli kiedyś odnajdą jej zwłoki, mogłabym sprzedać zdjęcia po raz drugi.

– Podwójny zysk – dodała Heather.

– Niezły z was numer – skwitowała Marnie. – Powinnam jedną i drugą dzielić w łeb. – Wstała z fotela i wyszła.

Czekałyśmy w milczeniu. Nawet nie spojrzałam na Heather. Kiedy usłyszałam, jak Marnie szpera w szafie w sąsiednim pokoju, z trudem opanowałam uśmiech radości.

Wróciła z plikiem fotografii w gumce recepturce. Rzuciła mi je na kolana.

– Proszę bardzo – powiedziała. – Ostatni raz oglądałam je w osiemdziesiątym drugim i nie były w żaden sposób interesujące. Teraz też na pewno nie są. Jeśli pani sądzi, że na którymś widać mordercę pani cioci, to proszę go sobie samej poszukać.

Podniosłam plik. Setka albo więcej zdjęć.

– Czy widział je ktoś oprócz pani?

– Prawnik, który zlecił mi śledzenie żony klienta, dostał odbitki. To, co pani ma w ręku, zostawiłam sobie na wszelki wypadek, jako zabezpieczenie. Mam nawet negatywy, też możecie je sobie zabrać. – Dorzuciła kopertę. – Kiedy sprzedałam zdjęcie Vivian do gazet, policja nawet do mnie nie zadzwoniła. Myślałam, że będą chcieli pozostałe, ale nikt się nie zjawił. Więc widziałam je tylko ja. No i prawnik.

Podziękowałyśmy jej i wyszłyśmy. Kiedy wsiadłyśmy do auta i zamknęłam za sobą drzwi, zwróciłam się do Heather:

– Jak myślisz, ile razy nas okłamała?

– Trzy w ważnych kwestiach i kilka w drobniejszych – odparła bez wahania.

Zastanowiłam się.

– Część mi umknęła...

Wystawiła palec wskazujący.

– Po pierwsze, na pewno ktoś jeszcze oglądał te zdjęcia. To przecież ostatnie znane fotografie zaginionej osoby. Policjanci musieli przynajmniej rzucić na nie okiem. Nie wiem, dlaczego kłamała.

Pokiwałam głową.

– Po drugie – wystawiła kolejny palec – jej dawny klient, Bannister, bez dwóch zdań nadal żyje. Po prostu próbowała odwieść nas od próby odnalezienia go.

– Tak, to oczywiste.

– I po trzecie... – Otworzyła teczkę pełną wydruków. – Przejrzałam wszystkie artykuły we wszystkich lokalnych gazetach, w których wspomniano o zaginięciu Viv. Pierwszy tekst pierwszego dnia to dosłownie kilka zdań. – Wskazała akapit w „Fell Daily”. – Mieszkanka Fell, Vivian Delaney, prawdopodobnie zaginęła, ktokolwiek widział, jest proszony i tak dalej, i tak dalej. Brak fotografii. Ale już następnego dnia ukazuje się zdjęcie zrobione przez Marnie. To znaczy, że Marnie wcale nie skojarzyła twarzy w gazecie z dziewczyną z Sun Down. Sprzedając zdjęcie dziennikowi, doskonale wiedziała, kim jest Viv.

– Czyli nie siedziała grzecznie w samochodzie na parkingu.

– Nie. – Heather zamknęła teczkę. – Znała Vivian i nie chce się do tego przyznać. Ciekawa jestem dlaczego.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Viv znów usiadła przy kuchennym stole z telefonem, książką telefoniczną, notatnikiem, opakowaniem krakersów i słoiczkiem serka topionego. Otworzyła notes na stronie z informacjami, które uporządkowała podczas długiej, ciemnej i samotnej nocy w Sun Down.

Betty Graham – listopad 1978

Cathy Caldwell – grudzień 1980

Victoria Lee – sierpień 1981

Postukała ołówkiem o blat stołu i skupiła się na liście. Jeżeli wszystkie te kobiety zamordował Simon Hess – a Viv była przekonana, że tak – to istnienie przerw pomiędzy Betty i Cathy oraz Victorią i chwilą obecną mogło oznaczać jedno z dwojga: Hess prowadził swoją krwawą działalność nieregularnie – albo były inne ofiary, o których Viv po prostu nie wiedziała.

Wyjęła ukradzioną z auta Hessa kartkę z fragmentem jego grafiku. Wzięła głęboki oddech, wczuła się w rolę, którą postanowiła odegrać, i wykręciła numer. Odebrała kobieta.

– Dział handlowy Westlake. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry – powiedziała Viv, odpowiednio zniżając głos. – Dzwonię z komisariatu policji w Fell.

Kobieta roześmiała się niedowierzająco.

– To jakiś żart, prawda? W policji nie ma kobiet.

– Zapewniam panią, że są – odparła Viv. – Jest co najmniej jedna, czyli ja, posterunkowa Alma Trent.

Jak dotąd to było jej najlepsze wcielenie. Zdołała nadać swojemu głosowi profesjonalne, dojrzałe brzmienie. Aby dodatkowo je pogłębić, wyprostowała plecy, wypięła pierś i uniosła brodę.

– Aha. Nie wiedziałam. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z policjantką.

– Rozumiem, proszę pani – zapewniła Viv. – Proszę mi wierzyć, często to słyszę. Otóż zajmuję się pewną drobną sprawą i pomyślałam, że mogłaby mi pani pomóc.

– Oczywiście.

Zrobiło jej się przyjemnie; czasem chyba miło jest być Almä.

– Mieliśmy serię włamań przy Peacemaker Avenue. – Viv wymieniła nazwę ulicy, przy której mieszkała Victoria. – Nic poważnego, parę wybitych szyb i wyłamanych zamków. Sprawcy próbowali ukraść gotówkę. Rzecz w tym, że niektóre z tych zdarzeń miały miejsce w biały dzień i jeden ze świadków wspomniał, że widział państwa komiwojażera.

– Och! – Kobieta zachichotała nerwowo. – Chyba nie sądzicie państwo, że złodziejem jest nasz przedstawiciel? Zatrudniamy wyłącznie najlepszych fachowców.

– Skądże, proszę pani – zapewniła Viv, nadając swoim słowom poważny ton, którego nie powstydziliby się prawdziwa Alma. – Ale chciałabym wiedzieć, czy któryś z waszych ludzi rzeczywiście był wtedy w okolicy. Być może coś zauważył, wie pani, kogoś obcego albo podejrzanego.

– Naturalnie, rozumiem. – Viv usłyszała szelest papieru. – Peacemaker Avenue, mówi pani? Prowadzimy ewidencję obszarów obsługiwanych przez poszczególnych komiwojażerów. To ważne, żeby nie wchodzili sobie w paradę i żebyśmy wiedzieli, komu wypłacić prowizję.

– Jestem przekonana, że prowadzicie państwo skrupulatną ewidencję. Będę wdzięczna za każdą informację.

Znów szelest, odgłos przewracanych kartek w księdze z harmonogramami.

– Mam. Ktoś widział naszego komiwojażera, tak?

– Zgadza się.

– W takim razie musiało zajść nieporozumienie, ponieważ żaden z naszych przedstawicieli nie odwiedził Peacemaker Avenue od sierpnia zeszłego roku.

Viv zamilkła. Zakręciło jej się w głowie, krew zaszumiła w uszach. Victoria Lee zginęła w sierpniu osiemdziesiątego pierwszego. Viv właśnie udało się znaleźć związek pomiędzy komiwojazerem a Victorią – której chłopak siedział w więzieniu za zamordowanie jej.

– Halo? – odezwała się kobieta. – Słyszysz mnie pani?

„Myśl, Viv”.

– Tak, tak. Przepraszam – powiedziała Viv, wracając do roli Almy. – Czy mogę poznać nazwisko tego komiwojażera? Tak czy owak chciałabym z nim porozmawiać. Być może odwiedził tę ulicę poza harmonogramem.

– Tak, to możliwe – potwierdziła kobieta; Viv odetchnęła z ulgą. – Mógł udać się na Peacemaker Avenue z ponowną wizytą u jednego z mieszkańców. Tej informacji nie byłoby w księdze. – Chwila ciszy w słuchawce. – A niech to! Ma pani pecha. Sporządzamy grafik ołówkiem, ponieważ wiecznie wprowadza się jakieś zmiany, i widzę, że ktoś wymazał nazwisko pod tą lokalizacją.

– Naprawdę? – „Szach i mat, Simonie Hesse” – pomyślała. – To dziwne.

– Rzeczywiście. Może panowie chcieli się zamienić i któryś z nich wymazał nazwisko kolegi, tylko zapomniał wpisać swoje.

Viv podziękowała i rozłączyła się. Zatem Simon Hess zacierał ślady. To już coś. Krążyła wokół celu i powoli się do niego zbliżała. Postawiła ptaszek przy Victorii.

Przeszła do kolejnego numeru wyszperanego w książce telefonicznej. Pora znaleźć łącznik pomiędzy Hessem i Cathy Caldwell. Podniosła słuchawkę i wybrała cyfry.

– Halo? – usłyszała głos starszej kobiety.

Tym razem nie wcieliła się w Almę, tylko w pracownicę Westlake, z którą rozmawiała chwilę wcześniej.

– Dzień dobry. Pani Caldwell?

– Nie, jej matka. Pani Caldwell nie żyje.

Coś ścisnęło Viv za gardło. „Co ja, głupia, wygaduję?” Wyszła z założenia, że matka Cathy również będzie nosiła nazwisko Caldwell, ale to przecież oczywiste, że Cathy przejęła je po mężu.

– Bardzo przepraszam – zdołała wybąkać.

Kobieta westchnęła ze znużeniem.

– Co pani sprzedaje?

– Nic, ja... – Musiała wziąć się w garść. – E... dzwonię z firmy Westlake. Chciałam zapytać, czy jest pani zadowolona z zamków, które kupiła pani od nas dwa lata temu.

Ryzykowna próba. Wystarczyło, żeby kobieta powiedziała: „Nie wiem, o co pani chodzi” – i rozmowa byłaby zakończona. „Szkoda, że naprawdę nie

jestem policjantką – pomyślała. – O ileż łatwiej byłoby mi skłaniać ludzi do mówienia”.

– Chyba są w porządku – odparła kobieta. – Pamiętam, jak Andrew i Cathy je kupili. Nie chcieli wydawać zbyt dużo pieniędzy, ale wasz komiwojazer ich przekonał. Dzięki tym zamkom Cathy miała czuć się bezpieczna podczas częstych nieobecności Andrew. Na niewiele jej się zdały.

Viv drżącą dłonią postawiła znaczek obok nazwiska Cathy.

– Myślę, że...

– Jest pani jedną z tych, co gustują w makabrze, prawda? – przerwała jej kobieta. – I wcale nie dzwoni pani z firmy. Chociaż to ciekawe, bo zastanawiam się, skąd pani wiedziała o zamkach. No, ale pewnie i tak mi pani nie powie. Proszę uważnie posłuchać.

– Tak?

– Myśli pani, że nie dzwoniły tu dziesiątki albo nawet setki ludzi? Przeprowadziłam się do tego domu po śmierci Cathy, bo mój wnuk został bez matki, a Andrew znowu wyjechał. I kto, proszę pani, musiał odbierać te wszystkie przekłete telefony? Ja! Oczywiście, że teraz jest ich mniej niż dwa lata temu, ale nadal się zdarzają. I proszę mi wierzyć, po kilku słowach potrafię rozpoznać kogoś takiego jak pani.

Viv milczała.

– Słyszałam już wszystko. Cathy była zdzirą. Cathy była święta. Cathy wzięli sobie na cel komuniści albo sataniści. Cathy zabił jakiś czarny. Cathy zabił Meksykanin. Cathy miała lesbijski romans. Cathy dostała to, na co zasłużyła, bo oddaliła się od Boga. Mówiłam Andrew, żeby wystąpił o zastrzeżenie numeru, ale on nie chce tego zrobić. Wydaje się wam, że wszystko wiecie. Szkoda tylko, że nie potraficie powiedzieć, kto, do cholery jasnej, zabił moją córkę.

Głos matki Cathy był ciężki od bólu i złości, sączył się ze słuchawki jak morowe powietrze. Viv nie była w stanie wydusić słowa.

– To się nigdy nie stanie. Nie znajdziecie go. Nie zostanie aresztowany. Nie będę patrzyła, jak smaży się na krześle. Długo myślałam, że doczekam tego dnia, ale minęły już dwa lata i policja nadal nie ma zielonego pojęcia, kto mi zabrał córkę. Kto ją rozebrał i wbił w nią nóż, a potem wyrzucił pod wiaduktem. To była taka kochana dziewczyna, pragnęła jedynie uczciwie

zarabiać na życie i wychowywać synka. Wie pani, kto ją zabił? Potrafi pani doprowadzić to do końca?

Viv już otwierała usta, już chciała to powiedzieć: „Jego nazwisko brzmi Simon Hess”, ale coś ją powstrzymało – być może świadomość, że poznanie tożsamości mordercy wcale nie przyniesie tej kobiecie ukojenia.

– Oczywiście, że nie. – Kobieta była wściekła i bardzo zmęczona. – Żadne z was tego nie potrafi.

– Nie zdoła wiecznie uchylać się od odpowiedzialności – wychrypiała Viv. Też była zła, zła i wyczerpana, choć w inny sposób niż matka Cathy; nie umiała sobie wyobrazić jej utrudzenia. – Prędzej czy później popełni błąd i ujawni się. Sprawiedliwości stanie się zadość, obiecuję to pani.

– Nie. Nie stanie się. Nigdy się nie dowiem, kto zabił moje dziecko. A morderca nie zostanie osądzony.

Viv usłyszała kliknięcie, a potem sygnał.

Odłożyła słuchawkę i jeszcze długo siedziała bez ruchu. Potem otarła policzki z łez i wstała, żeby się ubrać.

– Dzięki, że zgodziłaś się ze mną zobaczyć – powiedziała nazajutrz chwilę po szesnastej Marnie, kiedy z Viv siadały na ławce w parku w centrum Fell. – I to w ciągu dnia.

Viv podgryzała frytki, które kupiła w fast foodzie w drodze na spotkanie. Uzmysłowała sobie, że przestała się normalnie odżywiać: za dnia zadowalała się krakersami i kawą, a nocą wystarczały jej kanapki z mortadelą. Nie pamiętała, kiedy ostatnio przespała osiem godzin.

– Okropnie wyglądasz – skomentowała Marnie, jakby czytała Viv w myślach.

Viv wzruszyła ramionami.

– Ale czuję się dobrze. – Rzeczywiście tak było. Do tego stopnia pogodziła się z nieustającym zmęczeniem, że przestało przeszkadzać jej w codziennym funkcjonowaniu.

Marnie nie wyglądała okropnie, wręcz przeciwnie. Była ubrana w spodnie w kolorze khaki z zaprasowanymi zaszewkami, granatową bluzkę i dwurzędową wełnianą kurtkę o marynarskim kroju, a na głowie miała pasującą stylem do reszty stroju ciemnoniebieską dzianinową czapkę.

Niektórzy spośród nielicznych o tej porze spacerowiczów z zaciekawieniem przyglądali się czarnej i białej kobiecie siedzącym razem na ławce w parku.

– Chciałam ci przekazać dwie rzeczy – zaczęła Marnie, prostując plecy na oparciu. – Po pierwsze, miałam dzisiaj trochę wolnego czasu i postanowiłam pojechać za twoim komiwojażerem. Znowu wybrał się do Plainsview.

To tam, gdzie Viv widziała, jak obserwował dziewczynę.

– Jest teraz w Plainsview?

– Owszem. Śledziłam go do zjazdu, a potem celowo odpuściłam. Jeśli będę za nim jeździła zbyt często i zbyt blisko, w końcu się zorientuje. Ale to w sumie nie ma znaczenia, bo drugą rzeczą, którą chciałam ci powiedzieć, jest to, że rezygnuję.

– Jak to rezygnujesz?

– Po prostu. – Marnie machnęła ręką. – Rezygnuję z tego. Z tej całej intrygi, którą tu uskuteczniamy. Koniec. Już nie będę go śledziła. Nawet nie jestem przekonana, że jest mordercą.

– Miesiąc przed śmiercią Victorii Lee na jej ulicy krążył komiwojażer z Westlake. A Cathy Caldwell i jej mąż kupili zamki od komiwojażera z Westlake niedługo przed tym, jak została zamordowana.

Marnie rozchyliła usta. Wyglądała, jakby ktoś ją spoliczkował.

– Viv, kochana – wychrypiała i Viv myślała, że powie: „Jesteś stuknięta” albo: „To niczego nie dowodzi”, ale zamiast tego usłyszała: – Odpuść, zanim skończysz jak one.

– On nie wie, że go rozpracowuję.

– Nie łudź się. Ktoś, kto dopuszcza się takich rzeczy, bez przerwy ogląda się przez ramię i zaciera ślady. Liczy się z tym, że ktoś wpadnie na jego trop.

Viv pomyślała o wymazanym nazwisku w harmonogramie działu handlowego Westlake.

– Napytasz sobie biedy – dodała Marnie. – Wiem, wydaje ci się, że będzie inaczej, ale mylisz się. Jeśli był zdolny do skrzywdzenia tamtych kobiet, ciebie też skrzywdzi. Musisz porozmawiać z policją i przekazać im to, co odkryłaś.

Viv oblizwała suche, spierzchnięte usta i zjadła zimną frytkę.

– Obiecuj, Viv – powiedziała Marnie. – Jesteś mi to winna. Obiecuj, że pójdziesz z tym na policję. Że przynajmniej spróbujesz.

– Obiecuję – zmusiła się do odpowiedzi Viv. Nie chciała tego robić, ale zamierzała dotrzymać słowa, skoro już je dała. – Proszę, nie rezygnuj.

Marnie pokręciła głową.

– Przykro mi, ale nie mogę ci dłużej pomagać. To się zrobiło zbyt niebezpieczne. Spotykam się z kimś, ten ktoś mówi, że chce się ze mną ożenić, a ja pragnę założyć z nim rodzinę. To się nie klei z tym całym śledztwem, dlatego mówię pas.

– Ale przecież to ty mi wszystko pokazałaś. Zrobiłaś zdjęcia i zabrałaś mnie tam, gdzie znaleziono ciała.

– Próbowałam otworzyć ci oczy, bo byłaś nieświadomą zagrożeniem dziewczyną, która pracuje sama w odludnym miejscu, na dodatek w nocy. Chciałam ci uświadomić, że na świecie istnieją drapieżcy. I że powinnaś być ostrożna. – Zaśmiała się bez humoru. – Widać zemściło się to na mnie. Skąd miałam wiedzieć, że zaczniesz polować na łowcę?

– Niech będzie, że próbowałaś mi pomóc. Ale dużo wiesz o tych morderstwach. Ciebie też interesują.

– Okej, masz rację. Może. Ale nie aż tak bardzo jak ciebie. – Marnie pochyliła się, oparła łokcie na kolanach i spojrzała Viv w oczy. – Dla mnie liczy się przede wszystkim przetrwanie. Służy mu choćby wiedza o kobietach, którym zadano śmierć w tym mieście. Ale nie jeżdżenie za mordercą. – Zaciśnęła usta i westchnęła. – Lubię cię. Naprawdę. Ale mam do stracenia więcej niż ty. Nie zamierzam ryzykować wszystkiego, co mam i na co pracowałam, całego mojego życia dla czegoś, czego nawet nie potrafię udowodnić i w co nikt nie uwierzy. Nie chcę tego robić i nigdy nie chciałam. Rozumiesz mnie?

Viv spuściła wzrok i potwierdziła skinieniem.

– Pojedziesz do Plainsview, prawda? – odezwała się Marnie po chwili milczenia.

Viv pokiwała głową, wpatrując się we frytki.

– Wiem, że cię nie powstrzymam, bo jesteś diabelnie uparta. Ale uważaj na siebie, na litość boską. Przynajmniej miej się czym bronić. I nie zostawaj z nim sama, słyszysz?

– Będę ostrożna.

– Cholera, Viv. Jeśli przeczytam o tobie w gazetach, będę na siebie tak wściekła, że nie masz pojęcia – oznajmiła.

Wstała, wzięła torebkę i odeszła.

Trop w Plainsview okazał się zwietrzały. Viv krążyła po ulicach, rozglądając się za samochodem Hessa. Zaczęła od okolicy, w której ostatnio go widziała, a potem rozszerzyła obszar poszukiwań. Plainsview było dosyć małą miejscowością, dlatego szybko skończył jej się teren do przeczesywania.

Trafiła pod jedyne liceum w mieście. Było już pod wieczór, ale na parkingu przed budynkiem, w którym działała szkoła, stało całkiem sporo samochodów, a we wszystkich oknach świeciło się światło. Viv zobaczyła ręcznie przygotowany plakat: „DZIŚ WYSTĘP CHÓRU!!”.

Zatrzymała się na ulicy i omiotła spojrzeniem auta w zasięgu wzroku. Dziewczyna na rowerze była w wieku licealnym; może przyszła na dzisiejszy występ? Może to samo zrobił polujący na nią Hess? Viv wysiadła z samochodu i rozejrzała się. Nie zaparkowałby bezpośrednio pod szkołą, raczej gdzieś w pobliżu.

Schowała ręce do kieszeni kurtki i ruszyła w stronę szkoły. Pod budynkiem było cicho i pusto; pomyślała, że chór pewnie nadal śpiewa, ale jak tylko weszła na wybetonowany dziedziniec, nagle otworzyły się drzwi i wylał się przez nie potok uczniów, nauczycieli i rodziców. A jednak występ się zakończył.

Viv usłyszała warkot silnika i kątem oka zobaczyła ruch na ulicy. Odwróciła głowę i zmrużyła powieki. Ta sama marka i model co wóz Hessa, ale z tej odległości nie była w stanie zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Zrobiła kilka kroków za oddalającym się samochodem, licząc, że może zdoła przynajmniej odczytać numer rejestracyjny. Dojrzała jedynie dziewiątkę i siódmkę, zanim auto zniknęło za zakrętem.

Obie te cyfry figurowały w numerze rejestracyjnym Simona Hessa.

Zaczęła przebijać się przez tłumek ludzi. Wyglądała jak czyjaś starsza siostra albo może nawet uczennica ostatniej klasy, dlatego nikt nie zwracał na nią uwagi. Brnąc pod prąd, dotarła do otwartych drzwi szkoły. Na składanym stoliku leżało kilka egzemplarzy programu zakończonego już wieczoru.

Z jednej strony znajdował się repertuar, a na odwrocie lista członkiń Chóru Liceum w Plainsview. Piętnaście dziewcząt. Piętnaście nazwisk.

Złożyła ulotkę, schowała ją do kieszeni i poszła dalej korytarzem, mijając nauczycieli i rodziców rozmawiających w grupkach. Szkoła była mała, tłumek szybko się przerzedzał. W środku stało więcej składanych stolików, każdy poświęcony innemu tematowi: drużynie futbolowej, jarmarkowi naukowemu. Na jednym z nich leżała karteczka z odręcznym napisem: „ZAMÓW KSIĘGĘ PAMIĄTKOWĄ ROCZNIKA 1982–1983!”, a obok – egzemplarz książki rocznika 1981–1982.

„Łatwizna” – pomyślała Viv. Zabrała książkę, wsunęła ją pod kurtkę i wyszła razem ze wszystkimi.

Centrum Plainsview powoli zamykało się na noc, ale sklep żelazny był jeszcze otwarty.

Viv weszła do środka, myśląc o odjeżdżającym spod szkoły samochodzie, o dobrej radzie Marnie – „przynajmniej miej czym się bronić” – i o podpatrzonych w telewizji zasadach bezpieczeństwa dla nastolatków – „korzystaj z dwójkowego systemu wzajemnej pomocy. Nigdy nie wsiadaj do auta z nieznanymi. Noś przy sobie gwizdek lub latarkę”.

Przeszła się najpierw jedną, potem drugą alejką niewielkiego sklepu. W Sun Down, gdzie w promieniu wielu kilometrów nie usłyszysz żywego ducha, gwizdek nie mógł jej się przydać. Kto by go usłyszał? A latarka? Viv wyobraziła sobie, jak świeci nią komiwojażerowi w twarz. Nie, to też na nic.

– Przepraszam?

Odwróciła się i zobaczyła stojącego przy końcu regału mniej więcej osiemnastoletniego chłopaka w czerwonym fartuchu i z pryszczami na policzkach. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, ale lekko speszony.

– Za chwilę zamykamy – powiedział.

– Aha... – zareagowała Viv, rozglądając się. – Chciałam...

– Pomóc pani coś znaleźć?

– Chyba tak. – Odwzajemniła uśmiech. – Pracuję na nocki i pomyślałam, że powinnam mieć przy sobie coś, czym mogłabym się obronić.

– A, jasne. Niestety, nie sprzedajemy gazu pieprzowego. Zdziwiłaby się pani, jak często klienci pytają o to samo co pani.

– Rozumiem. – Viv nigdy się nie zastanawiała, w jaki sposób próbowałyby odeprzeć przeciwnika. Wymierzyłaby mu cios? Kopniaka? W Grisham takie

rozważania były całkowicie zbędne, ale tutaj... Zerknęła na ciemniejące za oknem niebo i pomyślała: „Jak bym postąpiła?”.

„Co zrobisz, kiedy znajdziesz się w prawdziwej opresji?” – pytała ją matka.

– Jest na przykład teleskopowa pałka – powiedział sprzedawca. – Można nią niezłe grzmotnąć, ale to spora i ciężka rzecz, chyba jednak nie do noszenia na co dzień. – Skręcił w kolejną alejkę, Viv poszła za nim. – Szczerze mówiąc, gdybym był dziewczyną i chciał mieć się czym obronić, postawiłbym na to. – Sięgnął na półkę i wręczył Viv nóż w skórzanej pochwie.

Wysunęła go. To nie był lichy sprężynowiec, tylko porządny, solidny nóż z drewnianą rękojeścią i pięknym, groźnym stalowym ostrzem o długości dobrych siedmiu centymetrów, które wyglądało, jakby było w stanie przeciąć szkło.

– Ojacie – skomentowała Viv.

– Mówiłem, że wielu klientów szuka takich rzeczy. To nóż myśliwski, ale dla pani będzie doskonały. Jest na tyle niewielki, że zmieści się w torebce, i na tyle ostry, że napastnik będzie wiedział, że pani nie żartuje. – Spojrzała na sprzedawcę i zobaczyła uśmiech na jego twarzy. – Może go pani zabrać nawet na jogging w parku. Doskoczy do pani jakiś zbok, żeby pokazać interes, a pani: ciach! To znaczy, ja bym tak zrobił... gdybym był dziewczyną.

Popatrzyła na niego, zamrugła i rozpromieniła się. Chłopak zrobił się czerwony.

– Biorę – powiedziała.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Na tle nieprzeniknionej ciemności wirowały drobne białe płatki śniegu. Odbijał się w nich żółty i niebieski blask stojącego przy zjeździe do motelu znaku i wyglądały wtedy urzekająco, niczym robaczki świętojańskie. Zbliżało się Święto Dziękczynienia. Kilka godzin wcześniej dostałam mail od Grahama, w którym pytał, czy chciałabym spędzić te kilka dni z nim i jego narzeczoną.

Wyobraziłam sobie krępujący obiad z Grahamem, Hailey i meczem w telewizji. To było nasze drugie Święto Dziękczynienia po śmierci mamy i chyba wreszcie powinniśmy z bratem podjąć trud umocnienia rozluźnionej więzi i zacząć się wspierać. Tyle że nie mieliśmy jakoś szczególnie ciepłych wspomnień związanych z tym świętem – mama zawsze szykowała suty obiad dla naszej trójki i mimo że nie przywiązywaliśmy do niego większego znaczenia, harowała przy nim i pociła się przez kilka dni, tak że gdy w końcu zasiadaliśmy do posiłku, była już zbyt zmęczona, by czerpać z niego przyjemność. A jeśli Graham albo ja zapomnieliśmy zaproponować pomoc w przygotowaniach albo prosiliśmy mamę, żeby nie przesadzała z ilością potraw, obrażała się i gniewała.

Gotowała obiad w Święto Dziękczynienia nawet wtedy, kiedy była już chora. Wciąż jeszcze trzymała się na nogach i wmawiała sobie, że nic się nie zmieniło i nadal ma tyle energii, ile miała dawniej. Machała ręką, że wszystko gra, po czym, kiedy nie patrzyliśmy, wybierała się na duże zakupy. Zasypiała, gdy indyk był w piekarniku. Teraz, kiedy o tym myślałam, robiło mi się smutno na samo wspomnienie. Nie miałam pojęcia, co takiego przedstawiało się mamie w głowie, że w Święto Dziękczynienia zachowywała się jak obłąkana – i już nigdy miałam się tego nie dowiedzieć.

Kochałam Grahama. Był moim starszym bratem, jedyną rodziną. Moim obrońcą i dręczycielem, od kiedy sięgałam pamięcią. Tym, który nie pozwalał szkolnym łobuzom znęcać się nade mną za to, że byłam kujonką i mołem

książkowym. Tym, który uważał, że zmuszanie dziewięciolatki do oglądania horrorów „zahartuje” ją, i który jako pierwszy podsunął mi Smętarz dla zwierzaków. Teraz miał dwadzieścia trzy lata, pracował w biurze i był na dobrej drodze do małżeństwa. Kiedy tak stałam na parkingu przed Sun Down o trzeciej w nocy i przyglądałam się padającemu śniegowi, czułam, że Graham jest bardzo, bardzo daleko – jakby mieszkał na Marsie.

Wyciągnęłam przed siebie zdjęcie, usiłując dopasować widoczny na nim budynek do sylwetki motelu. Jedno ze stosiku Marnie Clark, zrobione w osiemdziesiątym drugim. Musiała się znajdować mniej więcej tu, gdzie ja teraz, na skraju parkingu. Przesunęłam fotografię tak, żeby idealnie pokrywała się z rzeczywistym obrazem: w kadrze motel przed trzydziestoma pięcioma laty, poza kadrem – motel dziś. Praktycznie żadnej różnicy.

To miejsce wyglądało, jakby czas się tu zatrzymał. Niemal magiczne, ale bardziej dziwne i przerażające.

Wybrałam kolejne zdjęcie. Ten sam kąt i punkt widzenia. Na parkingu dwa samochody: przed sto trójką i sto czwórką. Kanciaste wozy z początku lat osiemdziesiątych, zarazem szpetne i na swój sposób pełne wdzięku retro. Z jednego z nich wysiadała kobieta. Młoda, ciemnowłosa, piękna, seksowna, z miną wyrażającą wieczne niezadowolenie. Kobieta, którą Marnie miała śledzić i przyłapać na zdradzie. Jej nazwisko brzmiało Bannister. A więc: pani Bannister w drodze na schadzki w Sun Down.

Dłonie zaczynały mi marznąć w rękawiczkach, ale nie przejmowałam się. W środku i tak nie miałam nic do roboty, bo dziś nikt się nie zameldował, poza tym podobał mi się pomysł oglądania zdjęć z perspektywy Marnie, gdy je robiła. Patrzyłam na miejsce, w którym zaparkowała pani Bannister, i czułam się, jakbym przekraczała próg drzwi prowadzących do innego czasu.

Następna fotografia. Otwarte drzwi do sto czwórki, w nich mężczyzna. Uśmiecha się do pani Bannister. Czterdziestoparolatek z przyprószonymi siwizną, ciemnymi włosami. Nawet przystojny, pomyślałam, lecz było dla mnie zagadką, czego młoda kobieta szukała w objęciach takiego mężczyzny w tym zapyziałym motelu. Ale cóż mogłam wiedzieć o pożądaniu i jego mechanizmach?

Przyjrzałam się uważniej zdjęciu pani Bannister i jej kochanka. Marnie pstrykała z samochodu stojącego stosunkowo daleko, na samym końcu parkingu, dlatego chcąc nie chcąc na prawie wszystkich ujęciach uchwyciła jakąś część Sun Down. U góry zobaczyłam fragment galerii, kratownicę pod

balustradą i zarys szeregu drzwi. Na ich tle ciemny cień, jakby ktoś tam stał. To mogło być cokolwiek.

W recepcji zadzwonił telefon. Pobiegłam, chowając zdjęcia do kieszeni, ale dźwięk nagle się urwał; ktoś odebrał. Otworzyły się drzwi i stanął w nich Nick. Dał mi znak, żebym przyszała. Kiedy ja porównywałam kadry z rzeczywistością, on przeglądał pozostałe fotografie ze stosiku, który dostałyśmy od Marnie.

– Heather – powiedział.

– Dzięki. – Okulary mi zaparowały, w dodatku po tym, jak ściągnęłam czapkę, moje włosy musiały wyglądać komicznie. Kolejny wielki sukces w kampanii Carly Kirk na rzecz uwiedzenia Nicka Harknessa.

Podniosłam słuchawkę, którą położył na biurku.

– Cześć – rzuciłam. Korzystanie z telefonu wyglądającego jak eksponat muzealny było nawet trochę emocjonujące. Miałam wrażenie, jakby słuchawka ważyła ze dwa kilo.

– Słuchaj – powiedziała Heather bez zbędnych wstępów. – Od godziny szukam informacji o Bannisterach i wiesz, co znalazłam? Nic.

– Jak to nic? – Wolną dłonią przygładziłam włosy, usiłując zapanować nad tymi, które na pewno odstawały. Usłyszałam, jak Nick siada, ale nie widziałam go przez mleczne szkła okularów.

– No... nic. Natrafiłam na wzmiankę o niejakim Stevenie Bannisterze, który w sześćdziesiątym czwartym wygrał licealne zawody w skoku wzwyż, ale to wszystko. Nawet nie wiem, czy jest tym, którego usiłujemy odnaleźć. Brak jakichkolwiek informacji zarówno o mężu, jak i o żonie. Nie figurują w książce telefonicznej Fell.

Jakie to frustrujące, kiedy trzeba namierzyć kogoś, kto nie żyje w sieci.

– Trudno. I tak jest wątpliwe, czy którekolwiek poznało Viv. A mężczyzna, z którym spotykała się pani Bannister?

– Ha – wykrzyknęła Heather. – Teraz się przekonasz, jaka jestem piekielnie zmyślna.

– Piekielnie? – Okulary trochę odparowały i nareszcie mogłam zerknąć na Nicka, który siedział na krześle i odchyłał się, opierając stopy o krawędź biurka. Miał na sobie dżinsy i obowiązkową czarną zapinaną bluzę z kapturem. Odgarnął włosy z czoła. Trzymał w ręku negatyw od Marnie

i studiował go pod światło lampy zawieszanej u sufitu, lekko mrużąc oczy. Bez trudu zachowywał równowagę na krześle i nawet w tej pozycji wyglądał świetnie, z tym swoim niechlujnym zarostem i w ogóle.

– Owszem, piekielnie – potwierdziła Heather. Nick sięgnął po kolejny negatyw. – Na zdjęciach widać tablice rejestracyjne, więc pogadałam przez sieć z gościem, który potrafi sprawdzić numery w bazie wydziału komunikacji. Kosztowało mnie to siedem dych, ale już wiem, kto był właścicielem tych samochodów.

– Masz rację... to było piekielnie zmyślne.

– Co nie? No więc słuchaj: thunderbird należał do... Stevena Bannistera, szkolnej gwiazdy w skoku wzwyż. W osiemdziesiątym czwartym Steven przeniósł się na Florydę i zniknął z radaru. Właścicielem drugiego wozu był niejaki Robert White, który zmarł w dwa tysiące drugim. W osiemdziesiątym drugim miał czterdzieści jeden lat, a więc to zapewne nasz kochanek pani Bannister.

– Okej. – Nick przestał bujać się na krześle. Oderwałam od niego wzrok i skupiłam się na przypadkowym fragmencie ściany.

– Jest jeszcze trzeci samochód. Ten był zarejestrowany na mężczyznę o nazwisku Simon Hess. I teraz uważaj.

– No?

Heather zawiesiła głos. Uwielbiała takie teatralne sztuczki.

– Dwie informacje na temat Simona Hessa. Po pierwsze, pracował jako komiwojazer.

W mojej głowie zapaliła się lampka ostrzegawcza.

– Komiwojazer? Coś mi się...

– ...kojarzy ze sprawą Betty Graham – dopowiedziała za mnie Heather. – Dobrze ci się kojarzy. Kiedy widziano Graham po raz ostatni, wpuszczała do domu komiwojazera.

Zmroziło mi kark.

– O Jezu.

– To jeszcze nie wszystko – zaznaczyła Heather. – Sprawdziłam tego Hessa, żeby się przekonać, czy jeszcze żyje, i natrafiłam na coś ciekawego. Otóż pod koniec osiemdziesiątego drugiego Hess wyjechał w podróż służbową, z której nie wrócił.

– Co takiego? Bez sensu. Jak to nie wrócił?

Nick przyglądał mi się uważnie, próbując śledzić moją rozmowę z Heather. Żałowałam, że w tym starym jak świat telefonie nie można było przełączyć na głośnik jak w komórce; trudno, Nick pozna odkrycia Heather z drugiej ręki. Jak w ogóle dawało się cokolwiek zrobić przed rokiem dwutysięcznym?

– Po prostu. Wyjechał i tyle go widziano – powiedziała Heather. – Ale posłuchaj tego. Żona Hessa nawet nie zadzwoniła na policję. Uznano go za zmarłego dopiero pięć lat później, kiedy żona próbowała podjąć pieniądze z polisy na życie męża. Wyobrażasz sobie? Podobno myślała, że rzucił ją dla innej kobiety, ale w końcu dotarło do niej, że chyba nie żyje, więc postanowiła sprzedać dom i ściągnąć forszę z polisy.

– I mogła to zrobić?

– Wychodzi, że tak. W różnych stanach obowiązują różne przepisy. W Nowym Jorku muszą upłynąć minimum trzy lata, zanim osobę zaginioną można uznać za zmarłą. Nie udało mi się zdobyć wglądu do akt, ale zakładam, że przeprowadzono dochodzenie, stwierdzono, że Simon Hess nie żyje, i wtedy wypłacono wdowie pieniądze z polisy.

Wolną ręką zaczęłam grzebać w leżących na biurku odbitkach, aż znalazłam tę, na której widniał samochód Hessa.

– Czyli żona powiedziała, że zaginął w osiemdziesiątym drugim, ale nie umiała podać konkretnej daty?

– Ostatni raz widziała go w listopadzie.

– Zdjęcia od Marnie są z października, co oznacza, że musiał zniknąć później. – Przesunęłam palcem po krawędzi fotografii. Odłożyłam ją i wzięłam następną w kolejności, która przedstawiała Viv idącą z pomieszczenia z automatami do recepcji; to tę Marnie przycięła i sprzedała gazetem. Samochód Hessa był widoczny w rogu kadru.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że mamy na zdjęciu dwie osoby, które zaginęły mniej więcej w tym samym czasie? – spytałam.

– Nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności – skomentowała Heather. – A jeśli Simon Hess był mordercą Betty, tym bardziej nie mamy do czynienia z żadną przypadkową zbieżnością.

– Zabił Viv i wyjechał z miasta.

Nick nadal słuchał, ale znów odchylił się na krzesło i oglądał następny negatyw. Zastanawiałam się, czego szukał.

– Musisz przyznać, że to niezła teoria – stwierdziła Heather. – Ale trop komiwojażera chyba zaprowadzi nas donikąd, skoro Hess został oficjalnie uznany za zmarłego i nikt go nie widział od trzydziestu pięciu lat.

– Może Alma Trent umiałaby pomóc.

– No nie wiem, jest już na emeryturze. Sądziś, że powinniśmy z tym pójść na policję?

Powoli dochodziłam do wniosku, że to byłoby najlepsze rozwiązanie. Cała ta sprawa coraz mniej przypominała amatorską próbę zaspokojenia ciekawości i coraz bardziej coś, czym powinni się zająć prawdziwi śledczy.

Pomyślałam o zamęczonej, przerażającej – i zarazem nadal pięknej Betty. O jej zwłokach porzuconych na budowie Sun Down. O samochodzie Hessa pod motelem. O zniknięciu komiwojażera. Wyjechał z miasta, żeby uniknąć aresztowania pod zarzutem morderstwa?

To nie mógł być przypadek, że w październiku osiemdziesiątego drugiego Hess zatrzymał się w motelu. Ale co tu robił?

Poczułam dym papierosowy i zerknęłam na Nicka. Oczywiście nie palił. Nadal wpatrywał się w negatywy od Marnie, przysuwał je bliżej, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć.

– Jutro zadzwonię do Almy – postanowiłam. – Powiem jej, co odkryłyśmy. Myślę, że będzie wiedziała, co robić.

Odłożyłam słuchawkę i klapnęłam na krzesło.

– Nie uwierzysz – zwróciłam się do Nicka.

Usiadł prosto i uniósł brwi.

– Siedzę tu od tygodni, Carly. Jestem w stanie uwierzyć w wiele rzeczy. Na przykład w to, że gdzieś w pobliżu jest pałacy facet.

Spojrzałam mu w oczy. Dziwnie, bardzo dziwnie było mieć kogoś, kto dzielił ze mną szalone urojenia. Kogoś, kto widział te same duchy co ja.

– Nawet się do tego nie umywa.

– Dawaj.

Opowiedziałam mu wszystko. Nick zrobił to, co zawsze, niezależnie od tego, jak zwariowana wydawała się historia: wysłuchał mnie bez śmiechu,

drwin i osądzania.

– Ciekawe – stwierdził na koniec.

– „Ciekawe”? Tylko tyle?

– Tak. Jeżeli zabił Betty i porzucił jej ciało na budowie, musiał znać to miejsce. Może kiedy motel już działał, zatrzymywał się tutaj podczas podróży służbowych. Może zobaczył Viv i obserwował ją. Planował. – Zabębnił palcami po biurku. Jego spojrzenie zsunęło się ze mnie i wylądowało gdzieś za moimi plecami. – Pisali, że tamtego dnia, kiedy zabił Eliego, mój ojciec się załamał, nagle postradał zmysły i dlatego to zrobił. Nieprawda. Wszystko zaplanował.

Wstrzymałam oddech.

– Kupił broń ponad tydzień wcześniej, zupełnie legalnie. To był jego pierwszy pistolet. Poświęcił czas na przemyślenie wszystkiego, a potem wcielił plan w życie. Zadzwoił do naszej szkoły i powiedział, że wybieramy się na rodzinny wyjazd, więc przez kilka dni obaj będziemy nieobecni na lekcjach. – Niebieskie oczy Nicka były zupełnie nieruchome. – Eli został w domu tylko dlatego, że odwołano trening koszykówki. Przekręcił do taty do kancelarii i zapytał, gdzie są pieniądze na paliwo, bo musi zatankować. Stąd tata wiedział, gdzie jesteśmy. Odpowiedział Eliemu, a później wyszedł z pracy i przyjechał, żeby nas pozabijać.

Nie wiedziałam, jak zareagować.

– To straszne.

– W sądzie twierdził, że usłyszał głosy, które kazały mu to zrobić. Ale był prawnikiem, mógł dążyć do tego, żeby uznano go za niepoczytalnego. Nie wiem, czy kłamał, czy nie, w każdym razie nie udało mu się obronić. – Popatrzył na mnie spokojnym wzrokiem. – Często pytano mnie o to, czy naprawdę byłem w swoim pokoju, kiedy zabijał Eliego. Tak, byłem.

Wbiłam spojrzenie w blat biurka.

– Wiele razy zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, uciekając. Może powinienem był, nie wiem, przedrzeć się obok taty, jakimś cudem unikając postrzału, i pobiec na dół pomóc Eliemu. Ale umarł tak szybko, że żadna karetka nie zdołałaby go uratować. Myślę, że chyba po prostu to wyczułem. Przez kilka tygodni przed morderstwem tata był spokojny, bardzo spokojny. W ogóle miał raczej łagodne usposobienie, ale kiedy usłyszałem strzały i krzyki, od razu wiedziałem. Natychmiast zorientowałem się, że tata postrzelił

Eliego i że jeśli nie ucieknę, za chwilę będzie po wszystkim. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale chyba się tego spodziewałem.

– Przeczucie – powiedziałam. – Instynkt.

Nick dotknął czoła ze znużeniem i zaczął je rozmasowywać, zamykając na chwilę oczy.

– Może. Ale skoro miałem przeczucie, czemu go nie wykorzystałem? Dlaczego się nie odezwałem? Dlaczego nic nie zrobiłem? Wiem, że byłem zaledwie czternastoletnim dzieciakiem, ale kiedy własny ojciec próbuje go zabić, wtedy człowiekowi przychodzą do głowy takie myśli. Stąd moje problemy ze snem.

– Na pewno miną, jeśli tylko znajdziesz odpowiednie miejsce. Niekoniecznie motel. Bo przecież nie możesz tu mieszkać w nieskończoność. Myślę, że zdołałbyś zasnąć tam, gdzie poczułbyś się szczęśliwy. Gdzie wiedziałbyś, że po przebudzeniu czeka cię coś dobrego.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Sądzisz, że takie miejsce istnieje?

– Oczywiście. Każdy je ma. I ty też w końcu znajdziesz swoje.

– Jesteś dla mnie za dobra – skwitował.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie jestem bezinteresowna. Siedzę całą noc przy biurku i nawet nie mam z kim pogadać.

– Niech ci będzie. Tylko że twoja teoria nie wyjaśnia, dlaczego mogę spać akurat tutaj, w tym gównianym motelu. Bo gdzie jak gdzie, ale w Sun Down nie czeka mnie nic dobrego.

– Zdecydowanie nie. Sun Down na pewno nie jest dobrym miejscem. Możesz tu spać, bo z jakiegoś powodu ci odpowiada, przynajmniej na razie. Wiem, bo mi też odpowiada.

Nick ściągnął brwi.

– Porąbane.

Sięgnęłam po książkę, którą przywiozłam sobie jako lekturę: Bestia obok mnie – klasyka pióra Ann Rule. Przeczytałam ją już tyle razy, że prawie się rozpadała.

– Co ty powiesz?

Uraczył mnie śmiechem, od którego mimowolnie zrobiło mi się przyjemnie ciepło.

– Co dalej? – spytał.

Odłożyłam książkę.

– Jutro porozmawiamy z Alną o tym, czy cokolwiek z tego, co udało nam się odkryć, warto przekazać policji. Postaramy się dowiedzieć jak najwięcej o Simonie Hessie. Niewykluczone, że ten człowiek zabił moją ciocię. Wiemy, że ich drogi przecięły się co najmniej raz. – Podsunęłam mu zdjęcie, na którym było widać twarz Viv i fragment samochodu Hessa. – Zniknął mniej więcej w tym samym czasie co ona. Jeżeli będziemy wiedzieć dlaczego, być może zdołamy rozwikłać zagadkę jej zaginięcia.

– Dopisz do listy jeszcze jedno pytanie. – Nick uporządkował stosik materiałów na biurku. – Czemu mamy więcej negatywów niż odbitek?

– O!

– Porównywałem je ze zdjęciami i znalazłem cztery negatywy bez odbitek. – Pokazał palcem, o które chodziło, ale na tle pozostałych wyglądały jak rozmazane plamy. – To ujęcia gdzieś na zewnątrz, nie wiem, jakieś drzewa... Gdzie są zdjęcia i dlaczego Marnie wam ich nie dała?

Przyjrzałam się tym kadrom i zagryzłam wargę.

– Pora wyciągnąć książkę telefoniczną. Założę się, że jest w tym mieście punkt, w którym wywołują stare negatywy. To przecież Fell.

– Masz rację, jest takie miejsce – powiedział Nick. – Ale nie potrzebujesz książki, bo wiem, gdzie je znaleźć. Tak się składa, że jest czynne całą dobę.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Może właśnie tak to robiono w policji. Viv nie wiedziała – w żadnym filmie ani serialu, które oglądała, nie miała okazji zobaczyć, jak naprawdę działa policja. Pokazywano same pościgi samochodowe i strzelaniny z efektowną muzyką w tle. Tymczasem Viv dysponowała jedynie listą chórzystek, szkolną księgą pamiątkową i wiernym telefonem.

Szła po kolei: brała każde nazwisko i sprawdzała je w księdze. Trafiała za siódmym razem: twarz uczennicy na zdjęciu odpowiadała zapamiętanej przez Viv twarzy dziewczyny na rowerze. Tracy Waters. Chodziła do ostatniej klasy.

Viv nie miała książki telefonicznej Plainsview, dlatego zadzwoniła do informacji z prośbą o numer do liceum w Plainsview. Operatorka podała jej numer do sekretariatu. Viv podziękowała, wybrała odpowiednie cyfry i czekając, aż ktoś odbierze, szybko kartkowała księgę pamiątkową w poszukiwaniu nazwiska.

– Kogo zapowiedzieć? – spytała sekretarka, kiedy Viv poprosiła o połączenie z dyrektorem.

Palec Viv wylądował na jednym ze zdjęć – widniała na nim niezbyt ładna buzia dziewczyny w wielkich okularach i z kiepską trwałą na głowie. „Carol Penton” – brzmiał podpis.

– Jestem matką Carol Penton – powiedziała Viv, lekko zniżając głos. Dla pewności dodała kapkę rozdrażnienia. – Mam pewne obawy dotyczące bezpieczeństwa mojej córki.

Ku jej zaskoczeniu po kilku minutach oczekiwania usłyszała w słuchawce głos mniej więcej sześćdziesięcioletniego mężczyzny.

– W czym mogę pomóc, pani Penton?

– Byłam wczoraj na występie chóru – zaczęła Viv – i zwróciłam uwagę na podejrzanego mężczyznę, który przyglądał się dziewczętom.

– Przyglądał się?

– Tak – potwierdziła i opisała Simona Hessa. – Był zupełnie sam, nie widziałam przy nim żony ani dzieci. Wydało mi się to dziwne. A potem, po zakończonym występie, kiedy wszyscy zbierali się do wyjścia, zobaczyłam go na korytarzu. Stał całkiem sam i gapił się, panie dyrektorze. Gapił. I miał takie spojrzenie... Gdyby jakiś mężczyzna patrzył tak na moją córkę, od razu wezwałabym policję.

– No cóż... – Dyrektor sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi. – To rzeczywiście niepokojące, pani Penton. Ale może był po prostu wujkiem albo dalszym krewnym którejś z dziewcząt? Na pewno nie miał złych zamiarów.

Viv zacisnęła zęby. „Skąd wiesz? – miała ochotę wycedzić. – No skąd?”

– Sądziłam, że posyłam Carol do szkoły, która poważnie traktuje bezpieczeństwo swoich uczniów.

– Ależ tak, tak – zapewnił uspokajająco. – Pozwoli pani, że przyjrzę się tej sprawie. Może ktoś zna tego pana.

– Gapił się na Tracy Waters – oznajmiła Viv. – Kiedy przechodziła obok niego, nie mógł oderwać od niej oczu. – Powiedziała to z takim przekonaniem, że niemal sama uwierzyła w prawdziwość wymyślonej scenki. – Tracy była z rodzicami, ale żadne tego nie zauważyło. Proszę mi wierzyć, ten mężczyzna na pewno nie był jej krewnym.

Dyrektor westchnął.

– Pani Penton, czego pani ode mnie oczekuje?

– Żebyście byli czujni – odparła, starając się panować nad głosem; miała ochotę wrzasnąć do słuchawki. – Niech personel ma szczególne baczenie na uczennice, zwłaszcza na Tracy, bo może jej grozić niebezpieczeństwo.

– Myślę, pani Penton, że odrobinę pani przesadza. Rodzice Tracy nie złożyli skargi. Ten pan to zapewne zwykły meloman bez złych zamiarów.

„Nie. To łowca, który poluje na jedną z twoich uczennic, durniu”.

– Jeśli coś się stanie Tracy, pan będzie za to odpowiadał – rzuciła Viv i rozłączyła się.

Przez dobrą minutę siedziała, gotując się ze złości. Nie powiedziała by jej, że „przesadza”, gdyby była policjantką. Albo mężczyzną.

Ograniczał ją telefon. Próbowwała ostrzec ludzi, ale nikt nie chciał jej słuchać. Musiała w jakiś sposób dać znać samej Tracy i zrobić to, jak należy.

Postanowiła zmienić taktykę. Wyciągnęła kartkę i długopis.

O północy usiadła na krześle w budynku komisariatu policji w Fell i robiła wszystko, żeby się beczelnie nie rozglądać. Nigdy wcześniej nie była w takim miejscu. Miała przed sobą spore pomieszczenie, w którym stało kilka porysowanych biurków z telefonami. Oczywiście w środku nocy były niezajęte – oprócz jednego, należącego do Almy Trent. Przy drzwiach znajdowało się osobne biurko, przy którym w godzinach pracy zapewne dyżurował policjant kierujący petentów do odpowiednich funkcjonariuszy. Było ciemno i pusto, jeśli nie liczyć Almy, kręgu światła z lampki – no i Viv.

Alma przewróciła kartkę. Czytała notatnik Viv, która czekała, siedząc jak na szpilkach. Miała ochotę dopaść do telefonu i zadzwonić do śpiących policjantów, wyrwać ich z łóżek. „Facet o nazwisku Simon Hess zamierza zabić Tracy Waters. Obudźcie się i zróbcie coś!”

Ale musiała poczekać. Starła się nie zagryzać wargi i nie podrygiwać nerwowo kolanem.

– Chwileczkę. – Alma przerwała lekturę i dźgnęła notatnik palcem. – O co chodzi z Cathy Caldwell i zamkami w drzwiach?

– Przed śmiercią Cathy razem z mężem zakupili komplet zamków. Od komiwojażera.

Alma podniosła spojrzenie na Viv. Wyglądała, jakby z jej twarzy odpłynęła krew.

– Możesz to potwierdzić?

– Nie znam konkretnej daty, ale matka Cathy pamięta, że producentem zamków była firma Westlake. – Wyciągnęła rękę i przewróciła kartkę za Alnę. – W sierpniu zeszłego roku przedstawiciel Westlake odwiedzał również domy przy Peacemaker Avenue, gdzie mieszkała Victoria Lee.

– Nie mogę uwierzyć – bąknęła Alma. – To niemożliwe.

– To jak najbardziej możliwe – powiedziała Viv, starając się nie dopuścić zniecierpliwienia do głosu. – Kiedy w dziale handlowym Westlake zapytałam o nazwisko komiwojażera, okazało się, że ktoś wymazał je z harmonogramu. On zaciera ślady. Czyli zdaje sobie sprawę, że policja może być na jego tropie.

– Wymazane nazwisko jeszcze nic nie oznacza – stwierdziła Alma, ale gdzieś zniknął ten zasadniczy, trzeźwy ton, którym zwykle emanował jej głos. – To mógł być zwykły błąd – dodała prawie szeptem.

– W zestawieniu z pozostałymi okolicznościami? Nie wydaje mi się – powiedziała Viv. – Wcześniej było wiadomo, że przed śmiercią Betty wpuściła

do domu komiwożera. Teraz powiązałam go z Cathy i Victorią. Więcej sama nie zrobię. Ale jestem pewna, że gdybyś zażądała dostępu do archiwum Westlake, znalazłabyś coś, czego ja nie zdołałam. Musi istnieć coś, co łączy Betty z Simonem Hessem.

Alma wpatrywała się w Viv.

– Odwaliałaś kawał roboty. To ci musiało zająć mnóstwo czasu.

Viv wzruszyła ramionami.

– Przyszło mi do głowy, żeby się zatrudnić w dziale handlowym Westlake i zyskać dostęp do ksiąg, ale to by zbyt długo trwało i byłoby zbyt ryzykowne. Mogliby mnie skierować do innego działu. No i musiałabym zacząć naprawdę tam pracować. Więc nie mam wglądu w harmonogram i nie mogę bez przerwy do nich dzwonić, udając ciebie.

– Co takiego?

– Nie, nic ważnego.

– Właśnie że to ważne, Vivian. Nie wolno ci się podszywać pod funkcjonariusza policji. To nielegalne.

Viv z trudem się powstrzymywała przed podniesieniem głosu.

– Simon Hess zabił Victorię Lee, ale to jej chłopak poszedł siedzieć. Zamierzasz mnie też posłać do więzienia?

Alma uniosła dłoń.

– Chwila, moment – powiedziała. Znów była stanowcza, jakby odzyskała kontrolę nad sytuacją. – Po naszej ostatniej rozmowie przejrzałam akta sprawy Betty Graham. Jedna z przesłanek, na których się opierasz, jest błędna. Ponieważ widziano, jak przed zaginięciem Betty wpuszcza do domu komiwożera, przeprowadzono dosyć szczegółowe rozpoznanie wśród firm zatrudniających przedstawicieli handlowych. Żadna z nich nie miała swojego człowieka w tamtej okolicy w tamtym czasie.

Viv czuła, jak krew pulsuje jej w uszach. Była zła i sfrustrowana. Nie wiedziała o tym. W ogóle nic nie wiedziała, bo nie miała dostępu do danych, które umożliwiłyby jej rozwiązanie zagadki. Była zwykłą dwudziestoletnią recepcjonistką. Gdyby tylko miała pełniejszą wiedzę.

Zastanowiła się nad słowami Almy i pokręciła głową.

– To bez znaczenia.

– Vivian, proszę cię. Próbuję z tobą współpracować. Jeżeli tamtego dnia żaden komiwojażer nie odwiedzał domów w sąsiedztwie Betty, to znaczy, że ten, kto zapukał do jej drzwi, po prostu podszywał się pod niego. Wracamy do punktu wyjścia.

– Nieprawda. Sprawdzili miesiąc przed morderstwem? Dwa miesiące? Kobieta z działu handlowego Westlake powiedziała, że czasem komiwojażerowie wracają do potencjalnych klientów z drugą wizytą i te wyjazdy nie są odnotowywane w księdze. Mógł się z nią widzieć już wcześniej.

Alma znów wyglądała jak zaszokowana.

– Tak powiedziała?

– Zresztą niekoniecznie musiał wtedy sprzedawać zamki – ciągnęła Viv. – Betty była nauczycielką. Hess ma mniej więcej dziesięcioletnią córkę. Nie wiem, może mała chodzi do szkoły, w której uczyła Betty? Nie sprawdzę tego, bo nie mam dostępu do listy uczniów. Ale ty możesz to zrobić. Hess mieszka dziesięć minut drogi od domu Betty. Mógł zwrócić na nią uwagę w sklepie, w parku... gdziekolwiek. – Pokazała palcem na notatnik. – Masz jego nazwisko. Możesz znaleźć związek pomiędzy nim a Betty, ja nie jestem w stanie.

Alma ściągnęła brwi. Nadal nie była przekonana. Viv nie wiedziała, co ma zrobić ani co jeszcze mogłaby powiedzieć.

– Całe twoje dochodzenie opiera się na fakcie, że ten mężczyzna, Simon Hess, zatrzymuje się w motelu, na terenie którego odkryto porzucone zwłoki Betty – podsumowała Alma. – To nie czyni go jej mordercą, zwłaszcza jeżeli nie jest komiwojażerem, który odwiedził ją w domu. – Ogarnęła gestem notatnik, zdjęcia od Marnie, gazety przyniesione przez Viv. – Wykonałaś naprawdę solidną robotę. Myślę, że sprawdziłabyś się jako śledcza. Ale, Vivian... jestem zwykłą posterunkową, a ty zwykłą recepcjonistką. Jeżeli mam pójść do przełożonych ze sprawą groźnego mordercy, jakiego Fell nie widziało w swojej historii, muszę mieć twarde, niepodważalne dowody.

Viv przełknęła ślinę. Spojrzała na biurko – na rozrzucone na nim dokumenty i zdjęcia – i poczuła, że pieką ją oczy.

– To, co odkryłaś, jest niezwykle ważne – przyznała Alma nieco łagodniejszym głosem. – Ale pełno w tym luk. Naprawdę dużych luk, które sprawiają, że przełożeni nawet nie będą chcieli na to spojrzeć, nie mówiąc

o wysłuchaniu mnie. Jestem tu nikim, Vivian. Żaden z tych facetów nie potraktuje mnie poważnie. Będę miała pod górkę, zanim w ogóle otworzę usta, a jeśli powinie mi się noga, prawie na pewno wydalą mnie ze służby. Tylko czekają na pretekst.

Odmowa. Uprzejma, ale odmowa. Viv rozplakałaby się z niemocy, gdyby zdołała wydusić z siebie łzy. Zaczęłaby krzyczeć, gdyby znalazła w sobie głos.

– Czyli mówisz, że ryzyko jest zbyt duże.

– Dokładnie tak. Jesteś młoda, Viv, ale myślę, że rozumiesz, o co mi chodzi. Jestem posterunkową na nocnej służbie w małym mieście... Dojście do tego etapu zajęło mi długie lata. Walczyłam zażarcie, znosiłam obelgi i nadużycia i wytrzymam więcej, jeśli będzie trzeba. Aż do końca kariery. Robię to, ponieważ bycie policjantką jest moim powołaniem i nie ma znaczenia, kto próbuje mi wmówić, że jest inaczej. Ale to... – Ogarnęła papiery. – Przez to mogę stracić wszystko, co do tej pory zyskałam. Przynajmniej dopóki materiały, z którymi do mnie przychodzisz, wyglądają tak jak teraz. Potrzebuję czegoś więcej. Jakiegoś dowodu. Świadka. Zeznania. Żaden glina nie oprze na czymś takim zarzutów, żaden nie zaryzykuje kariery. Ja też nie.

Viv siedziała jak otępiała. Czuła się jak wtedy, kiedy Marnie mówiła jej, że ryzyko jest zbyt wysokie. „Rezygnuję”. Obiecała Marnie, że pójdzie na policję, poprosi o pomoc, przestanie się narażać. Tyle że Alma też nie zamierzała jej pomóc. Nikt tego nie robi.

Była w tym zupełnie sama.

– On ją zabije – wyszeptała.

– Widziałas po prostu mężczyznę przyglądającego się dziewczynie – powiedziała Alma. – To jeszcze nic nie znaczy. Nie posyła się mężczyzn za kratki tylko za to, że przyglądają się dziewczynom. Nie masz nic więcej, żadnego dowodu. Widziałas samochód odjeżdżający spod szkoły i uznałaś, że należy do niego. Nie zauważyłaś, kto siedział za kierownicą, a nawet gdybyś zauważyła, to i tak nic nie znaczy.

– W porządku. – Viv pochyliła się i zaczęła zbierać zdjęcia, mapki, notatki. – Dziękuję, że poświęciłaś mi swój czas. Muszę wracać do pracy.

– Zdenerwowałam cię – powiedziała Alma.

Nie mogła tego znieść, tej życzliwości i irytującego współczucia, które było jak niemal matczyna troska starszej siostry. Na niewiele się zda, jeśli

komiwojazer nadal będzie pozostawał na wolności – i jeśli zabije Tracy.

– Przyjeżdża do motelu i melduje się pod fałszywym nazwiskiem – odezwała się. – Nie ma powodu, by to robić, bo przecież mieszka w Fell. Za każdym razem, gdy się zjawia, Betty Graham budzi się i szaleje.

Alma milczała.

– Stąd wiem – dodała Viv, wstając. – Pracuję tam każdej nocy od kilku miesięcy i właśnie stąd wiem, że zamordował Betty. Ponieważ ona sama mówi mi o tym, ilekroć Hess nocuje w motelu. Porzucił jej zwłoki w Sun Down, przez co nigdy nie opuściła tego miejsca. Wiesz, że to prawda, ale nie chcesz się przyznać.

– Skarbie... – zareagowała Alma. – Chyba pora, żebyś poszła do lekarza.

Viv gwałtownie odsunęła krzesło i ruszyła do drzwi. Nagle stanęła, odwróciła się i spojrzała Almie w oczy.

– Kłamiesz – rzuciła. – Widziałas ją tak samo jak ja. Różnica polega na tym, że ja słucham tego, co ma do powiedzenia.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Teraz cała nadzieja w liście, który wysłała. To był jedyny sposób, aby Tracy Waters pozostała przy życiu.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

– Osiemnastoletnia Tracy Waters mieszkała w Plainsview. Została zamordowana dwudziestego siódmego listopada osiemdziesiątego drugiego roku – powiedziała Heather. – Widziano ją, jak wychodzi od przyjaciółki i kieruje się w stronę domu. Jechała rowerem. Wprawdzie zrobiła prawo jazdy, ale rodzice rzadko udostępniali jej samochód, a nie miała własnego.

Popijałam colę light.

– Wiem, jak to jest – skomentowałam. – Pierwsze auto kupiłam jako osiemnastolatka. Od matki. Policzyła mi za nie pięćset dolarów.

– Ja jestem okropnym kierowcą – stwierdziła Heather. – Niby mogłabym sobie sprawić brykę, ale będzie lepiej dla wszystkich, jeśli tego nie zrobię.

Siedziałyśmy w Watsonie, całodobowej knajpce przy North Edge Road. Szyld wyglądał na nowy, za to budynek był stary, więc pewnie jeszcze kilka miesięcy temu mieściła się tu zupełnie inna restauracja. Była piąta rano. Znalazłyśmy jedyny otwarty o tej porze lokal, bo umierałyśmy z głodu.

Heather wgrzyła się w swoją kanapkę z boczkiem, pomidorem i sałatą. Miała na sobie obszerny ciemnozielony sweter, w którym dosłownie pływała. Włosy, a właściwie tylko ich wierzchnią warstwę, zebrała w krótki koński ogon z tyłu głowy. Jedząc, przeglądała wydrukowane artykuły.

– Tracy chodziła do ostatniej klasy liceum. Była dobrą uczennicą. Nie miała chłopaka. Te kilka dziewczyn, które się z nią przyjaźniło, mówiło, że Tracy była nieśmiała i zamknięta w sobie. Udzielała się w szkolnym chórze. Latem dorabiała w lodziarni w Plainsview.

Przyjrzałam się zdjęciu Tracy ze szkolnej sesji, jej starannie wymodelowanym i grubo spryskanym lakierem włosom. Użyła cienia do powiek, który wyglądał dziwnie nie na miejscu na jej młodej twarzy.

– Brzmi super – skwitowałam smutno.

– Prawda? – zgodziła się Heather. – Dwudziestego siódmego pojechała do przyjaciółki. Oglądały telewizję i grały w Uno do dwudziestej. Ach, lata osiemdziesiąte... Potem wyszła i wsiadła na rower. Przyjaciółka widziała, jak odjeżdża. Tracy nie dotarła jednak do domu. O dwudziestej trzeciej jej rodzice zadzwonili na policję. Gliny powiedziały, żeby poczekać do rana, bo może Tracy poszła na imprezę albo coś w tym guście.

Mieszałam łyżką w rosole. Trochę mnie mdliło.

– Rano zjawiała się policja, przepytwała rodziców i rozpoczęła poszukiwania. Dwudziestego dziewiątego znaleziono zwłoki Tracy w rowie przy Melborn Road pomiędzy Plainsview a Fell. W tamtych latach Melborn Road była zwykłą drogą, którą mało kto jeździł, dopiero później zmieniono jej status i zrobiła się ruchliwa. Teraz stoją przy niej supermarket i kino. Wygląda zupełnie inaczej niż w osiemdziesiątym drugim. – Pokazała na wydruk artykułu ze starej gazety. Nagłówek brzmiał: „MIEJSCOWA DZIEWCZYNA ZNALEZIONA MARTWA”. A pod nim: „Policja aresztowała bezdomnego”.

– Bezdomnego? – zdziwiłam się.

– Bo miał jej plecak. Krążył od miasta do miasta, był notowany za kradzieże i rozboje. Najlepsze, że sam się zgłosił, żeby oddać plecak, który znalazł. Wtedy go zatrzymali i zaczęli przesłuchiwać. A kiedy nie zdołał przedstawić alibi, postawili mu zarzuty.

– I już? Nie brali pod uwagę innych sprawców?

– Na to wygląda. Twierdził, że znalazł plecak przy drodze, ale kto by mu uwierzył? Wszędzie były jego odciski palców, a na jednym z pasków znaleziono ślady krwi Tracy. Nie było innych podejrzanych. Rodzice Tracy byli wstrząśnięci. Mówili, że ktoś ich ostrzegał przed mężczyzną śledzącym Tracy. Wszystko do siebie pasowało. – Wystawiła palec, w swoim stylu delektując się chwilą. – Ale. Ale.

– Za bardzo ci się to podoba – stwierdziłam, uśmiechając się.

– Myśl, co chcesz. Nie słuchasz mnie. A wierz mi, zaraz się zrobi ciekawiej.

– Tak jakby dotąd było nudno... Mów, słucham.

– Bezdomny nie został skazany. Nawet nie doszło do procesu. Wygląda na to, że choć nie miał domu, to jednak mógł się pochwalić znajomością dobrego prawnika. Przez ponad rok nic się nie działo, a potem wycofano zarzuty. Następnie sprawa została ponownie otwarta i jest taka do dziś. Rodzice Tracy

rozwiedli się, ale matka nie zrezygnowała z prób rozwiązania zagadki śmierci córki. W dziewięćdziesiątym dziewiątym założyła stronę internetową poświęconą morderstwu Tracy. Strona nadal działa, ale z tego, co widzę, obecnie prowadzi ją młodszy brat Tracy. Ma profil na Facebooku i tak dalej. Pamiętasz, jak wspomniałam, że ktoś śledził Tracy? Rodzice wiedzieli o tym, ponieważ tydzień przed tym, jak zabito ich córkę, ktoś wrzucił im do skrzynki anonimowy list. Można go sobie przeczytać na stronie i na fejsie. – Wyrzebała kartkę ze stosu dokumentów i wręczyła mi ją.

Skan odręcznie napisanego listu.

Piszę do Państwa, aby Was ostrzec przed mężczyzną, który śledził Tracy Waters. Obserwował ją 19 listopada o 14:20, kiedy wsiadała na rower przy Westmount Avenue. Gdy odjechała, udał się za nią samochodem.

Wiem, kim jest. To niebezpieczny człowiek. Ma około 35 lat i 1,8 m wzrostu. Pracuje jako komiwojazer. Myślę, że chce zabić Tracy. Proszę, pilnujcie jej. Policja mi nie wierzy.

Pilnujcie jej.

Odsunęłam talerz z zupą.

– To najsmutniejszy list, jaki kiedykolwiek czytałam.

– Matka bardzo się przejęła, ale ojciec uznał to za żart. Matka w końcu zgodziła się z ojcem. Kilka dni później Tracy nie żyła. Stąd rozwód.

– Komiwojazer – zauważyłam, podkreślając słowa palcem. – Jak Simon Hess.

– Który zniknął tuż po śmierci Tracy. Wiem, że się powtarzam, ale dalej robi się jeszcze lepiej.

Odchyliłam się na krześle.

– Już mi się kręci w głowie.

– Matka Tracy zawsze czuła, że list wcale nie był żartem – powiedziała Heather. – Uważała, że podrzucił go ktoś, kto naprawdę widział mężczyznę śledzącego Tracy. I nie chodziło o żadnego bezdomnego. – Postukała w opis komiwojazera. – Między innymi dzięki temu listowi wycofano zarzuty przeciwko tamtemu nieborakowi. Ale uważaj: w dziewięćdziesiątym trzecim, ponad dziesięć lat po morderstwie, pani Waters odebrała telefon od byłego dyrektora szkoły, do której chodziła Tracy. Dyrektor przyznał, że kilka dni przed śmiercią Tracy zadzwonił do niego ktoś, kto podawał się za matkę

jednej z uczennic. Ta kobieta twierdziła, że widziała mężczyznę, który śledził Tracy, i upierała się, że szkoła powinna zwrócić na nią uwagę i zapewnić jej bezpieczeństwo.

– I nie poszedł z tym na policję? – zdziwiłam się. – Milczał przez dziesięć lat? Dlaczego?

– Nie wiadomo. Być może wstydził się, że nie zrobił tego, co należało, we właściwym czasie, i dopiero na emeryturze, schorowany poczuł wreszcie potrzebę zrzucenia z siebie ciężaru... A więc wiemy, że śmierci Tracy można było zapobiec. Ktoś ostrzegł jej rodziców i dyrektora szkoły. Gdyby któreś z nich posłuchało i zatrzymało ją w domu, nie zginęłaby.

– Kobieta – powiedziała z niedowierzaniem. – Osobą, która zadzwoniła do dyrektora, była kobieta. – Wzięłam skan listu i przyjrzałam mu się. – To może być kobiecy charakter pisma, ale trudno jednoznacznie...

– To jest kobiecy charakter pisma – weszła mi w słowo Heather. – Matka Tracy oddała list do grafologa.

Zbyt wiele elementów. Zbyt szybko łączyły się ze sobą. Obraz, który tworzyły, nie miał dla mnie sensu. Kto wiedział, że Tracy zostanie zamordowana? Chyba nie Vivian, bo jak?

A jeśli to właśnie ona wiedziała, czemu nie mogła sama uratować Tracy?

– Dzwoniłaś do Almy? – spytała Heather.

– Wysłałam jej esemesa. Co prawda mówiła, że jest nocnym markiem, ale chyba jednak nie powinno się dzwonić w środku nocy do kogoś, kogo się nie zna, o ile to nie jest sytuacja awaryjna. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, czy odczytuje esemesy. Jeśli się nie odezwie do rana, zadzwonię. – Sprawdziłam godzinę na telefonie. – Chyba powinnam wracać do Sun Down. Nie to, żeby ktokolwiek się zorientował, że mnie nie było.

– A gdzie Nick?

– Pojechał wywołać negatywy. Powiedział, że w Fell jest całodobowy punkt.

– Pewnie miał na myśli ByWay – stwierdziła Heather, zbierając papiery. – Chyba nadal wypożyczają filmy.

– Fell to naprawdę najdziwniejsze miejsce pod słońcem. – Patrzyłam, jak Heather się ubiera. – Słuchaj, jak byś zareagowała, gdybym ci powiedziała, że Sun Down jest nawiedzony?

Zastygła z ręką w połowie rękawa kurtki. Spojrzała mi w oczy i uniosła brwi.

– Serio?

– Serio.

Przyglądała mi się, zagryzając wargę. Nie wiem, jaką miałam minę, ale chyba przekonującą, bo Heather w końcu powiedziała:

– Chcę wiedzieć wszystko.

– Powiem ci.

– I chcę zobaczyć.

Podrapałam się po nosie.

– Tego nie mogę zagwarantować. Ona nie wychodzi na rozkaz.

– Ona?

– Betty Graham.

Oczy Heather zrobiły się wielkie jak spodki.

– Chcesz powiedzieć, że w Sun Down mieszka duch Betty Graham?

– Tak. Nick też ją widział.

– Czy ona... mówi coś?

– W zasadzie nie, ale myślę, że próbuje. – Przypomniał mi się wyraz desperacji na twarzy Betty. – Są też inni. Chłopiec, który uderzył się o krawędź basenu i zmarł. Mężczyzna, który miał zawał w recepcji.

– Co takiego?

– Nie tak głośno. – Machnęłam ręką, żeby ją uciszyć. – Wiem, że to dziwne, ale przysięgam ci, że widziałam na własne oczy. Nick mi świadkiem. Do tej pory nic nie mówiłam, bo myślałam, że uznasz mnie za wariatkę.

– No nie żartuj. – Nachyliła się nad blatem. – Carly, to poważna sprawa. Będę obserwowała motel. Chcę mieć zdjęcia, nagrania.

Była tak rozemocjonowana, że aż się zaczerwieniła.

– Jesteś pewna, że to ci nie zaszkodzi?

– Czytałam i oglądałam wszystkie wersje Amityville, jakie istnieją. Jasne, że mi nie zaszkodzi. Lepiej sobie radzę z duchami niż w prawdziwym życiu.

– To jest prawdziwe życie – zaznaczyłam. – Betty jest prawdziwa. Nie żyje, ale jest tak samo prawdziwa jak ty i ja. Pierwszej nocy, kiedy ją zobaczyłam,

w motelu zameldował się mężczyzna, ale nie widziałam jego samochodu, a pokój był pusty. Wiem, może po prostu wyjechał. Ale wracam do tego pamięcią i zastanawiam się, czy raczej nie został tam na zawsze.

– Skoro został, to gdzie się podział?

Spojrzałyśmy po sobie, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Otworzyły się drzwi i do knajpki wszedł Nick. Nawet nie spojrzał na truckersów o zmęczonych oczach i na wykończonych robotą pracowników zmianowych. Miał w ręku kopertę.

– Zrobiłem odbitki – powiedział.

Przesunęłam się na kanapie, żeby usiadł przy mnie zamiast obok nie lubiącej dotyku Heather. Przyniósł woń rześkiego porannego powietrza; jesień coraz wyraźniej oddawała pole zimie. Otworzył kopertę i wysypał zdjęcia na stół.

Cztery, przy czym każde przedstawiało z zewnątrz ten sam obiekt: starą stodołę z częściowo zapadniętym dachem – ale z innej perspektywy: od przodu, od tyłu ze sporej odległości, z gruntowej drogi.

– Po co Marnie je zrobiła? – zastanawiała się Heather.

– I czemu nie miała odbitek? – dodał Nick. – Albo w ogóle nie wywołała tych zdjęć, albo po wywołaniu oddała je komuś.

– To punkty orientacyjne – powiedziałam, wpatrując się w nie. – Ta stodoła jest z jakiegoś powodu ważna. Marnie uwieczniła ją na wypadek, gdyby kiedyś musiała odnaleźć to miejsce.

Przez chwilę przyglądaliśmy się w milczeniu. Stodoła wyglądała nieco złowieszczo, jej kruszący się szkielet kojarzył mi się ze szczerbatymi ustami. Wygięty do dołu dach robił żalosne wrażenie, a przednia ściana z zamkniętymi na głucho wrotami zionęła pustką. Miejsce, na widok którego zwykle czuje się, że było świadkiem jakiegoś zła.

– Jak myślicie, gdzie to jest? – spytała Heather.

– Gdziekolwiek – skwitowałam. – Trudno powiedzieć, skoro brak jakichkolwiek charakterystycznych... – Wytężyłam wzrok. – A to co?

Na ostatnim kadrze coś wystawało sponad linii drzew.

– Stara wieża telewizyjna – orzekł Nick. – Rozebrali ją z dziesięć lat temu.

Spojrzałam na niego.

– Ale wiesz, gdzie stała?

– Pewnie. – Nachylił się nad stołem i wpatrzył się w fotografię. – Nie mam pojęcia, z której to strony, ale na oko będzie jakiś kilometr, może mniej, od wieży. Te dwa pstryknięto ze zwykłej gruntowej drogi, a każda taka droga prowadzi do szosy.

Złapałam kurtkę.

– Jedziemy. Zaczyna świtać, przynajmniej będziemy mieli w miarę widno.

– Nie powinnaś być w pracy? – spytała Heather.

– Chris może mnie zwolnić, jeśli chce. Przyjechałam do Fell dla czegoś takiego. – Pokazałam palcem na zdjęcia. – Tylko na tym mi zależy.

– Ale nawet nie wiemy, o co tu chodzi – zauważyła.

– Stodoła to klucz – odparłam, kolejny raz rzucając okiem na budowlę. – Marnie chciała móc ją odnaleźć, co oznacza, że w środku musi się znajdować coś, do czego pragnęła mieć dostęp.

– Albo móc skierować do niej innych – podsunął Nick.

Spojrzałam na oboje, po czym wypowiedziałam słowa, które przysły do głowy całej naszej trójce.

– A jeśli to ciało? Zwłoki Vivian?

Zaległa cisza. Przerwał ją Nick, zbierając odbitki ze stołu.

– Dzięki zdjęciom łatwo odnajdziemy tę stodołę.

Poszukiwania trwały do siódmej. Słońce powoli wyłaniało się zza horyzontu i zwałów szarych chmur. Krążyliśmy pikapem Nicka po okolicy, w której dawniej stała wieża telewizyjna, zaliczaliśmy wszystkie boczne drogi i właśnie toczyliśmy się kolejną, tym razem na północ od wieży, wypatrując charakterystycznych elementów krajobrazu, kiedy nagle to zobaczyłam.

– Tam.

Teren otaczała zwykła drucziana siatka, bardzo zaniedbana, pordzewiała i miejscami wygięta. Na ogrodzeniu wisiała wyblakła tabliczka „ZAKAZ WSTĘPU”, a za nią ciągnął się gruntowy podjazd. Wyjęłam jedno ze zdjęć Marnie i porównałam z tym, co miałam przed sobą.

Oczywiście przez lata drzewa urosły i zgęstniały, ale poza tym wszystko inne się zgadzało.

Nick zgasił silnik i wysiadł, my za nim. Patrzyliśmy, jak chodzi tam i z powrotem wzdłuż ogrodzenia, a potem chwycił się siatki i przesadził ją

jednym susem. Wylądował po drugiej stronie i zniknął między drzewami.

Wrócił po dziesięciu minutach.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Widziałem stodołę. Nikogo tu nie ma i nie było od lat. Chodźcie.

Heather pierwsza wspięła się przez siatkę. Podsadziłam ją, a Nick pomógł jej zejść. Potem zrobiłam to samo, czekając, aż ktoś zacznie na nas krzyczeć albo poszczuje nas psami, ale nic takiego się nie wydarzyło. Przywitała nas cisza. Przerzuciłam nogę przez ogrodzenie, Nick chwycił mnie w pól i opuścił na ziemię.

– Tędy.

Zanim odnaleźliśmy dawną drogę, musieliśmy się przedrzeć przez nagie, splątane krzaki. Droga też była zarośnięta, poza tym rozmyta przez lata deszczów i śniegu. Nie widzieliśmy odcisków opon ani jakichkolwiek śladów świadczących o obecności człowieka. Wiał zimny, przenikliwy wiatr, który wył w gołych koronach drzew.

– Co to w ogóle za miejsce? – odezwałam się.

– Pojęcia nie mam – powiedziała Heather. Miała czerwone, zmarznięte policzki i trzymała się tak blisko mnie, jak tylko mogła. – Wygląda na opuszczone.

Jak stare były zdjęcia stodoły? Jeżeli Marnie zrobiła je mniej więcej w tym samym czasie co fotografie w Sun Down, musiały mieć trzydzieści pięć lat. Naprawdę nikt tu nie zaglądał przez tyle czasu? Dlaczego?

Szliśmy nierówną drogą, aż w końcu naszym oczom ukazała się stodoła, a właściwie to, co z niej zostało: krzywe, połamane deski, zapadnięty dach i przegniłe belki. W ścianach ziały wielkie, ciemne dziury, przez które bez trudu mógł się przecisnąć dorosły mężczyzna. Drzwi wyglądały na zamknięte, ale nie było to żadną przeszkodą, ponieważ stan pozostałej części budynku umożliwiał łatwe dostanie się do środka.

– Zaczekajcie – powiedział Nick. Zniknął za rogiem. Usłyszałyśmy jęk gwoźdźcia i trzask pękającego drewna. – Znalazłem wejście! – krzyknął.

Poszłyśmy do niego i zobaczyłyśmy, że oderwał kilka zbutwiałych desek, powiększając otwór w ścianie do wygodnych rozmiarów. Spojrzał na nas z wnętrza stodoły.

– Trochę tu ciemno, ale coś widać.

Zerknęłam na Heather. Zbladła i miała niepewną minę. Gdzie się podziała dziewczyna, która chciała spędzić noc w Sun Down, żeby fotografować i filmować duchy? Nie musiałam jej dotykać, by wiedzieć, że ma lodowatą skórę.

– Nie musisz wchodzić – uprzedziłam.

Obrzuciła mnie takim wzrokiem, jakby zupełnie zapomniała, że stoję obok niej.

– Ale powinnam.

– Heather, to nie zawody. Niczego nie wygrasz, jeśli tam wejdiesz. Poza tym to przecież moja ciocia, nie twoja. Zaczekaj tutaj, aż powiem ci, że jest bezpiecznie.

Myślałam, że zacznie się spierać, lecz ona tylko się zawahała i po chwili skinęła głową. Miałam ochotę pogłaskać ją po ramieniu, choćby przez gruby materiał kurtki, ale nie zrobiłam tego. Odwróciłam się do stodoły.

Otwór gapił się na mnie jak szeroko otwarte czarne oko. Panujący w środku mrok wydawał się nieprzenikniony. Nie widziałam Nicka ani nawet jego cienia. Ze środka dobywała się woń brudu i stęchlizny. W powietrzu wirowały poruszone naszym przybyciem drobinki kurzu.

– Carly? – zawołał Nick z czarnej dziury.

„Jak Alicja do króliczej nory” – pomyślałam – i weszłam.

W stodole nie było aż tak ciemno, jak sądziłam. Szare, stłumione światło wpadało przez szpary w odeskowaniu i rozstępy w dachu. Cztery ściany i kąty pełne rzeczy. Tu stary rower, tam narzędzia, wszędzie porozrzucane graty. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do warunków, wyłowił sylwetkę Nicka, który zawędrował aż na drugi koniec budynku. Nick odwrócił się i zerknął na mnie.

– Tutaj.

Podeszłam do niego. Zobaczyłam starą zieloną plandekę narzuconą na coś, co kształtem w oczywisty sposób przypominało samochód. Zakręciło mi się w głowie. W artykułach po zaginięciu Viv pisano, że jej auto pozostało na parkingu przed Sun Down. Cokolwiek się z nią stało, nie zabrała go ze sobą.

Ale jaki był los jej wozu po zakończeniu śledztwa? Dokąd go odprowadzono? Gdzie trafiają samochody zaginionych osób?

– Odsłoń – szepnęłam do Nicka.

Posłuchał bez wahania. Chwycił za róg i szarpnął, cofając się o dwa kroki. Plandeka opadła na ziemię. Ukazało się kanciaste auto sprzed kilku dekad. W przyćmionym świetle nie dało się określić koloru karoserii. Opony nie miały powietrza. Szyby pokrywała gruba warstwa kurzu.

Nick przestąpił przez plandekę, wyciągnął rękę i dłonią rozsmarował kurz na oknie po stronie pasażera.

– Od lat nikt się do niego nawet nie zbliżał – stwierdził i nachylił się, żeby zajrzeć do środka.

„Nie – chciałam krzyknąć – Nie rób tego”. Podskoczyłam ze strachu na trzepot skrzydeł gdzieś wysoko w ciemności, pod samym dachem. To był tylko jakiś ptak, ale zdążyłam oblać się zimnym potem. Zmusiłam nogi do posłuszeństwa, obeszałam samochód, przetałałam sobie własny wizjer w szybie po stronie kierowcy i zerknęłam do kabiny.

Za kierownicą było pusto. Wyprostowałam się, chwyciłam za klamkę i pociągnęłam – drzwi poddały się z głośnym kliknięciem. Zrobiłam głęboki wdech i otworzyłam je.

Moje nozdrza wypełniło stęchłe, lekko kwaśne powietrze. Zawirowały drobinki kurzu. Nick uchylił drzwi po swojej stronie i wsadził głowę do środka. Oboje rozejrzeliśmy się po aucie, wyciągając szyje.

Żadnego trupa i ani śladu Viv – ubrań, rzeczy, czegokolwiek. W ogóle nic nie wskazywało na to, by ten wóz był kiedykolwiek używany. Nick otworzył schowek – zero przedmiotów.

– Ktoś tu nieźle wysprzątał – powiedział Nick.

– Może to nic takiego, zwykły zbieg okoliczności. Czyjś stary samochód, z którego ta osoba przestała korzystać, więc zostawiła go w stodole razem z innymi rupieciami. Ludzie często tak robią, prawda?

– W takim razie po co Marnie fotografowałyby stodołę?

Coś było nie w porządku. Głowa pękała mi z bólu, a żołądek podjeżdżał do gardła.

– Może Viv ukradła auto – zaczęłam się zastanawiać. – Ukradła je i ukryła tutaj.

– Albo ukrył je ten, kto ją zabił – skomentował Nick.

– Tego nie wiemy. W ogóle nic nie wiemy. – Westchnęłam. – To fałszywy trop, Nick. Tyle roboty i nie posunęliśmy się nawet o krok do przodu.

– Co tak śmierdzi?

Rzeczywiście, skądś wydobywał się nieprzyjemny, kwaśny zapach starej zgnilizny.

– Śmieci?

– Nie, to coś gorszego. – Wyjął głowę z kabiny i nie zamykając przednich drzwi, otworzył tylne, żeby zajrzeć. – Nic tu nie ma. Ale śmierdzi jakby mocniej. – Wyprostował się.

Poszliśmy na tył wozu. Bagażnik był otwierany na kluczyk – typowe dla modeli z tamtych lat – którego nie mieliśmy.

– Jak go otworzymy? – spytałam. Nick kucnął.

– Niczego nie będziemy otwierali – orzekł. – Wezwiemy policję. – Pokazał na ziemię. – Widzisz to? Olej. Albo bardzo stara krew.

Dołączyłam do niego i podążyłam wzrokiem za jego palcem. Pod bagażnikiem znajdowała się sporej wielkości zaschnięta kałuża czegoś czarnego.

Zrobiło mi się słabo i przez chwilę myślałam, że zemdleję. Plama była zdecydowanie za duża na zwykły wyciek oleju. Oparłam dłonie na kolanach i nagle – zbyt szybko i gwałtownie, bym zdołała nad nimi zapanować – łzy napłynęły mi do oczu.

– Viv – wydusiłam i zaczęłam się trząść. W bagażniku leżała moja ciocia, jej ciało dosłownie pół kroku ode mnie, za warstwą metalu i wykładziny. Leżała tu martwa, samotna i milcząca od trzydziestu pięciu lat, a wypływająca z niej krew zebrała się na ziemi, zaschła i szcerniała. Nabrałam powietrza i załkałam. – Zabił ją – powiedziałam, dławiąc się. – Zrobił to. Zabił tamte kobiety i zabił Viv.

Poczułam na karku dużą, ciepłą i silną dłoń Nicka.

– No już, Carly – odezwał się łagodnie. – Już.

Wstrząsały mną tak gwałtowne spazmy płaczu, że nie mogłam oddychać. Po moich policzkach spływały grube łzy, gromadziły się na rzęsach i skapywały na szkła okularów.

– Przepraszam – wybąkałam, szlochając. – Nie... nie spodziewałam się...

– Wiem.

Przecież byłam taka opanowana. Dzielnie wszystko znosiłam: duchy, tajemnice, to dziwne i szalone miejsce. Dla mnie to nie była gra ani zabawa.

Traktowałam to raczej jako... szczególnie pojmwane wyzwanie. Dążenie do tego, aby sprawiedliwości stało się zadość. Coś, co musiałam zrobić, żeby móc osiągnąć kolejny etap życia. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli mi się uda i rozwikłam zagadkę, wszystko się ułoży.

Nie spodziewałam się, że nad grobem Viv pęknie mi serce. Nie przewidziałam tej fali bólu. Opłakiwałam Viv i moją mamę, która przeżyła trzydzieści pięć lat, nie mając pojęcia, że tutaj, w bagażniku ukrytego auta, spoczywa samotne i nieme ciało jej siostry. Przez trzy i pół dekady dusiła w sobie żal tak potężny i głęboki, że nie chciała o nim rozmawiać. Umarła z ciężarem, którego już nigdy nie zdejmę z jej piersi.

Kucałam przy samochodzie, zasłaniałam twarz brudnymi rękami i wylewałam łzy. Płakałam za Viv, tak niegdyś piękną i żywą. Płakałam za pozostałe kobiety: Betty, Cathy i Victorię – dla nich to też był koniec. Płakałam za mamę i za siebie.

Nick przysunął się i objął mnie. Doskonale wiedział, co czuję – to oczywiste. Wiedział, że coś takiego rozbija człowieka na kawałki, stawia wszystko na głowie, odmienia go. Jako jedyny mógł mnie zrozumieć. Przytulił mnie i pozwolił mi się wypłakać.

Kilka chwil później usłyszałam głos Heather z drugiego końca stodoły.

– Co się dzieje?

– Znaleźliśmy samochód i starą kałużę krwi – odkrzyknął Nick spokojnym głosem. – Sądzymy, że w bagażniku jest ciało. Możesz wezwać policję?

Heather nie odpowiedziała. Pewnie wyszła z powrotem na zewnątrz, żeby zadzwonić. Potarłam oczy i usunęłam gila spod nosa. Spróbowałam wziąć się w garść.

– Już mi lepiej – rzuciłam.

– Chodźmy stąd – zasugerował cicho Nick. – To teraz miejsce przestępstwa.

Miał rację. Nieważne, od jak dawna, istotne, że spoczywało tutaj martwe ciało mojej cioci. Powinniśmy się stąd zabierać – razem ze śladami stóp, odciskami palców i włóknami włosów, które tu pozostawiliśmy. Takie rzeczy wiedział nawet amator, a co dopiero miłośnik prawdziwych zbrodni taki jak ja.

Nick chwycił mnie za łokieć i pomógł mi wstać, żebym nie straciła równowagi. Wiedział, czym jest miejsce przestępstwa, bo przecież stał się nim

dom, w którym się wychował. Miał doświadczenie, nie musiał się posiłkować książkami ani internetem – doświadczenie, które sama właśnie zdobywałam.

Vivian nie żyła, co jednak nie zmieniało faktu, że Simon Hess odwiedzał Sun Dow, miał kontakt z Viv i zniknął w tym samym czasie co ona. Stało się dla mnie jasne, jaki los spotkał Viv i kto jej go zgotował. Pozostało mi wysledzić Hessa, gdziekolwiek był, i sprawić, by zapłacił za to, co zrobił.

Było już po południu, kiedy ze stodoły wyszedł policjant i ruszył w moją stronę. Zamontowana w zardzewiałym ogrodzeniu brama została otwarta, a zaścielające podjazd zeschnięte liście i gałęzie rozjeżdżone kołami. Najpierw przysłano na miejsce samotnego mundurowego, ale niedługo po nim zjawily się furgonetki i nieoznakowane radiowozy. Od razu przegoniono nas z posesji, przez co nie mogliśmy zobaczyć, co się dzieje. Przesłuchiowano nas razem i osobno, zadawano nam mnóstwo pytań. Kiedy policja wreszcie z nami skończyła, Nick odwiózł Heather do domu, bo trzęsła się z zimna i nerwów. Ja nie byłam w stanie się stąd ruszyć. Wiedziałam, że zostanę tu, dopóki czegoś się nie dowiem.

W kieszeni miałam zdjęcie od Marnie, to przedstawiające samochód Hessa na parkingu przed Sun Down. Ta sama marka i model jak ten, który odkryliśmy w stodole. Rozmiary i kształt wozu wypaliły się w mojej pamięci i w głębi duszy byłam pewna, że znaleźliśmy auto komiwojażera.

Nick wrócił z kawą i czymś do jedzenia – to pierwsze przyjął, na drugie machnęłam ręką. Bateria w moim telefonie dawno się wyczerpała. Stałam na gruntowej drodze jak najbliższej siatki i cierpliwie czekałam – tak długo, jak będzie konieczne.

Policja знаła moją sytuację i była świadoma tego, że poszukuję cioci, która zaginęła w osiemdziesiątym drugim. Ktoś tam, w stodole, musiał się nade mną ulitować. Podszedł do mnie mniej więcej pięćdziesięcioletni czarnoskóry mężczyzna o krótko ostrzyżonych siwiejących włosach. Miał na sobie dzinsy i czarną, krótką, grubą kurtkę. Nie miałam pojęcia, kim jest; w każdym razie na pewno nie był zwykłym mundurowym. Miał poważną minę, ale kiedy na mnie spojrzał, wiedziałam, że wielokrotnie stykał się z ludźmi takimi jak ja, a więc rozpaczliwie wyczekującymi jakichkolwiek wieści o swoich najbliższych.

– Pani Kirk?

– Tak.

Przedstawił się – podał nazwisko, którego nie usłyszałam albo po prostu nie zapamiętałam. Krew huczała mi w uszach.

– Szuka pani swojej zaginionej cioci, Vivian Delaney. Zgadza się?

Potwierdziłam skinieniem głową.

– Wiem, że przeżywa pani trudne chwile, ale bardzo proszę, żeby uważnie posłuchała pani tego, co mam do powiedzenia.

Odniosłam wrażenie, że rzeczywiście rozumie moje położenie. Odrobinę się rozluźniłam.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, w bagażniku znajdują się zwłoki. Są tam od bardzo dawna.

Wbiłam paznokcie w skórę dłoni i nawet nie zauważyłam bólu.

– Po drugie, to nie pani ciocia.

– Skąd... skąd wiecie? – Ledwo poruszałam ustami.

– Ponieważ to ciało mężczyzny – wyjaśnił policjant i od razu pokręcił głową, widząc, że chcę zadać kolejne pytanie. – Przykro mi, ale w tej chwili to wszystko. Prowadzimy śledztwo i na razie nie możemy udzielić więcej informacji. Wolno mi powiedzieć tylko tyle, że zwłoki w bagażniku z całą pewnością nie należą do Vivian Delaney. Przykro mi z powodu pani straty. Skontaktujemy się z panią, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Proszę teraz jechać do domu.

Czekał, wpatrując się we mnie, aż pokiwałam głową na znak, że zrozumiałam. Potem przeniósł wzrok na Nicka.

– Niech pan ją odwiezie – powiedział z naciskiem, po czym odwrócił się i odszedł.

Kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałam, na czym skupić myśli. Nick wziął mnie za rękę i zaprowadził do swojego pikapa. Pomógł mi wsiąść, zamknął za mną drzwi i obszedł wóz, żeby zająć miejsce za kierownicą.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i z nawiewów buchnęło ciepłe powietrze. Roztopiło mróz, który ściał moje usta i policzki. Rozprostowałam zgrabiące palce.

Siedział z niedającą się rozszyfrować miną i wbijał we mnie przenikliwe spojrzenie. Miał na sobie kurtkę, ale tak jak przy wielu innych okazjach sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie było mu zimno. Człowiek-piec, pomyślałam. Co za absurdalny pomysł. Ale ciekawe, jak to jest.

– Carly... – zaczął.

– To Simon Hess.

Nie odezwał się. Zmrużył oczy.

– Uważałam go za potwora – powiedziałam, czując, jak roztajają mi mięśnie twarzy. Puszczął lód, który skuwał mój mózg i całą resztę. – Sądziłam, że ją zabił i uszło mu to na sucho. Myliłam się, prawda?

– Tak – przyznał. – Nie uniknął kary. W końcu go spotkała.

Podrapałam się po policzku, tuż pod oprawką okularów. Zaczynało mi się robić ciepło. Kręciło mi się w głowie od wstrząsającego odkrycia, od płaczu, kawy i ssania w żołądku. Zarazem moje myśli wydawały mi się klarowniejsze i czytelniejsze niż kiedykolwiek.

– To nie rozwiązuje kwestii Vivian – zaznaczył Nick. – Co się z nią stało?

Wiedziałam. Zwyczajnie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, co się dokładnie wydarzyło, nie znałam szczegółów, ale wiedziałam. Ponieważ żyjąc tutaj, w Fell, stałam się nią. Byłam Viv.

Spojrzałam Nickowi prosto w te jego niebieskie oczy i powiedziałam:

– Obawiam się, że moja ciocia zrobiła coś bardzo, bardzo złego.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Tamtej nocy, kiedy wszystko się skończyło, Viv była sama.

Obudziła się z niespokojnego snu, w który zapadła w ubraniu. Dopiero po chwili zorientowała się, gdzie jest: leżała na swoim łóżku w mieszkaniu przy Greville Street. Okno wyglądało jak czarny kwadrat – a więc było po zmierzchu.

Zsunęła nogi. Kiedy wróciła do domu i się położyła? Nie umiała sobie przypomnieć. Wszystko, co się działo po tym, jak wyszła od Almy, ginęło w pomroce zmęczenia. Ile czasu minęło od wizyty na komisariacie? Dzień? Dwa?

Była ubrana w dżinsy i biały pomięty T-shirt, a na nogach wciąż miała granatowo-białe buty sportowe. Zerknęła na zegarek na wąskim pasku – pokazywał dwudziestą drugą dwadzieścia. Spojrzała w lustro nad toaletką – zobaczyła blade policzki i potargane włosy. Okropnie zaschło jej w gardle. Wyszła ze swojego pokoju i znalazła się we wspólnym salonie.

Pusto. Jenny gdzieś pojechała – może do rodziców? Od kilku dni brakowało jakichkolwiek śladów obecności drugiego człowieka, nie było żadnych pustych szklanek na blacie, torebki rzuconej byle jak na kanapę, pozostawionego grającego telewizora. Tylko ciemność – dopóki Viv nie pstryknęła przełącznika. Poszła do kuchni, nalała sobie szklankę wody i wypila duszkiem. Potem, nie mogąc znieść ciszy, włączyła telewizor.

– ...poinformował nas, że zidentyfikowano zwłoki znalezione przy Melborn Road. Ofiarą jest zaginiona przed dwoma dniami osiemnastoletnia Tracy Waters, uczennica ostatniej klasy liceum. W tej chwili brak dalszych szczegółów. Więcej w wiadomościach o dwudziestej trzeciej...

Pod Viv ugięły się nogi. Osunęła się na podłogę.

– Tracy.

List. Telefony. Wszystko na nic.

Porwał Tracy. Zabił. Porzucił ciało. A ona przez cały ten czas spała.

Zrobiło jej się niedobrze i przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Miała ciemno przed oczami. Uklękła na podłodze, trzymając się za brzuch. Krew huczała jej w uszach. Prezenter przeszedł do lepszych tematów, ale nie słuchała go, był tylko głosem w tle. „Zawiodłam – powtarzała w kółko. – Zawiodłam”.

Co zrobiła nie tak? Nie wystarczyły telefony ani listy? Może powinna była wymienić nazwisko Simona Hessa? Zamierzała to zrobić, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się, bo przypomniała sobie słowa Almy: „Potrzebuję czegoś więcej. Muszę mieć twarde, niepodważalne dowody”. Po tym wszystkim, po wielu tygodniach śledztwa zawahała się ten jeden raz i zamiast podać nazwisko Hessa, opisała jego wygląd i wymieniła zawód. Czy Tracy zapłaciła życiem za tę chwilę zwątpienia?

To wszystko wina Viv.

Spędziła na kolanach kilka długich minut, a potem wstała. Wyłączyła telewizor. Poszła do łazienki umyć twarz. Następnie wyszczotkowała włosy i spryskała je lakierem. Przebrała się i umalowała, upiękzyła oczy subtelnymi, lawendowo-purpurowymi tonami.

Włożyła granatowy sweter i nylonową kurtkę. Wzięła torebkę i kluczyki do samochodu. Wiedziała, co usłyszy w wiadomościach o dwudziestej trzeciej: że w Fell grasuje morderca. Mieszkańcy powinni pamiętać o zamykaniu drzwi. Kobiety niech oglądają się za siebie i nie wychodzą same po zmroku. Rodzice niech pilnują dzieci i dbają zwłaszcza o bezpieczeństwo córek. Kobiety niech noszą gwizdek albo latarkę. Ponieważ świat to naprawdę groźne miejsce dla kobiety.

Viv otworzyła torebkę, włożyła rękę do środka i wydobyła nóż myśliwski, który kupiła w sklepie żelaznym w Plainsview. Wysunęła ostrze z grubej skórzanej pochwy. Obejrzała je, ostre i lśniące – i schowała.

Nosiła ten nóż od wielu dni. Żałowała teraz, że nie dała go Tracy.

Była sama pośród mroku – jak zawsze. Pora jednak do pracy.

– Zostawiłem Janice notatkę w sprawie drzwi do sto trójki. Coś jest z nimi nie tak. Ciągłe otwiera je wiatr, nawet kiedy zamykam je na klucz – powiedział Johnny.

Viv wciąż nie mogła się pozbierać po informacji o śmierci Tracy. Odprowadziła Johnny'ego wzrokiem, usiadła przy biurku, sięgnęła do torebki

po notatnik i zapisała:

29 listopada

Drzwi do sto trójki znowu zaczęły się otwierać. Wygłupy telefoniczne. Nikogo tu nie ma. Tracy Waters nie żyje.

Duchy dziś nie śpią. Są niespokojne. Myślę, że wkrótce się to skończy. Wybacz mi, Tracy. Zawiodłam.

Rozległ się warkot silnika. Ktoś wjechał na parking. Kierowca trzasnął drzwiami i po chwili wszedł do recepcji. Jamie Blaknik. Jak zwykle w dżinsach i spranej koszulce pod bluzą, na którą narzucił dżinsową kurtkę. Jak zwykle z potarganymi włosami.

– Cześć, grzeczna dziewczynko – rzucił. – Dałabyś pokój.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Był taki prawdziwy. Jego obecność wyrwała ją z otępienia. Pachniał zimnym jesiennym powietrzem i papierosami. Niesforny kosmyk włosów opadał mu na czoło. Jamie sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągnął kilka banknotów ze zwitka i położył je na kontuarze. Podsunął sobie księgę, wziął długopis i nabazgrał swoje nazwisko.

– Spokojna noc, co nie? – zagadał, pisząc.

– Tak.

Odłożył długopis i uśmiechnął się do Viv. Poczwała w piersi ciepło, które spłynęło aż do brzucha. Nie pamiętała, kiedy ostatnio zrobiło jej się tak przyjemnie – może gdy uśmiechnął się do niej poprzednim razem? Lubiła go takim. Niektóre dziewczyny nawet nie spojrzałyby na faceta pokroju Jamiego, ale uśmiech miał naprawdę zachwycający.

– Gapisz się na mnie – zauważył, przerywając ciszę. – Nie to, żebym miał coś przeciwko.

Zamrugła i odchyliła się na krześle. Wysunęła szufladę z kluczami.

– Przepraszam – wybąkała speszona.

– Nie szkodzi, to było miłe – powiedział, biorąc od niej klucz. – Zapukaj do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała, grzeczna dziewczynko. Zaproszenie nadal aktualne. – Odwrócił się i oddalił. Jej wzrok mimowolnie podążył za nim. Jak się poruszał... jak wyglądał w tych znoszonych dżinsach... „Umre jako dziewica” – przyszło jej do głowy.

Dziwna myśl. Przecież miała dopiero dwadzieścia lat i wcale nie zamierzała umierać.

Była dwudziesta trzecia czterdzieści pięć.

Kwadrans po północy cisza znów została zakłócona. Tym razem nie przez wiatr, który uderzał o ścianę drzwiami do sto trójki, tylko przez człowieka, który walił pięściami do drzwi jednego z pokoi.

– Helen! – rozległ się czyjś zdarty głos. – Helen!

Viv złapała torebkę i zacisnęła palce na rękojeści noża. Powoli podeszła do wyjścia i zerknęła na zewnątrz, ale widziała jedynie rozpryskujące się na betonowym chodniku grube krople deszczu. Z tego miejsca nie mogła zobaczyć hałasującego człowieka.

Przewiesiła torebkę przez ramię i ostrożnie wychyliła głowę. Na chodniku stał jakiś facet i dobijał się do sto dwunastki.

– Helen! – wrzasnął. – Ty suko, jeśli tam jesteś, otwórz te pierdolone drzwi!

Viv odłożyła torebkę. Nie potrzebowała noża, bo rozpoznała w mężczyźnie Roberta White'a, który sypiał z Helen. Na co dzień elegancki, przystojnie starzejący się biznesmen, wyglądał teraz jak zmokła kura. Przesiąknięte zimnym deszczem włosy lepiły mu się do czoła. Miał na sobie jasne, mokre do kostek spodnie od garnituru i zapinaną na suwak nylonową kurtkę. Walił do drzwi, krzyczał i przeklinał. Kiedy zauważył Viv, zamilkł, ale gdy ją rozpoznał, warknął ochrypłym głosem:

– Gdzie ona jest? W środku? Mów prawdę.

Viv pokręciła głową.

– Nie ma jej tu.

– Sranie w banię – skwitował Robert. Rozejrzał się. – Nie ma jej samochodu, ale nie pozwolę robić z siebie idioty. Mąż ją przywiózł, tak? Cholerna jędza.

Viv wytarła spocone dłonie o dzinsy. Szkoda, że Jamie poszedł do swojego pokoju. Może usłyszy i wyjrzy sprawdzić, co się dzieje.

– Panie White, to nie...

– Ach, czyli pamiętasz, jak się nazywam. – Robert obrócił się i zrobił kilka kroków w stronę Viv. – Pewnie pamiętasz każdego, kto się tu melduje, co? Znasz ich tajemnice. Moje też.

– Nic podobnego.

– Gadaj zdrowa. – Zaczął się zbliżać. – Od początku wiedziałaś? Helen ci powiedziała? A może sama się domyśliłaś? – Zobaczył minę Viv i pokręcił głową. – Nie, nie powiedziała ci. Jest zbyt przebiegła. Po co miałyby opowiadać o planie szantażu byle recepcjonistce?

Szantażu? Viv wyobraziła sobie Helen, jej swobodną pewność siebie i modną krótką fryzurę. Przypomniała sobie słowa Marnie: „Cholera, zimna jak lód”. Oraz: „Zanosi się na to, że suka dostanie kopa w dupę. I za co? Za parę nocek z White’em?”.

– Nic nie wiem o żadnym szantażu – powiedziała Viv. Skoro Helen zamierzała szantażować Roberta, to po co jej mąż wynajął Marnie, żeby ją śledziła?

– Nic nie wiem o żadnym szantażu – powtórzył drwiąco Robert. – Uważaj, bo uwierzę! Jesteś taka niewinna, co? Siedzisz za tym swoim biureczkiem i patrzysz, jak robią faceta w chuja. Tak, dobrze słyszałaś. Helen i jej mąż wywijają mi numer, a ty oglądasz to sobie jak serial w telewizji. „O, tu jest scena, w której ona zwabia go do hotelu. A tutaj, jak ktoś robi im zdjęcia”. – Nagle zaświtała mu myśl. – Kto nas fotografował? Kto zrobił te jebane zdjęcia i wysłał je do mojego biura? Ktoś w tym motelu, prawda? – Kolejny krok w jej stronę. – Może nawet ty?

Viv kręciła głową. Wszystko jej się pomieszało. Sądziła, że to Helen jest śledzona, że to ona straci małżeństwo i wygodne życie. Tymczasem Helen z mężem zmówili się, że zdobędą zdjęcia stanowiące dowód zdrady Roberta i będą go szantażować. Skoro chcieli go wrobić, nic dziwnego, że skorzystali z pośrednika, aby zatrudnić Marnie – żeby Marnie nie miała pojęcia, po co tak naprawdę uwiecznia schadzki w Sun Down.

Viv nie zamierzała nikomu wydać Marnie, a już na pewno nie temu rozjuszonemu facetowi.

– Nie zrobiłam tych zdjęć – powiedziała zaskakująco opanowanym głosem.

Nadal się do niej zbliżał. Jeszcze kilka kroków i znajdzie się w budynku; wołała nie zostawać z Robertem sam na sam w recepcji.

– Ktoś je wysłał do mojego biura – warknął. – Asystentka dała mi kopertę. Na Boga, ona pracuje dla mnie z dziesięć lat. Gdyby zobaczyła, co było w środku, byłbym skończony... No ale przecież Helen o to chodziło, prawda? Żeby moja asystentka zobaczyła zdjęcia i list.

Viv dotknęła dłonią ramy drzwi. Może zdołałaby się schować i przekręcić klucz w zamku, zanim by ją dogonił.

– Ale to za mało dla zachłannej Helen – ciągnął. – Chciała czegoś więcej. Musiała zadzwonić do mojej żony i powiedzieć, że ją zdradzam. Do mojej cholерnej żony. Wracam do domu, a ta zapłakana. Mówię jej, że to nieprawda, a ona mi nie wierzy. Wyprowadziła się do siostry i zabrała ze sobą dzieci. Wszystko z powodu jednego pieprzonego telefonu.

Kipiał ze wściekłości. Tymczasem Viv zmroziło. Padł na nią blady strach. „To ja dzwoniłam – pomyślała. – Ja”. Miała wrażenie, jakby słowa, które sekundę wcześniej przyszyły jej do głowy, unosiły się nad nią w powietrzu jasne i czytelne. Zaciśnęła usta, żeby ich nie wypowiedzieć.

– Mam jej cholerne pieniądze – wychrypiął Robert. – Kazała mi przyjść do pokoju sto dwanaście, ale mówisz, że jej tam nie ma. Dlaczego nie zjawiła się po forszę? Przecież od początku tylko o nią jej chodziło. Musi gdzieś tu być. Chyba że kłamiesz, ty mała suko.

Był szybki. Liczyła, że zdąży się uchylić, ale nie dała rady. Robert chwycił ją mocno za rękę i pociągnął, pozbawiając równowagi. Pchnął ją na winylowy siding i szarpnął ją jak szmacianą lalką. Viv uderzyła tyłem głowy o ścianę. Otworzyła usta, ale Robert ubiegł ją i zaciśnął swoją silną, męską dłoń na jej szyi. Widziała, że jest gotów na wszystko.

– Nie krzycz – wysyczał.

Wzmocnił uchwyt. Z trudem łapała powietrze.

Przeszył ją surowym, pełnym furii spojrzeniem. W niczym nie przypominał normalnego, racjonalnego człowieka, którym wcześniej się wydawał. Tchnął obłądem.

– Mów prawdę albo cię zabiję – powiedział.

Viv czuła się, jakby oddech rozsadzał jej gardło.

– Nic nie wiem – wycharczała.

Ścisnął jeszcze mocniej, jego palce wbiły się w skórę.

– Myślisz, że tego nie zrobię? Że nie dam rady? Jesteśmy tu sami, ty suko. Mogę cię udusić i zostawić na parkingu i nikt się nie domyśli, że to ja.

Jej nóż znajdował się w torebce w recepcji, zaledwie dwa metry stąd – równie dobrze mogła go zostawić na Marsie. Już nigdy nie popełni tego błędu.

– Błagam, nie – zaskomlała.

– Błagam, nie – znów z niej zadrwił. – Żałosna jesteś. Im dłużej ci się przyglądam, tym bardziej jestem przekonany, że ją kryjesz. Bała się spotkać ze mną osobiście, tak? Wiedziała, że się wścieknę i zrobię jej krzywdę. Dlatego przysłała ciebie. Co ci obiecała? Że odpali ci część forsy? To kłamliwa suka, nic od niej nie dostaniesz. Też byłem taki głupi jak ty. Może powinienem cię udusić... z litości.

– Myli się pan – wydusiła Viv. Musiała go jakoś przekonać. Wyrwać się z jego uścisku i dobiec do torebki. Mając nóż w ręku, nie pozwoli, żeby to się powtórzyło. – Wszystko się panu pomyliło. Nie wie pan, o czym mówi.

Rozległ się warkot silnika i na szóstce zaśniły światła samochodu. Zbliżające się auto zwolniło, a Viv raptem uświadomiła sobie, że nawet pomimo deszczu Robert i ona – przyszpilona do ściany, unieruchomiona jedną ręką zaciśniętą na jej gardle, a drugą na nadgarstku – są doskonale widoczni w blasku lamp motelu. Ten, kto siedział za kierownicą, doskonale ich widział.

Otworzyła usta, żeby wezwać pomocy, gdy nagle dotarło do niej, że osobą w aucie jest Helen.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Robert stał plecami do drogi i nadal zaciskał palce na gardle Viv, która usiłowała złapać oddech, jednocześnie bezgłośnie błagając Helen o pomoc.

Twarz kobiety w samochodzie nie wyrażała żadnych emocji. Helen wcisnęła pedał gazu i odjechała szóstką.

– Nie! – wychrypiała Viv, próbując się oswobodzić.

– Zamknij się – powiedział Robert. Puścił jej rękę. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął kopertę. – Masz – warknął. – Zabieraj tę jebaną forszę. Ona i jej mąż to teraz twój problem. Przekaż tej suczej gębie, że jeśli znów ją zobaczę, to zabiję. Gołymi rękami. Wiesz, że potrafię.

Chwycił za kołnierz swetra Viv, pociągnął do dołu i wsadził tam kopertę. Poczwała chłodny dotyk papieru na nagiej skórze. Rogi koperty podrapały jej piersi. W ciszy nocy było słycać tylko ciężkie oddechy i szelest papieru pod swetrem.

Potem, wciąż ściskając ją za gardło, Robert szarpnął nią do przodu, tak że straciła równowagę, i wykorzystał impet do tego, by popchnąć ją na ziemię. Wylądowała twardo na plecach, uderzając ręką i tyłem głowy o beton. „Tak samo to wyglądało z Victorią Lee – pomyślała, gdy nagle pojaśniało jej przed oczami. – Upadła na ziemię, kiedy biegła w deszczu”. A Betty Graham?

„Miała dużo siniaków, jakby zaciekle walczyła”. Viv zastanawiała się, czy również na jej ciele policja odnajdzie ślady walki.

Na galerii otworzyły się drzwi. Jedne, potem drugie i kolejne.

Robert White pochylił się nad Viv i chwycił ją za kurtkę. Próbowwała się opierać, ale był od niej dużo silniejszy. Otworzyła usta, żeby krzyknąć.

– Zechce pan wybaczyć.

White wzdrygnął się zaskoczony. Głos był spokojny i należał do mężczyzny stojącego dwa, trzy metry od rozgrywającej się sceny. Kiedy White odwrócił głowę, Viv odepchnęła się piętami, szorując plecami i łokciami po betonie, i dopiero wtedy zobaczyła, kto przeszkodził napastnikowi. Zamarła.

Na skraju parkingu stał Simon Hess. Zostawił samochód kilka metrów dalej, prawie pod ociekającymi wodą drzewami. Miał na sobie ciemnoszary płaszcz, w ręku niewielką walizkę, a na twarzy wyraz całkowitego opanowania; o jego konsternacji świadczyło jedynie lekkie ściągnięcie brwi.

– Czy pan napastuje tę młodą damę? – spytał White’a takim tonem, jakby komentował pogodę.

White wypiął pierś i nadał czerwone ze złości policzki. Spojrzał Hessowi w oczy.

– To prywatna sprawa – oznajmił.

Hess popatrzył na Viv, a potem znów na White’a. Jego mina nie wyrażała żadnych emocji.

– Zdaje się, że ona tu pracuje – zwrócił się do White’a, ignorując Viv. – Potrzebuję pokoju.

– Nie pański interes – dorzucił White do wcześniejszej deklaracji.

– Oczywiście. Co nie zmienia faktu, że potrzebuję pokoju. Byłbym wdzięczny, gdybyśmy zeszli z deszczu i gdybym dostał pokój. Jestem bardzo zmęczony, to był naprawdę długi dzień.

Viv nie mogła oderwać od niego oczu. Od tych gładko przyczesanych włosów, od wielkiej, sprawnej dłoni, w której trzymał rączkę walizki. Tracy Waters leżała martwa w rowie, a jej rodzina tonęła w rozpacz. „Jestem bardzo zmęczony, to był naprawdę długi dzień”.

White wygładził przód kurtki. Przez Viv przetoczyła się gwałtowna fala paniki. „Nie zostawiaj mnie z nim samej – błagała w myśli człowieka, który ją

napadł. – Proszę, nie odchódź”.

– Nic tu po mnie – rzucił White. Spojrzał na leżącą na ziemi moką, zmarzniętą Viv. – Na twoim miejscu trzymałbym, kurwa, głowę na kłódkę. – Przystąpił nad nią, jakby była śmieciem, i poszedł do samochodu. Po chwili usłyszała warkot silnika i zobaczyła pręgi światła na ścianie motelu.

Przed oczami Viv zmaterializowała się ręka. To Simon Hess chciał pomóc jej wstać.

Odruchowo odsunęła się od niego jak od White’a. Wsunęła stopy pod siebie i dźwignęła się z betonu. Była podrapana, poobijana i cała mokra. Koperta wciąż tkwiła pod jej swetrem i szorowała po skórze. Viv strzepnęła piach i żwir z dłoni. Hess czekał.

– Mogę pokój? – przypomniał po chwili.

Mogła zacząć krzyczeć. Mogła pobiec do pokoju Jamiego i załomotać w drzwi.

– Pamięta mnie pani? – spytał Hess i lekko się uśmiechnął. – Komiwojażer. Ten, który nie rzuca się w oczy.

„Nie pokazuj mu, że się boisz”.

– E... – wychrypiała. Była niemal wdzięczna White’owi za napaść, bo przynajmniej nie musiała udawać przerażenia. – Pamiętam – wydusiła.

– To dobrze. Potrzebuję pokoju na dziś, być może również na jutro. Czekam na telefon. – Znow się uśmiechnął. – Jak zwykle.

– W porządku. – Pomyślała o nożu w torebce. Gdyby zaczęła teraz krzyczeć, Hess gotów był zaatakować tutaj, w ciemności. Ruszyła do recepcji, starając się trzymać z daleka od Hessa. Czowała pieczenie w łydce i ból w kostce, kiedy przenosiła na nią ciężar, przez co lekko utykała.

Hess poszedł za nią.

– Nic pani nie jest?

– Nie.

– Właściwie nie musiałem się wtrącać – powiedział. – Wiem, że trzyma pani klucze w szufladzie. Ale uznałem, że tak nie można, trzeba się przecież zameldować, jak należy. – Zamilkł. – Chyba bardzo go pani rozzłościła.

– Tak, bardzo. – Viv weszła do recepcji i od razu złapała torebkę. Przycisnęła ją do piersi, jakby była dla niej najcenniejsza; koperta zaszeleściła

pod ubraniem. Miała rozwiązany but i sznurówka wydawała nieprzyjemny, mokry dźwięk przy każdym uderzeniu o tanią wykładzinę.

Viv usiadła za biurkiem. Hess odstawił walizkę.

Zdrętwiałą dłonią otworzyła szufladę i wyjęła klucz do dwieście dwunastki na górze. Drugą rękę cały czas trzymała na torebce, którą położyła na kolanach. Była gotowa w każdej chwili wyszarpnąć nóż.

Przesunęła klucz po kontuarze. Hess zerknął na jej zadrapania.

– Ma pani rozciętą skórę – skomentował. – Proponuję to czymś odkazić.

– Tak – odparła krótko. Wbijając spojrzenie w biurko, ale zmusiła się, żeby popatrzeć komiwojażerowi w oczy.

Hess wpatrywał się w nią w niekorzystnym świetle lamp fluorescencyjnych.

– Skądś panią kojarzę – powiedział.

Lodowaty dotyk paniki zaczął sunąć po jej kręgosłupie.

– Zapewne stąd – zauważyła trzeźwo. – Sam pan mówił, że zatrzymywał się już u nas.

– Tak, tak. – Pokiwał głową. – To prawda. Ale nie, znam panią z innego miejsca. – Znów obdarzył ją tym uśmiechem, od którego dostała gęsiej skórki. – Zastanowię się i dam pani znać. Nigdy nie zapomnę twarzy, zwłaszcza pięknych kobiet.

Krzyk cisnął jej się do gardła, ale wiedziała, że Hess spodziewa się takiej reakcji. Próbowała odpowiedzieć uśmiechem, zamiast którego wyszedł jej upiorny grymas. Hess chyba nie zwrócił uwagi.

– Dziękuję. Ale myślę, że jednak stąd. W każdym razie ja nigdy pana nie widziałam poza motelem.

Hess zawahał się, jakby jej nie wierzył, ale nie bardzo wiedział, co powiedzieć. „Nie draż – pomyślała Viv. – Przynajmniej na razie”.

W końcu spojrzął na klucz i odczytał numer.

– Dwieście dwanaście. Nie ma to jak w domu. Dobranoc.

– Dobranoc – zdołała wydusić. Hess oddalił się, zamykając za sobą drzwi.

Po jego wyjściu siedziała przez dłuższą chwilę w milczeniu i usiłowała zapanować nad paniką. Na galerii trzasnęły drzwi. Jedne, drugie i kolejne.

– Betty – powiedziała głośno Viv. – On tu jest.

Cisza.

Zerknęła do książki i zobaczyła, że Hess się nie wpisał.

Sięgnęła za kołnierz swetra i wyjęła kopertę. Otworzyła ją. W środku znajdował się gruby plik banknotów. Setki, może tysiące dolarów.

Nie wydawały się Viv prawdziwe. Wyglądały jak fałszywki, pieniądze z Monopolu. Ich liczba była dla Viv oszałamiająca. Niesamowite, że Helen zadała sobie tyle trudu, żeby zdobyć tę forszę, a mimo to odjechała bez niej. Czy zamierzała po nią wrócić? Widziała Viv z Robertem i widziała też minę Viv – na pewno się domyśliła, że Viv wie o szantażu, i być może założyła, że ma pieniądze.

Viv schowała kopertę w szufladzie z kluczami. Może Helen sama zjawi się po odbiór, a może przyjedzie jej mąż, kimkolwiek był. Viv nie chciała tej forsy. Nadal trzęsły jej się ręce. Nie, nie będzie teraz o tym myślała. Zamknęła szufladę.

Poczuła gryzący zapach gęstego dymu z papierosa. Światło zamigotało.

Wstała i podeszła do drzwi. Na tle ciemności zalegających nad szosą numer sześć zobaczyła, jak znak Sun Down gaśnie z przenikliwym „zzzyt” i po chwili znów się zapala, by bez końca obwieszczać: „WOLNE POKOJE. KABLÓWKA!”.

Tracy Waters nie żyła. Jej morderca nocował w motelu. Betty Graham była bardzo, bardzo niezadowolona.

Vivian zamknęła za sobą drzwi i pobiegła na galerię.

Zaczęła od pokoju pani Bailey. Ciemno, żadnego śladu życia. Zanim zapukała do drzwi, upewniła się, że samochód kobiety stoi na parkingu.

– Pani Bailey?

Brak odpowiedzi. Ile razy widziała, jak pani Bailey przyjeżdża do Sun Down, żeby się upić do nieprzytomności? Cztery? Pięć? Każda jej wizyta przebiegała tak samo: pani Bailey zjawiała się trzeźwa, po czym wybierała się do monopolowego. Następnie podpita wydzwaniała na recepcję z żądaniami: a to zamów taksówkę, a to przynieś lodu albo książkę telefoniczną. Bywała grubiańska; ale też potrafiła śmiać się do siebie przed rozkręconym telewizorem. W końcu, gdy osiągnęła upragniony cel i urywał jej się film, w pokoju zalegała cisza.

Viv przykleiła nos do szyby, ale przez zasłony nie mogła dostrzec ekranu telewizora. Ponownie zapukała, a potem zaczęła walić pięścią. Nadal nikt nie odpowiadał.

Na końcu galerii kliknęły i otworzyły się drzwi do dwieście jedynek, ukazując czający się za nimi pusty mrok. Po chwili to samo zrobiły drzwi do sąsiedniego pokoju.

Viv podbiegła kawałek i zaczęła się dobijać do dwieście dziesiątki, do Jamiego Blaknika. Otworzył po kilku sekundach. Zdjął dżinsową kurtkę, ale nadal miał na sobie bluzę. Spojrzał zdziwiony na Viv.

– Wszystko gra, grzeczna dziewczynko?

– Jest ktoś z tobą?

– Nie.

Łypnęła na drzwi do dwieście trójki. Kliknęły i otworzyły się. Światło znów zamigotało.

– Co się dzieje? – spytał Jamie.

Powietrze wydawało się naelektryzowane jak przed burzą z piorunami. Nagle Viv olśniło: to się skończy tej nocy. Po wielu miesiącach oczekiwania i zastanawiania się wreszcie nadejdzie koniec, jakkolwiek będzie wyglądał.

„Teraz albo nigdy” – pomyślała.

Zwróciła się ponownie do Jamiego, położyła mu dłoń na karku, stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Były ciepłe i miękkie, dokładnie takie, jak się spodziewała. Smakował gumą do żucia.

Puściła go i odsunęła się. Jamie uniósł obie brwi i uśmiechnął się krzywo.

– No proszę.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytała.

– Po czymś takim? Kurwa, jasne, że tak.

– Opuść motel – powiedziała. – Wsiądź do samochodu, odjedź stąd i nie wracaj.

– Powinienem zapytać dlaczego?

– Nie.

Przestał się uśmiechać.

– Co się dzieje?

Viv zagryzła wargę. Nadal czuła jego smak w ustach. Okropnie się bała, ale wiedziała, że wspomnienie pocałunku jeszcze przez jakiś czas będzie dodawało jej sił.

– Wydarzy się coś złego. Poradzę sobie z tym, ale lepiej, żeby cię tu nie było.

Zrobił minę, jakby rozważał, jak postąpić. Wrócił do pokoju po kurtkę. Światło znów zamigotało – i zgasło.

Kiedy się zapaliło, dwieście piątka była otwarta. Jamie stał w drzwiach i wkładał kurtkę.

– Wiesz, że ci pomogę, jeśli tylko będziesz chciała, prawda? Potrafię się bić, nieraz to robiłem.

Wyszedł, zamknął drzwi na klucz i oddał go jej. Spojrzał na pootwierane pokoje.

– Cholera, nie zostawię cię z tym.

– Musisz stąd odjechać. Ale możesz zrobić dla mnie jedną rzecz.

– Zrobię wszystko. Mów.

Powiedziała mu.

Była pierwsza w nocy.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Po odjeździe Jamiego w motelu zaległa złowieszcza cisza. Wiatr się wzmagał, hulał po parkingu i kołysał nagimi koronami drzew. Viv siedziała za biurkiem pod migającymi lampami.

Jeżeli Jamie wywiąże się z obietnicy, to, na co czekała, wydarzy się lada moment.

Zabrzączał dzwonek. Viv aż podskoczyła. Spojrzała na aparat i poczuła kropelki potu na karku. Przestraszyła się, mimo że telefon był przecież częścią planu.

– Halo? – odezwała się inaczej niż zawsze, kiedy odbierała połączenia w recepcji.

Odpowiedziała jej cisza. Nie dzwoniła osoba, której Viv się spodziewała. Wychwyciła czyjś niezbyt głośny oddech. Ktoś słuchał i czekał.

Standard w Sun Down. „Dzieciaki – narzekali pozostali recepcjoniści. – Nastolatki. Serio nie mają nic lepszego do roboty?”

Jak mogła być taka głupia? Odgłos w słuchawce w niczym przecież nie przypominał komicznego lubieżnego dyszenia, w którym lubowali się nastoletni dowcipnicy. Po drugiej stronie był żywy człowiek – ktoś, kto po prostu chciał porozmawiać, ale nie mógł.

– Betty?

Wciąż ten sam oddech. Żadnej przerwy, żadnego zawahania.

– On tu jest. – Głos Viv wypełnił ciszę. – Wiem, że to cię denerwuje. Złościsz się i robisz się smutna. Ale zajmę się tym, obiecuję. Zajmę się tym jeszcze tej nocy.

Nadal nic, tylko oddech.

– Obcuje z tym tak długo, że chyba nie mam już własnego życia – przyznała Viv. – Zresztą nawet nie wiem, czy chcę je mieć. Nie dostrzegam

w tym sensu. A ty?

Czy na krótką chwilę rytm oddechu uległ zmianie? Nie była pewna. Nie wiedziała, czy to, co mówiła, w ogóle docierało na drugą stronę. Ale i tak chciała to powiedzieć.

– Przepraszam. Tak strasznie mi przykro. Wątpię, żeby komukolwiek było tak bardzo przykro z twojego powodu jak mnie. Patrzyłam na twoje zdjęcie i myślałam, że mogłaś być mną. Mogłaś być którąkolwiek z nas. Nie zasłużyłaś na swój los, żadna z nas nie zasłużyła. To nie w porządku. Nie wiem, co mogłabym zrobić poza próbą naprawienia tego. Obawiam się, że zapłacę za to najwyższą cenę, ale jest mi wszystko jedno. Nie ma to dla mnie znaczenia.

Wciąż cisza. Miała wrażenie, że ktoś słucha, chociaż z pozoru nic na to nie wskazywało. Po prostu czuła to.

– Chyba tylko tak zdołam wszystko naprawić – powiedziała. – Nie znam innego sposobu. Muszę złożyć za was ofiarę z kogoś nieistotnego... z siebie samej. Tylko tak zdołam go powstrzymać. Wiem, kim on jest, i zdaję sobie sprawę, że w jego przypadku nie zadziałają żadne półśrodki.

Oddech nagle przeszedł w westchnienie, a ono – w wydyszane słowo:

– Uciekaj.

Połączenie zostało przerwane.

Viv odłożyła słuchawkę, ale nie zdążyła jej puścić, gdy aparat znów zadzwonił. Odebrała.

– Halo?

– Pokój dwieście dwanaście. – Znajomy głos.

Viv nacisnęła odpowiedni guzik i przełączyła rozmowę. Przycisk rozświecił się z cichym kliknięciem. Czekwała ze słuchawką przy uchu.

– Tak? – odezwał się Simon Hess.

– Wiem, kim jesteś – powiedział dzwoniący. – Wiem, co zrobiłeś.

Milczenie.

– Nie rozumiem, o co chodzi – odparł Hess.

– Ależ rozumiesz. – Viv przymknęła oczy. Jamie Blaknik znakomicie wczuł się w kwestie, o powtórzenie których go poprosiła. – Dzwonię z automatu na rogu Derry Road i Smith Street. Spotkajmy się tam. Widziałem

cię z Tracy. Jeśli nie zjawisz się za dwadzieścia minut, powiem wszystkim, co widziałem i co wiem. Nie tylko o Tracy. O innych także.

Cisza. Viv wstrzymała oddech. Oto chwila prawdy.

– To ty mnie śledziłeś, prawda? – zapytał w końcu Hess.

– Byłem w Plainsview i widziałem, jak się jej przyglądasz – powtórzył Jamie słowo w słowo tak, jak mu podyktowała. – Widziałem cię po występie chóru. Wiem wszystko. Ludzie się dowiedzą.

– Co to ma być? Szantaż? Wydaje ci się, że wyciągniesz ode mnie pieniądze?

Viv mocno zagryzła wargę, żeby się nie rozpłakać. „Miałam rację – pomyślała. – Bałam się, zwariowałam, ale miałam rację”.

– Nie dowiesz się, czego chcę, dopóki się nie spotkamy – powiedział Jamie. – Jesteś tu za dwadzieścia minut albo idę na policję. – Rozłączył się.

Jeszcze przez chwilę słyszała oddech Hessa, a potem on też odłożył słuchawkę. Viv siedziała ze ściśniętym gardłem i z piekącymi oczami.

Nie minęła nawet minuta, jak usłyszała warkot silnika na parkingu. Podeszła do drzwi i zobaczyła, że Hess odjeżdża spod motelu. Została całkiem sama w Sun Down, jeśli nie liczyć zamroczonej alkoholem pani Bailey.

Odczekała piętnaście sekund dla pewności, że Hess nie zmienił zdania, po czym otworzyła dolną szufladę biurka i zaczęła w niej grzebać, aż znalazła to, czego szukała: klucz opatrzony przywieszką „UNIWERSALNY”. Janice pokazała go Viv pierwszej nocy. „Przyda ci się, jeśli ktoś zemdleje albo umrze w pokoju”.

Viv wyjęła klucz, wstała, podeszła do drzwi i zawahała się. Cofnęła się, sięgnęła do torebki i wyciągnęła nóż w skórzanej pochwie. Schowała go pod bluzę. Już raz wyszła na zewnątrz nieuzbrojona i niewiele brakowało, by źle się to skończyło. Drugi raz nie popełni tego błędu.

Opuściła recepcję i szybkim krokiem ruszyła w stronę schodów. Dobrze, że Jamie zgodził się wykonać telefon – Hess nigdy nie uwierzyłby kobiecie; szantażystą, mózgiem, który dopasował wszystkie elementy morderczej układanki, mógł być w jego mniemaniu wyłącznie mężczyzna. Gdyby zadzwoniła kobieta, zwyczajnie by się rozłączył – a potem przypomniałby sobie, gdzie widział Viv.

Poprosiła więc Jamiego o przysługę i ten doskonale się z niej wywiązał. Za cenę pocałunku? Opłacało się.

Viv weszła po schodach i zatrzymała się przed dwieście dwunastką. Włożyła klucz do zamka i przekręciła. Pokoje na galerii były zamknięte, jakby Betty po sobie posprzątała. Ale kiedy Viv pchnęła drzwi, światło znów zamigotało.

Pokój wyglądał identycznie jak wszystkie pozostałe w motelu: łóżko, szafka nocna, nieduża komoda. W kącie stał wyłączony telewizor – a w nim reklamowana na znaku przy wjeździe KABLÓWKA! Na łóżku leżała niewielka walizka, którą przywiózł ze sobą Hess. Była zamknięta. Żaden znajdujący się na wyposażeniu pokoju przedmiot nie został nawet tknięty. Jakby Hess zameldował się, przyszedł tutaj, usiadł i nic nie robił aż do telefonu Jamiego.

„Co się dzieje w jego głowie? – zastanawiała się Viv. – Wszystko? Nic?” Hess zabił Tracy tego ranka albo wieczorem dzień wcześniej. Miał jej śmierć świeżo w pamięci. Czy ponownie przeżywał to, co zrobił? A może zdążył już o tym zapomnieć?

Viv podeszła do walizki i pstryknęła zatrzaski. Włączyła stojącą na szafce nocnej lampkę. W walizce znajdowały się starannie złożone ubrania: koszule, krawaty, a także szczoteczka do zębów i przybory do golenia. Wszystko schludne i czyste. Jeżeli liczyła na zakrwawione ciuchy i narzędzie zbrodni, to się zawiodła. Sęk w tym, że sama nie wiedziała, czego szuka.

Na dnie walizki leżała przewiązana sznurkiem teczka pełna dokumentów. Wyciągnęła ją i zaczęła przeglądać: powielone harmonogramy, mapki, pokwitowania za transakcje.

Wśród papierów znalazła plan części Plainsview. Mapa obejmowała siatkę ulic i kwadraty domów. W każdym kwadracie Hess napisał numer oraz umieścił odpowiedni symbol – nietrudno było się domyślić ich sensu: X tam, gdzie mu odmówiono; O tam, gdzie nikogo nie zastał; Y tam, gdzie udało mu się coś sprzedać.

Na kwadracie odpowiadającym lokalizacji domu Tracy nie widniał żaden symbol. Co to oznaczało? Viv przerzucała strony z nadzieją, że znajdzie coś więcej, coś konkretnego, może zdjęcia Tracy albo jakieś notatki na jej temat. Chciała zadzwonić do Almy Trent i przekonać ją do aresztowania Simona Hessa teraz, natychmiast. Tyle że Alma musiałaby poprosić o pomoc innych

policjantów, a nie zrobiłaby tego bez ważnego powodu. „Zdobądź dla mnie coś” – usłyszała w głowie głos Almy.

– Wiem – wymamrotała do niej Viv w mrocznej ciszy. – Wiem, że byś pomogła, gdybyś miała taką możliwość. Po prostu nie rozumiesz. A Tracy nie żyje.

Na dnie teczki znajdowała się druga mapa, narysowana odręcznie ołówkiem na kartce w kratkę. Viv podniosła ją pod światło i zobaczyła rząd domów, ścieżkę pomiędzy dwoma budynkami, a na jej końcu kwadrat opisany jako „park”. Wzdłuż budynków po drugiej stronie parku zawijała alejka w kształcie litery C. Viv obracała kartką to w jedną, to w drugą stronę, starając się rozpoznać naszkicowany układ. Przypominała sobie ulice, przy których mieszkały Cathy, Tracy, Victoria; mapa nie pasowała do żadnej z nich.

Co przedstawiała? Drogę do kolejnej ofiary, o której Viv nie wiedziała? Czy to w ogóle fragment Fell? Brakowało nazw ulic. Odwróciła kartkę na drugą stronę, ale tam też nie znalazła nic, co pomogłoby jej rozwiązać zagadkę.

Była pewna, że ta mapka coś oznaczała – tylko co?

– Jestem blisko – powiedziała do siebie, do Almy, do Betty. – Jestem tak cholernie blisko.

Ponownie przejrzała dokumenty. Potem jeszcze raz przetrząsnęła walizkę, zajrzała między ubrania. Zaczęła krążyć po pokoju: sprawdziła zawartość kosza, wysunęła szuflady w komodzie i szafce nocnej. Wszędzie pusto. Poszła do łazienki. Ciemna, cicha, nietknięta. Powiodła wzrokiem po zasłonie prysznicowej i wiszącym na drążku cienkim ręczniku.

Światło znów zamigało, szybko, kilka razy z rzędu, jakby ktoś bawił się włącznikiem. Tyle że żaden włącznik nie wywołałby takiego efektu w całym motelu.

Betty.

Ostrzeżenie.

Viv wróciła do pokoju. Sprawdziła, czy ma klucz w kieszeni. Walizka leżała otwarta na łóżku; już na pierwszy rzut oka było widać, że ktoś w niej szperał. Viv pospiesznie wygładziła ubrania i zamknęła wieko. Zatrząskiwiała właśnie klamerki, kiedy nagle usłyszała za plecami:

– Co pani robi?

Ramiona płaszcza i mankiety spodni Simona Hessa były mokre od deszczu. Światło stojącej na szafce nocnej lampki podkreślało spokojne, regularne rysy jego twarzy. Viv dopiero teraz zobaczyła, że ma brązowe oczy. Sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego.

Poczuła się, jakby coś skręcało jej wnętrzności, krew szumiała w uszach, wszystkie zakończenia nerwowe w ciele Viv ostrzegały ją przed niebezpieczeństwem.

– Prze-przepraszam – wyjąkała odruchowo.

Hess popatrzył na walizkę, którą właśnie zamykała, potem na twarz Viv.

– To byłaś ty – odezwał się cicho głosem pełnym zaskoczenia.

Viv zostawiła walizkę i odwróciła się do Hessa. Stał w drzwiach, tarasując przejście; nie miała jak uciec.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Oczywiście, że wiesz. – Wszedł do środka. W tej samej chwili Viv usłyszała znajome kliknięcia i uderzenia drzwi na galerii. Gdy Hess zamknął za sobą pokój i uwięził w nim Viv, odgłosy nagle ucichły.

– Nie wiem – upierała się. Czuła kropelki zimnego potu na skórze.

– W takim razie co tu robisz? – spytał łagodnie jak lekarz albo nauczyciel, ale Viv widziała, że zrobił się czerwony na twarzy. Był wściekły. – Dlaczego grzebiesz w moich rzeczach? To ty byłaś na przystanku. To twoje ślady znalazłem w ogrodzie.

Nie była w stanie oderwać od niego wzroku. Z tak bliskiej odległości wyraźnie widziała ciemną szczecinę zarostu na jego brodzie i szyi. „Ale rżysko” – mawiała matka, kiedy ojciec się nie ogolił. Rodzice byli teraz bardzo, bardzo daleko.

Bała się i zarazem jakby nie czuła strachu – wiele tygodni śledzenia Hessa chyba po prostu przygotowało ją na tę konfrontację.

– Zadzwoń na policję – powiedziała. – Zabił pan Tracy.

Zero reakcji.

– Komu powiedziałaś?

Pokręciła głową.

– Nikomu.

– A jednak komuś. Na przykład temu chłopakowi, który do mnie zadzwonił. Powiedziałaś mu. Musiałaś to zrobić, kiedy prosiłaś go, żeby skłamał po to, by wywabić mnie z pokoju.

Podkreślił słowo „kłamać”, jakby miało szczególne znaczenie. Jakby raziała go nieuczciwość, której Viv się dopuściła. Popatrzył na nią z obrzydzeniem, przez co Viv poczuła, jak wzbiera w niej kolejna fala złości i rozpała policzki.

– Jesteś wściekły, bo cię przyłapałam – wygarnęła. – Myślałeś, że nikomu się to nie uda, a jednak!

– Mylisz się – syknął. – Jeszcze mnie nie przyłapałaś. Dzwon na policję, jeśli chcesz. Co możesz udowodnić?

– Widziałam cię z nią. – Była rozjuszona, rozsierzona. – Widziałam cię z Tracy. Obserwowałeś ją. Śledziłeś. Dlaczego jej to zrobiłeś? – Gniewne, nieroztropne słowa, których nie potrafiła powstrzymać, bo zbyt długo tłumiała je w sobie. – W niczym ci nie zaszkodziła. Żadna z nich nie wyrządziła ci krzywdy. Dlaczego musiałeś ją zabić? I po co tu wracasz?

Sąsiedni pokój nagle otworzył się z hukiem i do drzwi dwieście dwunastki coś załomotało. Jedno miękkie uderzenie, potem drugie i kolejne. Jakby ktoś walił otwartą dłonią.

– Pomóż mi – rozległ się zachrypły kobiecy głos. – Pomóż!

Viv zmroziło. Nigdy w życiu nie słyszała czegoś tak przerażającego i zarazem przygnębiającego. Błagalny ton kogoś, kto wie, że umiera – że po długiej walce zbliża się koniec, a wraz z nim ostateczna przegrana.

– Pomóż! – Chropawy wrzask i coraz słabsze uderzenia o drzwi.

Viv spojrzała na Hessa i zobaczyła błogi uśmiech na jego twarzy.

– Betty – powiedział. – Dlatego tu przyjeżdżam. Dla niej. Nie potrafię... Staram się wytrzymać bez niej jak najdłużej, ale i tak zawsze wracam.

Krzyk przeszedł w zawodzący szloch.

– Pomóż mi. Proszę. Błagam.

„Tak brzmiał jej głos, kiedy ją dręczył” – pomyślała Viv.

„Co to znaczy, że doszło do naruszenia integralności cielesnej?”

– Zamknąłem ją w bagażniku – powiedział Hess spokojnym głosem będącym przeciwieństwem histerycznego łkania Betty. – Liczyłem, że będzie cicho, ale pomyliłem się. Nie była cicho, o nie. – Pokręcił głową. – Już nigdy

więcej nie popełniłem tego błędu. Nauczyłem się. One nigdy nie milną wtedy, kiedy ci na tym zależy.

Viv wróciła pamięcią do zdjęcia Betty, do tej opanowanej i pewnej siebie osoby. Była nauczycielką. Gazety określały ją mianem „starej panny”, mimo że w chwili śmierci miała dopiero dwadzieścia cztery lata.

– Dlaczego właśnie ona?

– Kochałem ją – wyjaśnił Hess. – Nigdy niczego nie kochałem, ale ją... tak. Chciałem, żeby to zrozumiała.

Betty wrzeszczała i tłukła w drzwi. Hess się uśmiechnął. Przypomniało mu się, jak ją wiozł. Krzyczała i waliła rękami o pokrywę bagażnika. Dla niego to brzmiało jak rozkoszna melodia. Viv zrobiło się niedobrze i przez chwilę myślała, że zwymiotuje.

Podeszła do drzwi. Wyminęła go, ocierając się o niego ze wstrętem, ale nawet się nie poruszył.

– Co robisz? – spytał.

– Wpuszczam ją – odparła. Położyła dłoń na gałce, tak lodowatej, że Viv miała wrażenie, jakby przywierała do niej skóra, i szarpnęła. Do środka wpadł podmuch zimnego, wilgotnego powietrza.

Na galerii było pusto. Za to po zewnętrznej stronie drzwi, na starej, odpryskującej farbie widniały krwawe odciski. Viv rozcapierzyła palce i zbliżyła je do jednego ze śladów. Poczowała chłodny dotyk krwi. „Zupełnie jak prawdziwe” – przyszła jej do głowy szalona myśl. Dłoń Viv idealnie pasowała do kształtu dłoni Betty.

„Uciekaj” – mówiła Betty, stojąc przed maską auta, gdy Viv kulila się za fotelem. „Uciekaj”.

Mogła to zrobić. Drzwi był otwarte. Hess oczywiście rzuciłby się w pogoń i ją dogonił. Był starszy i mniej zwinny, ale to przecież łowca, który wiele razy ścigał zwierzynę. Ile? Tego Viv być może nigdy się nie dowie. Dorwie ją, a wtedy zostanie jego kolejną ofiarą.

Pomyślał o tym samym.

– Wybierasz się dokądś? – zapytał łagodnie. Przecież widział, że stała w otwartych drzwiach gotowa do ucieczki.

Dałaby radę. Zbiegłaby po schodach, dotarła do samochodu, odjechała stąd – oddaliłaby się od tego miejsca i tego mordercy. Poszłaby na policję.

I cóż by to dało?

Nic by z tego nie wyniknęło. Nikt by jej nie uwierzył. Ludzie widzieliby w Simonie Hessie porządnego, przestrzegającego prawa obywatela niesłusznie oskarżonego przez jakąś wariatkę. I wszystko zaczęłoby się od nowa.

Albo zabiłby ją i uszłoby mu to na sucho. Znowu.

Cofnęła się i odwróciła.

– Nie – powiedziała. – Nigdzie się nie wybieram.

Wydarzyły się trzy rzeczy.

Zgasły wszystkie światła, łącznie ze znakiem przy zjeździe, i cały motel pogrążył się w ciemności.

Betty wrzasnęła.

Viv wyjęła spod bluzy nóż, wysunęła ostrze z pochwy i zatopiła je w piersi Simona Hessa.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Było zaskakująco trudno. Wrażenie noża w pierś mężczyzny porównałaby do przebicia grubego kartonu. Ostrze musiało pokonać warstwy ubrań, przeciąć skórę i zagłębić się w mięśniach. Udało jej się, bo napędzała ją adrenalina. Viv czuła się, jakby przebywała poza własnym ciałem. Była odrętwiała i zarazem pełna siły. Przerażona – i spełniona.

Przez otwarte drzwi wpadał wyjący wiatr. Na tonącej w mroku galerii rozległ się tupot stóp. Ktoś biegł w stronę schodów.

– Dorwałaś go! – zakrzyknął chłopiec. – Dorwałaś go!

Było tak ciemno, że zupełnie nic nie widziała. Simon Hess zacharczał i zaczął się cofać. Viv puściła rękojeść sterczącego z jego piersi noża. „To się nie dzieje naprawdę” – pomyślała.

Wszystkie drzwi na galerii były otwarte i waliły o ściany. Zamrugła, próbując przebić się wzrokiem przez czerń nocy. Nie wiedziała, co robić: przystąpić do Hessa? Odsunąć się? W pustym powietrzu rozległ się głuchy odgłos, a po nim kolejny, głośniejszy. Simon Hess upadł na podłogę.

Nadal oddychał. Słyszała go. Ciężkie, powolne, rozedrgane sapanie. „W każdej chwili może przestać – pomyślała. – Może umrzeć”. Nie, jeszcze nie teraz. Uklękła i zaczęła posuwać się w jego stronę. Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności, tak że widziała już przynajmniej kształt własnych dłoni.

Wyciągnęła rękę i dotknęła czegoś twardego pod materiałem – czy to kolano? Nagle Hess złapał ją za nadgarstek i sprawił, że straciła równowagę. Jego dłoń była duża, miękka i zimna, tak mokra od chłodnego potu, że Viv prawie udało się wyslizgnąć z chwytu. Ale trzymał zbyt mocno. Szarpnął – i wylądowała na boku, uderzyła biodrem o podłogę, a głową trafiła na kant łóżka albo szafki. „Napadnięto mnie dwa razy tej samej nocy – pomyślała. – Będę cała poobijana”.

Przez kilka długich chwil mocowali się w ponurym milczeniu. Coraz bardziej słabnący Hess próbował utrzymać ją śliskimi dłońmi, a Viv wyrwała mu się, rzucała i kopała. Hess stęknął i zatopił swoje zadbane, równo przycięte paznokcie w ciele Viv. Na galerii dało się słyszeć niespieszne stukanie wysokich obcasów; rozniósł się zapach zgnilizny.

Viv wymierzyła Hessowi solidnego kopniaka i nareszcie udało jej się uwolnić. Hess opadł bez sił na podłogę i wydał świszczące tchnienie. Viv obróciła się i zaczęła po omacku przesuwając dłońmi po jego torsie. Dotknęła strużki ciepłej krwi.

– Mów – odezwała się nagłaco. – Dlaczego Betty? Czemu ona?

Wyciągnął rękę i schwycił ją za włosy, ale czuła, że uchodzi z niego życie.

– Betty była moja – powiedział chrapliwym szeptem. – Kochałem ją. Chciałem, żeby zrozumiała.

Miała tak wiele pytań. Ale wiedziała, że nie zdąży ich zadać. Znieruchomiała, gdy nagle w przypływie energii mocniej szarpnął ją za włosy.

– A Cathy?

– Córka chodziła do dentystki, u której pracowała. – Zacharczał i Viv zorientowała się, że za tym dźwiękiem kryje się obrzydliwy śmiech. – Nic dla mnie nie znaczyła. Była samotna, to się rzucało w oczy. Łatwy cel. Ciekawiło mnie, czy zdołam to znowu zrobić. Okazało się, że tak.

„Była samotna, to się rzucało w oczy”. Wspólny mianownik wszystkich ofiar. Nie kolor włosów, wiek ani budowa ciała. Betty żyła jak stara panna. Męża Cathy wiecznie nie było w domu. Victoria stale kłóciła się z chłopakiem i wpadała w złość. Rodzice Tracy nie zatrzymali jej w domu.

Viv pomyślała o dziecku Cathy, o jej zrozpaczonym mężu, o matce, z którą rozmawiała przez telefon. „To była taka kochana dziewczyna, pragnęła jedynie uczciwie zarabiać na życie i wychowywać synka. Wie pani, kto ją zabił? Potrafi pani doprowadzić to do końca?” Chwyliła Hessa za lepką od krwi koszulę. Żałowała, że nie widzi jego twarzy – i zarazem wcale nie chciała jej oglądać.

– Victoria? – spytała łamiącym się głosem.

– To była... pomyłka – wysapał i odchrząknął. Nadal trzymał włosy Viv w zaskakująco silnej garści. Była gotowa walczyć, gdyby znów chciał ją zaatakować. Trwali w tym osobliwym uścisku w ciemnościach, dzieląc się tajemnicami. – Zobaczyłem ją, kiedy opychałem jej matce zamki do drzwi.

Myślałem, że pójdzie z nią łatwo, ale się opierała. Ugryzła mnie, suczka. Poza tym miejsce było nieodpowiednie. Za bardzo odsłonięte. Musiałem zrobić to szybko, żeby ograniczyć straty.

Uduszenie nastolatki i porzucenie jej ciała w krzakach było dla niego „ograniczeniem strat”. Czubkami palców Viv dotknęła rękojeści noża wystającego z piersi Hessa. Poczowała, jak żółć podchodzi jej do gardła, i zacisnęła zęby. A może to wcale nie była żółć, tylko łzy? Zmusiła się do wypowiedzenia ostatniego nazwiska, wycodziła je ze ślepą furią.

– Tracy Waters.

Hess zakaszłał z takim odgłosem, jakby coś wypływało mu z ust.

– A jak myślisz?

– Była życzliwą, uroczą dziewczyną. Zupełnie niewinną. Miała kochającą rodzinę. W niczym ci nie zaszkodziła.

Roześmiał się.

– Chyba nie słuchałaś. Żadna z nich w niczym mi nie zaszkodziła.

– Nie była piękna – ciągnęła Viv. – Nie była seksowna ani okrutna. Nie znała cię. Była zwykłą dziewczyną. Dlaczego jej to zrobiłeś?

Wykręcił rękę i pociągnął Viv za włosy, ale czuła śmiertelne drżenie jego palców.

– Bo nikt mnie nie powstrzymał. Bo mogłem.

– Ile ich było?

Milczał. Słyszała jego oddech. Zdawała sobie sprawę, że dla niego to gra: miał coś, czego pragnęła: wiedzę, którą chciała osiąść. Łaknęła jej wręcz rozpaczliwie. „Przegapiłam jakąś ofiarę? Czy są inne martwe kobiety, o których nie wiem?”

– Mapa w twojej walizce – spytała z rosnącym zniecierpliwieniem. – Co oznacza?

Nie odpowiedział. Dręczył ją.

Pomimo stalowego uścisku, w którym trzymał jej włosy, udało się Viv zmienić pozycję. Chwyciła rękojeść noża i naparła na nią, próbowała obrócić, ale ostrze tkwiło w ciele jak w gęstym kleju. Hess stęknął z bólu.

– Mów.

Za jej plecami stukanie obcasów na betonowej podłodze galerii zmieniło się w ciche kroki na miękkiej wykładzinie. Owionęło ją lodowate powietrze.

– Betty – odezwał się Hess głosem przepelnionym strachem.

Viv usłyszała przeciągły jęk, upiorny lament nie z tej ziemi. Czy Betty ma na sobie fioletową sukienkę? Czy jej dłonie są zakrwawione? „Jak to się stało?”

– Ona cię nie kocha – powiedziała do Hessa, wpychając głębiej nóż. – Nigdy cię nie kochała. Nienawidzi cię. Nawiedza ten motel, bo tak bardzo cię nienawidzi. Wpada w szal za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżasz. A ja to czuję. Jej wściekłość budzi we mnie gniew. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Betty cię nienawidzi.

Jęczenie nie milkło, a pierś Hessa pod dłonią Viv unosiła się i opadała coraz wolniej.

– Widzę ją – wymamrotał. – Tak długo ją obserwowałem. Znam jej twarz na pamięć. Należy do mnie. Nadal jest moja.

– Nic podobnego – odparła cicho Viv. – Wręcz przeciwnie. To ty należysz do niej. Albo będziesz należał.

– Skądś cię znam – odezwał się drżącym głosem. Puścił włosy Viv i zbliżył dłoń do jej twarzy. Miał zimne, lepkie palce. – Skąd?

Viv zamarła. Dotykał ją, naprawdę ją dotykał. Napała na rękojeść noża.

W ciemności opuszki palców Hessa musnęły jej usta.

– Nie pamiętam – szepnął. – Było ich tak wiele. Znam wszystkie twarze, ale nie twoją. Którą z nich jesteś?

– Tą, której nie zabiłeś – powiedziała. Wysunęła nóż z piersi Hessa i gdy próbował nabrać bolesnego tchu, z jeszcze większą siłą wraziła ostrze w jego szyję.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Spałam czy czuwałam? Trudno powiedzieć. Znajdowałam się w jakimś ciemnym miejscu i słyszałam dzwonek swojego telefonu.

Otworzyłam oczy. Leżałam na kanapie w mieszkaniu. Przysiadłam tylko na chwilę, a przynajmniej tak mi się wydawało – i ocknęłam się z głową na podłokietniku. Nawet nie zdjęłam butów. Bolał mnie policzek i zaschło mi w gardle. Za oknem noc. Ani śladu Heather.

Jedną ręką sięgnęłam po telefon i odebrałam połączenie, a drugą zgarnęłam okulary i założyłam je na nos.

– Halo.

– Carly, to ja. Callum MacRae.

Odchrząknęłam.

– A.

– Przepraszam, obudziłem cię? Jest dopiero wpół do siódmej.

Łypnęłam na ciemności za oknem. O tej porze roku zmierzch przychodzi wcześnie.

– Nic się nie stało – powiedziałam. – Pracuję na nocki. Co tam?

– Mam dla ciebie wiadomość – oznajmił z entuzjazmem swoim niskim, przyjemnym głosem. – Dziś rano znaleziono zwłoki w starej stodole za miastem. Pamiętałem, że szukasz cioci, więc zasięgnąłem języka.

Wsunęłam palce pod okulary i potarłam oczy.

– To nie ona – powiedziałam. – Już się dowiadywałam. To ciało mężczyzny.

Zamilkł na chwilę.

– E... okej. – Roześmiał się. – Niezła jesteś. Zadzwoń do pewnej osoby i wiem, że policja w Fell ustaliła jego tożsamość i przyczynę śmierci.

– Tak szybko? – Przecież odkryliśmy trupa raptem parę godzin temu.

– Nie no, jeszcze nie wiadomo na sto procent. Ogłoszą to oficjalnie, dopiero kiedy będą pewni. Ale tak, są już wstępne wyniki badań. Może przyjedziesz tu do mnie?

– Czyli gdzie?

– Niedaleko biblioteki jest kawiarnia, nazywa się Finelli. Zamykają za godzinę albo dwie, zdążę ci przekazać wszystko, czego się dowiedziałem. Co ty na to?

Rozejrzałam się po ciemnym mieszkaniu. Gdzie się podziewała Heather? Kiedy wróciłyśmy, od razu położyła się do łóżka; może jeszcze spała? Nick mówił, że jedzie do Sun Down – też chciał się przespać.

– Carly? – odezwał się Callum.

– Tak. – Otrząsnęłam się z zamyślenia. – E... jasne. Przyjadę.

– Super. To do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Rozłączyłam się i spróbowałam rozmasować obolały kark.

– Heather?

Cisza. Włączyłam światło i zobaczyłam liścik na stole w kuchni.

Wybyłam do starszych. Muszę trochę ochłonać. Spokojnie, wzięłam leki. Nie wiem, kiedy wrócę. Zostawiłam ci prezent – prosto z czeluści internetu. Nie pytaj. Nie ma za co.

Byłam jeszcze trochę nieprzytomna, dlatego nie od razu dotarło do mnie, że Heather pojechała do rodziców. Podniosłam kartkę, którą położyła pod liścikiem. Kopia starego skanu. Lista numerów.

Przysunęłam krzesło i włączyłam lampę nad stołem. Przyjrzałam się kartce. To billing, uświadomiłam sobie. Mówiła o nim Jenny, współlokatorka Viv: „Policja dostawała długi wydruk”.

Heather zakreśliła nazwę na samej górze wykazu: motel Sun Down. Oraz daty: pierwszy do trzydziestego listopada osiemdziesiątego drugiego roku.

Przejrzałam liczby; nie było ich wiele – do i z Sun Down dzwoniło wtedy rzadko, co niewiele zmieniło się przez trzydzieści pięć lat. Niektóre połączenia oznaczono jako przychodzące, inne jako wychodzące. Na dole listy znajdowały się telefony z dwudziestego dziewiątego i pierwszych godzin trzydziestego listopada.

Tuż po pierwszej w nocy trzydziestego ktoś zadzwonił do motelu. Z listy nie wynikało, do którego pokoju zostało przekierowane połączenie ani nawet czy w ogóle je przekierowano. Heather zaznaczyła numer kółkiem i napisała przy nim znak zapytania; to oznaczało, że nie udało jej się zidentyfikować, skąd telefonowano.

Sześć minut przed drugą system odnotował połączenie wychodzące. Tu również nie było wiadomo, czy użyty aparat znajdował się w recepcji, czy w jednym z pokoi. Heather wyróżniła numer i napisała obok niego: komisariat policji w Fell.

Tamtej nocy nie było więcej połączeń.

Wpatrywałam się w numery i kombinowałam. Po pierwszej ktoś zadzwonił do motelu – może to przypadek, może zbieg okoliczności, może pomyłka. A może nie.

Tuż przed drugą ktoś w Sun Down wezwał policję.

Vivian? Simon Hess? Ktoś inny?

„Ciocia Vivian zabiła Simona Hessa” – pomyślałam.

Nie widziałam innego wytłumaczenia. Co oczywiście nie oznaczało, że nie mogłam się mylić. Nie wiedziałam przecież, co dokładnie wydarzyło się tamtej nocy w osiemdziesiątym drugim. Ale ktoś – kobieta – ostrzegł rodziców Tracy Waters przed Hessem. Tracy została zamordowana, a jej zwłoki znaleziono tego samego dnia, kiedy zniknęła Viv.

Może Hess zabił Viv, po czym sam zginął z czyjejś ręki?

Informacje od Calluma mogły pomóc mi w załatwieniu niektórych dziur w tej historii. Tożsamość nieboszczyka, którego znaleźliśmy w bagażniku samochodu w stodole, i przyczyna jego śmierci – nawet jeśli wciąż nie ostateczne – mogły się okazać ważnymi elementami układanki. Poszłam do łazienki, doprowadziłam się do ładu i włożyłam czyste ciuchy. Na telefonie czekał esemes od Grahama, ale zignorowałam go. Dawne życie wydawało mi się bardzo odległe.

Napisałam krótką wiadomość do Heather, żeby się nie martwiła. „Callum ma info z policji. Jadę się z nim spotkać”. Jak tylko nacisnęłam „wyślij”, telefon w mojej dłoni zabrzączał. Nieznany numer.

Zagryzłam wargę. Nie byłam pewna, czy powinnam odbierać.

– Halo?

– Znalazła go pani. – Głos należał do starszej kobiety i brzmiał znajomo.

– Marnie?

Westchnęła.

– Bystra z pani dziewczyna. Był dobrze ukryty, przez lata nikt się przy nim nie szwendał. Aż do teraz.

Pokręciłam głową.

– Okłamała nas pani. Ale znaleźliśmy zdjęcia stodoły. To pani je zrobiła, prawda?

Wahanie.

– Tak, ja.

– Do czego były pani potrzebne?

– Żeby móc tam trafić. Nigdy nie wierzyłam, że na zawsze pozostanie pogrzebany. Istniała ewentualność, że trzeba będzie go gdzieś przenieść, ale udało się tego uniknąć. Kiedyś to wszystko musiało wyjść na jaw, czy mi się to podoba, czy nie... więc czemu nie teraz?

– Kto go zabił? – spytałam. – Pani? Czy Viv?

– To skomplikowane.

– Wcale nie. Ktoś umieścił Simona Hessa w bagażniku i zostawił samochód w stodole. Pani? Czy Viv?

– Zatem nie znalazła pani notatnika?

Ciarki przeszły mi po plecach.

– Jakiego notatnika?

– Czeka na panią – powiedziała Marnie. – Wiele pani umyka z tej historii. Dlatego czuje się pani dezorientowana. Proszę przeczytać notatnik i wszystko stanie się jasne.

Milion myśli na sekundę. „Czeka na panią”. Co to właściwie znaczyło?

– Gdzie jest notatnik? – spytałam.

– Proszę powiedzieć... próbowała pani kupić słodczyce w automacie?

Zdumiona przypomniałam sobie maszynę. I słowa Nicka: „Nie chce mi się wierzyć, że w ogóle działa”.

– Proszę przeczytać notatnik – powtórzyła Marnie. – A potem spotkamy się u Watsona.

– Kiedy?

– Dziś w nocy. Zapewniam, że jeśli pani się zjawi, ja też tam będę – powiedziała i rozłączyła się.

Kawiarnia Finelli była jedynym jasnym punktem przy ciemnej śródmiejskiej uliczce pełnej sklepów i lokali, które zamykały się na noc. W Fell ludzie wcześniej chodzili spać – chyba że pracowali w Sun Down.

Callum siedział z kawą przy jednym z niewielkich stolików. Miał na sobie koszulę, zapinany sweter i jesienną kurtkę. Najwyraźniej lubił się ubierać na cebulę; do tego starannie przyczesywał włosy. Uśmiechnął się na mój widok.

Kiedy się przysiadłam, pokazał na swój kubek.

– Bezkofeinowa. Chcesz?

Popatrzyłam na niego, wciąż lekko półprzytomna.

– Wolalabym taką z końską dawką kofeiny.

Callum znów się uśmiechnął i dał znak kelnerce.

– No tak, przecież pracujesz na nocnej zmianie. Ta pora to dla ciebie jak poranek.

– Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, która jest godzina. Trochę jakby straciłam rachubę.

– Ciekawe – stwierdził. – I w sumie wyzwalające. – Odstawił kubek. – Reszta z nas utknęła w czasie. Wiesz, rano robisz jedno, po południu drugie, a wieczorem idziesz spać. I codziennie to samo. Tyle że przecież nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością, jest po prostu konstruktem, który sami sobie narzuciliśmy. Gdybyśmy zechcieli, moglibyśmy go zmienić.

Popijałam kawę przyniesioną przez kelnerkę i starałam się nadążyć za tym, co mówił.

– Wiele osób pracuje w nocy.

– Jasne, że tak. – Uśmiechnął się. – Dziękuję, że zechciałaś się spotkać.

Zaczynałam się budzić.

– Mówiłeś, że masz informacje.

Spojrzenie Calluma najpierw spoczęło na kubku z kawą, następnie zaczęło błądzić po kawiarni.

– Powiedzieć ci coś dziwnego?

Wtedy do mnie dotarło. Coś było nie tak. Wcześniej byłam zbyt nieobecna, zmęczona albo przytłoczona myślami, żeby to zauważyć.

– Callumie – odparłam. – Mówiłeś, że dysponujesz informacjami od źródła w policji.

– Powiedzieć ci coś dziwnego? – powtórzył. – Ale naprawdę dziwnego. Najdziwniejszą, najbardziej odjechaną rzecz, o jakiej słyszałaś.

Znieruchomiałam. Nagle uświadomiłam sobie, że kawiarnia jest praktycznie pusta, na dworze ciemno, a ja siedzę tu całkiem sama – z nim.

– Masz tę swoją wielką tajemnicę rodzinną – zaczął. Jeśli się zorientował, że poczułam się nieswojo, nie dał tego po sobie poznać. – Przejechałaś szmat drogi, żeby rozwikłać zagadkę, i poznałaś mnie w bibliotece. Tak się składa, że w mojej rodzinie istnieje podobna tajemnica. Wariactwo, co nie?

– Owszem – przyznałam powoli, odstawiając kubek.

– W mojej rodzinie też ktoś zaginął. Dziadek. Pewnego dnia pojechał do pracy i nie wrócił. Nikt go więcej nie zobaczył.

Zaschło mi w ustach. Nie, to niemożliwe.

– Babcia nawet nie zadzwoniła na policję. Szaleństwo, nie sądzisz? Według mamy babcia zawsze uważała, że dziadek porzucił ją dla innej kobiety. Czują się do tego stopnia upokorzona, że nawet nie przyszło jej do głowy zgłosić zaginięcie męża. Nigdy nie chciała o tym rozmawiać, nigdy, nawet przed pięćmioma laty, kiedy umierała. To były inne czasy.

Oblizałam usta. Przełknęłam ślinę.

Callum obrzucił mnie spojrzeniem, którego nie umiałam rozszyfrować.

– Wyobraź sobie. Spróbuj to sobie wyobrazić. Piętnaście lat po ślubie twój mąż wyjeżdża do pracy i nie wraca, a ty przechodzisz nad tym do porządku dziennego i żyjesz dalej. Udajesz, że wszystko jest w porządku i że wcale nie zniknął. Trzymasz się tego do końca życia. Nic dziwnego, że moja mama jest taka popieprzona. – Na jego ustach pojawił się sztuczny uśmiech. – Każda rodzina jest mniej lub bardziej skopana, ale naszym... twojej i mojej... należy się chyba jakaś nagroda w tej kategorii, nie uważasz?

Wpatrywał się we mnie, oczekując odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedziałam.

– Oczywiście pytałem o to mamę. Dorastałem z widmem dziadka, który odszedł od babci, nic więc dziwnego, że byłem ciekaw. Mama okazała się

znacznie mniej powściągliwa niż babcia. Gdy dziadek zniknął, była jeszcze mała, dlatego poczucie wstydu jej nie dotyczyło. Mówiła, że kiedy dorastała, ojciec był w domu tematem tabu. Nie wolno było o nim rozmawiać ani nawet wspominać o jego istnieniu, bo duma babci została urażona. – Pokręcił głową. – Obie nasze tajemnice dotyczą mniej więcej tego samego czasu. Pierwszą rzeczą, jaką pomyślałem, kiedy zobaczyłem artykuł o twojej cioci, było: „Może uciekła z dziadkiem?”. Była dużo młodsza od niego, ale to przecież niczego nie wyklucza. Dziadek pracował jako komiwojażer, każdego dnia spotykał mnóstwo różnych ludzi. Może poznał twoją ciocię i porwani namiętnością postanowili razem wyjechać, żeby zacząć nowe życie.

Kawiarnia wydawała się zbyt pusta, zbyt cicha. Jeden z nielicznych gości wyszedł, a młody chłopak za ladą powoli zaczynał szykować się do zamknięcia, łypiąc na nas z nadzieją, że zaraz sobie pójdziemy.

„Może porwani namiętnością postanowili razem wyjechać, żeby zacząć nowe życie”.

Pomyślałam o samochodzie w starej stodole i o zaschniętej plamie krwi na ziemi.

Odsunęłam krzesło.

– Muszę już iść.

– Przecież dopiero przyszłaś – powiedział Callum.

– Mówiłeś, że masz informacje z policji. – Wzięłam torebkę. Nagle zapragnęłam wyjść, znaleźć się jak najdalej od niego. – Zwabiłeś mnie tu kłamstwem.

Patrzył na mnie z nieprzeniknionym wyrazem tej swojej przystojnej twarzy.

– Nie muszę rozmawiać z policją, żeby wiedzieć, czyje ciało znajdowało się w bagażniku. A ty?

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam się i ruszyłam do drzwi.

– Zadzwoń do Almy Trent – zawołał za mną. – Ona też wie, kto to był. Może ci powie.

Wsiadłam do samochodu, przekręciłam kluczyk w stacyjce i wybrałam numer na telefonie. Zgłosiła się poczta głosowa Nicka.

– Nick – zaczęłam mówić po sygnale. – Dzwoniła do mnie Marnie. Podobno w automacie ze słodyczami znajduje się ukryty notatnik, który koniecznie musimy przeczytać. Jadę do motelu, żeby go poszukać.

Zobaczyłam, jak Callum wychodzi z kawiarni. Pomachał do mnie, jak gdyby nigdy nic, po czym wsiadł do swojego wozu.

Rozłączyłam się, rzuciłam aparat na fotel pasażera, wyjechałam z miejsca parkingowego i ruszyłam w kierunku Sun Down.

Nie zdziwiłam się, kiedy po chwili ujrzałam w lusterku wstecznym światła auta Calluma.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 1982 roku

VIV

Był taki moment – kilka minut po tym, jak to się stało – że Viv pomyślała o dziewczynce, którą widziała przez okno w salonie Simona Hessa. Pomyślała o jego żonie – we własnoręcznie uszytej sukience z wykroju Buttericka – zmywającej naczynia, dbającej o dom. Co teraz poczną?

Musiała jednak przyznać sama przed sobą, że nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Może Hess zabiłby obie. A może nie. Miała teraz dużo do zrobienia.

Sun Down znów rozbłysnął światłami, Betty zniknęła, a Viv została z trupem na podłodze w pokoju motelowym.

Podniosła słuchawkę i usłyszała sygnał, co ją pozytywnie zdziwiło, bo rozwścieczona Betty bywała nieprzewidywalna.

Telefon na szczęście działał. Wykręciła numer, na który tak często spoglądała podczas długich nocnych zmian, że nauczyła się go na pamięć.

– Komisariat policji w Fell – odezwał się znużony dyżurny.

Viv postarała się nadać swojemu głosowi ton znużonej, głupiej dziewczuchy.

– Jest Alma?

– Może. A co, masz problem?

– Mogę jakiś wymyślić – odpowiedziała z pustym chichotem Viv. – Pracuję na nockę w Sun Down i szczerze mówiąc, straaasznie się nudzę. Myślałam, że może Alma jest wolna i mogłaby do mnie wpaść. – Zerknęła na podłogę, gdzie leżał martwy Hess z wystającym z piersi nożem. Umarł szybko: gwałtownie nabrał powietrza, na chwilę uniósł tors, szarpnęło nim kilka razy i było po wszystkim. Miał półprzymknięte oczy, jakby przysypiał.

Jak tylko wyzionął ducha, Betty zniknęła, jakby na to czekała. Ale nie odeszła z motelu, Viv nadal czuła się przez nią obserwowana. Nie była nawet

pewna, czy Betty w ogóle może opuścić to miejsce.

– Ech, dziewczyny – skomentował zniesmaczony dyspozytor. – To nie kółko plotkarskie, tylko poważna służba. Dobra, zaczekaj.

Kilka sekund później Viv usłyszała kliknięcie i głos Almy w słuchawce.

– Viv?

Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy dotąd perspektywa rozmowy z drugim człowiekiem nie napełniała Viv tak wielką ulgą jak teraz.

– Spokojna noc – odezwała się Viv, czując, jak pęka jej maska znudzonej recepcjonistki.

– Tak? – upewniła się Alma, bo to Viv do niej dzwoniła, a Alma nie była głupia.

– No. – Znów łypnęła na zwłoki. Kiedy podnosiła słuchawkę, jej pierwsza myśl brzmiała: „Alma zrozumie”. Bo Alma wiedziała, co Viv robiła i jakie dowody zdołała zebrać. Wiedziała, kim był Simon Hess. I wiedziała też, że jeśli Viv zabiła Hessa, to wyłącznie dlatego, że nie miała innego wyjścia.

Teraz już nie była taka pewna. Bo co będzie, jeżeli Alma przyjedzie i aresztuje ją? Właściwie dlaczego miałyby tego nie zrobić?

„Powinam zostać aresztowana. Powinam pójść do więzienia”.

Logika podpowiadała jej, że dokładnie tak się stanie, ale Viv nie zamierzała do tego dopuścić.

– Viv? – odezwała się Alma.

– Po prostu chciałam z kimś pogadać. Nie masz pojęcia, jak strasznie się tu nudzę. Skończyłam książkę i nie mam kolejnej. Ta, którą teraz przeczytałam, średnio mi się podobała.

Cisza w słuchawce.

– Pracujesz – powiedziała Viv. – Zapomniałam. Nie ma sprawy, porozmawiamy później – rzuciła i rozłączyła się.

Szlag.

Zadzwoiła na policję w sprawie popełnionej przez siebie zbrodni, bo miała nadzieję, że Alma ją zrozumie. Nie myślała jak przestępczyni – ponieważ nie była nią; była chowaną pod kloszem dziewczyną z miasteczka w Illinois.

„To już przeszłość, Viv. Zostałaś morderczynią. Zaczniij myśleć jak ona”.

„Co zrobisz, kiedy znajdziesz się w prawdziwej opresji? – pytała matka Viv. – Uważasz, że jesteś taka cwana?”

Popatrzyła na leżącego na podłodze Hessa.

– Ty tu jesteś fachowcem od tych spraw – zwróciła się do niego. – Jak najlepiej ukryć zwłoki?

Nie odpowiedział.

Uznała to za całkiem zabawne. Naprawdę było z nią coś bardzo nie tak.

Podeszła bliżej i przyjrzała mu się. Krew Hessa wsiąkała w niewielki dywanik przy łóżku. Gdyby zdołała pozbyć się trupa razem z dywanikiem, być może nie musiałaby czyścić znajdującej się pod spodem wykładziny. Tylko jak go dźwignąć? I gdzie umieścić? Powoli docierało do Viv, co zrobiła, a wraz ze świadomością narastała w niej panika. Alma przyjedzie i zobaczy cały ten bajzel. Viv trafi za kratki. Rodzice i siostra ze wstydu zapadną się pod ziemię. W więzieniu doczeka starości, może nawet końca swoich dni.

Nieważne, że Simon Hess był mordercą – Viv i tak pójdzie siedzieć.

Powiedziała Betty przez telefon, że jest gotowa się poświęcić. Że jej los nie ma znaczenia. Ale teraz, mając w perspektywie długą odsiadkę, Viv zaczynała zmieniać zdanie.

Wpatrywała się w znieruchomiałą twarz Hessa, w zwinięte, martwe dłonie, które zabiły wiele kobiet, ale żadnej już nie pozbawią życia.

„Warto było” – pomyślała. Nawet gdyby miała zapłacić za to więzieniem.

Najpierw jednak musieliby ją złapać.

Chwyciła dywanik za róg i pociągnęła. Przykucnęła i użyła więcej siły. Dywanik przesunął się o kilka centymetrów, potem jeszcze o parę. Nagle uświadomiła sobie, że wylewający się przez okno blask stojącej na szafce nocnej lampki przyciąga uwagę do pokoju. Poszła więc i zgasiła ją. Potem otworzyła drzwi i rozejrzała się. Na parkingu nadal było pusto. Ani żywego ducha w zasięgu wielu kilometrów. Pokoje zamknięte, światła na galerii włączone, znak przy zjeździe jak zwykle rozświetlony. Betty milczała, ale obserwowała.

– Zrobiłam to – powiedziała Viv na głos. – Zadowolona?

Nikt nie odpowiedział.

– Jasne, że nie. Przecież nadal jesteś martwa. I zawsze będziesz. Ale przynajmniej teraz on też jest trupem.

Znów zaczęła ciągnąć za dywanik. Liczyło się tylko, żeby wydostać zwłoki Hessa z pokoju.

Nie chciał się ruszyć. Sprawiał wrażenie ciężaru ponad jej siły, leżał z ostrzem w piersi, a krew spływała i wsiąkała w dywanik. Viv patrzyła na niego i czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Zaczynała wątpić, czy da radę to zrobić.

Czas uciekał. Viv zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później ktoś się zjawi: gość albo Alma Trent – wpadnie sprawdzić, dlaczego Viv brzmiała tak dziwnie przez telefon. Szarpnęła z całych sił i udało jej się przesunąć dywanik z ciałem mniej więcej na środek pokoju. Tak bardzo skupiła się na wysiłkach, że nie usłyszała samochodu, który wjechał na parking.

Dotarł do niej dopiero odgłos czyichś kroków na schodach. Zamarła, ściskając brzeg dywanika. W pokoju było ciemno, ale przecież zostawiła otwarte drzwi. Wszystkie, w całym motelu, były zamknięte – wszystkie oprócz tych.

Kroki się zbliżały. Viv puściła dywanik i cicho odpełzła na dwa kroki. Było już za późno na zamknięcie drzwi, teraz mogła tylko zniknąć z pola widzenia.

Chciała się bezszelestnie wycofać w głąb pokoju, ale zanim to zrobiła, usłyszała głos.

– Vivian? Jesteś tam?

Marnie.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć – właściwie co? – ale nie zdążyła. Kroki dotarły do drzwi i zatrzymały się. Viv zamarła, bo wiedziała, że w mętym świetle z galerii Marnie nie widzi, co prawda, wszystkiego, ale wystarczająco dużo: ciało, nóż, krew, dywanik – i samą Viv, przyczajoną na podłodze jak dzikie, oszalone zwierzę.

– Vivian – powiedziała Marnie. – Coś ty, u licha, narobiła?

– Co za syf – powtarzała w kółko Marnie, kiedy razem z Viv owijała zwłoki Hessa dywanikiem. – Co za cholerny syf. Nie mogłaś tego zrobić tak, żeby było mniej krwi? Nie wiem, walnąć go w łeb albo coś takiego?

Viv tępo pokręciła głową, jakby pytanie rzeczywiście wymagało odpowiedzi. Nadal była w szoku, jak prędko Marnie zaakceptowała nową sytuację – i jak bardzo opanowana się wydawała. Cała ta noc coraz bardziej przypominała szalony sen.

– Viv, nie odpływaj – odezwała się ponurym tonem Marnie, jakby czytała Viv w myślach. – Co ci powiedział?

Viv poczuła, że łyzy napływają jej do oczu, ale wzięła głęboki oddech i zdołała powstrzymać się od płaczu. Buzowały w niej rozmaite emocje, usiłowały wyrwać się spod kontroli. Panika, złość, rozpacz.

– Wszystko – przyznała. – Wyznał mi wszystko. – Zamrugła i trup, na którego patrzyła, zaczął się rozmazywać. – Ubzdurał sobie miłość do Betty. Mówił, że należała do niego.

Marnie przez chwilę milczała.

– Zdaje się, że Betty uważała inaczej – skomentowała spokojnie. – Po co wyznawać dziewczynie, że się ją kocha, skoro można ją porwać i wsadzić do bagażnika? A pozostałe?

Viv pokręciła głową. Nie potrafiła powtórzyć okropnych słów Hessa. Nie teraz. „Pomyłka. Ciekawiło mnie, czy zdołam to zrobić drugi raz. Była samotna, to się rzucało w oczy”.

– Cholera – bąknęła Marnie, jakby Viv wypowiedziała swoje myśli na głos.

– Co tu robisz o tej porze? – spytała Viv. – Wydawało mi się, że skończyłaś ze śledzeniem Helen. Po co przyjechałaś do motelu?

– Usłyszałam o Tracy Waters. Powiedzieli w radiu, że znaleziono jej ciało, i przyszło mi do głowy... – Spuściła wzrok. – Wiedziałam, że to jego robota. Mogłyśmy temu zapobiec. Ja mogłam.

– Próbowałam – przyznała Viv. – Zadzwoiłam do szkoły. Napisałam do jej rodziców. Ale to nie wystarczyło. Zawiodłam.

– Przynajmniej coś zrobiłaś – skwitowała Marnie. – Teraz moja kolej. Oglądałaś Psychozę?

Viv otworzyła szeroko oczy.

– Porównujesz mnie do Normana Batesa?

– Przynieś zasłonę prysznicową – poinstruowała Marnie.

Viv wykonała polecenie. Owinęły w nią Hessa razem z dywanikiem. Zanim wyniosły pakunek na zewnątrz, Marnie przypomniała sobie o czymś.

– Z jego piersi sterczy nóż z twoimi odciskami.

Viv przełknęła ślinę.

– Myślisz, że powinnam go wyjąć?

– Tak. I pozbądź się go.

Opuściły Hessa na podłogę. Leżał obrócony na bok, jakby skurczony w sobie, w pozbawionej godności pozycji. Viv musiała go przekręcić, żeby dosięgnąć noża. Ostrze wysunęło się z łatwością, ale odgłos, jaki przy tym wydało, będzie prześladował Viv do końca życia. Krew Hessa była zimna, a gdy Viv wyjmowała nóż z rany, nie wypłynęła nawet kropla.

– Zawień w ręcznik – zakomenderowała Marnie. – Później się tym zajmiemy.

Viv zaniósła nóż do łazienki, wzięła cienki, szorstki ręcznik i zrobiła, co poleciła Marnie. Przyszło jej do głowy, że będzie musiała znaleźć zapasowe ręczniki – a także zapasową zasłonę prysznicową. Uświadomiła sobie, że naprawdę zaczyna myśleć jak morderczyni. Wróciła do pokoju i położyła nóż obok ciała Hessa.

– Będą nam potrzebne kluczyki do jego auta – powiedziała Marnie. Była w tym niezła. – Zgaduję, że ma je w kieszeni. Wyjmij je. Ja tego nie zrobię, zapomnij.

Viv zacisnęła zęby i ponownie nachyliła się nad zwłokami. Musiała ich dotknąć. Mimo że był zimnym trupem, sama myśl o dotykaniu Hessa budziła w niej obrzydzenie. Miała wrażenie, że wyczuwa od niego zapach kobiet, które zabił. Bała się, że choć martwy, wyciągnie po nią rękę, którą pobił Betty Graham, którą wepchnął Cathy Caldwell do samochodu, którą udusił i porzucił w krzakach Victorię Lee. Którą rozebrał Tracy Waters i zostawił jej ciało w rowie po tym, jak ją zgwałcił.

Obmacała najpierw kieszenie spodni, odbierając przez materiał przenikliwy chłód skóry, ale nie znalazła tam kluczyków. Były dopiero w wewnętrznej kieszeni marynarki. Aby się do nich dostać, musiała podnieść klapę i wsunąć pod nią palce. Czuła miękkie, martwe ciało na jego piersi i pomarszczoną wypukłość sutka. Chwyciła przedmiot, którego szukała, i prędko cofnęła dłoń.

Wyjrzały na zewnątrz. Na parkingu nadal było pusto.

Wytaszczenie Hessa na galerię, a potem zniesienie go po schodach wydawało się Viv zadaniem ponad siły, ale wiedziała, że musi to zrobić. Razem podniosły pakunek z trupem i wymanewrowały przez drzwi, by następnie, posuwając się w panicznym pośpiechu, dysząc i stękając, zatargać Hessa do samochodu. Viv otworzyła kluczykiem bagażnik. Przechyliły

zawinięte zwłoki tak, że zsunęły się z zasłony i wylądowały w samym dywaniku. Wypadł również ręcznik z nożem.

– Połóż na tylnym siedzeniu – powiedziała Marnie. – Będziemy musiały gdzieś to wyrzucić.

Hess był wysoki i gdyby Viv nie wepchnęła jego stóp pod krawędź komory bagażnika, mógłby się nie zmieścić. W tym czasie Marnie złożyła zasłonę.

Viv miała właśnie zamykać bagażnik, kiedy nagle omiótł ją blask reflektorów wjeżdżającego na parking auta.

Marnie zaklęła i upuściła zasłonę. Viv zatrzasnęła pokrywę.

Samochód się zatrzymał. Zgasły światła. Kierowca wysiadł.

– Alma – bąknęła Viv.

– O Jezusie – wyszeptała Marnie. – Głina.

Alma zbliżyła się do nich, trzymając dłoń na biodrze. Była sama i w mundurze. Popatrzyła najpierw na Viv, potem na Marnie.

– Znam cię – zwróciła się do tej drugiej. – Czasem fotografujesz dla nas miejsca przestępstw.

Marnie nie odpowiedziała.

Alma przeniosła spojrzenie z powrotem na Viv. Obrzuciła wzrokiem jej ubranie w nieładzie, potargane włosy i zarumienioną twarz, na której lśniły kropelki zimnego potu.

– Vivian – odezwała się dziwnie bezbarwnym głosem, pozbawionym typowej dla niej pewności siebie. – Tracy Waters nie żyje. Dziś rano znaleźliśmy jej ciało.

– Wiem.

– Chyba... – Odwróciła głowę i na chwilę zamknęła oczy. – Chyba się pomyliłam – przyznała, ponownie spoglądając na Viv i Marnie. – Miałas rację, kiedy do mnie przyszedłaś, ale nie posłuchałam cię. Dlatego zrobiłam coś, czego zwykle nie robię. Gdy usłyszałam, że przywieźli zwłoki Tracy, znalazłam numer telefonu Simona Hessa i zadzwoniłam do niego z pytaniem, czy mógłby się zgłosić na przesłuchanie.

Obie milczały. Było słychać jedynie gwizd wiatru w nagich konarach.

– Nie było go w domu – ciągnęła Alma. – Jego żona powiedziała, że wyszedł wcześniej rano, przed szóstą, i od tamtej pory go nie widziała. Nie zna

jego harmonogramu. Wydaje jej się, że wróci dopiero jutro.

Jej wzrok spoczął na zamkniętym bagażniku. Viv zacisnęła dłonie i poczuła strużki zimnego potu na plecach i pod pachami.

– Zadzwońabym do działu handlowego w jego firmie, gdyby nie to, że skończyli już pracę – dodała Alma, nadal wpatrując się w bagażnik. – Postanowiłam, że odezwę się do nich z samego rana i zapytam, czy wiedzą, gdzie można go znaleźć.

Wreszcie jej spojrzenie powędrowało ku leżącej na ziemi zmiętej zasłonie prysznicowej z wyraźnymi śladami krwi.

Oblicze Almy znieruchomiało. Popatrzyła Viv w oczy.

– Vivian – zaczęła tak jak wcześniej Marnie. – Coś ty narobiła?

– Wszystko mi powiedział – odparła Viv, zupełnie jakby to mogło wystarczyć za wytłumaczenie.

Alma milczała przez dłuższą chwilę.

– Zameldował się? – spytała w końcu.

– Tak.

– Zabił je wszystkie? Powiedział ci to?

– Tak. Betty, Cathy, Victorię. Tracy. Może więcej. Nie zdołałam wydusić z niego nazwisk. Śmiał się ze mnie, bo dla niego to było tylko gra.

Alma lekko się wzdrygnęła.

– Powiedział dlaczego?

– Bo mu się podobało. Bo sprawiało mu to przyjemność. Bo traktował to jak wyzwanie. Bo wszystkie te kobiety były samotne. Bo nikt go nie powstrzymał. Bo mógł.

– Do ciężkiej cholery – zaklęła cicho Alma. Brzmiała zupełnie inaczej niż zwykle, była przygnębiona, niemal załamana. Jej wzrok błędził po twarzy Viv.

– Skrzywdził cię?

– Nie.

– Nie wracasz do domu.

– Słucham? – zdziwiła się Viv.

– Nie wracasz do domu – powtórzyła Alma. – Ani dziś, ani w najbliższej i zapewne dalszej przyszłości. Jeśli się tego pozbędziemy – pokazała na

bagażnik – a musimy się pozbyć, nie możemy dopuścić, żeby ktokolwiek powiązał to z tobą. Nie możemy ryzykować.

– Hess był mordercą.

– Myślisz, że to takie proste? Rach-ciach i po sprawie? – Głos Almy odzyskiwał dawny rezon. – Masz niezbity dowód? Zeznanie nie do obalenia?

– Powiedział mi, że je zabił...

– I sądzisz, że to wystarczy? Dlatego próbujesz pozbyć się ciała? – Alma pokręciła głową. – Powiem ci, jak to będzie wyglądało. Simon Hess nie wróci do domu. Jego żona zgłosi zaginięcie. Policja zacznie go szukać. Prędzej czy później śledczy dotrą do motelu. Dogrzebią się do dzisiejszej nocy. Do ciebie. Czy ktoś oprócz ciebie widział tu dziś Hessa?

Viv przypomniała sobie Roberta White'a i jego brutalność. To, jak rzucił nią o ziemię. I stojącego za plecami White'a Hessa. „Czy pan napastuje tę młodą damę?”

White na pewno zapamiętał Hessa. Pytanie tylko, czy nie wolał utrzymać tego spotkania w tajemnicy?

I Helen, która zwołała przed motelem. Czy Hess był już wtedy na parkingu? Czy Helen go widziała?

A także Jamie Blaknik. Co prawda nie widział Hessa, ale zadzwonił do niego. Viv ufała Jamiemu, czy jednak mogła przewidzieć, jak się zachowa, kiedy się dowie, że Hess nie żyje?

– Dwie osoby – powiedziała, bo nie była pewna Helen. – Myślę, że obie będą milczały – zaznaczyła. – Poza tym nie wpisał się do księgi. Jego nazwisko w niej nie figuruje. Wątpliwe, by ktokolwiek się domyślił, że tu był.

– Nic nie jest wątpliwe, wszystko jest prawdopodobne – brzmiała odpowiedź Almy. – Wszystko. Dotrą do ciebie, Vivian. I będzie po zawodach.

– A co ze mną? – odezwała się Marnie.

– Ciebie tu w ogóle nie było. – Gdy minął jej szok, Alma przejęła dowodzenie. – Tylko my wiemy, że byłaś dziś w Sun Down, a przecież możemy kłamać. Jedź do domu i zapomnij o sprawie.

Marnie popatrzyła na Viv, potem na Almę.

– Obawiam się, że nie mogę. Jest za dużo do zrobienia i za mało czasu. Poza tym mam pomysł, gdzie go ukryć.

„Czy to się dzieje naprawdę?” – dziwiła się Viv. Poważnie zastanawiają się nad tym, jak to zrobić? Zamierzają ukryć ciało Simona Hessa, licząc, że nikt go nie odnajdzie? A ona? Co z nią będzie?

Alma, było nie było policjantka, miałyby na to przystać? Viv przyjrzała się jej zaciętej minie i zobaczyła determinację. Wściekłość. Wróciła pamięcią do sceny sprzed kilku minut, kiedy szok o mało nie zniweczył pewności siebie Almy. Cała ta sytuacja była dla niej jak potężny wstrząs. Niemniej z jakiegoś powodu Alma była gotowa pójść za tym ciosem.

Na parkingu nadal nie było nikogo poza nimi. Ale jak długo?

– Dokąd chcesz go zabrać? – Alma skierowała to pytanie do Marnie.

– Martin Greer z Weston Road jest po osiemdziesiątce. Dzieci chcą go umieścić w domu opieki. Martin ma działkę, o którą nie dba, a dzieciom na niej nie zależy. Jest naprawdę duża. I pusta.

Alma zamyśliła się, następnie pokiwała głową.

– Wiem, gdzie to jest. Możemy go tam zostawić przynajmniej na kilka tygodni. Potem znajdziemy jakieś lepsze miejsce i przeniesiemy go.

– Wy go przeniesiecie – poprawiła ją Marnie. – Pomogę wam dzisiaj, ale później umywam ręce.

Alma zmierzyła Viv wzrokiem.

– Dasz radę? Jeśli nie, powiedz.

– Dam – zapewniła Viv, mimo że była blada ze strachu.

– Będzie nam potrzebny plan. To musi wyglądać tak, jakbyś zniknęła nagle i może nie do końca z własnej woli, a nie jakbyś po prostu postanowiła wyjechać z miasta.

– A gdybym została i udawała, że nic się nie stało?

– Ty na przesłuchaniu na policji? Już to widzę – wtrąciła Marnie, kręcąc głową. – Pękłabyś po minucie. Wszystko by się wydało, a wtedy cała nasza trójka miałaby przerabane. Nie, bardziej mi się podoba jej pomysł. – Pokazała brodą na Almę. – Ulotnisz się, ale tak, żeby nikt nie pomyślał, że wyjechałaś. Po prostu znikniesz.

„Po prostu znikniesz”. A co z rodzicami? Z siostrą?

– Policja nie będzie mnie szukać?

– Och, jasne, że będziemy – pocieszyła ją Alma. – Wszędzie tam, gdzie na pewno cię nie znajdziemy. I nie od razu. – Podeszła do samochodu Hessa i wyjęła kluczyki, które nadal tkwiły w zamku bagażnika. – Zostaw torebkę i całą resztę. Gdzie masz teczkę i notatnik, które mi pokazywałaś?

– W recepcji.

– Idź po nie. Nie zabieraj portfela ani żadnych innych rzeczy. Zostawisz samochód i wszystko, co masz w mieszkaniu. – Widząc, że Viv się waha, powiedziała: – Zrobiłaś to. Zabiłaś go. Oto konsekwencje. Rozumiesz? Twoje życie dzieli się na to, co było przed dzisiejszą nocą i co będzie po niej.

Viv potwierdziła skinieniem głową. „Twoje życie dzieli się na to, co było przed dzisiejszą nocą i co będzie po niej”. Pozbawiając życia Hessa, dokonała wyboru. Teraz musiała żyć z następstwami tej decyzji.

Jedna z nich poszła zamknąć pokój Hessa, druga schowała zasłonę prysznicową do bagażnika, a Viv pobiegła do recepcji. W środku cały czas świeciło się światło, drzwi były niezamknięte. Na wieszaku w kącie wisiała jej kurtka. Obok biurka stała torebka.

Viv szybko wyjęła notatki, starając się nie dotykać niczego innego w torebce, bo gdyby to zrobiła, zatrzymałaby się i zastanowiła jeszcze raz. Woląла nie oglądać portfela, prawa jazdy, kluczyków, kosmetyków... „Te rzeczy należą do dziewczyny, która umarła. Zaczynam wszystko od nowa”.

Otworzyła szufladę w biurku. Koperta z pieniędzmi Roberta White’a leżała tam, gdzie Viv ją schowała. Zabrała ją i wcisnęła do tylnej kieszeni spodni. Zaczynała wszystko od nowa, ale przynajmniej będzie miała trochę gotówki na start. White nigdy się nie dowie, co się stało z jego forszą. Ta myśl poprawiła jej humor.

Na odchodnym dla pewności zerknęła do księgi gości. Znajdowały się tam nazwiska Jamiego i pani Bailey. Oboje zostaną przesłuchani przez policję. Tyle że pani Bailey siedziała zamoczona alkoholem w swoim pokoju, a Jamie... raczej jej nie wyda.

Właściwie to była przekonana, że tego nie zrobi. Ponieważ ładnie go poprosi.

Odwróciła się plecami do dawnego życia i wyszła z recepcji. Alma, z dłońmi w gumowych rękawiczkach, siedziała za kierownicą samochodu Hessa. Marnie wsiadła do swojego wozu i machnęła do Viv.

– Chodź – powiedziała. – Przejedziemy się.

Viv posłuchała.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Kiedy opuściłam centrum Fell i znalazłam się na przedmieściach, Callum wciąż siedział mi na zderzaku. Zaciskałam palce na kierownicy i gorączkowo zastanawiałam się, co robić. Zatrzymać się? Spróbować go zgubić? Zadzwoić do kogoś? Tylko do kogo?

Czego ode mnie chciał?

„Przecież na pewno nie chce mnie skrzywdzić” – brzmiała pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy. „Czy jeździłby za mną, gdyby chciał mi zrobić krzywdę?”

„Głupia. Oczywiście, że tak”.

Okłamał mnie, żebym zgodziła się z nim spotkać. Opowiedział mi szaloną historię o swoim dziadku, który – zakładając, że Callum mówił prawdę – był seryjnym mordercą Simonem Hessem, dawniej mieszkańcem Fell, obecnie trupem odnalezionym po trzydziestu pięciu latach w bagażniku. Nie był miły ani przyjazny. Raczej wolałam się nie dowiadywać, o co mu chodzi.

Nagle wpadłam na pomysł. Już wiedziałam, co zrobić. Wyjechałam z Fell i skierowałam się bocznymi drogami na zachód, oddalając się od Sun Down. Niebo było zupełnie ciemne i poza pojedynczymi samochodami ruch właściwie nie istniał. Byliśmy tylko my: ja i Callum. Nawet nie próbował ukrywać tego, że mnie śledzi.

Skreśliłam w jedną drogę, którą kojarzyłam, potem w drugą, i modliłam się w duchu, żeby osoba, do której prowadziłam Calluma, była u siebie.

Dotarłam na podjazd przed domem Almy Trent i zgasiłam silnik. W środku rozszczękał się pies i po chwili włączyło się światło na ganku. Odetchnęłam z ulgą.

Alma – w dżinsach i granatowej bluzie, z włosami związanymi w koński ogon – wyszła na ganek, popatrzyła na mnie za kierownicą zaparkowanego pod jej drzwiami samochodu, po czym przeniosła surowe spojrzenie na auto,

które stało na drodze przy zjeździe, pracując na jałowym biegu. Wpatrywała się w nie tak długo, aż Callum dał za wygraną i odjechał.

Wysiadłam cała roztrzęsiona.

– Dobry wieczór – odezwała się jak zwykle niespiesznie. – Czyżby znalazła się pani w tarapatach?

Ton jej głosu sugerował, że tego rodzaju problemy nic a nic jej nie wzruszały. Że przez lata odważnie stawiała im czoło zamiast ich unikać.

– Odrobinę – przyznałam. – Naprzykrzał mi się pewien facet.

– To cholernie nieuprzejme z jego strony – skwitowała Alma. – Mogę zamienić z nim słówko, jeśli pani chce. Do niektórych dociera dopiero wtedy, kiedy pogadają sobie ze mną.

– Nazywa się Callum MacRae.

Alma znieruchomiała. Po raz pierwszy dostrzegłam rysę na jej obliczu niezłomnej policjantki.

– Rozumiem. Nie wiedziałam, że się znacie.

– Poznaliśmy się w dosyć dziwnych okolicznościach – wyjaśniłam. – Szukałam materiałów w archiwum biblioteki. Callum po prostu podszedł i przedstawił się. Zastanawiam się, czy to na pewno było przypadkowe spotkanie.

– Callum wydaje się miłym chłopcem, ale bywa trochę niezrównoważony – zaznaczyła Alma. – Wejdzie pani na herbatę?

Zrobiłam krok do przodu, ale nie powiedziałam, że przyjmuję propozycję.

– Miała pani służbę tamtej nocy, kiedy zniknęła moja ciocia, prawda?

Alma zawahała się przez ułamek sekundy.

– Tak.

– Ale nie zorientowała się pani, że zaginęła, dopóki nie zgłoszono tego cztery dni później.

– Skąd miałam wiedzieć, że zaginęła?

Kierowało mną jedynie przeczucie, nic więcej, ale wszystko mi mówiło, że się nie mylę.

– Tak sobie myślę, że być może osobą, która umarła tamtej nocy, wcale nie była Viv, tylko ktoś zupełnie inny.

– Naprawdę powinna pani wejść do środka i napić się herbaty.

– Raczej nie. Nigdzie z panią nie pójde. Ani z Marnie Clark. Na pewno słyszała pani o zwłokach, które znaleźliśmy w bagażniku?

Alma wpatrywała się we mnie, ale nie potrafiłam rozszyfrować jej spojrzenia. Co w nim było? Litość? Życzliwość? Strach? Uzmysłowiłam sobie, że aby przetrwać tyle lat jako jedyna policjantka w Fell, Alma musiała doprowadzić do perfekcji sztukę ukrywania tego, co naprawdę myśli.

– Owszem, doszły mnie słuchy.

– Myślałam, że to ciało Viv, ale policjanci, którzy przyjechali na miejsce, powiedzieli, że należało do mężczyzny. A potem zadzwonił Callum, spotkał się ze mną i opowiedział mi szaloną historię o swoim dziadku, który zniknął mniej więcej w tym samym czasie co moja ciocia. Wiem, że mówi prawdę, bo rzeczywiście w listopadzie osiemdziesiątego drugiego niejaki Simon Hess przepadł bez wieści. Jego żona wstydziła się zgłosić zaginięcie męża, ponieważ była przekonana, że zostawił ją dla innej kobiety. Hess pracował jako komiwojażer. Ten sam zawód wykonywał mężczyzna, którego widziano pod drzwiami domu Betty Graham krótko przed jej śmiercią.

– Callum ma wiele fiksacji – powiedziała Alma. – Jedną z nich jest sprawa zaginięcia jego dziadka. Zawsze było z nim coś nie tak. Sądzimy, że cierpi na jakieś zaburzenie osobowości.

– „My”, czyli kto?

– Niejednokrotnie miał do czynienia z policją – dodała, ignorując moje pytanie. – Zwykle za naprzykrzanie się dziewczynom. Na szczęście odpuszcza po solidnej reprimendzie. Pogadam z nim i da pani spokój.

– Wybije mu pani z głowy pomysł, że moja ciocia zabiła jego dziadka i ukryła zwłoki w bagażniku?

Alma milczała.

– Bo zrobiła to, prawda?

– Wie pani, że nie mogę odpowiedzieć – burknęła.

– Wobec tego sama odpowiem. Marnie mówi, że w Sun Down znajduje się notatnik, który koniecznie powinnam przeczytać. Zamierzam to zrobić.

– Rozmawiała pani z Marnie? – zdumiała się. – Ma pani notatnik?

– Jeszcze nie, ale zdobędę go. A potem się z nią spotkam.

Alma zawahała się i pokiwała głową.

– Ma rację – przyznała. – Już pora.

„Chwila jest dobra jak każda inna – usłyszałam od Marnie przez telefon. – To i tak by wyszło na jaw, czy tego chcę, czy nie”.

Dlaczego teraz? Dlaczego ja?

– Co znajdę w notatniku? – spytałam.

– Przekona się pani – odparła. – Proszę się z nią spotkać i zrobić, co mówi. Nie wiem, czy mnie pani posłucha, ale tak brzmi moja rada. – Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Nikt mnie nie śledził, kiedy jechałam bocznymi drogami do motelu na drugim końcu miasta. Czy powinnam dziś siedzieć w recepcji? Już nawet nie pamiętałam. Może sama rzuciłam tę pracę, a może Chris mnie zwolnił. Nie miało to żadnego znaczenia.

Znak przy zjeździe jak zwykle rzucał na szosę swój żółto-niebieski blask; mrugał do mnie znajomy napis: „WOLNE POKOJE. KABLÓWKA!”. Pikap Nicka stał na parkingu, recepcja była zamknięta, w środku nie paliło się światło. Zatrzymałam się przed budynkiem i wysiadłam na szczypiący w policzki mroźny wiatr; panowała kompletna cisza, jeśli nie liczyć pomruku silnika mknącej gdzieś dalej szóstką ciężarówki; powietrze tchnęło wilgocią, wonią gnijących liści i słabym zapachem benzyny.

O dziwo, nigdzie nie czułam się tak bardzo u siebie jak tutaj. Sun Down był moim miejscem na ziemi.

Jednocześnie miałam wrażenie, że na moich oczach dokonuje się jego koniec. Że wkrótce motel przestanie istnieć.

Wchodziłam po schodach, wiedząc, że jestem obserwowana. Może przez Betty. Może przez którąś z pozostałych zjaw. Nie umiałam odgadnąć.

Dotarłam do pokoju Nicka i uderzyłam pięścią w drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast i zobaczyłam go, tego dobrze zbudowanego, lekko niechlujnego faceta w ciemnoszarym T-shircie i dżinsach – i z zatroskaną miną.

– Ja pierdolę, dzięki Bogu! – powiedział, chwycił mnie za nadgarstek i łagodnie wciągnął do środka, zamykając za mną drzwi.

Jeszcze nigdy u niego nie byłam. Zatrzymałam się i rozejrzałam: na podłodze stała walizka z powrzuconymi byle jak ubraniami, na szafce nocnej – portfel i telefon; nie zauważyłam pistoletu. Łóżko było niezaścielone, kołdra i poduszka pomięte; pewnie by mnie to zawstydziło, gdyby nie fakt, że leżała na nim masa dokumentów – a także otwarty notatnik w spiralnej oprawie.

– Czy to...?

– Odebrałem twoją wiadomość – wyjaśnił Nick. – Był w automacie ze słodyczami, tak jak napisałaś. Za panelem z mechanizmem, w którym próbowałem grzebać. Musiała go tam umieścić stosunkowo niedawno. Nie wyobrażam sobie, żeby przeleżał trzydzieści pięć lat w bebeczach maszyny.

Powiodłam wzrokiem po rozłożonych kartkach. Wszystkie notatki, listy, mapy, diagramy wyszły spod tej samej ręki.

– Podejrzewam, że Marnie podrzuciła go po tym, jak zaczęłam tu pracować. Zastanawiam się, ile tak naprawdę wie.

– Wszystko, Carly – powiedział Nick. – Dopiero zacząłem czytać, ale to coś niesamowitego. – Wziął jedną z kartek. – Zobacz. Plan ulicy, przy której mieszkała Victoria Lee. Jej dom, ścieżka, miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. Widzisz ten iks? Viv zanotowała, że z tego punktu widać dom Victorii i można szybko dotrzeć na ścieżkę. Prawdopodobnie tutaj stał morderca.

Odłożył kartkę i podniósł notatnik.

– Zapiski na temat grafiku Hessa. Odwiedzał tamtą okolicę w tym samym miesiącu, kiedy zamordowano Victorię. Sprzedał zestaw zamków Cathy Caldwell. A tutaj – sięgnął po jeszcze inną kartkę – relacja z dnia, w którym pojechała za Hessem do Plainsview. Miała go na oku i była świadkiem, jak śledził Tracy Waters.

– Co takiego? Widziała, jak ją śledził? – Wczytałam się w notatki. – A więc to ona napisała list do rodziców Tracy. I zadzwoniła do dyrektora szkoły. No tak, nie mogło być inaczej.

– A co powiesz na to? – Nick wertował notatnik. – Dziennik obserwacji Simona Hessa. Adres, numer telefonu, marka i model samochodu, numer rejestracyjny. O której wychodził, dokąd jechał, co robił. Inwigilowała go, i to przez wiele tygodni.

Rzeczywiście. Miałam przed sobą, czarno na białym, szczegółowy wykaz aktywności Hessa. Zdarzały się luki opatrzone uwagami: „Przegapiłam go” albo: „Zasnęłam”, albo: „Zgubiłam go za Bedford Road”, ale nie było najmniejszych wątpliwości, że Viv go śledziła. Była jak stalker.

Pod listą zawierającą jego nazwisko, adres, numer domowy i nazwę miejsca pracy znajdował się dopisek: „Łatwizna”.

To, co spotkało Hessa, nie było dziełem przypadku. Viv od dłuższego czasu trzymała go na celowniku.

Czy moja ciocia była szalona?

Podsunęłam sobie krzesło, usiadłam i ukryłam twarz w dłoniach.

– Przez cały czas to było u Marnie – powiedział Nick.

– Na pewno. Ale gdzie się podziewa Viv?

– Kto wie? Może już nie żyje, w końcu minęło trzydzieści pięć lat. – Chyba próbował mnie pocieszyć.

– Wyjechała tamtej nocy. – Trzymałam się za głowę i wbijałam wzrok w podłogę. – Uciekła. Nie została porwana. Zabiła Hessa i ulotniła się bez samochodu, bez portfela. Bez pieniędzy. Jak to zrobiła?

Usłyszałam, jak Nick zbiera kartki.

– Miała pomoc.

– To oznacza, że przez te wszystkie lata Marnie i być może Alma ukrywały prawdę. Prawdopodobnie pomagały Viv się utrzymać. Ale dlaczego? Czemu jej nie wydały? – Pokręciłam głową. – Hess był seryjnym mordercą. Wzorzec jego działania jasno wynika z notatek Viv. Był groźny. Dlaczego nie zadzwoniła na policję i nie powiedziała, że zabiła go w obronie własnej?

– Bo i tak poszłaby do więzienia – zauważył Nick. – Nieważne, kim był ten człowiek. Pozbawiła go życia i już. Mogłaby liczyć na okoliczności łagodzące, ale tylko w najbardziej optymistycznym z możliwych scenariuszy. W pesymistycznym brak jakichkolwiek dowodów na to, że Hess kogoś zamordował, sprawiłby, że nie będąc w stanie niczego dowieść w sądzie, Viv trafiłaby za kratki jako obłąkana kobieta, która najpierw długo śledziła niewinnego mężczyznę, a potem pewnej nocy postanowiła go zabić. Tak czy siak, czekałaby ją odsiadka.

„Może tak było najlepiej” – pomyślałam. Widziałam samochód w starej stodole i zaschniętą krew na ziemi. Może osoba, która dopuściła się czegoś takiego, powinna stanąć przed sądem. I pójść do więzienia. W przeciwnym razie nic by jej nie powstrzymało przed zrobieniem tego samego po raz drugi.

– Czujesz dym? – spytał Nick.

Podniosłam głowę. Owszem, dolatywał do mnie gryzący zapach świeżego dymu papierosowego. Pałący mężczyzna, to na pewno on. Ale co robił na piętrze?

– Henry – powiedziałam.

– Co?

Wstałam.

– Henry. Tak ma na imię pałacy mężczyzna. – Podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Wyjrzałam na ciemny parking i czekałam, aż zgasną światła. Pozostały włączone.

Przed budynkiem stały tylko dwa samochody: mój i Nicka. A kilka kroków za nimi, mniej więcej pośrodku placu: człowiek. Chudy mężczyzna spowity w mrok. Podniósł do ust papierosa, zaciągnął się i wypuścił kłęb dymu. Był zwrócony w moją stronę. Przyglądał mi się.

Nagle wyciągnął rękę i pokazał palcem w stronę szosy. Zamarłam. Zobaczyłam idącego poboczem, lekko zgarbionego mężczyznę z rękami w kieszeniach i pochyloną głową. Szybko przebierał nogami. Wyteżałam wzrok w ciemności, usiłując ustalić, czy go rozpoznaję. Zastanawiałam się, czy jest żywą istotą, czy duchem. Bo już straciłam rozeznanie.

Zanim odpowiedziałam sobie na którekolwiek z pytań, mężczyzna dotarł do motelu, zmierzając w stronę recepcji, skręcił za róg i zniknął mi z oczu.

Przeniosłam spojrzenie z powrotem na parking. Rozejrzałam się za Henrym, ale już go nie było.

Recepcja nadal tonęła w ciemności, ale ktoś się do niej dobijał, i to tak mocno, że słyszeliśmy uderzenia aż na galerii, kiedy wychodziliśmy z pokoju Nicka. Teraz nawet w mętym blasku znaku przy zjeździe wyraźnie widziałam odciski buta na drewnianym drzwiach.

– Co on sobie myślał, do ciężkiej cholery? – skomentował cicho Nick. – Że wywali drzwi kopniakiem?

Wpatrywałam się z niepokojem w ślady.

– Jechał za mną Callum MacRae – powiedziałam. – Musiałam wstąpić do Almy, żeby się odczepił.

– MacRae... – powtórzył Nick. – Skąd go kojarzę? Czekał... dobrze pamiętam, że jego matka wykładała w KEK-u? Czego od ciebie chciał?

– W sumie nie jestem pewna. – Zainteresowanie mną ze strony Calluma raz wydawało mi się czysto osobiste, raz zupełnie nie. – Ale dziś dowiedziałam się od niego, że jest wnukiem Simona Hessa.

Nick pokręcił głową.

– Kurwa, za długo mnie nie było w mieście. Wypadłem z plotkarskiego obiegu. Nie to, żebym kiedykolwiek był jakoś szczególnie na bieżąco. –

Rozejrzał się. – Nie widzę jego samochodu.

– No właśnie. – Dlaczego szedł poboczem szóstki? Po co próbował wyważyć drzwi? Czy to w ogóle był Callum?

– Nie cofnął się na parking. A więc musiał pójść w tę stronę. – Nick ruszył w kierunku nieczynnego basenu.

Włożyłam ręce do kieszeni kurtki i podążyłam za nim. Po drugiej stronie budynku, z dala od świateł na dole i na galerii, noc była jeszcze czarniejsza, a ciemność wywoływała wrażenie jeszcze bardziej przejmującego zimna. Trzymałam się blisko Nicka. Stąpając po szeleszczącym dywanie z suchych liści, zmierzał do ogradzającej basen uszkodzonej siatki.

– MacRae! – krzyknął.

Nikt nie odpowiedział.

– Wracajmy – zasugerowałam.

Nick uniósł dłoń.

– Słyszę go – powiedział. Postawił jeszcze jeden krok i zatrzymał się. – MacRae!

Rozejrzałam się, usiłując przeniknąć wzrokiem otaczający nas mrok. Puste betonowe zagłębienie za siatką. Popękany chodnik, który dawniej prowadził z pokoi na basen. Drzwi do składziku i przechowalni. Za budynkiem, z głośnym, świdrującym dudnieniem przemknęła szóstką ciężarówka. Usłyszałam ciche kliknięcie i rozpoznałam stukot maszyny wiecznie produkującej lód, z którego nikt nigdy nie korzystał.

– Widzę dziurę w siatce – powiedziałam. Znajdowała się po drugiej stronie basenu. Poszłam tam, starając się nie potknąć na popękany beton.

– Ostrożnie – uprzedził Nick. – Może ja to sprawdzę...

– Nie pamiętam, czy tu była – mruknęłam, dotykając porwanych oczek. – Siatka jest tak stara, że...

Nagle z ciemności wyłonił się cień. Poczułam na sobie czyjeś wielkie dłonie. Schwyciły mnie i popchnęły przez wyrwę w ogrodzeniu. Zatoczyłam się i krzyknęłam.

– Carly! – wrzasnął Nick.

Dłonie znów na mnie naparły. Zaczepiłam stopą o wystający kawałek betonu i prawie straciłam równowagę. Nie widziałam napastnika, bo jego twarz spowijał mrok. Ale rozpoznałam go, jak tylko się odezwał.

– Pierdol się, suko – warknął Callum MacRae i wepchnął mnie do pustego basenu.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Wylądowałam na twardym dnie i wszystko wydarzyło się w jednej chwili: echo bólu, który nagle eksplodował w moich plecach, rozniosło się po całym tułowi; uderzyłam głową o beton i zgubiłam okulary; powietrze opuściło moje płuca z głośnym świstem i przez chwilę leżałam skulona, rozpaczliwie usiłując złapać oddech.

– Carly! – usłyszałam spanikowany głos Nicka. – Carly!

Otworzyłam usta. „Wszystko gra. Chyba nic nie złamałam” – pomyślałam, ale nie zdołałam tego powiedzieć. Mój głos był cichszy od najdelikatniejszego tchnienia.

– Carly!

– Nick – wydusiłam. Leżałam wśród nagromadzonych przez lata śmieci: gnijących liści, pustych puszek po piwie, opakowań po fast foodzie. Bez okularów i w ciemności byłam praktycznie ślepa. Czułam pulsujący ból niemal w całym ciele: od głowy przez plecy aż po kość ogonową. Zdołałam nabrać powietrza i postanowiłam spróbować jeszcze raz. – Nick, nic mi nie jest.

Słyszałam go gdzieś blisko krawędzi basenu, docierał do mnie szelest jego kroków.

– Jesteś ranna? Potrzebujesz pomocy?

Myślałam tylko o tym, że Callum MacRae umyka w stronę drzew i z każdą chwilą coraz bardziej się oddala. Doprowadzało mnie to do takiej pasji, że chyba nigdy w życiu nie byłam tak wściekła jak teraz. Nawet nie wyobrażałam sobie, że można czuć tak silny gniew.

– Biegnij za nim – krzyknęłam najgłośniej, jak byłam w stanie. – Nie pozwól mu uciec.

Nie wiedziałam, czy mnie zrozumiał, ale w moim głosie musiało być coś, co powiedziało mu, że nie potrzebuję natychmiastowej pomocy, bo tylko

zaklął, odwrócił się i pognał za Callumem. Usłyszałam szybkie i ciężkie uderzenia jego butów o beton.

Zastanawiałam się, czy go dopadnie. I czy Callum jest uzbrojony. I czy Nick zabrał swój pistolet.

„Pierdol się, suko” – warknął Callum w mojej głowie.

– Ty też się pierdol – wychrypiałam w odpowiedzi, wciąż z trudem łapiąc powietrze. Obróciłam się i zrobiłam bilans obrażeń.

Miałam guza z tyłu głowy. Mój bark wył z bólu, a kiedy spróbowałam poruszyć nim do przodu i do tyłu, wydał mdlący odgłos przypominający mlaśnięcie, po którym poznałam, że został wywichnięty. Wrzasnęłam przez zaciśnięte zęby i zaczerpnęłam kilka haustów powietrza.

Niemal cały ciężar upadku przyjęły na siebie moje plecy, które teraz pulsowały bólem od góry do dołu. Ostrożnie zmieniałam pozycję i zaczęłam obmacywać dywan z liści i śmieci w poszukiwaniu okularów.

Kilka kroków za mną coś zaszeleściło.

Znieruchomiałam. Z początku nie byłam w stanie niczego zobaczyć w ciemnym, rozmytym otoczeniu, ale po chwili kątem oka dostrzegłam przemieszczającą się czarną plamę.

– Nick? – odezwałam się.

Nie odpowiedział. Było mi strasznie zimno. Starając się nie odrywać wzroku od obcego kształtu, rozpoznawałam dotykiem teren, licząc, że natrafię na okulary.

Naraz usłyszałam cienki i smutny cichy głosik.

– Źle się czuję.

Ze strachu zaschło mi w ustach. To dziecko, chłopiec – ten, którego widziałam. Ten, który uderzył się w głowę o krawędź basenu i umarł.

Gdzie te okulary? Przecież nie mogły upaść daleko. Wreszcie wyczułam je pod palcami. Oprawki się przekrzywiły, ale szkła nie były pęknięte. Podniosłam je drżącą dłonią.

– Źle się czuję – powtórzył chłopiec.

Powoli nasunęłam okulary na nos i obróciłam głowę. Stał w drugim końcu basenu, ubrany w krótkie spodenki i koszulkę. Miał chude i niemal białe na tle ciemności kończyny. Patrzył na mnie.

– M-muszę już iść – wydusiłam przez ściśnięte gardło.

Ruszył w moją stronę. Liście pod jego stopami szeleściły przy każdym kroku.

Błyskawicznie podniosłam się i usiadłam. Byłam cała poobijana i brudna. Przesunęłam nogę i usłyszałam ciche brzęknięcie, dlatego zanim oparłam dłonie na ziemi, upewniłam się, że nie trafię na potłuczone szkło. Dźwignęłam się i wstałam najszybciej, jak mogłam, czując rozchodzące się po organizmie fale bólu.

Jedynym sposobem na wydostanie się stąd było wspięcie się po zamontowanej w drugim końcu basenu zardzewiałej drabince. Zaczęłam iść w jej stronę, gdy nagle usłyszałam szelest niemal tuż za plecami.

– Dlaczego źle się czuję? – zapytał chłopiec i o mało nie padłam na zawał. Zmusiłam się do ruchu. Szłam z trudem, krok za krokiem, kuśtykając i powłócząc nogami, starając się to robić jak najszybciej. Oblepiona liśćmi i śmieciami wyglądałam jak statystka w filmie o zombie, ale parłam do przodu. Wolno – zbyt wolno – zbliżałam się do płytszej części basenu, dążąc do celu, którym była drabinka.

– Przepraszam – powiedziałam. – Muszę już iść. Może niedługo poczujesz się lepiej.

– Proszę, pomóż mi – mówił. Nadal był za mną, nadal słyszałam szelest jego kroków.

– Nie potrafię. – Tak bardzo się bałam, że mój głos przypominał ochryply szept. – Naprawdę nie potrafię.

– Proszę, pomóż mi!

Przez te długie lata, od kiedy zamknięto basen, śruby mocujące drabinę w betonowej ścianie zdążyły zardzewieć niemal na wiór. Kiedy złapałam za najniższy szczebel, drabinka groźnie się zakołysała. Mimo to podciągnęłam się i zaciskając zęby z bólu, zaczęłam się wspinać. Pognałam najprędzej, jak umiałam, w stronę dziury w siatce, ale nie zdołałam opanować pokusy obejrzenia się za siebie.

Chłopiec stał u dołu drabinki i wciąż mi się przypatrywał. Pokuśtykałam ile sił w nogach do budynku.

Z kierunku, w którym pobiegli Callum i Nick, nie dolatywały żadne dźwięki ani głosy. Żadne krzyki ani wystrzały. Sięgnęłam do kieszeni po

komórkę, ale przypomniałam sobie, że została w samochodzie, bo przecież w Sun Down i tak nie było zasięgu. Musiałam zadzwonić na policję.

Wyjęłam klucze i przez chwilę szarpałam się z nimi, usiłując otworzyć drzwi do recepcji. Włączyłam światło i podeszłam do biurka. Podniosłam słuchawkę.

„To ten moment, w którym dociera do ciebie, że ktoś – osoba, która nie opuściła motelu – przeciął kabel telefonu...”

– Przymknij się – rzuciłam do swojej bujnej wyobraźni. – Nie gramy w horrorze.

I rzeczywiście nie graliśmy. W starej, niezgrabnej słuchawce na szczęście zabrzmiał czysty, wyraźny sygnał zgłoszenia.

Wykręciłam numer alarmowy i przyjrzałam się sobie we fluorescencyjnym świetle: ubranie brudne i całe w liściach, na lewym nadgarstku krwawe zadrapanie, którego nawet jeszcze nie czułam. Obolałe ciało błagało mnie, bym choć usiadła na krześle za biurkiem, mimo że było okropnie niewygodne, ale bałam się, że jeśli to zrobię, już nie wstanę.

Opisałam dyspozytorowi, co się wydarzyło: Callum MacRae śledził mnie, a następnie napadł i wepchnął do pustego basenu, po czym uciekł; pobiegł za nim mój przyjaciel Nick. Dyspozytor zapytał, czy jestem ranna. Czułam silne ukłucia bólu na całej długości kręgosłupa; odparłam, że „chyba tak”. Poprosił, żebym się nie rozłączała, i obiecał, że wyśle do mnie radiowóz oraz karetkę. Kiedy mówił te słowa, usłyszałam kroki. Zbliżały się do recepcji.

Zrobiło się lodowato zimno. Powietrze wypełnił gryzący zapach dymu papierosowego.

– Pani Kirk? – odezwał się dyspozytor. – Jest pani tam?

Spokojne i miarowe. Nie stukanie obcasami, nie miękkie podeszwy tenisówek. Twarde męskie kroki.

Widziałam gęsty obłoczek własnego oddechu.

– Przykro mi, ale muszę się rozłączyć – powiedziałam. Miałam wyrzuty sumienia, bo dyspozytor był dla mnie bardzo miły.

Wcześniej, wchodząc tutaj, nie zamknęłam za sobą drzwi i teraz, gdy odkładałam słuchawkę, nieoczekiwanie stanął w nich mężczyzna.

Biały, mniej więcej trzydziestopięcioletni, z ciemnymi, starannie przyczesanymi włosami, gładko ogolony. Przeciętą twarz o przeciętnych

rysach. Miał na sobie spodnie od garnituru, długi, ciemny wełniany płaszcz i wyczyszczone do połysku buty. Spod ostatniego guzika płaszcz wystawał kawałek kołnierzyka koszuli i węzeł krawata. Trzymał w ręku niedużą staroświecką walizkę.

Było w nim coś, co przeraziło mnie do tego stopnia, że o mało nie krzyknęłam.

Na chwilę skupił na mnie spojrzenie. Nie udało mi się dostrzec barwy jego oczu – były szare... a może brązowe... – zresztą w ogóle cała jego sylwetka wraz ze szczegółami – kształtem twarzy, kolorem ubrań – zanikała i rozmazywała się, jak krople wody, które wpadły do kałuży oleju. Zamrugalam i oczy zaczęły mi łzawić. Strach ścisnął żołądek. Palce zdrętwiały i zrobiły się całkiem zimne. Woń dymu była ciężka i coraz bardziej przenikliwa.

– Poproszę pokój – powiedział mężczyzna.

Jego głos też wydawał się rozmyty, ale nie umiałabym opisać tego, jak brzmiał. Zresztą nawet nie wiedziałam, czy naprawdę go usłyszałam, czy tylko odezwał się w mojej głowie.

I wtedy zrozumiałam: to Simon Hess.

Co robić? Uciekać? Czy był wytworem mojej wyobraźni? Musiałam przejść obok niego, jeśli chciałam dostać się do drzwi. Co się stanie, kiedy się do niego zbliżę? Rozpłynie się w powietrzu – a może, co gorsza, dotknę go, poczuję, jakby był cielesnym bytem? Nie, nie miałam ochoty się przekonać. Stałam jak sparaliżowana jego spojrzeniem. Patrzył na mnie – widział mnie – byłam tego pewna.

– Czy mogę prosić pokój? – ponowił pytanie. Wyciągnął przed siebie rękę spodnią stroną dłoni do góry.

Czekał na klucz. Niewiele myśląc, sięgnęłam do szuflady i bez patrzenia wybrałam jeden z kluczy z lodowato zimną przywieszką. Bałam się wyjść z biurka, żeby mu go wręczyć, dlatego położyłam go na kontuarze i popchnęłam, tak że przesunął się prawie na samą krawędź blatu.

Hess jeszcze przez chwilę stał z wystawioną dłonią, a potem opuścił ją wzdłuż ciała.

– Dwieście dziewięć – powiedział tym dziwnym, brzęącym jak z za grubej szyby głosem. – Nie ma to jak w domu.

Zerknęłam na skórzaną przywieszkę – rzeczywiście dwieście dziewięć.

Hess podziękował, odwrócił się i wyszedł.

Kroki oddaliły się w stronę schodów na galerię. Drzwi do recepcji zamknęły się z głośnym trzaskiem. Wyrwało mi się pełne trwogi jęknięcie. Zgasły światła.

Gdzieś w pograżonej w mroku recepcji zakasłał mężczyzna.

Znak przy zjeździe z szóstki wyłączył się z głośnym „zzzyt”.

„Betty” – pomyślałam.

Była tu. I był tu jej morderca. Właśnie dałam mu pokój.

Wyszłam z za biurka, zmuszając zdrętwiałe nogi do ruchu. Podbiegając do drzwi, otarłam się o coś niematerialnego, poczułam to, jakbym musnęła delikatną pajęczynę.

Gałka nie chciała się obrócić.

– Nie – jęknęłam, szarpiąc się z drzwiami i napierając na nie. – Nie, Betty, nie, nie, nie...

Zabrzęczał ostry i nieprzyjemny dzwonek stojącego na biurze telefonu. Jeszcze raz spróbowałam obrócić gałkę i tym razem ustąpiła. Wypadłam na chodnik i zziębnięta pognałam do samochodu.

Na galerii otwierały się drzwi – jedno, drugie, kolejne. Gasły światła. Dzwonił telefon. Dopadłam do auta i w tej samej chwili dotarło do mnie, że kluczyki zostały w recepcji.

– Nie – powtórzyłam i nie mogłam przestać; to było jedyne słowo, które przechodziło mi przez gardło. – Nie, nie. – Zostawiłam samochód niezamknięty, ale bez kluczyków nie mogłam go uruchomić, żeby stąd odjechać.

Otworzyłam drzwi i zanurkowałam do środka. W kabinie czułam się trochę bezpieczniejsza niż na zewnątrz z tym, co zaplanowała Betty Graham. Albo Simon Hess. Albo oboje.

Opadłam na fotel kierowcy, ale kiedy chciałam zatrzasnąć za sobą drzwi, coś mi nie pozwoliło. Złapałam je obiema dłońmi, krzycząc z bólu – nadwerżyłam plecy, które ucierpiały przy upadku do basenu – lecz na próżno; nie zdołałam pokonać tej siły.

Zabrzęczał mój leżący na miejscu dla pasażera telefon. Podskoczyłam przestraszona. Moje śliskie od potu dłonie zsuwały się z klamki. Niemożliwe,

przecież w Sun Down nie było zasięgu. A jednak urządzenie dzwoniło i wibrowało. Spojrzałam na wyświetlacz: „NICK”.

Puściłam drzwi i chwyciłam aparat.

– Nick! – krzyknęłam do słuchawki. – Nick?

Brak reakcji. Sekunda ciszy i kliknięcie.

– Nick! – Daremnie próbowałam wybrać jego numer. Brak sygnału.

Do kabiny wpadał zimny wiatr. Po moich policzkach płynęły gęste, lodowate łzy. Nawet tutaj słyszałam świdrujące brzęczenie telefonu w recepcji. Tymczasem u mnie – zero kresek.

Nagle usłyszałam warkot silnika i chrzęst opon na żwirze. Przestałam wpatrywać się w ekran i zdumiona śledziłam wzrokiem samochód, który zjechał z szosy i zatrzymał się obok mnie.

Za kierownicą siedziała kobieta. Od razu ją rozpoznałam; widziałam jej twarz – co z tego, że trzydzieści pięć lat młodszą – tyle razy, że rozpoznałabym ją wszędzie. Miała dłuższe włosy niż kiedyś, a na głowie dzianinową czapkę, ale to była ona.

Ciocia Viv pochyliła się, otworzyła drzwi od strony pasażera i powiedziała:

– Wskakuj, Carly. Czas się stąd wynosić.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

Za oknem przesuwał się nocny pejzaż. Całe moje ciało pulsowało bólem. Trzymałam w dłoni rozgrzany, milczący telefon, a obok mnie siedziała Vivian Delaney i prowadziła, nie odzywając się.

Wyglądała starzej, to oczywiste. Jej twarz schudła, a rysy się wyostriły i nabrały surowości. Po typowej dla lat osiemdziesiątych trwałości nie pozostało nawet wspomnienie, teraz Viv nosiła długie, proste, spływające na plecy włosy. Miała na sobie dzinsy, ciężkie buty, praktyczną kurtkę na suwak i dzianinową czapkę. Chyba się nie malowała, a jeśli tak, to symbolicznie. Czułam od niej lekko owocowy zapach, może wiśniowego płynu do kąpieli?

– Nie zabieram cię daleko – powiedziała w końcu. – Lepiej teraz się nie zbliżać do Sun Down, przynajmniej przez jakiś czas.

– Przyjedzie karetka – wychrypiałam. – I policja. Nick...

– Co tam się właściwie wydarzyło?

Popatrzyłam na nią, wręcz wbiłam w nią spojrzenie.

– Żyjesz – wydusiłam.

Nie odpowiedziała.

– Żyłś przez te trzydzieści pięć lat.

Skręciła na parking. Kojarzyłam to miejsce. Zawiozła mnie do Watsona.

– Nie mogłam wrócić do domu – powiedziała. – Musiałam uciekać.

Zatrzymała się i zgasiła silnik. Moje emocje były jak mroczki pod powiekami. Szok. Lęk o Nicka. Radosne podniecenie. I złość. Dużo gwałtownej, dojmującej złości.

– Mama do końca nie umiała się pogodzić z twoim zniknięciem – wycodziłam.

Viv zamarła. Zobaczyłam, jak chodzą jej mięśnie zuchwy. Dotarło do mnie, że nawet nie wiedziała o śmierci siostry.

Nie musiałam już o nic pytać, wszystko było dla mnie jasne. Otworzyłam drzwi i wysiadłam.

– Carly, posłuchaj – powiedziała, idąc za mną do knajpki. – Możesz być na mnie wściekła. Wiem, zasłużyłam sobie, bo całkowicie zerwałam z przeszłością i nie dawałam znaku życia, ale nie miałam wyjścia. Inaczej wszystko bym zaprzepaściła. Musimy porozmawiać o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Co się nadal dzieje.

Ścisnęłam w dłoni telefon. Kiedy weszłam do restauracji, nareszcie zobaczyłam, że mam zasięg. Zadzwoiłam do Nicka, ale nie odebrał.

Rozłączyłam się, zanim odezwała się poczta głosowa, i usiadłam w boksie, z trudem zginając obolałe nogi i plecy. Viv zajęła miejsce po drugiej stronie stołu, mimo że wcale jej nie zaproponowałam. Miałam ochotę ją wyprosić, ale rzeczywiście musiałyśmy porozmawiać. A było o czym. Przez wiele tygodni żyłam jej życiem w Fell. Należała mi się przynajmniej jakaś część odpowiedzi.

Położyłam telefon na stole, tuż pod ręką, wyświetlaczem do góry. Usłyszałam, jak Viv zamawia dwie zupy, ale nie obeszło mnie to. „Nick, gdzie się podziewasz?”

Wyrwały mnie z otępienia dopiero słowa, które po chwili padły z jej ust.

– Zaczniemy od Betty. Co ją dziś nakręciło?

– Widziałaś Betty.

– Tak, w osiemdziesiątym drugim. Widziałam ją i słyszałam. – Napiła się kawy, którą postawiła przed nią kelnerka. – W tamtych czasach szalała za każdym razem, kiedy w Sun Down meldował się Simon Hess, ale wiesz... dawno nie pracowałam na nockę w recepcji i nie wiem, o co poszło tym razem.

– Dziś też się zameldował – powiedziałam. Mówiłam o tym, jakby działo się naprawdę. Ponieważ tak było. – Zjawił się i poprosił o pokój. Widziałam go. Słyszałam w głowie jego głos. Położyłam klucz na kontuarze, podziękował mi i poszedł na galerię.

Viv ścisnęła kubek tak mocno, że zbielały jej kostki. Wypiła połowę zawartości jednym haustem.

– Zameldowałaś go?

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba tak.

– Betty będzie wściekła. Są jacyś inni goście?

Przypomniałam sobie pustą księgę i pokręciłam głową.

– Chyba że tacy, którzy się nie wpisali. Muszę przyznać, że tej nocy nie spędziłam tam zbyt wiele czasu.

– Czyli jest nadzieja, że nikomu więcej nie stanie się krzywda – podsumowała Viv. – Bo dziś będzie się tam działo.

– Na pewno przyjedzie policja, może zresztą już jest na miejscu. I karetka – powiedziałam. – No i gdzieś tam jest też mój przyjaciel.

Kelnerka postawiła przed nami zamówioną zupę. Kolejny raz zadzwoniłam do Nicka – kolejny raz bez rezultatu.

– Jedz – poleciła Viv, kiedy odłożyłam telefon. – Musisz nabrać sił. Wierz mi, przydadzą ci się.

Sięgnęłam po łyżkę i zanurzyłam ją w rosole.

– Widziałam Simona Hessa – powtórzyłam to, co już wiedziała. – A raczej jego ducha.

Viv wzięła łyk zupy.

– Chcesz, żebym to powiedziała? Proszę bardzo. Tak, Simon Hess nie żyje. Nie żyje tak bardzo, jak tylko można. Zabiłam go w listopadzie osiemdziesiątego drugiego. Wbiłam mu nóż w pierś, wyciągnęłam i wbiłam ponownie, tym razem w szyję. Potem zawinęłam go w dywanik, zaciągnęłam do jego samochodu, załadowałam do bagażnika i porzuciłam w opuszczonej stodole razem z autem. – Nabrała łyżkę zupy. – Zrobiłam to, ponieważ był seryjnym mordercą. Pozbawił życia cztery kobiety, o których wiedziałam. Zrobiłam to, ponieważ przyznał się do wszystkiego, zanim po raz drugi zatopiłam w nim ostrze. Zrobiłam to, ponieważ gdybym postąpiła inaczej, nie zostałby ukarany i zabijałby dalej. A ja byłabym jego kolejną ofiarą.

Przyglądałam się, jak podnosi łyżkę do ust i wypija jej zawartość.

– Opowiadasz o tym tak spokojnie.

– Bo miałam trzydzieści pięć lat, żeby się z tym pogodzić. Ty dopiero to odkrywasz. – Wytarła usta serwetką. – Jeżeli zechcesz pójść na policję, nie będę cię zatrzymywała. Trzydzieści pięć lat wolności, na którą zdaniem wielu na pewno nie zasłużyłam i która tak naprawdę wcale nią nie była. Nie zagrażam ci, Carly.

To była najdziwniejsza rozmowa w moim życiu. Nie bardzo wiedziałam, jak się zachować, więc po prostu jadłam rosół.

– Nie zrobiłaś tego sama. Miałaś Marnie i Almę.

– Zrobiłam – zapewniła.

Pokręciłam głową.

– Marnie zadzwoniła do mnie i powiedziała mi o notatniku w automacie ze słodyczami.

– Jesteś przekonana, że to była Marnie?

Popatrzyłam na nią zaskoczona. Wróciłam myślami do tamtego telefonu. Numer był nieznany, a Marnie rzeczywiście się nie przedstawiła. Skojarzyłam jej głos i zwyczajnie założyłam, że to ona. „Proszę się z nią spotkać” – powiedziała Alma.

Cholera.

– To byłaś ty? Dlaczego?

– Dawno się w nikogo nie wcielałam, ale nadal umiem naśladować głosy. Poznałaś Marnie. Twierdzi, że wcale nie ma silnego charakteru, ale to nieprawda. Podszyłam się pod nią, bo uznałam, że to najłatwiejszy sposób, by skłonić cię do zrobienia tego, na czym mi zależało. W każdym razie łatwiejszy i szybszy niż tłumaczenie wszystkiego, gdy już byś się zorientowała, kim jestem. Chciałam, żebyś znalazła notatnik.

– Czemu?

– Ponieważ zawiera uzasadnienie tego, co zrobiłam. Jest w nim wszystko, czego udało mi się dowiedzieć o Simonie Hessie i morderstwach, których się dopuścił.

– To wcale nie wyklucza udziału Marnie w wydarzeniach tamtej nocy.

– Nie pomagała mi. Byłam tylko ja, ja sama.

– Marnie zrobiła zdjęcia stodoły, w której znajdowało się ciało Hessa. Znalazłam je w negatywach.

– Może ktoś użył jej aparatu.

Wyładowywałam irytację na łyżce, ściskając ją z całej siły.

– Billingi. Tamtej nocy ktoś... ty... zadzwonił na komisariat, prosząc o połączenie z posterunkową Almą Trent. Policja nie zbadała tego tropu.

– Nic nie wiem na temat śledztwa – powiedziała spokojnie Viv i dopiła rosół. – Nie dzwoniłam na policję. Może to sprawka pani Bailey? Wydawało mi się, że jak zwykle urwał jej się film, ale mogłam się mylić. Niewykluczone, że ocknęła się i coś usłyszała. Któż to wie. Alma nie przyjechała tamtej nocy do motelu, podobnie zresztą jak żaden z jej kolegów. W każdym razie nie przed tym, jak opuściłam Sun Down.

– Minęły cztery dni, zanim zgłoszono twoje zaginięcie. – W mojej głowie poszczególne elementy tej układanki wskakiwały na właściwe miejsca. – Twoja współlokatorka zrobiła to po powrocie z wyjazdu. Ale Marnie i Alma wiedziały, że zniknąłeś.

– Nikt nie wiedział. Zabiłam Hessa, porzuciłam jego zwłoki i uciekłam.

– Sama?

– Sama.

Nie. Nie ma mowy, żeby drobna, ważąca pięćdziesiąt kilogramów Viv była w stanie dokonać tego wszystkiego bez niczyjej pomocy: wytaszczyć ciało dorosłego mężczyzny z pokoju, podnieść je i włożyć do bagażnika jego samochodu, posprzątać po tym, co zrobiła, wymyślić plan. A potem musiała jeszcze zacząć nowe życie bez tożsamości i pieniędzy.

– Kim teraz jesteś? – spytałam.

– Nazywam się Christine Fawcett. Mam prawo jazdy i akt urodzenia. Mogę głosować w wyborach. Wybrałam imię zupełnie przypadkowo, ale kiedy Stephen King napisał książkę pod takim tytułem, uznałam, że to przeznaczenie. Fawcett pożyczylam oczywiście od Farrah, którą ubóstwiałam, kiedy byłam nastolatką.

Znów uderzyło mnie to, jak swobodnie o tym wszystkim opowiada. Ale jak sama słusznie zauważyła, w przeciwieństwie do mnie miała trzydzieści pięć lat, by się przyzwyczaić do bycia Christine.

– Nie zrobiłaś tego sama – upierałam się. Uwierало mnie to, że dotarłam tak daleko, siedziałam twarzą w twarz z prawdą i mimo to musiałam się obejść kłamstwami. – Potrzebowałaś środków... pieniędzy, by móc zacząć od nowa. Choćby po to, żeby załatwić sobie lewe dokumenty. Przecież nie miałaś doświadczenia w tych sprawach.

– Ja nie. Ale Jamie Blaknik owszem.

Kojarzyłam to nazwisko. Alma je wymieniła, mówiąc, że ktoś taki był tamtej nocy w motelu.

– Diler.

– Który znał, kogo trzeba, i potrafił trzymać język za zębami. – Viv wyprostowała plecy i popatrzyła smutnym wzrokiem. – Umarł dawno temu. Jakkolwiek postąpisz, nie zaszkodzisz mu.

– Zależało ci na nim – ubrałam w słowa to, co zobaczyłam w jej spojrzeniu.

Viv odwróciła oczy i pokiwała głową.

– Nigdy mnie nie zawiódł, mimo że postawiłam go w trudnej sytuacji. Gliny przesłuchiwały go jako podejrzanego w sprawie mojego zaginięcia, ale nie wydał mnie. Dochował tajemnicy, chociaż zdradzając ją, łatwo mógł się wywinąć. Wiedziałam, że nie zdołam mu się odwdzięczyć. Zawsze był i będzie dla mnie ważny. – Na jej ustach zamajaczył cień uśmiechu. – Wiesz, z kimś w końcu trzeba stracić dziewictwo...

Otworzyłam szeroko oczy.

– Naprawdę chcesz o tym teraz rozmawiać?

Roześmiała się przyjemnym, pełnym rozbawienia głosem, który czynił ją jeszcze piękniejszą.

– Zdaję sobie sprawę, że żyjemy w innych czasach, ale kiedy tak na ciebie patrzę, czuję się, jakbym widziała siebie w twoim wieku. Bystra, zaradna i bardzo, bardzo sztywniacka.

– Nie jestem sztywniacka – wypaliłam na swoją obronę. – Zresztą nikt już tak nie mówi. Nieważne, o tym też nie będziemy teraz rozmawiały.

– Miałam kiedyś męża – powiedziała, popijając kawę. – Po Jamiem. Wytrzymał ze mną rok bez jednego miesiąca i odszedł. Stwierdził, że byłam zbyt zamknięta w sobie i nie potrafił do mnie dotrzeć. „Wiecznie siedzisz głęboko w swojej głowie i nikogo tam nie wpuszczasz”. Lubiłam go, a nawet kochałam, ale miał rację. Tak wyglądało moje życie, a raczej ta jego część, którą musiałam poświęcić. – Spojrzała na mnie wymownie. – Ty możesz dokonać zupełnie innego wyboru. Córka mojej siostry... Przynajmniej to jedno jest w tym wszystkim pocieszające. Na co umarła?

– Na raka – powiedziałam, ponownie odczuwając ból całą sobą.

– A więc to kwestia genów. Pamiętaj, dziewczyno, żeby się regularnie badać.

– Wiem. Babcia... twoja mama... też zmarła na raka. – Położyłam dłonie na stole. – Posłuchaj, bardzo się cieszę, że ucinamy sobie tę rodziną

pogawędkę, ale są pewne palące sprawy, którymi muszę się zająć. W Sun Down szaleją duchy, mój przyjaciel oddalił się od motelu i nie odbiera telefonu, a wnuk Simona Hessa wepchnął mnie do pustego basenu.

Viv odstawiła kubek. Po raz pierwszy wyglądała na autentycznie wstrząśniętą.

– Miałaś starcie z Callumem MacRae'em?

– Skąd wiesz, kim jest Callum, skoro na trzydzieści pięć lat zaszyłaś się z dala od Fell?

– Carly, przyznałam, że uciekłam tamtej nocy. Zdradziłam, że od trzech i pół dekady nazywam się Christine Fawcett. Ale nie powiedziałam, że nigdy nie wróciłam do Fell.

– Chwileczkę. Przez cały ten czas, kiedy cię szukałam, mieszkałaś tu, na miejscu?

– Myślisz, że skąd wiedziałam, że pracujesz w motelu? – Zagryzła wargę. – Nie wytrzymałam długo poza Fell, raptem kilka lat. W końcu osiadłam tu na stałe. Cóż poradzę? Fell to mój dom, uwielbiam je. – Wzruszyła ramionami. – Wyobraź sobie, że moje nazwisko figuruje nawet w książce telefonicznej. I nie, nikt mnie nigdy nie rozpoznał, może dlatego, że gazety nie pisały dużo o moim zniknięciu. Zamieszkałam w innej części miasta, pracuję w domu jako prywatna nauczycielka. W Sun Down rzadko miałam kontakt z mieszkańcami Fell i praktycznie z nikim nie rozmawiałam. Po kilku latach nikt już o mnie nie pamiętał. Raz minęłam na ulicy Jenny, moją dawną współlokatorkę, i nawet na mnie nie spojrzała. Niesamowite, jak szybko ludzie zapominają.

Otworzyłam usta – właściwie co chciałam powiedzieć? – i w tej samej chwili zadzwonił mój telefon. Zabuczał i przesunął się na blacie.

Nick.

Złapałam aparat i prędko odebrałam.

– Nick?

– Carly! Wróciłem, ale nie mogę cię znaleźć. Gdzie ty się, kurwa, podziewasz?

– Jestem niedaleko. Nic mi nie jest. Co się dzieje? Wszystko z tobą w porządku?

– Tak, ze mną wszystko gra. Jestem w motelu. – Jakies głosy w tle. Nick rzucił komuś kilka słów. Potem odezwał się do słuchawki. – Mamy tu niezły

cyrk.

Zakręciło mi się w głowie z ulgi, że znów słyszę jego mocny, pewny siebie głos.

– Przyjechały policja i karetka? A Callum? Gdzie jest Callum?

– Tak, przyjechali. Callum nie żyje. Chyba. A motel... Nawet nie potrafię tego opisać. Sama musisz to zobaczyć.

Fell w stanie Nowy Jork Listopad 2017 roku

CARLY

W Sun Down panował chaos.

Niebiesko-czerwone światła radiowozów i karetki odbijały się od fasady budynku, od drzwi, okien, schodów i mieszały się z żółto-niebieskim blaskiem znaku przy szosie.

Viv zatrzymała samochód na skraju parkingu, tak by nie blokować przejazdu służbom. Kiedy wysiadłam, poszła za mną.

Wejście na galerię zagradzała żółta taśma policyjna. Kilku funkcjonariuszy pracowało na górze, kolejni na dole, niedaleko drzwi do recepcji. Był z nimi Nick, stał z rękami założonymi na piersi.

Ruszyłam w jego stronę, ale zatrzymał mnie jeden z policjantów.

– Jestem nocną recepcjonistką – powiedziałam.

– Pracuje tu pani?

– Tak. – Podałam nazwisko. – To ja do was dzwoniłam.

Zerknął na Viv za moimi plecami.

– A ta pani?

– To moja ciocia – odparłam, zanim zdążyłam pomyśleć. – Christine Fawcett. Przyjechała po tym, jak zostałam napadnięta przez Calluma MacRae'a, i zabrała mnie na gorącą zupę.

Policjant zaprowadził mnie do swojego kolegi, potężnego, sześćdziesięcioletniego mężczyzny, który najwyraźniej tu rządził. Odpowiadając na jego pytania, zerkiałam na Nicka, którego przesłuchiowano w tym samym czasie.

– Nie miałam pojęcia, że w Fell mamy tylu gliniarzy – szepnęła mi do ucha Viv.

Nick podniósł wzrok i popatrzył na mnie. Wyglądało na to, że nie odniósł żadnych obrażeń. Przeszywał mnie skupionym spojrzeniem, którego nie

umiałam rozszyfrować, a potem przeniósł je na Viv i od razu wiedziałam, że ją rozpoznał. Wyglądał na rozgniewanego. Chciałam porozmawiać z nim sam na sam i wszystko mu wytłumaczyć.

– Gdzie jest Callum? – spytałam policjanta.

Pokazał brodą na karetkę, która właśnie wyjeżdżała z parkingu.

– Udało nam się ustalić, że po tym, jak wepchnął panią do basenu, pan MacRae uciekł w kierunku lasu ścigany przez pani przyjaciela. Nick twierdzi, że w pewnym momencie stracił Calluma z oczu. Przez pewien czas usiłował go odszukać, ale w końcu zrezygnował i wrócił do motelu. Odnalazł Calluma nieprzytomnego na galerii i próbował go ocucić, kiedy przyjechaliśmy. – Uniósł brwi. – Tak brzmi jego wersja zdarzeń. Czy ma pani coś do dodania?

– Powiedziałam już, co się wydarzyło. Callum mnie zaatakował. Zadzwoiłam pod numer alarmowy. Bałam się, że tu wróci. Przyjechała moja ciocia i zabrała mnie stąd. To wszystko.

Funkcjonariusz łypnął na Viv; nie rozpoznał jej.

– Potrzebuje pani pomocy lekarskiej? – zwrócił się do mnie.

– Nie, ale chciałabym porozmawiać z Nickiem.

– W tej chwili to niemożliwe. Kiedy przyjechaliśmy, pochylał się nad nieprzytomnym Callumem. Dopóki nie dowiemy się, co tu się dokładnie wydarzyło, zostanie zatrzymany do dalszych wyjaśnień.

– Przecież on nic nie zrobił! – zaprotestowałam łamiącym się głosem. – Po prostu pobiegł za mężczyzną, który mnie zaatakował!

Patrząc na mnie, Nick w milczeniu pokręcił głową.

– Lepiej, żeby obejrzała panią sanitariuszka – stwierdził nieco łagodniej policjant. – Przeżyła pani nieprzyjemny upadek, który mógł spowodować obrażenia. Później wrócimy do pani zeznań. Natomiast co do pani... – Spojrzał na Viv.

– Fawcett. Christine Fawcett.

– Byłbym wdzięczny, pani Fawcett, gdyby zechciała pani poczekać w tamtym miejscu – wskazał dłonią – dopóki nie skończę z panią Kirk.

– Oczywiście. – Wzięła mnie za rękę i ścisnęła moją dłoń. Jej była ciepła, moja lodowata. – Będę tuż obok, skarbie. Niedługo porozmawiamy.

Zabrali Nicka. Nie aresztowali go; nie założyli mu kajdanek ani nie odczytali mu jego praw jak w serialach telewizyjnych. Zabrali go na

przesłuchanie. Poszedł ze spuszczonego wzrokiem, nie protestując. Bo przecież był Nickiem Harknessem, synem jednego z najbardziej znanych morderców z Fell, chłopakiem, o którym nie wiadomo, czy rzeczywiście był w swoim pokoju, kiedy ojciec zabijał jego brata. Policja zjawiała się w Sun Down akurat wtedy, kiedy pochylał się nad nieprzytomnym człowiekiem. Podejrzenie padło na niego, czy mi się to podobało, czy nie.

Sanitariuszka zmierzyła mi ciśnienie krwi, obejrzała guz na głowie, zaświeciła mi w oczy, kazała wodzić wzrokiem za palcem, a potem przejść się kawałek w prostej linii. Pobieźnie sprawdziła żebra – jej zdaniem nie były połamane. Dała mi jakiś środek przeciwbólowy.

W tym samym czasie odpowiadałam na pytania policjanta i trwało to wieczność. Tak, pracowałam w Sun Down. Tak, już od dobrych kilku tygodni. Nie, nie znałam Calluma MacRae'a zbyt dobrze; spotkałam go raptem kilka razy. Tak, Nick Harkness był gościem motelu, mimo że jego nazwisko nie figurowało w księdze; miał umowę z właścicielem.

– A zniszczenia? – spytał gliniarz, przekładając stronę w notesie. – Mówi pani, że pracowała tu od pewnego czasu. Niczego pani nie zauważyła?

– Jakie zniszczenia?

– Przecieki, pęknięcia ścian. – Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. – Twierdzi pani, że nie zwróciła na nie uwagi?

Popatrzyłam na motel. Dopiero teraz zobaczyłam, że z galerii kapie woda, jakby pokoje na piętrze zostały zalane. To, co w ciemności wzięłam za cienie na ścianach, mogło być plamami pleśni. Drzwi do recepcji były otwarte i tam też można było dostrzec zacieki. Zadarłam głowę i okazało się, że miejscami w dachu brakuje całych połączeń gontu, a z dziur wystają przegniłe belki.

– Ale... – Zabrakło mi słów. Nigdzie ani śladu Simona Hessa, Betty Graham, chłopca z basenu i Henry'ego, palącego mężczyzny. Zniknęło wrażenie, że jestem obserwowana. A może tylko mi się wydawało? – Jeszcze kilka godzin temu to wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

– To samo powiedział pani przyjaciel. – Funkcjonariusz wymówił to w taki sposób, jakby sam fakt, że przyjaźniłam się z Nickiem, był okolicznością obciążającą. – Ciekawe, że choć mieszkał tu przez tyle czasu, nie rzucił mu się w oczy niemal zupełnie zrujnowany przez wodę dach.

– Co takiego?

– Dawno nie mieliśmy tutaj ulewnych deszczy. To są pozostałości po dużym i starym zalaniu. Wykładziny z większości pokoi, jak również w recepcji, nadają się tylko na śmietnik. Sufity na piętrze wyglądają jak jedna wielka plama pleśni. Podobnie w pomieszczeniu, w którym trzymacie państwo maszynę do lodu. Tam też musiało mocno cieknąć. – Podniósł wzrok znad notatnika i popatrzył na budynek motelu, jakby szukał w nim odpowiedzi; to zupełnie jak ja. – Dziwne to wszystko, owszem, ale domyślałam się, że rzadko pani zaglądała do pokoi. Goście również. Bo przecież nikt tu się nie zatrzymuje, prawda? – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak do tego doszło, poza tym, że się wydarzyło.

„Betty – pomyślałam. – Coś ty zrobiła?”

Nie musiała nic mówić. Zameldowałam w motelu jej mordercę. „Betty się wścieknie”. Wpadła w furję i zdemolowała Sun Down.

A Simon Hess... Nie potrafiłabym nawet zgadnąć, co z nim uczyniła.

– Mogę zabrać swoje rzeczy? – spytałam policjanta, kiedy skończyła ze mną sanitariuszka. – Są w recepcji.

Pokiwał głową.

– Ktoś je pani przyniesie. A potem odwiezie panią do domu.

– Ja to zrobię. – Viv wyrosła u mojego boku i położyła mi dłoń na ramieniu. – Nie ma mowy, żebyś sama prowadziła – powiedziała moja ciocia, jakby była przy mnie całe życie. – Odstawię cię do domu.

Odzyskałam kluczyki i torebkę z samochodu.

– Viv – zaczęłam. – Dziękuję za dobre chęci, ale...

– Oczywiście, że nie jedziemy do domu, tylko na komisariat. Trzeba odbić Nicka. To jeszcze nie koniec.

– Callum nie ma żadnych widocznych obrażeń – powiedziała Viv, kiedy zmierzałyśmy do miasta. – Nic nie wskazuje na to, że został zaatakowany, ale policja zyska pewność dopiero po sekcji zwłok.

– A więc jednak nie żyje – mruknęłam.

– Stwierdzono zgon w karetce, dosłownie przed kilkoma minutami – potwierdziła Viv. – Jako oficjalną przyczynę śmierci podadzą coś naturalnego, nie wiem, ustanie akcji serca albo jakiś zator.

– A nieoficjalnie co nią było?

– Betty Graham. – Łypnęła na mnie. – Callum był wnukiem jej mordercy. Popełnił błąd, przychodząc do motelu. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego to zrobił. To pytanie na zawsze pozostanie bez odpowiedzi.

Popatrzyłam za okno i zamyśliłam się nad tym, co Callum mógł widzieć w ostatnich chwilach swojego życia. Co takiego zwabiło go na galerię? Dziadek? Betty? Coś innego? Mimo wszystko zrobiło mi się go żal. Miałam poczucie, że wiódł nieszczęśliwe życie.

– Skąd wiesz, że umarł? – spytałam Viv. – Nie powiesz mi, że nie rozmawiałaś przez telefon z Alną Trent.

Uśmiechnęła się, jakby moje słowa ją rozbawiły.

– Carly, przez trzydzieści pięć lat milczałam jak zaklęta. Przestań zadawać pytania, na które i tak nie odpowiem.

Nie miałam takiego zamiaru.

– Skąd wiedziałaś, że twoja matka zmarła na raka?

– Słucham?

– Nie wiedziałaś o śmierci mojej mamy, ale wiedziałaś o babci. Kiedy powiedziałam, że mama zmarła na raka, ty... – Urwałam, bo nagle mnie oświeciło. – Stwierdziłaś, że to kwestia genów.

– Bo tak jest.

Ścisnęło mnie w żołądku. Za dużo wszystkiego jak na jedną noc.

– Masz raka – stwierdziłam beznamiętnie.

– Miałam. Pokonałam go.

– A teraz?

– Teraz pamiętaj, żeby się regularnie badać – napomniła mnie, po czym skręciła na parking przed komisariatem. – Jesteśmy na miejscu.

Przetrzymali nas dwie godziny. Siedziałyśmy na twardych krzeselkach w poczekalni, patrząc, jak ludzie przychodzą i wychodzą. Co pewien czas szłam do dyżurnego zapytać o Nicka Harknessa. Odpowiadał zawsze tak samo: że da mi znać, jak tylko będzie coś wiedział – i wracałam na swoje miejsce.

Viv dwukrotnie wstała i odeszła na kilka kroków, żeby zatelefonować. Druga rozmowa przerodziła się w różnicę zdań – poznałam po tym, jak się zgarbiła i skupiona szeptała do słuchawki: „Wiem, wiem. Przepraszam”.

Tylko tyle udało mi się wychwycić, a niestety nie potrafiłam czytać z ruchu warg.

– Z kim rozmawiałaś? – spytałam, kiedy usiadła, choć wiedziałam, że to bezcelowe.

Tej nocy wydarzyło się tak wiele, a mimo to dopiero teraz po raz pierwszy, od kiedy ją poznałam, zobaczyłam ją wyraźnie zdenerwowaną.

– Z nikim.

– Jasne. – Też mi niewiele brakowało; byłam zmęczona, obolała i zaniepokojona o Nicka.

Przez chwilę myślałam, że na mnie naskoczy albo postawi do pionu jakimś ostrym słowem, ale ona poprawiła się na niewygodnym plastikowym krzeselku i wzięła mnie za rękę. Trzymała moją dłoń – której nie cofnęłam – w swojej, silnej i chłodnej.

– Sądysz, że będzie potrzebował prawnika? – spytałam przygnębiona.

– Nie – odparła. – Bo nie popełnił żadnego przestępstwa. Chyba że policja będzie chciała obarczyć go winą za zatrzymanie akcji serca u Calluma albo za to, że ściany motelu porosły pleśnią. Przesłuchują go dłużej, niż to konieczne, z powodu tego, kim jest.

Nick Harkness, którego ojciec odpowiadał za jedną z najbardziej znanych zbrodni w Fell i który popełnił wiele błędów w następstwie tego, co przeżył w dzieciństwie; który raz za razem wpadał w tarapaty, aż w końcu wyjechał z Fell. „Nie udało nam się niczego udowodnić, ale zawsze się zastanawiałam, czy Nick naprawdę był na górze w swoim pokoju, tak jak twierdził”.

– Nick był w swoim pokoju tamtego dnia, kiedy to się stało. – Nie wiedziałam, skąd u mnie nagła potrzeba, by to powiedzieć.

– Tak, wiem.

– Alma uważa, że było inaczej.

– Tak mówi? – Viv popatrzyła na mnie, nadal trzymając mnie za rękę. – Alma lubi prowokować. Taki policyjny odruch. Potraktuj to jako komplement, bo oznacza, że udało ci się nią wstrząsnąć.

Po raz pierwszy w ogóle przyznała, że zna Alnę, ale nie miałam siły, żeby to skomentować.

– On nie jest przestępcą.

– Nie. Ja jestem.

Spojrzałam jej w oczy. Były naprawdę piękne. Wyglądały jak oczy mojej mamy.

– To nieoficjalna informacja, ale zidentyfikowali Simona Hessa – powiedziała. – Na podstawie dokumentacji dentystycznej. Zamierzają rozłożyć samochód na czynniki pierwsze w poszukiwaniu dowodów.

Ścisnęła moją dłoń, potem puściła ją i wstała.

– Co robisz?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się. Otworzyły się drzwi za stanowiskiem dyżurnego i wyszedł Nick. Na mój widok na chwilę zalśniły mu oczy. Chyba był zaskoczony.

– Przepraszam – odezwała się Viv do dyżurnego. – Chciałabym porozmawiać z kimś z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

Nick ruszył w moją stronę. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Nie – powiedziałam cicho, co oczywiście ani trochę jej nie powstrzymało.

– W jakiej sprawie? – spytał dyżurny.

Nick położył dłoń na moim ramieniu.

– W sprawie zwłok, które dziś rano zostały znalezione w samochodzie w starej stodole. To ja je tam umieściłam. Nazywam się Vivian Delaney. Zniknęłam przed trzydziestoma pięcioma laty, a dziś chciałabym się przyznać do winy.

Wszystko przebiegło zaskakująco spokojnie. Dyżurny wykonał telefon, a potem wstał i powiedział:

– Bardzo proszę za mną.

Vivian poszła, nie oglądając się za siebie. Po chwili zamknęły się za nią drzwi komisariatu.

Fell w stanie Nowy Jork Luty 2018 roku Trzy miesiące później

CARLY

Zima była bardzo mroźna. Śnieg spadł w grudniu i długo się utrzymywał. Wiał przenikliwy, lodowaty wiatr, a na drogach panowały fatalne warunki. Z trudem udało mi się dotrzeć do Illinois na święta.

Spędziłam trzy dni z Grahamem i jego narzeczoną, następnie wsiadłam do samochodu i wróciłam do Fell.

Graham i Hailey nie potrafili tego zrozumieć – nie pojmowali, dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie pragnę być właśnie tam. Dlaczego nie chcę stamtąd wyjechać na dobre. Czemu akurat Fell – miasto, w którym nasza ciocia popełniła morderstwo i sfingowała swoje zaginięcie – uważam za swój dom. Po prostu było nim i już.

Zostałam u Heather jeszcze miesiąc, a potem przeniosłam się do mieszkania Viv po drugiej stronie miasta. Większość ludzi uznałaby za dziwne, że chcę zająć miejsce opuszczone przez moją ciocię po tym, jak została oskarżona o morderstwo – a mówiąc precyzyjnie: zabójstwo umyślne – ale nie Heather.

– Czemu nie? – stwierdziła, kiedy to zasugerowałam. – Pasuje do całej tej dziwacznej historii.

No więc przeprowadziłam się. Zrezygnowałam z koledżu – wiedząc, że spowoduję kolejny wykład Grahama o tym, że marnuję sobie życie – i skupiłam się na poszukiwaniu tego, czym naprawdę chciałabym się zajmować. Przez pierwsze zimowe miesiące żyłam sobie spokojnie, bez pośpiechu. Dużo czytałam. Chodziłam na spacer. Spotykałam się z Heather. Godzinami przesiadywałam w bibliotece, zbierając informacje... zastanawiając się.

Autopsja wykazała, że Callum zmarł wskutek pęknięcia tętniaka mózgu. Śmierć, która go spotkała, była podobno szybka i bezbolesna. Dobrze, że nie

cierpiał. Odbył się skromny pogrzeb dla rodziny. Nie zostałam zaproszona i nie poszłam.

Na początku grudnia policja wydała oficjalny komunikat o pomyślnej identyfikacji zwłok Simona Hessa. Jako przyczynę śmierci podano dwie rany kłute: w piersi oraz w szyi. Koroner powiedział, że ofiarę najprawdopodobniej zabiła rana w szyi, aczkolwiek gdyby rana w piersi pozostała nieopatrzona, zapewne również doprowadziłaby do zgonu, tylko trwałoby to dłużej. Narzędzia zbrodni – którym, jak ustalono, był bardzo ostry nóż myśliwski z ostrzem o długości od dziesięciu do piętnastu centymetrów – nie odnaleziono.

Obrońca Viv forsował stanowisko, że jego klientka zabiła Hessa w obronie własnej po tym, jak ten przyznał się do bycia seryjnym mordercą. Kiedy DNA Hessa dopasowano do próbek znalezionych przy Betty Graham, Cathy Caldwell oraz Tracy Waters, o Fell i sprawie zrobiło się głośno w całym kraju. Przy Victorii Lee nie odnaleziono żadnych próbek, ponieważ morderca zabił ją w pośpiechu i nie zgwałcił jej.

Rodziny Betty, Cathy i Tracy nareszcie doczekały się sprawiedliwości; rodzina Victorii wciąż nie.

Nie wróciłam do pracy w Sun Down i nikt mnie nie zastąpił. Okazało się, że uszkodzenia budynku sięgają od dachu aż po fundamenty. Chris jeszcze przez jakiś czas próbował prowadzić motel, ale nie miał żadnych gości, poza tym inspektor sanitarny hrabstwa wydał ostateczną decyzję o zamknięciu obiektu. Pleśń i wilgoć stanowiły zagrożenie dla zdrowia, gipsowe sufity i ściany zaczynały się kruszyć, powstawał pył, który mógł się dostać do płuc. Do tego nie działało ogrzewanie, rury zamarzły, a instalacja elektryczna odmówiła posłuszeństwa. Żółto-niebieski znak przy zjeździe z szosy zgasł na dobre.

Chris zrobił więc to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek obarczony niechcianym i nierentownym obiektem: zainkasował pieniądze z ubezpieczenia, przeznaczył budynek do rozbiórki, ziemię natomiast wystawił na sprzedaż niemal za bezcen.

Pod koniec grudnia, tuż po świętach, wokół Sun Down wyrosło ogrodzenie ze zwykłej siatki. Przyczepiono do niego tabliczkę z informacją: „TEREN PRYWATNY”. Zdjęto znak i wywieziono go specjalną ciężarówką. W lutym, pod brudnoszarym niebem, gdy na ziemi zalegał stary, brzydki śnieg i breja, buldożery i inne pojazdy przystąpiły do pracy.

Przyglądałam się temu. Zostawiłam samochód na poboczu przy szóstce i podeszłam do siatki. Naciągnęłam czapkę na uszy, dłonie w rękawiczkach schowałam do kieszeni. Wiał lodowaty wiatr, czułam go na nosie i policzkach, pierzchły mi od niego usta. Rozbiórka wyglądała... zwyczajnie i zupełnie nieciekawie. Stałam jako jedyna i patrzyłam, jak ciężki sprzęt demoluje ściany i wwierca się w beton. Nie zabrzmiał żaden dramatyczny motyw muzyczny, nie odezwał się chór, nie opadła kurtyna. Ekipa uwijała się wśród płatków śniegu padających z ciemnego nieba.

Nie było Betty Graham. Ani Simona Hessa. Ani chłopca z basenu, ani Henry'ego palacza. Od dawna już nie żyli.

Kiedy stałam przy ogrodzeniu, zadzwonił mój telefon. Wyjęłam go z kieszeni i ściągnęłam rękawiczkę, żeby móc odebrać.

– Halo?

– W sprawie śmierci Victorii Lee zostanie przeprowadzone ponowne śledztwo – powiedział głos w słuchawce. – Policja jeszcze raz zbada zgromadzone dowody. Będą szukać DNA mordercy.

Zawróciłam do samochodu.

– Tylko proszę nie mówić, skąd pani o tym wie.

– Spokojna głowa, nie powiem – odparła Alma Trent. – Przez trzydzieści lat w policji udało mi się nawiązać kilka znajomości, nawet pomimo mojego charakterku. To wszystko, co mogę zdradzić.

– Śledczym na pewno pomógłby dostęp do ksiąg z grafikami komiwojazerów Westlake. W notatniku Viv jest informacja, że w tym samym miesiącu, kiedy zamordowano Victorię, Hess odwiedzał domy przy ulicy, przy której mieszkała.

– Wiem. Czytałam notatnik.

– Ale dawno. – Teraz należał do mnie. Zatrzymałam go i przeczytałam chyba ze sto razy. – Dzwoniła pani do Marnie, żeby jej o tym powiedzieć?

– Nie mam pojęcia, kogo ma pani na myśli.

– Jasne, że pani dzwoniła – sama sobie odpowiedziałam. – Najpierw do niej, a potem do mnie.

– Nazwisko brzmi znajomo, ale nie potrafię skojarzyć go z osobą. Musiała się pani pomylić.

– Proszę ją ode mnie pozdrowić.

– Zrobiłabym to, gdybym wiedziała, o kim mowa.

Westchnęłam.

– Kiedyś w końcu będzie pani musiała mi zaufać.

– Bardziej niż teraz? Mało prawdopodobne. Jestem emerytowaną policjantką, którą interesuje sprawa Vivian Delaney. Ot, takie hobby. Albo może nostalgia za latami osiemdziesiątymi. Gdzie pani jest? Strasznie tam wieje.

– Na szóstce. Patrzę, jak maszyny równają Sun Down z ziemią.

– Proszę, proszę! I jak pani się z tym czuje? Dobrze czy źle?

– Ani tak, ani tak. Albo jedno i drugie... Mogę panią o coś zapytać?

– Pytać może pani o wszystko. – Co nie oznaczało, że Alma będzie skłonna odpowiedzieć.

– Za winnego śmierci Victorii początkowo uznano jej chłopaka, ale po pewnym czasie sprawę ponownie rozpatrzono i unieważniono wcześniej wydany wyrok. Sprawdziłam to i okazało się, że początek starań o uwolnienie chłopaka Victorii przypada na osiemdziesiąty siódmy rok i przejęcie obrony przez nowego prawnika. Wie pani coś na ten temat? Coś się musiało zmienić. Ktoś musiał szepnąć chłopakowi, że warto się ubiegać o ponowny proces.

– Nie znam żadnych prawników – brzmiała odpowiedź Almy.

Jasne. Oczywiście. Ale wiedziała, że skazano niewinnego człowieka, a prawdziwy sprawca jest trupem ukrytym w bagażniku.

– Kolejna ciekawa rzecz – powiedziałam. – Tuż po morderstwie Tracy aresztowano bezdomnego, który znalazł jej plecak i przyniósł go na komisariat. Wszyscy myśleli, że to właśnie on był mordercą. Do skazania jednak nie doszło, ponieważ oskarżenie opierało się na poszlakach. Ten człowiek wywinął się od więzienia wyłącznie dlatego, że reprezentował go naprawdę dobry prawnik.

– Ach tak?

– Owszem. Dziwne, nie uważa pani? Bezdomny, którego broni świetny prawnik. Zupełnie jakby pomagał mu ktoś, kto miał stuprocentową pewność co do jego niewinności.

– Możliwe. Nie wiem. Nie miałam i nie mam styczności z prawnikami.

Westchnęłam. Lubiłam Almę, ale nie sposób było się z nią zaprzyjaźnić. Wołałam Heather.

– Zrobiłam kilka zdjęć z rozbiórki Sun Down. Myślę, że pokażę je Viv przy okazji kolejnego widzenia.

– Podobno poddano ją leczeniu w oczekiwaniu na rozprawę – powiedziała Alma.

Na myśl o tym ścisnęło mnie za serce. Mimo wszystko Viv była moją ciocią.

– Robią jej chemię, ale nie wiedzą, czy zadziała.

Viv miała w perspektywie śmierć na raka albo gnicie w więzieniu do końca życia. Albo jedno i drugie.

Albo żadne.

Tak czy inaczej, nie mogłam już nic więcej poradzić.

Czułam się z tym dobrze – czy źle? To zależało od dnia, od nastroju, od tego, czy byłam zła na Viv za zgryzoty, których przysporzyła mojej mamie; czy czułam bolesną tęsknotę za rodziną; czy w skrytości podziwiałam ją za niektóre rzeczy. Bywały chwile, gdy wszystkie te emocje łączyły się w jedno. Pogodzenie się z tym wymagało czasu... którego Viv być może nie miała.

– Już raz sobie z nim poradziła – stwierdziła Alma. – Poradzi sobie znowu. Tak jak ze wszystkim.

– O rety, brzmi pani zupełnie tak, jakby ją znała.

– Nie mam pojęcia, kto zacz, ale sprawia wrażenie interesującej osoby. Proszę jej powiedzieć, że chciałabym ją kiedyś poznać.

Przewróciłam oczami.

– Jak pani sobie życzy.

– Musi być strasznie zimno na szóstce – powiedziała. – Może wpadnie pani na kawę? Wiem, że już późno, ale nie szkodzi. Jestem nocnym markiem.

– Ja też – przyznałam. – Ale dziś nie mogę. Mam plany.

– O! Najwyższa pora.

– Co to znaczy?

– To znaczy: miłej zabawy – rzuciła i rozłączyła się.

Nick miał na sobie dżinsy i czarny sweter. Ogolił się i pachniał mydłem. Jakiś czas temu wprowadził się do niewielkiego mieszkania na trzecim piętrze bez windy, skąpo urządzonego i w typowo męskim klimacie, a mimo to przytulnego. Nawiązał współpracę z dawnym kumplem z liceum, założył

z nim firmę remontową i zatrudniał teraz dwie ekipy; niewykluczone, że niektóre zlecenia dostawał po prostu dlatego, że był znaną postacią w mieście, ale na pewno większość zawdzięczał solidności. Ponieważ kiedy Nick się zawiązał, nie było dla niego rzeczy niemożliwych.

– Chcę studiować kryminologię – powiedziałam przy późnowieczornej kolacji w tajskiej knajpce. – Mogę zacząć wiosną i pozaliczać przedmioty latem, żeby się wyrobić przed semestrem jesiennym.

Odłożył pałeczki. W przyćmionym świetle w restauracji jego kości policzkowe i ciemne włosy wyglądały obłądnie. Nie mogłam się zdecydować, czy wolałam go z kilkudniowym zarostem – który pamiętałam z Sun Down – czy takiego jak teraz.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Tak. – Grzebałam pałeczkami w pad thai. – Myślę, że byłabym w tym dobra. Jak uważasz?

Długo mi się przyglądał.

– Uważam, że masz wielki talent – odparł śmiertelnie poważnie. – I że świat kryminologii nie jest na ciebie gotowy. Ani trochę.

Zaczerwieniłam się i wbiłam spojrzenie w talerz.

– Właśnie zasłużyłeś na kolejną randkę.

– Nie wiedziałem, że trzeba na nie zasłużyć. To chyba już dziesiąta.

– Dziewiąta. Tamtego dnia, kiedy wpadliśmy na siebie w aptecce, nie liczę.

– A ja tak.

– Przestań, byłam w dresach i przeziębiona – zaprotestowałam. – Nie, to nie była randka.

– Kazałem ci wracać do domu, a potem kupiłem lekarstwa na przeziębienie i przyniosłem ci je razem z jedzeniem i gorącą herbatą – wyklarował. – Bez dwóch zdań to randka.

Bez dwóch zdań nadal byłam zadurzona w dawnym gościu z dwieście dziesiątki.

– Dziś na pewno będzie lepiej – powiedziałam.

I było. Po kolacji poszliśmy do kina na pokaz Carrie o północy. Oglądało ją z nami czternaścioro widzów; policzyłam. Przez cały seans trzymałam Nicka

za rękę. Kiedy wyszliśmy, padał śnieg, ale byliśmy tak zajęci sobą, że prawie tego nie zauważyliśmy. Pojechaliśmy do mieszkania Nicka.

Jak słusznie zauważyła moja ciocia Viv, z kimś w końcu trzeba stracić dziewictwo, prawda?

Kilka godzin później, leżąc w ciepłym łóżku w ramionach Nicka, zwróciłam wzrok ku oknu i zanim wreszcie zasnęłam, długo wpatrywałam się w płatki śniegu wirujące w ciemności nocy.

Podziękowania

Dziękuję mojej redaktorce Danielle Perez za mądre rady, jak również pozostałym pracownikom Berkley za ich ciężką pracę – no i niesamowitą okładkę. Dziękuję mojej agentce Pam Hopkins za wszystko, co robi. Dziękuję Molly i Stephanie, które przeczytały szkic tej książki i stwierdziły, że nie jest beznadziejna. Jak zawsze dziękuję mojemu mężowi Adamowi, który rozumie, jak bardzo potrzebuję czasu na pisanie, i dba o to, żebym go miała. Dziękuję księgarzom i bibliotekarzom, którzy niestrudzenie rozpowszechniają informacje o moich książkach. Dziękuję także czytelnikom, którzy nadal sięgają po moje książki i rozmawiają o nich. Bez was to wszystko nie miałoby sensu. Jestem wam ogromnie wdzięczna za to, że czytacie moje opowieści.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](http://MAGRAF.s.c.), Bydgoszcz